nr 14 (65)
JESIEŃ 2014

cena 15 zł
(w tym 5% VAT)

NOWY OBYWATEL

PISMO NA RZECZ SPRAWIEDLIWOŚCI SPOŁECZNEJ

Europa 5,5 EUR
USA 7 USD
ISSN 2082-7644
INDEX 361569

9 772082 764132 >

Słabi będą silnymi?

Remigiusz Okraska

Media są pełne opowieści o silnych. O celebrytach, liderach, zwycięzcach, „sławnych osobach", „ludziach sukcesu" – o znanych i bogatych. Opowiadają o własnym powodzeniu ogólnym i o dokonaniach cząstkowych, o zdobyczach swoich rodzin, środowisk, swojej klasy społecznej, o słusznych poglądach na wszystko, udzielają dobrych rad, opiniują, przekonują, wyrokują, tańczą i śpiewają.

Dla słabych nie ma miejsca. To znaczy jest. Gdy można zrobić ciekawostkową migawkę z Polski B, najlepiej z patologią, zbrodnią czy spektakularnym przejawem „ciemniactwa" w roli głównej. Gdy można pochwalić wybranego naturszczyka – laureata telewizyjnego show, aby inni pariasi uwierzyli, że każdy ma szansę znaleźć się na jego miejscu. Gdy można użalić się nad jakimś „biednym i wykluczonym", oczywiście pojedynczym, bo w Nowym Wspaniałym Świecie największym tabu jest istnienie całych grup, klas czy okolic wyrzuconych na margines.

Najbardziej popularne przekazy medialne przedstawiają więc głównie świat sytych i zadowolonych. Na naszych łamach było, jest i będzie inaczej. W niniejszym numerze przygotowaliśmy zestaw tekstów o słabych, co nie znaczy, że biernych. Prof. David Ost opowiada o przeszłości i teraźniejszości walk społecznych i pracowniczych w USA oraz o podobieństwach i różnicach tamtejszych realiów w porównaniu z Polską. W przejmującym reportażu przedstawiamy opór mieszkańców Katalonii przeciwko wyrzucaniu ludzi z mieszkań przez system zorganizowanej przestępczości z udziałem banków, deweloperów i władz. Z rozmowy z naukowcem badającym zamknięte, grodzone osiedla dowiadujemy się o tych, którzy są słabi – choć nie zawsze o tym wiedzą – lecz za wszelką cenę, zwykle bardzo wysoką, próbują się odizolować od jeszcze słabszych, wzmacniając w ten sposób siłę już silnych.

Opisujemy także coraz trudniejszy los na rynku książki jego „płotek" – autorów, tłumaczy, małych wydawców i niewielkich księgarń – zagryzanych przez „rekiny", czyli wielkie sieci handlowe i dystrybucyjne. W innym artykule prezentujemy przykłady kilku krajów z różnych części świata, które z biedy wydźwignęły się o własnych siłach, a zarazem dzięki porzuceniu pomysłów naśladowania silnych i pokornego służenia im. Kolejny materiał to recepta na taki sam scenariusz w Polsce – na odbudowę przemysłu i przerwanie dzięki temu błędnego koła zacofania i braku perspektyw. Wywiad poświęcony organizacjom pozarządowym porusza m.in. temat tego, jak w sektorze postrzeganym jako „wrażliwy" i „pomocny" odtwarzane są najgorsze cechy podziału na silnych i wpływowych oraz tych, którzy są skazani na wegetację. W tekście o sytuacji uchodźców w Polsce przedstawiamy natomiast los jednej z najsłabszych grup, pozbawionej niemal wszystkiego.

Spoglądamy także w przeszłość. Zamiast kultywowania stereotypów popularnych wśród lewicy i prawicy, przedstawiamy historię lewicowych syjonistów – przedstawicieli jednej z najsłabszych nacji, którzy poświęcili swoje życie ideałowi powołania państwa zarazem zabezpieczającego interesy narodu, jak i sprawiedliwego społecznie. W recenzji głośnej książki Andrzeja Ledera autorka zastanawia się natomiast, na ile jego wizja, ustrojona w lewicowe szatki, jest wyrazem lekceważenia oddolnej emancypacji społecznych „dołów" oraz przejawem elitarnego postrzegania dziejów naszego kraju.

Nie są to rozważania tylko dokumentacyjne. Wręcz przeciwnie – w zamierzeniu autorów i redaktorów naszego czasopisma stanowią one przede wszystkim próbę refleksji i inspiracji, że tak być nie musi. Że słabi mogą powstać z kolan, że możliwe i konieczne jest społeczeństwo samych silnych, równych i solidarnych.

To oczywiście nie wszystkie materiały, jakie przygotowaliśmy dla Was w tym kwartale. Zapraszam do lektury. ⚒

6 **Nau(cz)ki zza oceanu** WYWIAD

ROZMOWA Z PROF. DAVIDEM OSTEM

18 **Banki i ludzie. Reportaż z Barcelony**

ANGELINA KUSSY

32 **Wypaczona nauka**

LLEWLLYN HINKES-JONES

Cechująca współczesną pracę naukową atmosfera ciągłej pogoni za zyskiem jest bardzo odległa od warunków, w jakich pracował Jonas Salk, odkrywca szczepionki przeciwko polio. Jego wynalazek, który wpłynął na życie milionów ludzi na całym świecie, cierpiących na tę wycieńczającą chorobę, został udostępniony za darmo. Salk pytał wówczas retorycznie, czy dopuszczalne byłoby „opatentowanie Słońca" i czerpanie z tego zysków. Dzisiejsza pogoń za czerpaniem finansowych korzyści z własności intelektualnej szybko podąża w kierunku realizacji tej absurdalnej propozycji.

38 **Rynek książki czy przeciw książce?**

JAROSŁAW GÓRSKI

48 **Ucieczka od wspólnoty** WYWIAD

ROZMOWA Z DR. JACKIEM GĄDECKIM

Dobrym przykładem był słynny konflikt w Marinie Mokotów w Warszawie, gdzie powstały sklepy, których najemcy zaczęli się skarżyć na brak klientów. W odpowiedzi administracja osiedla otworzyła bramy osiedla, co wzbudziło jednak stanowczy sprzeciw mieszkańców. Menedżerowie uspokajali, podkreślając istnienie licznych i świetnie działających systemów bezpieczeństwa, kamer monitoringu itd. Ale przekaz mieszkańców pozostawał niewzruszony: nie chcemy tutaj społecznej „szumowiny" i żądamy zamknięcia bram. Pokazuje to, że obawa przed przestępczością jest dla nich dużo mniej ważna niż status osiedla zamkniętego przed „elementami obcymi klasowo".

6

Znaczna część białych robotników, którzy stracili w tych latach pracę, przeszła na stronę Republikanów. A intelektualiści i klasa średnia, szczególnie z Północy i obu wybrzeży, czują wobec tych ludzi coraz większą wyższość. Nie dlatego, że stracili oni pracę, ale ponieważ za swoje niepowodzenie obwiniają innych, słabszych - czarnoskórych i kobiety, a w dodatku głosują na Republikanów, którzy obiecują powrót dawnych, rasistowsko-patriarchalnych porządków. Skoro tak, to jesteście dla nas nikim, jesteście bezrobotnymi bezwartościowymi śmieciami - tak rozumuje to środowisko.

18

W obronie obecnego prawa występuje przewodniczący Związku Banków Hiszpańskich. Jego słowa oburzają Adę. W emocjonalnym wystąpieniu nazywa go „rzekomym ekspertem" i „kryminalistą". Gdyby nie to, że chcę przedstawić państwu mój punkt widzenia, rzuciłabym w tego pana butem - zabrzmi jej słynne zdanie.

38

Błyskawiczna rotacja na półkach, pozorne bogactwo asortymentu, a także oferowane przez wielkie sieci ogromne upusty i częste przeceny książek właściwie eliminują z rynku indywidualne księgarnie. One ze względu na swoją skalę nie mogą liczyć nawet na taką marżę, jaką w salonie dostaje często klient w ramach promocyjnego upustu. W mieście, w którym pojawi się Empik, Matras lub od niedawna Świat Książki, dni małej księgarni są policzone.

56 **Własną drogą**

PIOTR WÓJCIK

Szwedzi, Finowie, Tajwańczycy i Koreańczycy z południa udowodnili, że na szczęście (dla człowieka i dla samej historii) los społeczeństw wciąż spoczywa przede wszystkim w rękach i głowach ludzi, a nie w tym, jak pokornie i wytrwale będą zginać karki przed nieubłaganymi prawami rynku. Sukces gospodarczy jest możliwy pod każdą szerokością geograficzną i w każdym kręgu cywilizacyjnym. Wystarczy odważyć się zbudować własną historię, bez oglądania się na mądrości zastępów ekonomistów, którzy wszystko już wiedzą, bo naczytali się odpowiednich podręczników.

66 **Papers, please!**

ILONA MAJEWSKA

5-osobowa rodzina (rodzice i troje dzieci w wieku wczesnoszkolnym) zakwaterowana jest w jednym pokoju z małą łazienką, wyposażonym w podstawowe sprzęty - łóżka piętrowe, stolik, krzesła. - W *ośrodkach zapewnione są posiłki oraz ekwiwalent dla dzieci, które nie żywią się w stołówce. Obalić należy mit, że uchodźcy otrzymują „duże pieniądze" za nic. Miesięcznie to 70 zł* - mówi Paliwoda. Zdaniem Duszkiewicz-Nowackiej konieczna jest realna pomoc finansowa po opuszczeniu ośrodka: *Wyobraźmy sobie, że my sami z jedną reklamówką lądujemy np. w Brukseli!*

74 **(Dez)organizacje** WYWIAD

ROZMOWA Z DR GRAŻYNĄ PIECHOTĄ

Z jednej strony mamy z pewnością do czynienia ze wzrostem kompetencji osób zaangażowanych w działalność trzeciego sektora, co przekłada się na coraz efektywniejsze funkcjonowanie organizacji, sprawniejsze procesy komunikowania się ze społeczeństwem oraz poprawę standardów współpracy z administracją publiczną. Z drugiej strony profesjonalizacja w pewnym stopniu niestety zabija społecznikostwo i spontaniczność, które były dotąd niezbywalnymi atrybutami działalności organizacji oddolnych.

81 **Finansowanie przez tłum**

MARCIN GIEŁZAK, BARTOSZ FILIP MALINOWSKI

Crowdfunding prowadzi do usunięcia pośredników między twórcą a odbiorcą oraz do zdemokratyzowania relacji panujących na wolnym rynku. Kapitał społeczny odgrywa tu większą rolę niż ten odłożony na koncie bankowym, wsparcie społeczności znaczy więcej niż poparcie *lobbies*, kreatywność silniej decyduje o sukcesie lub porażce niż kreatywna księgowość.

86 **Niech znów ruszą maszyny. Zarys programu reindustrializacji Polski**

MARCIN MALINOWSKI

Można natomiast określić realistyczne cele - co Polska powinna osiągnąć za 5, 10 czy 20 lat - i zależnie od nich definiować właściwe instrumenty działania. Na przykład za pomocą, o zgrozo, planów 5-letnich - jak robią to choćby Chiny. Nie chodzi tu o demonizowane praktyki rodem z PRL, lecz o wyznaczenie założeń i celów, które co kilka lat podlegają ewaluacji i ewentualnej korekcie - to normalna praktyka w nowoczesnym *policy making*. Nie chodzi również o promowanie firm Polaków - priorytetem powinno być tworzenie lepszych miejsc pracy w Polsce. W tym celu potrzebujemy zmiany struktury przemysłu z gorszej, mniej dochodowej i tworzącej nisko płatne miejsca pracy na lepszą i nowocześniejszą. Taki proces zwiększy zamożność Polski i jej stabilność w szybko globalizującej się gospodarce.

96 **Islam i socjaldemokraci: integracja europejskich mniejszości muzułmańskich**

JONATHAN LAURENCE

Jeśli tożsamość religijna muzułmanów nie spotka się z akceptacją lewicy, to muzułmanie, dla których praktykowanie islamu jest istotną częścią życia, spróbują sobie znaleźć bardziej tolerancyjną przestrzeń w innym miejscu, wycofując się z szerszej europejskiej wspólnoty lub tworząc nowe partie oparte na swojej tożsamości. Gdy lewica „obstawia przeciwko Bogu", jak ujął to włoski intelektualista Giancarlo Bosetti, sprowadza wszystko do walki o wpływy między świeckim państwem a władzami religijnymi i rezygnuje z potencjalnych sojuszy ze społecznościami wierzących, z którymi dzieli wspólne postawy w sprawach moralnych, gospodarczych i społecznych.

REDAKCJA
Remigiusz Okraska (redaktor naczelny), Michał Sobczyk

WSPARCIE REDAKCJI W NR. 65
Agnieszka Stępniarek, Piotr Świderek, Magdalena Warszawa, Michał Wójtowski, Aleksandra Zarzeczańska

STALI WSPÓŁPRACOWNICY
Rafał Bakalarczyk, Mateusz Batelt, Joanna Duda-Gwiazda, Bartłomiej Grubich, Jarosław Górski, dr hab. Rafał Łętocha, dr hab. Sebastian Maćkowski, Konrad Malec, Krzysztof Mroczkowski, Bartosz Oszczepalski, Marceli Sommer, Szymon Surmacz, dr Joanna Szalacha-Jarmużek, dr hab. Jarosław Tomasiewicz, Karol Trammer, Piotr Wójcik

RADA HONOROWA
dr hab. Ryszard Bugaj, Jadwiga Chmielowska, prof. Mieczysław Chorąży, Piotr Ciompa, prof. Leszek Gilejko, Andrzej Gwiazda, dr Zbigniew Hałat, Grzegorz Ilka, Bogusław Kaczmarek, Jan Koziar, Marek Kryda, Bernard Margueritte, Mariusz Muskat, dr hab. Włodzimierz Pańków, dr Adam Piechowski, Zofia Romaszewska, dr Zbigniew Romaszewski, dr Adam Sandauer, dr hab. Paweł Soroka, prof. Jacek Tittenbrun, Krzysztof Wyszkowski, Marian Zagórny, Jerzy Zalewski, dr Andrzej Zybała, dr hab. Andrzej Zybertowicz

NOWY OBYWATEL
ul. Piotrkowska 5, 90-406 Łódź, tel./fax 42 630 22 18
propozycje tekstów: redakcja@nowyobywatel.pl
reklama, kolportaż: biuro@nowyobywatel.pl
nowyobywatel.pl

ISSN 2082-7644
NAKŁAD 1100 szt.

WYDAWCA
Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom”
ul. Piotrkowska 5, 90-406 Łódź
Redakcja zastrzega sobie prawo skracania, zmian stylistycznych i opatrywania nowymi tytułami materiałów nadesłanych do druku. Materiałów niezamówionych nie zwracamy. Nie wszystkie publikowane teksty odzwierciedlają poglądy redakcji i stałych współpracowników. Przedruk materiałów z „Nowego Obywatela” dozwolony wyłącznie po uzyskaniu pisemnej zgody redakcji, a także pod warunkiem umieszczenia pod danym artykułem informacji, że jest on przedrukiem z kwartalnika „Nowy Obywatel” (z podaniem konkretnego numeru pisma), zamieszczenia adresu naszej strony internetowej (nowyobywatel.pl) oraz przesłania na adres redakcji 2 egz. gazety z przedrukowanym tekstem.

SPRZEDAŻ
„Nowy Obywatel” jest dostępny w prenumeracie zwykłej i elektronicznej (nowyobywatel.pl/prenumerata), można go również kupić w sieciach salonów prasowych Empik i RUCH oraz w sprzedaży wysyłkowej.

SKŁAD, OPRACOWANIE GRAFICZNE
kooperatywa.org

OKŁADKA
Maria Apoleika, mariaapoleika.tumblr.com

DRUK I OPRAWA
Drukarnia READ ME w Łodzi
92-403 Łódź, Olechowska 83

SPIS TREŚCI

104 **Proletariusze Syjonu. Burzliwa historia socjalistycznego syjonizmu**

DR HAB. JAROSŁAW TOMASIEWICZ

Łączyło je przekonanie, że *zupełne wyzwolenie narodu żydowskiego osiągnąć można tylko po upadku ustroju kapitalistycznego*. Twierdziły, iż *nikt nie jest tak zainteresowany w rewolucji jak my, ciemiężeni wśród ciemiężonych*. Zarazem krytykowały nieżydowskich marksistów za ignorowanie żądań Żydów, głosząc: *Żydowski robotnik nie mógł się* [...] *w żadnym wypadku wyrzec swoich żądań narodowych, ponieważ byłoby to czynem samobójczym*.

114 **Buntownik nie bez powodu: Bob Santamaria**

DR HAB. RAFAŁ ŁĘTOCHA

Australijski myśliciel uważał, że państwo winno ogrywać kluczową rolę w dziedzinie regulacji płac i cen. Wspierał też nacjonalizację banków, podkreślając, że *wprowadzenie należytych standardów płacowych w Australii* jest niemożliwe, dopóki kontrola kredytu będzie spoczywać *w prywatnych rękach, zainteresowanych jedynie własnym zyskiem*. Postulował więc państwo jako aktywnego gracza w życiu społeczno-gospodarczym, który powinien nie tylko regulować rynek i chronić słabszych jego uczestników, ale i inicjować określone przedsięwzięcia gospodarcze.

122 **Przebudźmy się!?** RECENZJA

ALEKSANDRA BILEWICZ

Gdyby Leder był konsekwentny w swojej krytyce społecznych aspektów transformacji, musiałby uznać, że samo stworzenie społeczeństwa „klasy średniej”, bez solidarności i troski o tych, którzy nie „załapali się” na awans społeczny, nie wystarczy. Być może rzeczywiście trzeba się przebudzić, ale z innego snu - snu o naśladowczej modernizacji, o konieczności kształtowania społeczeństwa na wzór modelu, który poniósł porażkę.

130 **Alternatywa na pewno istnieje** RECENZJA

KRZYSZTOF MROCZKO

Jednym z podstawowych problemów jest według Kowalika myślenie o ekonomii jako nauce ścisłej, opartej tylko na liczbach i niewzruszonych prawach. Ekonomia była tymczasem, jest i być musi nauką społeczną. A skoro ludzki dobrostan zależy nie tylko od stanu portfela, należałoby rozpatrywać globalną gospodarkę w szerszym i bardziej złożonym wymiarze. Tymczasem niemal każdego dnia czytamy lub słyszymy powtarzane niczym mantra wywody o „optymalizacji kosztów", „konieczności cięć", „kapitale ludzkim" itp. W języku, a zapewne i w umysłach sporej części naszych ekspertów ds. ekonomii istota ludzka zredukowana zostaje do zapisu księgowego.

136 **Etos w czasach zarazy rynkowej** RECENZJA

JOANNA JURKIEWICZ, PRZEMYSŁAW WEWIÓR

W czerwcu 2014 r. przyjechał z wykładem do Warszawy, aby postawić młodym Polakom pytanie o rolę rynku w naszym życiu. Spotkanie wpisało się w atmosferę rocznicową i stało się podsumowaniem transformacji mentalnej, która dokonała się w polskim społeczeństwie w ostatnich 25 latach. Podczas wykładu zapytał, czy sprawiedliwe i moralne jest, by po nawałnicy śnieżnej, gdy domy i drogi są całkowicie zasypane, sklep podniósł cenę łopaty do odśnieżania o 100 dolarów. Zdecydowana większość sali udzieliła odpowiedzi twierdzącej (poprzez podniesienie rąk), a tylko pojedyncze osoby nie zgodziły się, że windowanie cen w takiej sytuacji jest słuszne. Profesor odpowiedział, że podobny rozkład głosów otrzymał tylko w... Szanghaju.

Nic śmiesznego
© Piotr Świderek
rysunki.me

Nau(cz)ki zza oceanu

z prof. Davidem Ostem
rozmawia Marceli Sommer

- Interesujesz się Polską i obserwujesz tutejszą rzeczywistość od ponad trzech dekad. Zwykle wypowiadasz się jednak na tematy związane z tematyką twoich książek: historią „Solidarności" i jej uwikłaniem w przemiany ustrojowe i gospodarcze. Dlatego w tej rozmowie będę chciał poruszyć inne wątki z twoich polsko-amerykańskich doświadczeń. Na początek: dlaczego zainteresowałeś się Polską i naszą częścią świata?

- **David Ost:** Zaczęło się, gdy jako 10-letni chłopiec poszedłem z rodzicami na pochód przeciwko wojnie w Wietnamie i usłyszałem od kontrdemonstrantów okrzyki: „Wracajcie do Rosji!", „Better dead than red!". Szybko zrozumiałem, że aby powiedzieć coś krytycznego na temat amerykańskiej rzeczywistości, trzeba umieć obronić się przed zarzutem, iż jest się zwolennikiem ZSRR, a w tym celu wypada po prostu znać rzeczywistość „bloku wschodniego". Zacząłem uczyć się rosyjskiego w szkole średniej, a jako student trafiłem najpierw latem 1973 r. do Leningradu, a dwa lata później na cały semestr do Moskwy. Interesowałem się tamtejszą opozycją, bo jako młodociany buntownik, raczej trockista, byłem przeciwnikiem zarówno kapitalizmu, jak i komunizmu w wersji radzieckiej. Ale w tamtym czasie w Rosji opozycja praktycznie nie istniała. Do Polski trafiłem po raz pierwszy w styczniu 1976 r., jeszcze przed Radomiem, bezpośrednio z Moskwy. Już wtedy poczułem, że atmosfera jest tu zupełnie inna niż w Rosji, ludzie są mniej zastraszeni, swobodniej mówią i myślą o polityce. Wróciłem rok później, już po powstaniu KOR-u, i postanowiłem, że wrócę do Polski na studia doktoranckie. I tak znalazłem się tam w 1981 r. Zachłysnąłem się „Solidarnością", bo to było to, czego szukałem - źródło inspiracji do walki z patologiami obu systemów władzy i pokaz autentycznej, oddolnej, robotniczej demokracji.

Po tym doświadczeniu nie mogłem sobie jako socjolog „odpuścić" Polski czy przestać ją obserwować. Niestety, to, co widziałem w kolejnych latach, skłaniało mnie raczej do krytyki przemian, za które „Solidarność" współodpowiadała.

- A jak postrzegasz Polskę ostatnich lat, tę jeszcze przez siebie nieopisaną? Co cię w niej najbardziej dziwi, co cieszy, a co martwi?

- W Polsce zaszły zarówno pozytywne, jak i negatywne zmiany. Jedną z rzeczy, które mnie cieszą, jest to, że mówi się o kapitalizmie, że ludzie używają tego słowa. Nie mówi się, jak dawniej,

© cursedthing, flickr.com/photos/cursedthing/457038059

Nick Harris, flickr.com/photos/nickharris1/5541400143

wyłącznie o „budowie demokracji". Kiedy przyjeżdżałem do Polski we wczesnych latach 90. i na różnych spotkaniach zwracałem uwagę, że budujecie również kapitalizm, ta - wydawałoby się - oczywista teza, traktowana była jak coś niezwykle kontrowersyjnego i obrazoburczego. Definiowanie w taki sposób przemian gospodarczych było, zwłaszcza przez ludzi „Solidarności", negowane albo przedstawiane w kategoriach „przywracania normalności". „Normalność" w ogóle była jednym z kluczowych pojęć tamtych czasów, eufemizmem, który odwracał uwagę od dzikiej, niezrównoważonej formy gospodarki rynkowej, jaką wprowadzano pod jej pretekstem. W słowniku budowniczych III RP nie było miejsca na kapitalizm - on był dla nich po prostu jednym z nieodzownych elementów ustroju demokratycznego. Z tym zjawiskiem próbowałem walczyć w swojej pierwszej książce wydanej w Polsce, czyli „Klęsce »Solidarności«". Pokazywałem, że system zaprowadzony w Polsce po 1989 r. jest systemem kapitalistycznym i ma to, a raczej powinno mieć, konsekwencje polityczne. Że nowe reguły gospodarcze przełożyły się szybko na powstanie nowych interesów i podziałów klasowych.

W zeszłym roku odwiedziłem siedzibę Komisji Krajowej „Solidarności" w Gdańsku. Nie byłem tam od czasów Krzaklewskiego. Wszedłem do jednego z biur i stanąłem oniemiały, bo nigdzie nie było portretów papieży, na ścianie wisiał natomiast portret Karola Marksa! Wynika to chyba stąd, że ludzie „Solidarności" zintegrowali się z europejskimi strukturami związkowymi, zobaczyli, że wielu spośród ich sprzymierzeńców na Zachodzie odnosi się do Marksa z aprobatą, i zrozumieli, że wynika ona z tego, iż Marks krytykował kapitalizm, czyli system, z którym mają do czynienia tu i teraz. Po odejściu Krzaklewskiego „Solidarność" przestała krytykować samych tylko „lewaków" i „liberałów" i zrozumiała, że także prywatny kapitał jest dla nich przeciwnikiem. Piotr Ostrowski, socjolog i związkowiec związany z Konfederacją Pracy, mówił mi, że na zjeździe Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych w Brukseli był świadkiem ciekawej rozmowy działacza „Solidarności" ze związkowcem amerykańskim. Amerykanin mówił, że ma ogromny podziw dla Wałęsy, a solidarnościowiec na to, że dzień wcześniej Wałęsa brał udział w uroczystości odsłonięcia pomnika Ronalda Reagana w Gdańsku. Amerykański związkowiec nie mógł w to uwierzyć, był wściekły. Tego typu interakcje i ideowo-symboliczne dysonanse poznawcze czegoś polskich związkowców nauczyły. Doprowadziły do wzmocnienia świadomości politycznej i klasowej. Oczywiście „Solidarność" posiada w tych kwestiach pewną przewagę nad innymi związkami - może być bardzo radykalna, może nawet zawiesić na eksponowanym miejscu portret

Marksa, a i tak nikt nie oskarży ich o marksizm czy socjalizm.

- **Przypomniała mi się sprawa listu, który „Solidarność" wystosowała do Wałęsy, odcinając się od poparcia, jakiego były prezydent udzielił Mittowi Romneyowi. Związek w tym stanowisku wyraźnie odwołał się do myślenia w kategoriach międzynarodowej solidarności pracowniczej. A mogło się wydawać, że tak rozumiany internacjonalizm w Polsce jest już dawno „spalony", szczególnie właśnie w „Solidarności".**
- Pojawiła się świadomość funkcjonowania w systemie kapitalistycznym wraz z jego specyficznymi regułami. A skoro mamy kapitalizm, to związki zawodowe, szczególnie w kraju, w którym znaczna część gospodarki opanowana jest przez podmioty zagraniczne, potrzebują współpracy z organizacjami pracowniczymi z innych państw. Wydaje mi się, że w Polsce dopiero w ostatnich latach pojawia się „normalność" - w tym sensie, że konflikt polityczny nie kręci się już tylko wokół problematyki światopoglądowej, że pojawiają się nowe podziały związane z realnymi interesami klasowymi, a w niektórych przypadkach biorą one górę nad sporami tożsamościowymi. Przykładem może być tu współpraca, jaką nawiązały ze sobą trzy największe centrale związkowe, do tej pory poróżnione o sprawy historyczne. Można odnieść wrażenie, że polski ruch związkowy musiał stać się słaby, żeby odbić się od dna i dojść do odpowiednich wniosków.

- **W ostatnich latach można odnieść wrażenie, że w polskie związki zawodowe wstąpiło nowe życie...**
- To prawda, ale trzeba to zjawisko widzieć w całościowym kontekście. Polityka poszczególnych central stała się bardziej „bojowa", ale ma to miejsce w momencie, gdy deindustrializacja Polski w ogromnej mierze już się dokonała. Pod względem bazy społecznej ruch związkowy jest dziś niestety słabszy niż w latach 90. Najliczniejsza i najbardziej radykalna wówczas grupa członków związków - robotnicy niewykwalifikowani - wylądowała na bezrobociu i musiała szukać pracy w sektorach nieuzwiązkowionych: handlu, usługach, małych i średnich przedsiębiorstwach itp. Dzisiejsze związki stają się bardziej radykalne, bo nie mają już wiele do stracenia.

- **Z drugiej strony mamy jednak działania największych central związkowych, aby tę bazę społeczną poszerzyć, przede wszystkim poprzez ekspansję i stopniowe uzwiązkawianie tych nowych sieci handlowo-usługowych. Ich dopełnienie stanowią z jednej strony masowe protesty, np. w sprawie reformy emerytalnej, a z drugiej ofensywa na polu wizerunkowym. Związki starają się pokazać jako bojowe, gotowe do zdecydowanej walki, ale i konstruktywne, kompetentne, zdolne do uczestnictwa w debacie nad przyszłością kraju (np. poprzez organizowanie przemyślanych kampanii medialnych czy zgłaszanie inicjatyw ustawodawczych).**
- Zdarzają się wartościowe inicjatywy, a nawet pojedyncze zwycięstwa, zgoda. Ale nadal, podobnie jak w USA, rozwój, o którym mówisz, nie daje szans nawet na zbliżenie się do dawnej siły. Już w zeszłym roku z moich rozmów ze związkowcami wynikało, że ostatecznie projekty ekspansji są zarzucane i liderzy skłaniają się do stawiania na nadal najsilniejszy segment robotniczych niedobitków. Chociaż, z drugiej strony, muszę przyznać, że działania na rzecz praw związkowych i socjalnych ludzi zatrudnianych na umowach śmieciowych, protesty przeciwko reformie emerytalnej czy projekty ustaw to są ważne gesty, bo pokazują, że związkom chodzi o coś więcej niż obrona partykularnych interesów pracowników tej czy innej uzwiązkowionej branży, że są gotowe sformułować wizję, która dotyczy całego społeczeństwa, i o nią walczyć. Ważny jest fakt, że do związków przychodzi trochę ludzi z młodego pokolenia, nieuwikłanych w historyczne spory.

- **„Solidarność" w ostatnich latach jest związkiem pod wieloma względami najbardziej bojowym,**

David Ost (ur. 1955) - profesor politologii w Hobart and William Smith Colleges w stanie Nowy Jork; często wykłada także w Polsce. Autor wielu artykułów i książek o przemianach w Europie Wschodniej, m.in. „Klęska »Solidarności«. Gniew i polityka w postkomunistycznej Europie" (2007 r.) i „Workers After Workers' States" (2001). Jego pierwsza książka o „Solidarności", z roku 1990, „Solidarność i polityka antypolityki", ukazała się po polsku w 2014 r. W roku 2005 odznaczony Medalem 25-lecia „Solidarności". Obecnie przygotowuje do druku numer specjalny pisma „East European Politics and Societies" pod tytułem „Klasa po komunizmie". Członek redakcji „Politics and Society", „East European Politics and Societies", „Studia Socjologiczne", „Polish Sociological Review" i „Warsaw Forum of Economic Sociology". Kontakt: ost@hws.edu.

radykalnym, ale też widocznym, rozpoznawalnym, mającym zdolność mobilizowania społeczeństwa. Czyżby zasób historyczny i symboliczny, który mógł wydawać się już martwy, a przynajmniej mocno uśpiony, związany z „Solidarnością" lat 1980–81 z jednej strony oraz z tradycyjną czy wręcz bogoojczyźnianą oprawą kulturowo-obyczajową z drugiej, nadal był ważnym źródłem wspólnotowych więzi i postaw, które dają pewną siłę do walki z silniejszym przeciwnikiem – władzą czy kapitałem?

– Oczywiście, wspólnota kulturowa jest zawsze ważnym zasobem. To, czego jeszcze nie wiemy, to czy „Solidarność" byłaby równie radykalna, gdyby u władzy było Prawo i Sprawiedliwość.

– A jak wygląda – w perspektywie historycznej – kwestia relacji między ruchem związkowym a polityką w Stanach Zjednoczonych?

– W USA nie było nigdy katolickich czy chrześcijańskich związków zawodowych. Amerykańskie związki nie były też zbytnio lewicowe. Bardzo długo były one natomiast niemal wyłącznie białe. Podział rasowy przecinał się i przenikał z klasowym. Zaczęło się to zmieniać – relatywnie, bo w niektórych sektorach kwestia rasowa jest aktualna do dziś – dopiero od momentu powstania Kongresu Przemysłowych Związków Zawodowych (CIO) w latach 30. Postawił on sobie za cel zorganizowanie i reprezentowanie robotników niewykwalifikowanych pracujących w największych fabrykach i stanowił wyraźną przeciwwagę dla największej dotąd organizacji, Amerykańskiej Federacji Pracy (AFL), która zrzeszała głównie rzemieślników i robotników wykwalifikowanych. Dopiero wówczas zaczęła się ekspansja związków zawodowych w przemyśle samochodowym czy stalowym, gdzie pracowali głównie imigranci i Afroamerykanie. Wcześniej dominujący model, realizowany przez AFL, opierał się na pewnego rodzaju grupowym egoizmie. Było to skuteczne, jeśli chodzi o poprawę warunków w poszczególnych, silnie uzwiązkowionych (a przy okazji niemal wyłącznie białych) branżach i przedsiębiorstwach. Ale AFL nie interesowało reprezentowanie robotników jako klasy ani walka o propracownicze rozwiązania na poziomie państwa. AFL nie miała zresztą na poziomie deklaratywnym żadnej ideologii, żadnego projektu politycznego. Z doświadczeń ich i ich poprzedników wynikało po prostu, że polityczne zaangażowanie nic związkom zawodowym nie daje. W poszczególnych stanach wprowadzano regulacje prawne korzystne dla związków, ale następnie były one podważane przez sądy, które stwierdzały, że ich działalność jest niezgodna z konstytucją. Państwo wydawało się więc ówczesnemu ruchowi związkowemu bezużyteczne – nie wierzono, że może ono

© John Perivolaris, flickr.com/photos/dr_john2005/73888274

stać się adwokatem czy gwarantem praw pracowniczych. Było za to postrzegane jako obrońca interesów przedsiębiorców i nieskrępowanego wolnego handlu. Jedyną liczącą się bronią była siła przetargowa zjednoczonych, świadomych swoich interesów robotników wykwalifikowanych, których nie da się ot tak wyrzucić z pracy i łatwo zastąpić. Ta „warstwa" robotników stawiała więc żądania na poziomie konkretnego zakładu, wobec właściciela firmy – a następnie przeforsowywała je poprzez strajk lub negocjacje. AFL to były związki zawodowe dostosowane do systemu radykalnie wolnorynkowego, działające w myśl jego logiki. Nowa centrala związkowa, CIO, powstała w odpowiedzi na fakt, że coraz liczniejsi robotnicy niewykwalifikowani byli pozbawieni nie tylko reprezentacji, ale też siły przebicia i możliwości działania tymi metodami co związki robotników wykwalifikowanych. Kondycja robotnika niewykwalifikowanego wiąże się bowiem z tym, że każda jednostka jest łatwo zastępowalna. Odpowiedzią na strajk niewykwalifikowanej siły roboczej, jeśli brakuje zabezpieczeń prawnych lub możliwości ich egzekucji, będzie po prostu zwolnienie części lub całości załogi. Ważnym czynnikiem zmiany było też zainteresowanie ruchem związkowym po stronie rozwijającej się lewicy: komunistów, trockistów i socjalistów. Również Roosevelt uznał, że jest to siła na tyle poważna, iż konieczne jest wprowadzenie części robotniczych postulatów – i tak powstał Nowy Ład. Roosevelt stał się jedyną ikoną tych zmian, mimo

że bez połączenia sił ruchu związkowego i lewicy najprawdopodobniej nigdy by do nich nie doszło.

- **Mam wrażenie, że dzisiaj to właśnie Nowy Ład i Roosevelt - a niekoniecznie działalność ówczesnych związków zawodowych - stanowi najważniejszy punkt odniesienia dla liberalnej lewicy amerykańskiej.**
- To niestety prawda, ale rzeczywista walka toczy się wciąż na polu pracowniczym i związkowym. Nawet tak osłabione jak obecnie, stanowią one dla establishmentu realne zagrożenie, są wciąż mniej lub bardziej brutalnie zwalczane. Ruch związkowy był w USA liczącą się siłą aż do czasu Reagana, tej ikony neoliberalizmu (który sam był swego czasu związkowcem). Dopiero za jego prezydentury prawica przypuściła na związki bezpardonowy atak i udało jej się radykalnie ograniczyć siłę zorganizowanych pracowników. Lewicowcy stanowili istotną część ruchu w latach 30. i 40. Podczas wojny związki zawodowe zawiesiły protesty, by w 1946 r. wywołać jedną z największych pod względem liczby uczestników falę strajków w historii. Robotnicy stwierdzili, że skoro już wygraliśmy wojnę, to teraz czas na nas, na nasze zwycięstwo. W odpowiedzi Republikanie w 1947 r. wprowadzili ustawę Tafta-Hartleya, ograniczającą prawa związkowe. Mniej więcej w tym samym czasie doszło do eskalacji nastrojów antykomunistycznych, które zapoczątkowały okres makkartyzmu. Czystki personalne dotknęły wówczas także lewicowców działających w związkach zawodowych. Ograniczenie praw związkowych i jednoczesne pozbycie się z organizacji pracowniczych ludzi ideowych wiązało się niestety z bardzo poważnymi skutkami ubocznymi. Jeśli ruch związkowy ma w Stanach od lat złą reputację, jeśli pewne jego segmenty opanowała zorganizowana przestępczość, to wynika to w istotnej mierze właśnie z wydarzeń przełomu lat 40. i 50. Doświadczenia tamtego czasu i trwałe przemiany, jakim uległ wówczas ruch robotniczy, spowodowały też, że rodząca się około dekadę później „nowa lewica" nie czuła się już z nim związana i nie widziała perspektyw we współpracy ze związkowcami.

- **Do czasu tych przemian poziom uzwiązkowienia w USA był wysoki?**
- Szczyt liczebności związków przypadł na lata 50., kiedy należało do nich 35 proc. zatrudnionych - czyli dość dużo, zwłaszcza jeśli uwzględnić fakt, iż prawo amerykańskie nie przyznawało praw związkowych wielu grupom robotników, np. pracownikom najemnym na wsi (warto dodać, że dzisiejszy poziom uzwiązkowienia wynosi ok. 12 proc., mniej więcej tyle co w Polsce). W końcu, mimo ciosu w prawa związkowe, lata 50. były w Stanach apogeum fordyzmu i okresem rozwoju instytucji państwa dobrobytu. Wielkie amerykańskie przedsiębiorstwa funkcjonowały *de facto* na prawach monopolu, poza jakąkolwiek konkurencją. Konkurencja pojawiła się dopiero w latach 60.-70. Do tego czasu panowało przymierze między przedsiębiorcami a związkami oczyszczonymi z „ideologów" i radykałów. Właściciele firm starali się oferować robotnikom dobre warunki w zamian za spokój w zakładzie, gaszenie nastrojów strajkowych itp. W latach 70., pod wpływem nowej lewicy, pojawili się nowi związkowcy, bardziej nastawieni na demokratyzację zakładów. W owym czasie, około połowy lat 70., pracowałem w Nowym Jorku jako taksówkarz i byłem członkiem związków zawodowych. W 1976 r. pojawił się nawet ruch pod nazwą „Taxi Drivers for Democracy". To był już czas, kiedy związki przestawały spełniać nawet swoje najbardziej podstawowe zadania - nasze kontrakty były coraz gorsze. A na zebraniach delegatów naszego związku, gdy ktoś bez wcześniejszego uzgodnienia zgłaszał się do głosu, nasyłano na niego zbirów i usuwano z sali obrad.

- **A jakie były relacje między związkami zawodowymi a partyjnym duopolem Demokratów i Republikanów?**
- Relacje były, ale nieformalne. Ruch pracowniczy kształtował się w latach 30. niezależnie od administracji Roosevelta, jednak Demokraci go z czasem „przejęli". Robotnicy zakochali się w Roosevelcie. Partia Demokratyczna zdawała sobie w związku z tym sprawę, że robotnicy stanowią istotny segment elektoratu. Jednocześnie do lat 60.-70. ważną częścią

bazy społecznej Demokratów byli biali mieszkańcy rolniczego południa. Dzisiaj często o tym zapominamy, ale do niedawna podział polityczny w kwestiach rasowych i zaplecza społeczne poszczególnych partii wyglądały zupełnie inaczej niż obecnie. Demokraci byli związani z farmerskim Południem, a Abraham Lincoln był przecież Republikaninem. Jeszcze ustawy Nowego Ładu napisane były tak, żeby nie obejmowały robotników nieprzemysłowych z południowych stanów - czyli pracowników rolnych, służby domowej itp., w przytłaczającej większości czarnych. Działać w związkach zawodowych mogli natomiast Afroamerykanie z Północy, którzy zatrudniali się np. w zakładach Forda. To był czas pewnej schizofrenii Partii Demokratycznej, bo zupełnie inną politykę prowadziła ona na Północy, a inną na Południu. Jej tożsamość w kwestiach rasowych domknęła się w latach 60., wraz z rozwojem ruchu na rzecz równouprawnienia rasowego i praw obywatelskich. Zacieśniły się wtedy również kontakty Demokratów z ruchem związkowym. Związki wówczas były jeszcze silne, ale zarazem „konserwatywne", „oczyszczone" z lewicowych aktywistów. Kiedy młode pokolenie, zaangażowane w ruchy emancypacyjne i kontrkulturowe, wystąpiło przeciwko wojnie w Wietnamie, związkowcy bronili władzy. To była prawdziwa mentalnościowa przepaść. Konflikt między nową lewicą a patriotycznie nastawionym ruchem związkowym trwał aż do 1995 r., kiedy to przewodniczącym centrali AFL-CIO został John Sweeney. Niestety, w tym czasie było już za późno, żeby sojusz lewicowo-związkowy mógł dokonać cudów - obie strony były wykończone ofensywą neoliberalizmu spod znaku Reagana i jego następców. W ruchu związkowym względną siłę przebicia zachowały tylko poszczególne sektory i przedsiębiorstwa, np. tradycyjnie mocno uzwiązkowiony przemysł samochodowy. Jednak nawet ten przyczółek został zlikwidowany w ramach „ratowania" fabryk po kryzysie 2008 r.; utracono niemal wszelkie zdobycze wywalczone przez lata. W ostatnich 10-20 latach główną bazą rozwojową związków stali się pracownicy sektorów „nietradycyjnych", zdominowanych często przez kobiety i imigrantów, np. pracownicy hotelowi czy ochroniarze. Względną siłę przebicia zachowują związki pracowników sektora publicznego, z czego najliczniejszą grupę stanowią nauczyciele. Jeśli chodzi o współpracę czy sojusze z innymi partiami, to były to raczej zjawiska marginalne, ograniczone do lokalnych przypadków. W stanie Minnesota przez kilkadziesiąt lat prężnie działała klasyczna partia lewicowa - Minnesota Farmer-Labor Party, ale nie udało się tego modelu upowszechnić. Współpraca ruchu związkowego z Republikanami nie wykraczała nigdy poza pojedyncze incydenty.

- **Słabości związków zawodowych, podobnie jak słabości społecznej lewicy - czy to w USA, czy w Polsce - nie da się jednak sprowadzić do tożsamości ideowej, do nadmiernie bojowej bądź ugodowej polityki tej czy innej centrali i do zdolności nawiązywania przez nie taktycznych sojuszy...**
- Podstawową przyczyną słabości ruchu związkowego jest deindustrializacja gospodarek oraz towarzysząca globalizacji ucieczka przemysłu na peryferie, gdzie można korzystać z taniej siły roboczej. Usługi publiczne - w Stanach mało rozbudowane - stanowią dziś ostatni bastion związków zawodowych. Za prezydentury Reagana rozpoczął się proces eliminacji związków z sektora prywatnego. Wyglądało to tak, że w pewnym momencie przemysłowcy przestawali negocjować ze stroną pracowniczą, pozwalali na wybuchanie strajków, a następnie łamali je za pomocą masowych zwolnień. Stopniowo udało im się sterroryzować załogi i „oczyścić sobie pole". W ostatnich latach arena antyzwiązkowej kampanii przeniosła się do sektora publicznego, a jej głównym narzędziem stało się podburzanie większości pozbawionej instrumentów walki o swoje prawa w miejscu pracy przeciwko „przywilejom" pracowników szkół i innych instytucji państwowych. Niestety ta filozofia „równania w dół" okazuje się dość skuteczna. Dwa lata temu w stanie Wisconsin tamtejszy gubernator, republikanin, który jest często typowany jako kandydat do prezydentury, zerwał umowę ze związkowcami sektora publicznego, ograniczając ich prawo do nawiązywania układów zbiorowych oraz odbierając im finansowanie z automatycznie pobieranych składek pracowniczych. Jego działania wywołały co prawda wielką falę protestów i doprowadziły do rozpisania przedterminowych wyborów, jednak ostatecznie gubernator wygrał reelekcję i zachował swoje stanowisko.

  W ostatnich latach związkom zawodowym udało się wprawdzie przyciągnąć młodych pracowników sektora publicznego, mają coraz więcej członków, ale nie przekłada się to na wyraźną poprawę warunków ich zatrudnienia. A tam, gdzie związki są skuteczne, wykorzystuje się to przeciwko nim, jako argument na rzecz tezy, że związkowcy posiadają nieuprawnione przywileje. Mało komu przychodzi do głowy, że zamiast obwiniać związkowców za te „przywileje", lepiej samemu założyć związek i wywalczyć sobie takie same. Wynika to ze wspomnianej już złej prasy, która jest do pewnego stopnia zasłużona, a częściowo także z faktu, że - podobnie jak w Polsce po 1989 r. - wobec wieloletniej nagonki ze strony polityków i ludzi biznesu - ruch związkowy był osamotniony, nie znalazł prawie żadnych adwokatów np. w środowiskach intelektualnych. To wynikało z uwarunkowań strukturalnych, z faktu, że w realnym socjalizmie państwo było pracodawcą

zarówno robotnika, jak i intelektualisty. Sprzyjało to wytworzeniu się wspólnej, pracowniczej tożsamości. Po 1989 r. bardzo szybko wraz ze strukturą gospodarczą zmieniały się w Polsce tożsamości. Niedawni „wielcy związkowcy" przestawali myśleć o sobie jako o części ruchu pracowniczego. W USA takim przełomowym momentem był okres lat 50. Wyrzuceni ze związków lewicowi intelektualiści oddalali się od nich także w sensie modelu życia, idei i politycznych priorytetów. Ruch pracowniczy jawił im się jako coraz bardziej konserwatywny i egoistyczny.

- **Innymi słowy dla nowej lewicy i związanych z nią ruchów kontrkulturowych lat 60. i 70. robotnik przestał być „sexy"?**
- Z tym było różnie. Nowa lewica rodziła się w latach 60. jako ruch przede wszystkim studencki. Ich główne postulaty dotyczyły demokratyzacji życia społecznego (w tym uniwersytetów), walki z rasizmem i praw obywatelskich. Kolejnym istotnym składnikiem jej tożsamości był sprzeciw wobec wojny w Wietnamie. Związki zawodowe były w tym okresie blisko związane z Partią Demokratyczną, więc z perspektywy ruchów studenckich podejrzane. I rzeczywiście polityczne oblicze związków po czystkach lat 50. było niecieka-we. Stały one bardzo daleko od rozkwitających wówczas ruchów walczących o prawa obywatelskie, były uwikłane w konserwatywną politykę rasową wobec Południa i zimnowojenną propagandę Trumana, Kennedy'ego i Johnsona. Mimo to znaczna część nowej lewicy chciała i starała się nawiązywać do tradycji robotniczych. Próbowali zbliżyć się do środowisk związkowych, ale okazywało się to coraz trudniejsze. Potem pojawili się młodzi, w znacznej mierze apolityczni ludzie, którzy masowo „zapisali się" do kontrkultury lat 60. - dla nich to już były po prostu sprawy nieistotne. Trzeba także dodać, że był to wciąż jeszcze czas, kiedy stosunkowo łatwo było znaleźć pracę w fabryce. We wczesnych latach 70. spora fala kontrkulturowej młodzieży trafiła do fabryk, a przez nie - do ruchu związkowego. Wielu z nich było mocno lewicowych i chciało walczyć ze związkowym betonem o bardziej demokratyczne i postępowe oblicze swoich organizacji. To wtedy pojawiają się ruchy jak wspominany przeze mnie „Taxi Drivers for Democracy". Ale znaczna część nowolewicowych intelektualistów rzeczywiście stwierdziła po prostu, że związki zawodowe są niepotrzebne, że stanowią siłę w gruncie rzeczy reakcyjną. Najbardziej znanym, a może i najbardziej typowym przypadkiem takiej ewolucji był Herbert Marcuse, który w „Człowieku jednowymiarowym" (z roku 1964) pisał o ruchu związkowym jako części „systemu", z którym lewica siłą rzeczy musi walczyć. Bardzo podobne mechanizmy można było zaobserwować w Polsce lat 90. Z jednej strony postsolidarnościowi intelektualiści

©℗© Matt Shalvatis, flickr.com/photos/mattsh/4925613341

stwierdzali, że robotnicy to „ciemnogród", oszołomy albo po prostu głupki, które nic tylko oglądają sitcomy w telewizji i narzekają. A z drugiej strony związki zawodowe - dotyczy to zarówno „Solidarności", jak i OPZZ-u - faktycznie stawały się wtedy bardziej wsobne, skupione na walce o partykularne interesy oraz zaakceptowały model przemian wytyczony przez elity.

- **Truizmem jest dziś stwierdzenie, że w ciągu ostatnich kilku dekad rozwojowi gospodarczemu towarzyszył drastyczny wzrost poziomu nierówności społecznych. Jak Twoim zdaniem odnalazła się w tej sytuacji amerykańska klasa średnia i intelektualiści? Jak odniosła się do ludzi, którzy się „nie załapali" i zostali przez ten nowy system wypluci na margines? Na mnie np. zawsze robiło wrażenie stosowanie w amerykańskich metropoliach (i nie tylko metropoliach), w trybie niejako neutralnym, określenia „trailer trash", czyli przyczepowe śmieci, w odniesieniu do jednej z najbiedniejszych i najbardziej wykluczonych grup społecznych w Stanach, tzn. ludzi (przeważnie białych), którzy mieszkają na osiedlach przyczep i kontenerów, lokowanych zwykle z dala od miast i jakiejkolwiek infrastruktury społecznej, gdzie ziemia jest najtańsza.**
- Zwroty takie jak „trailer trash" czy „white trash" funkcjonują już od dawna i zostały częściowo zaadaptowane i zneutralizowane przez popkulturę czy literaturę naukową. Ale faktem jest, że poprawność polityczna nowego systemu nie objęła biednych albo objęła ich w niewielkim tylko stopniu.

W latach 50. czy 60. nie mówiło się „white trash", lecz „white working class" albo po prostu „working class". Ta biała klasa robotnicza była zorganizowana w związkach zawodowych i głosowała na Demokratów. A przede wszystkim ludzie ci mieli stałe zatrudnienie, więc nie byli „śmieciami". Wtedy ograniczony dostęp do rynku pracy mieli Afroamerykanie, kobiety czy Latynosi. Pojawił się natomiast ruch na rzecz równouprawnienia rasowego i praw obywatelskich, który walczył m.in. z segregacją i dyskryminacją na rynku pracy. W latach 70. obecność Afroamerykanów w tradycyjnie białych sektorach gospodarki stała się faktem, mocno wzrosła też ich pozycja polityczna. Jednakże w tym samym czasie przemysł zaczął wchodzić w fazę spadkową. Globalizacja nabierała tempa, wojna w Wietnamie była przegrana, a amerykańskie fabryki coraz gorzej radziły sobie ze świeżo upieczonymi konkurentami z krajów rozwijających się, przede wszystkim z Azji Wschodniej. Biali robotnicy po raz pierwszy od lat 30. zaczęli ulegać społecznej degradacji, tracić pracę itp. W „zwijającym się" przemyśle nie było miejsca dla wszystkich i konkurencja o pozostałe miejsca pracy przybrała na sile. Najłatwiejszym psychologicznie wyjaśnieniem sytuacji dla wielu robotników tracących grunt pod nogami okazał się rasizm. Republikanie wyczuli tę koniunkturę - zaczęli odwoływać się do tego resentymentu i udało im się przechwycić znaczną część elektoratu zdegradowanych społecznie pracowników przemysłu. Lewica była wobec tych zjawisk podzielona. W 1968 r. odbył się słynny, przełomowy strajk nowojorskich nauczycieli przeciwko decyzji Rady Edukacji umożliwiającej tworzenie „sąsiedzkich" czy też „społecznych rad szkoły" (*community control boards*), które dawałyby decydujący wpływ na szkołę mieszkańcom danej dzielnicy. Oznaczało to, że na terenach, na których liczebnie dominują czarnoskórzy, mogliby oni wprowadzać członków swojej społeczności do kadry nauczycielskiej. Byłoby to wbrew przywilejom wywalczonym przez związki zawodowe w tej materii. Mój ojciec, zawsze sympatyzujący ze związkami, po raz pierwszy świadomie złamał wtedy strajk. Miał swoje wątpliwości, ale uważał, że sprawiedliwość historyczna wymaga, żeby grupa dotąd wykluczona została dopuszczona do podejmowania najistotniejszych decyzji w sprawach jej dotyczących. W latach 80., 90. i w pierwszej dekadzie XXI w. fabryki już po prostu padają albo przenoszą się do krajów rozwijających się. Weźmy np. Rochester w stanie Nowy Jork, miasto nieopodal którego mieszkam. Jego powstanie i rozwój były ściśle związane z przemysłem, a przede wszystkim z jednym koncernem - Kodak. Kodak dobrze dbał o to miasto - finansował wspaniałą miejską orkiestrę symfoniczną, inwestował w dobre biblioteki itd. Dziś największymi pracodawcami są uniwersytet i szpital. Podobnie wyglądała historia bardzo wielu amerykańskich miast. Znaczna część białych robotników, którzy stracili w tych latach pracę, przeszła na stronę Republikanów. A intelektualiści i klasa średnia, szczególnie z Północy i obu wybrzeży, czują wobec tych ludzi coraz większą wyższość. Nie dlatego, że stracili oni pracę, ale ponieważ za swoje niepowodzenie obwiniają innych, słabszych - czarnoskórych i kobiety, a w dodatku głosują na Republikanów, którzy obiecują powrót dawnych, rasistowsko-patriarchalnych porządków. Skoro tak, to jesteście dla nas nikim, jesteście bezrobotnymi bezwartościowymi śmieciami - tak rozumuje to środowisko. Część lewicy stara się z tym sposobem myślenia walczyć i traktuje osoby piętnowane jako „white trash" czy „trailer trash" w charakterze potencjalnych sojuszników. Kilka lat temu był taki kandydat na prezydenta, a później przez pewien czas przywódca struktur partyjnych Demokratów, Howard Dean. Mówił, że możemy i powinniśmy przekonywać do siebie ludzi, którzy od nas odpłynęli, a w których interesie ekonomicznym działamy.

© Loren Kerns, flickr.com/photos/lorenkerns/845109417

- A jak pod tym względem postrzegasz sytuację w Polsce? Wydaje się, że mechanizmy generowania wykluczenia różnego rodzaju „moherów" bywają podobne. Polska świeżo upieczona klasa średnia często demonizuje chociażby lokatorów miejskich czynszówek, bezdomnych, odbiorców pomocy społecznej czy mieszkańców wsi i mniejszych ośrodków miejskich. Jednym z popularnych uzasadnień dla pogardliwego stosunku wobec wspomnianych grup jest ich domniemany konserwatywny, ksenofobiczny światopogląd.

- To prawda, pisałem o tym zresztą w „Klęsce »Solidarności«". To było fascynujące i przygnębiające zarazem - obserwować, jak szybko środowisko „Gazety Wyborczej" zaczęło mówić bardzo wyższościowym i pogardliwym językiem o tych samych ludziach, których jeszcze przed chwilą wynosiło pod niebiosa, czasem nawet niesłusznie. O ile przed 1989 r. polski lud był dla nich bezgrzeszny, o tyle po 1989 r. całe ogromne rzesze ludzi mogły już tylko grzeszyć. Decydujący był stosunek do ogólnego kierunku reform, wytyczonego przez Plan Balcerowicza. Wraz z procesem rozrastania się klasy średniej tego rodzaju poglądy i emocje zyskiwały na popularności, bo dobrze odpowiadały na potrzebę dystynkcji, jaka często wiąże się z awansem społeczno-kulturowym. Popularność Radia Maryja czy fakt, że znaczna część zdegradowanej materialnie klasy robotniczej głosuje na prawicę, to oczywiście wielkie porażki lewicy. Niestety, radykalne odrzucenie tych ludzi przez liberalno-lewicową inteligencję i momentami uwłaczający język, jaki pojawiał się w mediach, spowodowały, że zaczęli oni szukać bezwarunkowej tożsamościowej afirmacji. A tę potrafiła im dać tylko antyliberalna prawica.

- Widzisz jakiekolwiek szanse na odwrócenie tych procesów?

- Taka nadzieja przyświecała mi, gdy pisałem „Klęskę »Solidarności«". Wtedy wydawało mi się, że sprawa nie jest jeszcze całkiem przegrana. Zanim zaczęliśmy nagrywać rozmowę, mówiłeś o tym, że moja książka zaskakuje, bo krytykuję w niej polskich liberałów, ale przyjmuję ich założenia. Myślę, że stało się tak dlatego, iż tylko w nich widziałem wtedy w Polsce jakikolwiek lewicowy potencjał. Pamiętałem ich przecież jako działaczy związkowych, bardzo prorobotniczych. Ludzie nie poszli wtedy jeszcze do prawicowych partii ani do Radia Maryja. Pisząc „Klęskę »Solidarności«", chciałem zapobiec przesunięciu robotników na prawo. Wydawało się, że w czym jak w czym, ale pod tym względem zgadzamy się ze środowiskiem „Gazety Wyborczej". Dlatego starałem się w niej mówić językiem liberalno-pragmatycznym. Nie chcecie, żeby „lud" stał się „ciemnogrodem"? Możecie temu zapobiec. Ale jeśli chcecie to zrobić, musicie zerwać z Balcerowiczem i zachować się przynajmniej tak jak cyniczni amerykańscy Demokraci, którzy do każdych wyborów idą z hasłami populistycznymi. Populizm czy plebejskość mają w postarystokratycznej Europie złą prasę - w USA zawsze były ważnymi elementami uprawiania polityki. Polscy liberałowie podążyli ścieżką najgorszą z możliwych, destrukcyjną zarówno dla siebie, jak i dla ogółu społeczeństwa. Nie dość, że nie godzili się na pragmatyzm programowy, negocjowany z interesem wielkich grup społecznych, to jeszcze wprowadzili ten „antypopulistyczny" język polityczny, w myśl którego prawdziwe reformy muszą być bolesne i wiązać się z wielkimi wyrzeczeniami - oczywiście nie

dla wszystkich, tylko akurat dla wielkoprzemysłowych robotników, pracowników PGR-ów i innych grup, których interesy predestynowały do popierania polityki z ducha socjaldemokratycznej. A potem dziwili się, że ci ludzie czują się oszukani i z lewicowym liberalizmem nie chcą mieć już nic wspólnego.

– Populizm nie cieszy się poparciem nawet wśród znacznej części polskiej nowej lewicy, która wciąż wciąga na swoje sztandary raczej „dysydentów w rozciągniętych swetrach" niż trybunów ludowych czy choćby socjaldemokratycznych pragmatyków, poszukujących kompromisu pomiędzy partykularnymi interesami grupowymi.

– Staram się, na ile mogę, tłumaczyć to choćby działaczom „Krytyki Politycznej". Możemy oczywiście przyjąć, że odrzucamy demokrację parlamentarną, jako system obarczony wieloma wadami. Wtedy możemy sobie pozwolić na to, żeby nie interesować się przyciągnięciem do siebie robotników czy innych wielkich grup społecznych. Ale dopóki żyjemy w systemie opartym na wyborach powszechnych, dopóty szukanie wspólnego języka z wyborcami jest obowiązkiem każdego podmiotu politycznego.

– Popularna jest też diagnoza, według której upadek przemysłu oznacza koniec klasy robotniczej jako podstawowego punktu odniesienia dla lewicowej polityki i najważniejszej części elektoratu, a kluczem do politycznego sukcesu jest dziś przyciągnięcie do siebie wielkomiejskiej klasy średniej i przekonanie, że poparcie postępowych postulatów leży w jej interesie. Co o tym myślisz i jak byś to odniósł do sytuacji amerykańskiej? Czy i tam tradycyjny elektorat lewicy został przez nią w pewien sposób osierocony?

– Ten proces w USA dokonał się w latach 60. i 70. Podstawowym adresatem nowej lewicy stała się z jednej strony kontrkulturowa młodzież, a z drugiej *professionals*, pracownicy umysłowi z wyższym wykształceniem. Oni nie czuli się pracownikami najemnymi. Do tradycyjnej klasy robotniczej było im daleko. Ale okazało się, że nie są oni w stanie sami wygrywać wyborów. Jakakolwiek lewica ma szanse na odegranie roli politycznej dopiero wtedy, gdy umie zmobilizować i pracowników umysłowych, i tradycyjną klasę robotniczą, pozostającej ważną częścią elektoratu, której interesów, bardzo zagrożonych przez współczesny kapitalizm, po prostu należy bronić. Republikanie za czasów Reagana i Busha wygrywali dzięki przejęciu znacznej części białych robotników, będących dotąd trzonem tradycyjnego elektoratu lewicowego. Demokraci byli zaś podzieleni i niezdolni do podjęcia walki – chcieli oczywiście utrzymać poparcie robotników, ale jednocześnie byli pod presją nowej klasy średniej, która żądała od nich podkreślania kwestii rasowych i światopoglądowych, i od mniejszości rasowych, stających się coraz ważniejszą częścią elektoratu w dużych miastach. Na tym tle zaskakuje zwycięstwo w ostatnich wyborach na burmistrza Nowego Jorku Billa de Blasio, lewicowca ideowego i konsekwentnego. Nie należał on do tych, którzy odrzucili robotników jako nie dość postępowych, ani nie traktował ich protekcjonalnie, tylko szukał z nimi wspólnego języka i zabiegał o ich głosy. Wygrał przygniatającą większością 73 proc. To w najnowszej historii USA absolutny ewenement.

– Czy z perspektywy amerykańskiej sądzisz, że trwający od 2008 r. kryzys finansowy przyniósł lub przyniesie jeszcze jakieś fundamentalne zmiany polityczne? Na ile istotna może być pewna zmiana koniunktury w publicystyce i naukach społecznych, symbolizowana przez nazwiska takie jak Joseph Stiglitz, Paul Krugman, Amartya Sen czy Thomas Piketty, która wydaje się częściowo przenikać także do języka używanego np. przez międzynarodowe instytucje finansowe? A z drugiej strony – jak widzisz rolę i perspektywy rozwoju nowych ruchów społecznych ostatnich lat, takich jak Occupy Wall Street? Czy dostrzegasz szanse na jakieś „życie po życiu" tego efemerycznego zwrotu w stronę oddolnej demokracji?

– Te dwie sprawy są powiązane. OWS nie przeobraziło się w masowy ruch społeczny, ale z całą pewnością przyczyniło się do powstania pewnego fermentu intelektualnego i do zaistnienia w szerszej świadomości kwestii związanych z radykalnym wzrostem nierówności ekonomicznych. Z tego fermentu narodziło się w ostatnich latach np. wiele ważnych i ciekawych czasopism i środowisk intelektualnych, takich jak „Jacobin Magazine", „The Baffler" czy „N+1 Magazine". Te tendencje z kolei na pewno pomogły przebić się do mainstreamu postaciom takim jak Piketty. Do osiągnięć OWS zaliczyłbym też np. fakt, że niecały rok temu prezydent Obama miał pierwsze przemówienie na temat nierówności społecznych, w którym otwarcie opowiedział się m.in. za podniesieniem płacy minimalnej. Mit amerykański niemal od zawsze był przede wszystkim mitem klasy średniej. To nie znaczy, że każdy obywatel musi być zamożny, ale w teorii każdy ma szansę się wzbogacić i każdy ma zapewniony przynajmniej względny dobrobyt. Teraz zaczyna się to zmieniać. Dociera do Amerykanów świadomość tego, że żyją w kraju radykalnie spolaryzowanym. To odbija się już nawet na strukturze gospodarki. Największe pieniądze robi się obecnie nie na klasie średniej, lecz albo na przysłowiowym jednym procencie, czyli na rynku towarów luksusowych dla ludzi obscenicznie

bogatych, albo na biedocie z przyczep i kontenerów. Najistotniejszymi czynnikami dla „zmiany klimatu" były oczywiście bezpośrednie skutki kryzysu takie jak wzrost bezrobocia wśród klasy średniej, gigantyczne pieniądze przekazywane przez rząd bankom i przedsiębiorstwom „zbyt dużym, by upaść" oraz informacje o astronomicznych pensjach kadr kierowniczych tych instytucji. Jednak działania oddolnych inicjatyw takich jak OWS też na pewno miały swoją wagę. Wspomniane już zwycięstwo de Blasio w Nowym Jorku jest również symptomem tego samego procesu. Żeby nie popadać w hurraoptymizm, należy wspomnieć, że według sondaży należy się spodziewać zwycięstwa Republikanów w nadchodzących wyborach do Senatu. I muszę przyznać, że nie do końca to rozumiem. Czy interpretować to jako zwycięstwo mechanizmu opisanego przez Thomasa Franka w książce „Co z tym Kansas"? Innymi słowy - czy nadal działa strategia konserwatywnej mobilizacji milczącej większości „zwykłych, patriotycznych Amerykanów" przeciwko „wyalienowanym liberalnym elitom"? To wyjaśniałoby wiele, ale nie wyjaśnia, dlaczego w dalszym ciągu ci wyborcy akceptują retorykę antyegalitarną, przeciwko podwyższaniu podatków dla najbogatszych czy inwestycjom w usługi publiczne.

Gdy myślisz o tych dwóch punktach odniesienia, amerykańskim i polskim, to czy wydaje ci się, że lewica potrzebuje narodowej symboliki, narodowego odniesienia? Zawsze potrzebuje narodowego odniesienia, bo musi wchodzić w dialog i bronić konkretnego społeczeństwa. Osobną kwestią jest to, jak się ten naród rozumie i definiuje. Jednocześnie, w ramach polityki uprawianej na arenie narodowej, lewica powinna oczywiście kłaść nacisk przede wszystkim na kwestie klasowe, bo odniesienie się do tych podziałów umożliwia budowanie bardziej otwartego i bardziej sprawiedliwego społeczeństwa. Na początku lat 70., jeszcze jako licealista, współpracowałem z lewicowym amerykańskim tygodnikiem „Guardian" (nie mylić z brytyjską gazetą codzienną). Pewnego razu zobaczyłem na jej łamach zdjęcia, na których podpalano amerykańską flagę. Napisałem list - to była zresztą moja pierwsza publikacja - w którym opowiadałem się przeciwko takim działaniom, bo przecież chcemy przekonać ludzi, że interes klasowy robotników jest zarazem amerykańskim interesem narodowym, a więc powinniśmy flagę przejąć, a nie ją niszczyć. I to zdanie podtrzymuję: walka klasowa i walka o postępową treść symboli i mitów narodowych - to jedno.

- Dziękuję za rozmowę. ⚒

Maj 2014, Geneva, NY.

OBYWATELKA ROKU 2014

Od bieżącego roku redakcja „Nowego Obywatela" postanowiła przyznawać coroczną nagrodę „Obywatela/ Obywatelki Roku" dla osób szczególnie zasłużonych z punktu widzenia wartości bliskich etosowi naszego czasopisma. Pierwszą z nagrodzonych osób jest

prof. Leokadia Oręziak

za niezłomne i wytrwałe nagłaśnianie szkodliwości systemu Otwartych Funduszy Emerytalnych.

Dziękujemy i gratulujemy!

Redakcja „Nowego Obywatela"

BANKI I LUDZIE

Reportaż z Barcelony

Angelina Kussy

I

Przyszli z samego rana. Dwóch Mossos d'Esquadra, czyli naszych katalońskich policjantów, i dwóch pracowników socjalnych. Nas nie było wtedy w domu, dzieci zostały z mężem. Otwiera drzwi, a tam oni. Zamknął szybko i zastawił wejście drzwiami z poprzedniego mieszkania, których, jak widzicie, mamy tutaj w przedpokoju sporo.

Krzyczeli coś do siebie, oni i mąż, wyszło kilku sąsiadów. Więc uchylił drzwi i rozmawiał z nimi przez łańcuch. Powiedzieli, że lepiej, aby opuścił dom po dobroci. Że to i tak nieuniknione.

– *Nie, to wy sobie pójdźcie po dobroci. Przekroczcie próg domu, w którym mieszka trójka moich dzieci, a wydłubię wam oczy lub zrzucę was ze schodów. Jest mi wszystko jedno, mam żółte papiery. Jak was zabiję, to nic mi nie zrobią.*

– *W domu są nieletni?*

– *Tak, trójka.*

– *W takim razie nie wchodzimy.*

– *Gdyby to nie była sobota, a dzieci byłyby w szkole, to stracilibyście i mieszkanie babci?* – pytam Irene Sanchéz i spoglądam na zatroskaną twarz jej mamy.

– *Myślę, że tak.*

II

Od początku kryzysu gospodarczego w 2008 r. tylko do końca roku 2012 liczba *desahucios* (eksmitowanych) z powodu zaprzestania spłaty kredytu sięgnęła w Hiszpanii 171 110 osób. Tak mówią statystyki la PAH, czyli Plataforma de Afectados por la Hipoteca – Platformy Poszkodowanych Przez Kredyty Hipoteczne.

El Banco de España (hiszpański bank centralny) wskazuje, że **85 proc. kredytów, które nie zostały spłacone w 2012 r., zaciągnięto w 2007 r. lub wcześniej. Czyli podczas bańki inwestycyjnej na rynku nieruchomości, do której powstania przyczyniła się korupcyjna współpraca na linii władza-banki-deweloperzy. Przeciętna cena mieszkania wzrosła przez nią o 180 proc. w ciągu niespełna dekady.**

Ani rząd, ani organizacje bankowe nie przedstawiają alternatywnych danych, a te przygotowane przez la PAH są zaskakująco niskie, jeśli porównać je ze statystykami Consejo General del Poder Judicial (Rada Generalna Władzy Sądowniczej). Według niej w samym pierwszym kwartale 2012 r. na drodze sądowej doszło do 46 556 *desahucios* – czyli 517 każdego dnia.

W 2013 r. liczba eksmisji wzrosła prawie dwukrotnie.

Pod siedzibą la PAH. Fot. David Castro Caso

III

W mieszkaniu nieopodal alei, w której sprzedaje się kokainę, blisko trasy na lotnisko, a daleko od dzielnic turystycznych Plaça Catalunya, Montjuïc i architektury Gaudiego, rozmawiamy z Irene i Marią. Siedzimy w największym z trzech pokoi, który w Hiszpanii zawsze pełni funkcję salonu. Chociaż cały jest zagracony rzeczami z mieszkania, do którego klucze Irene oddała bankowi, ona i tak ma wrażenie, że nie wzięli ze sobą prawie nic. Najdroższe rzeczy, takie jak meble, pralka i lodówka, musiały zostać. Tutaj nie ma na nie miejsca. Czerwcowy upał jest nie do wytrzymania, więc wszystkie okna są zasłonięte. **W ciemnym pokoju udziela mi się atmosfera strachu: na dzwonek do drzwi włos jeży mi się na głowie i myślę o najgorszym.** Spoglądam na Marię i Irene.

– *To tylko Iker, mój syn, wraca z dworu* – odpowiada jego mama, domyślając się, co przyszło mi do głowy.

– *Można tu palić?* – pytam. Matka i córka roześmiały się głośno, jakby od początku tylko o tym myślały. Żeby zapalić. – *Jasne!* – odpowiada Maria i wyjmuje papierośnicę ze starannie ułożonymi w niej kilkunastoma papierosami. Częstuje.

Maria to kobieta elegancka, lecz smutna, z grymasem bólu na twarzy, jedna z tych, które pięknie się starzeją. Zmarszczki dodają jej uroku. Z papierosem między długimi palcami pogrąża się w rozmyślaniach, patrząc na dym.

Kiedy spodziewała się już spokojnej starości, a życie miała ułożone, nagle okazało się, że ma na głowie kredyt i nowych współlokatorów. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że pracująca córka i dobrze zarabiający zięć mogliby zbankrutować. Dlatego podżyrowała ich pożyczkę.

Irene nie jest fizycznie podobna do matki. Pomimo 36 lat wciąż ma w sobie coś z kumpeli z osiedla, na którą zawsze można liczyć. Seplenienie i lokalny slang dodają jej jeszcze więcej swojskości. Jest wesoła, ale trochę wycofana. Choć szczupła i drobna, sprawia wrażenie silnej kobiety.

– ***Wiesz, o co mnie Iker zapytał, jak mu powiedziałam, że przyjdzie dwójka dziennikarzy porozmawiać z nami i zrobić zdjęcia? „Ale mamo, oni nas nie wyrzucą z mieszkania, prawda?”. Bo jak ktoś obcy przychodzi, to właśnie z tym mu się to kojarzy.***

Irene z rodziną. Fot. David Castro Caso

IV

To był już drugi raz, kiedy chłopcy byli świadkami próby wyrzucenia ich z domu. Po tej akcji sześcioletni Iker usłyszy od koleżanki w szkole: *Iker! Zabrali wam dom!* Iker wróci do domu z uśmiechem na twarzy i dziecięcą ekscytacją z powodu udziału w ciekawej historii, poszuka potwierdzenia u mamy.

- Mamo! Zabrali nam dom?

- Nie Iker, kto ci tak powiedział?

- Koleżanka w szkole.

Gdy musieliśmy się wynieść z poprzedniego mieszkania, nie chciałam przed nimi niczego ukrywać. Chcę, żeby wiedzieli, że rodzicie dadzą im wszystko, co mogą, ale na zewnątrz rzeczywistość nie jest tak przyjazna. Nie oszukiwałam, że przenosimy się do babci, bo jest samotna czy coś takiego. Powiedziałam im prosto z mostu: „Chłopaki, musimy się wyprowadzić do babci, bo nie płaciliśmy bankowi za mieszkanie, w którym mieszkamy. Jak się nie płaci, to trzeba oddać mieszkanie".

Ale dlaczego i w domu babci nie mogą czuć się bezpiecznie? Sama nie wiedziałabym, jak im to wytłumaczyć. Ale wolałam, żeby dowiedzieli się ode mnie niż od obcych ludzi, jak to się stało w przypadku Ikera. Więc zaczęłam tak: „Ej, musicie coś wiedzieć. Chodzi o to, że dzisiaj jesteśmy tutaj, mieszkamy tu, ale jutro albo za kilka dni, może za kilka miesięcy, możemy być gdzie indziej. Będziemy musieli zabrać rzeczy i się przenieść". Nie dopytywali o szczegóły.

Dwunastoletni Salva, najstarszy i najwrażliwszy, ma ciemne oczy i włosy. Jest nieco pulchny, zamknięty w sobie. Natomiast wysoki i szczupły jedenastoletni Izan, choć przy obcych jest małomówny, na facebookowych zdjęciach sprawia wrażenie łobuziaka. Obaj noszą okulary.

Najmłodszy, Iker, dziecko pełne energii i z głową pełną pytań, nawet na moment nie przestaje się śmiać. Ma opaloną skórę i blond włosy. Nawet jeśli robi głupie miny, pięknie wychodzi na zdjęciach. Sprawia wrażenie spoiwa rodziny: jest czuły dla mamy i braci. *Maluchy do przodu* - krzyczy, gdy robimy sobie razem zdjęcie. Po czym bierze braci za ręce, aby wystąpili o krok.

Dzieciaki łączy pasja do piłki nożnej. Wszyscy, jak niegdyś mama - była bramkarka - grają w dzielnicowych ligach, na domowych zdjęciach są w pełnym piłkarskim ekwipunku.

V

Życie z bankiem na karku zaczęło się od narodzin najpogodniejszego dziecka na świecie. Wcześniej Irene z mężem i dwójką dzieci mieszkali w dzielnicy Franca, około 25 minut od centrum Barcelony.

- Mieliśmy trzy pokoje, a budżet domowy wynosił około 2500 euro miesięcznie. Mąż był grafikiem komputerowym, miał wiele zleceń i naprawdę nieźle zarabiał. Ja pracowałam w sieci sklepów H&M, ale gdy zamknęli jeden z oddziałów, zajmowałam się już tylko dziećmi.

Mieliśmy niewielki kredyt do spłacenia, jakieś 80 tysięcy euro, które pożyczyliśmy w dużym banku Santander. Tyle nam brakowało do kupna mieszkania. Część pieniędzy mieliśmy własnych, część dała nam moja mama. Ale spłacaliśmy to powoli i bez żadnego problemu, stać nas wtedy było na wszystko. Gdy chcieliśmy zjeść na mieście, jedliśmy na mieście. Gdy się pralka zepsuła, kupowaliśmy nową i nawet nie patrzyliśmy na cenę. Wyjeżdżaliśmy na wakacje. Rzeczy po chłopcach, czasem nawet z metkami, rozdawaliśmy znajomym.

- Ale Irene, ty jesteś w ciąży, zaraz ci się to przyda. Nie rozdawaj tak.

- „Kochana, zanim mi się ten malec urodzi, to ja już sobie zdążę nowe kupić" - odpowiadałam.

Niczego nam wtedy nie brakowało oprócz jeszcze jednego pokoju dla chłopców. Pierwszy był salonem, drugi naszą sypialnią i po narodzinach Ikera cała trójka musiałaby mieszkać razem w trzecim.

Irene w la PAH. Fot. David Castro Caso

Ach, jak dziś wkurza mnie to gadanie, że ludzie żyją ponad stan, biorą kredyty, to potem mają za swoje. Że takie jest życie, nikt nam nie kazał brać kredytu, jeśli nie było nas stać. „W co ty się wpakowałaś Irene?" – pytają. Problem w tym, że nie wpakowałam się w nic innego jak w kredyt na mieszkanie, który spokojnie byłam w stanie spłacać.

Po narodzinach Ikera szukaliśmy czegoś większego. Wpadł mi w oko dom w Esparaguerra, wsi na przedmieściach Barcelony. Chciałam sprzedać mieszkanie, ale w banku doradzili mi, żebym zamiast tego zrobiła „kredyt konsolidacyjny". Żebym połączyła zadłużenie, które zostało za mieszkanie oraz to za dom, i w ten sposób uniknę podwójnych kosztów związanych z prowadzeniem kredytu. A gdy się przeprowadzę do domu, to będę wynajmować mieszkanie i spłacać kredyt.

Wkrótce okazało się, że okolicę, w której stoi dom, nagle uznano za dzielnicę zieloną. Czyli taką, gdzie nie może powstawać nic oprócz parków. Powiedziałam „nagle", bo kiedyś ktoś tam wybudował te domy. Ale oczywiście jest to typowy przepis-wymówka, żeby umożliwić korupcję na linii władze miasta-deweloper. Jeśli dom jest w dzielnicy zielonej, oznacza to, że w każdej chwili mogą mnie z niego wyrzucić albo go wyburzyć. I zostaję z hipoteką na 30000 euro, a oddają mi co najwyżej 18000.

Znajduję się w sytuacji, w której mam dwa kredyty. Domu nie mogę sprzedać – nikt go nie kupi, bo jest w strefie zielonej. Chcę oddać bankowi mieszkanie, żeby anulowali mi część długu. Mówią, że to mi się nie opłaca. Żebym postarała się sprzedać mieszkanie na własną rękę i z tych pieniędzy spłacić część kredytu. Jeśli przez rok mi się to nie uda, to wezmą dom i mieszkanie, a mnie w zamian dadzą inne, większe, które będę sobie spokojnie spłacać. I że to, co zapłaciłam niegdyś za mniejsze mieszkanie i dom, będzie mi odliczone od długu. Wszystko to pani w okienku bankowym powiedziała mi słownie, nie dając żadnych dokumentów. A ja sama dziś z perspektywy czasu nie wiem, dlaczego w to uwierzyłam i na to poszłam. Przez rok spłacałam dwie hipoteki.

W pewnym momencie miesięcznie musimy płacić 2000 euro. Ja już nie pracuję, więc coraz trudniej jest to udźwignąć. Zaczynają się kłopoty zdrowotne mojego

męża. Chociaż to dobrze zbudowany, z pozoru twardy facet, to zawsze miał jakieś problemy psychiczne. ***Kredyt go tak przybił, że w końcu psychiatrzy stwierdzili u niego któryś tam stopień rozdwojenia jaźni. Wyprowadził się, żeby odizolować się od całej tej sytuacji. Dziwnie to zabrzmi, w końcu to choroba, ale dzięki niej teraz nasze dzieci mają za co zjeść i się ubrać, bo dostaję 1000 euro renty.***

Mija rok od rozmowy z bankiem. Jeszcze raz idę do Santandera i mówię: „Weźcie dom, ale zostawcie mi mieszkanie i ja wam będę je spłacać do końca. Tych pieniędzy, które spłacałam za dom, już nie chcę. Chcę mieć tylko spokój". Powiedzieli, że jasne, że nie ma problemu. Ale znowu nie chcieli mi dać na to żadnych dokumentów.

„Aha, skurczybyki. Chcecie, żebym płaciła za mieszkanie, dopóki nie przyjdzie desahucio" – pomyślałam. Ja będę dalej za nie płacić, a i tak zabierzecie mi je razem z domem. Przez rok zrobiłam im prezent, spłacając kredyt na tyle, ile mogłam, co i tak niczego nie zmieniło. Nie zamierzałam tego kontynuować – skoro i tak miałam stracić wszystko, to przestałam w ogóle płacić.

VI

Mniej więcej w tym samym czasie Irene wybiera się do barcelońskiej siedziby Plataforma de Afectados por la Hipoteca, organizacji wspierającej poszkodowanych przez kredyty hipoteczne, założonej w 2008 r. m.in przez Adę Colau, filozofkę, miejską aktywistkę i działaczkę na rzecz praw człowieka, żonę ekonomisty i także działacza la PAH, późniejszą rzeczniczkę prasową organizacji, a przez wiele lat jej główną twarz.

Zaczęło się od oburzenia kilku związanych z nią osób. Chodzili na eksmisje, protestowali, wchodzili w starcia z policją. W prasie zagranicznej Ada Colau często pokazywana jest na słynnym zdjęciu z jednego z „ostrzejszych" protestów, wyprowadzana przez trzymających ją za ramię dwóch funkcjonariuszy Mossos d'Esquadra.

Według działaczy Platformy banki wykorzystywały ludzki wstyd, strach przed utratą domu i poczucie winy dłużników. Znakomicie rozgrywały syndrom *ninguneados* (*ningun* – niczyj), czyli poczucie poniżenia i niemocy, oraz **powszechne przeświadczenie, że „Bank to coś wielkiego, to nie jest siła, z którą się dyskutuje", i przekonanie, że jeden człowiek, jedna rodzina są zbyt mali, aby stawić czoło potężnej korporacji. Należało zatem zebrać tych ludzi w jednym miejscu i pokazać im, że mają wpływ na rzeczywistość.**

Wraz z rosnącą świadomością społeczną i pogłębiającym się kryzysem gospodarczym la PAH zwiększała liczbę członków. Zaczęli prowadzić wykłady na uczelniach, organizować pikiety i happeningi. Chodzili pod banki, pisali o tym, czym grozi wzięcie kredytu. Podawali przerażające dane dotyczące codziennej liczby eksmisji z powodu niespłacanych zadłużeń.

Najważniejszym i najbardziej spektakularnym działaniem la PAH, przez które wchodzą w konflikt z prawem, są akcje podejmowane, gdy nie uda się zatrzymać *desahucio*. Zdarza się bowiem tak, że policja wyrzuca z domu siłą. Wtedy grupa aktywistów wraz z poszkodowaną rodziną wyważa drzwi i zajmuje jakiś pustostan należący do miasta albo banku, a następnie informuje o tym właściciela i negocjuje warunki wynajmu.

Akcja okupacji ma też swoją oficjalną nazwę: Obra Social la PAH (Działalność Społeczna PAH), parodiującą przedsięwzięcia banku La Caixa, jednego z głównych odpowiedzialnych za obecną sytuację w Hiszpanii. Banku, który ze spółdzielczej kasy kredytowej przekształcił się w komercyjną instytucję finansową, zachowując jednak propagandowe programy pomocy społecznej pod nazwą Obra Social La Caixa. W ramach programu, **przy półrocznych zyskach w wysokości 604 milionów euro, bank przekazuje... 2000 euro na stołówkę dla bezdomnych. Przy równoczesnym cichym eksmitowaniu setek ludzi dziennie. Wiele osób wciąż jednak wierzy w dobroczynną działalność banku.**

Gdyby tego dnia, kiedy na posiedzenie organizacji przyszła Irene, nie było specjalnej akcji zatrzymania *desahucio*, gdyby wszyscy członkowie la PAH nie pobiegli na interwencję, Irene nie zastałaby zamkniętych blaszanych drzwi z wpisanym w znak stopu napisem „Stop desahucios". Gdyby nie zbieg okoliczności, poznałaby szybciej o kilka lat ludzi z la PAH i być może jej życie potoczyłoby się inaczej.

VII

W 2014 r., podczas gdy co najmniej 40 tys. osób mieszka w tym kraju na ulicy (dwa razy więcej niż w 2008 r.), Hiszpania jest zarazem europejskim liderem, jeśli chodzi o liczbę pustych mieszkań.

Według jednego z lutowych wydań „The Guardian", powołującego się na hiszpański Narodowy Instytut Statystyki, jest to około 3,5 mln mieszkań, czyli 14 proc. wszystkich nieruchomości w kraju. W rankingu za Hiszpanią są Włochy i Francja z 2 mln pustostanów każde.

Wartość niezamieszkałych nieruchomości wynosi pół biliona euro, czyli stanowi 45 proc. hiszpańskiego PKB.

Co trzecie mieszkanie w Hiszpanii zostało wybudowane podczas boomu nieruchomościowego nakręconego przez banki, które już kilka lat przed kryzysem zaczęły masowo budować bloki, dogadując

się z deweloperami. Naczelną zasadą było: „Więcej za mniej i w krótszym czasie". Zatrudniano tego wykonawcę, który za najmniejszą cenę deklarował najszybsze wykonanie usługi.

Pomimo gładko udzielanych kredytów, domów było tak dużo, że większości z nich banki nigdy nie zdołały sprzedać. Duża część pustostanów to mieszkania zabrane osobom, które nie zdołały spłacić kredytu.

VIII

W 2012 r. la PAH otrzymuje nagrodę poczytnej gazety „El Periódico" za najlepszą inicjatywę solidarnościową. Ada Colau wraz z kilkorgiem działaczy **wychodzą odebrać ją podczas gali. Na wydarzeniu dla hiszpańskiej socjety aktywiści stoją zdenerwowani przed zdziwioną widownią oficjeli, dziennikarzy i polityków. Ada ze ściśniętym gardłem wykrztusza z siebie długie przemówienie. Mówi m.in.:** ***Nie wierzymy, że kryzys spadł z nieba, a sytuacja, w której znajdują się Hiszpanie, nie zasługuje na inną nazwę niż oszustwo. Oszustwo, które było uprzednio zaplanowane przez polityków i organizacje finansowe, którzy stworzyli podstawy do tego, żeby okłamać ogromną część społeczeństwa i pozostawić prostych ludzi w zupełnej nędzy, wyrzucając ich z domów. Albo zostawiając ich zadłużonych do końca życia, w ramach nikczemnego prawa, które nie ma swojego odpowiednika w żadnym innym kraju.***

Żądamy od administracji publicznej (a na tej gali jest kilku jej przedstawicieli) natychmiastowej zmiany prawa. Pomimo naszych starań wciąż do tego nie doszło, a organizacje finansowe, które odpowiedzialne są za ten kryzys i które zrujnowały gospodarstwa wielu rodzin, wciąż nie zostały pociągnięte do odpowiedzialności. Za to ich pracownicy dostają kolejne premie, a banki ratuje się z pieniędzy publicznych. ***Zdrowe społeczeństwo powinno ratować przede wszystkim ludzi, a nie bandyckie instytucje finansowe.***

Promujemy obywatelskie nieposłuszeństwo. Gdy prawo jest niesprawiedliwie, jest to nie tylko usprawiedliwione, ale jest moralnym obowiązkiem. Dziś każdy z nas, bez względu na to, czy pracuje w administracji, w sektorze prywatnym czy nie ma pracy, powinien zdecydować się, po której stronie chce stać. Po stronie godności, sprawiedliwości, ludzkiego życia czy systemu, który rujnuje znaczną część społeczeństwa.

Nasze zadanie jest proste - chcemy możliwości „dación en pago" [płatność w naturze, oddanie domu za zdjęcie długu - przyp. A.K.]*, żeby ludzie pozbyli się tych zadłużeń i mieli prawo drugiej szansy, a nie spłacali setki euro bankom do końca swojego życia, kiedy nie mają już domu.*

Banki w czasie kryzysu są wspierane przez nasze pieniądze publiczne i dlatego żądamy tak naprawdę

Aktywiści z la PAH. Fot. Angelina Kussy

tego, co należy do nas. A także odzyskania kontroli nad instytucjami finansowymi, gospodarką i ustabilizowania demokracji.

Galę wręczenia nagród transmitowała telewizja tv3, a przed telewizorami siedziało ponad 600 000 osób. Ci ludzie mogliby usłyszeć słowa Ady. Mogliby, gdyby telewizja publiczna nie wycięła jej przemówienia.

IX

W kwietniu 2014 r. pismo „Público.es" donosi: El Tribunal de Cuentas (hiszpańska Najwyższa Izba Kontroli) szacuje, że wysokość pomocy dla banków z pieniędzy publicznych w ciągu trzech lat (2009-2012) wyniosła ponad 108 mld euro. Czyli 77 proc. więcej niż 61 336 mld, o których mówił hiszpański bank centralny.

X

W siedzibie la PAH Barcelona nigdy nie mogą się pomieścić wszyscy interesanci i działacze. Ktoś wychodzi złapać nieco świeżego powietrza, ktoś inny zapalić. Jest nieznośnie gorąco. Na środku sali, która kiedyś była garażem, zostawia się miejsce dla speakera i osób przemawiających. Pierwszy krąg stanowią osoby najbardziej doświadczone, które najwięcej mogą doradzić. My, cała reszta, siedzimy wokół, podnosząc rękę, gdy mamy coś do powiedzenia.

Starzy członkowie przynieśli wachlarze, nowi wachlują się swoimi *techo*, czyli grubymi plikami papierów dokumentujących przebieg negocjacji z bankiem w sprawie niespłacanego kredytu. Jest poniedziałek, więc dzisiaj słucha się nowo przybyłych, którzy proszą o pomoc. Zaprasza się ich do rozmowy, oferuje wsparcie psychologiczne. Planowanie strategiczne i ogłoszenie nowych akcji nastąpi jutro. A **w środę profesjonalna sesja z tymi, którzy mają depresję. To najtrudniejszy dzień. Zbyt wielu *afectados*, poszkodowanych przez kredyty hipoteczne, popełniło już samobójstwa.**

Jeśli zorientowałeś się, że prawdopodobnie nie uda ci się spłacić kredytu, po pierwsze dostajesz „zieloną książeczkę". W niej opisane są trzy fazy, po których następuje *desahucio*. Aby skutecznie mu zapobiec, musisz zidentyfikować się z daną fazą i postępować tak, jak radzi la PAH. Z książki dowiesz się również, że niespłacanie długu nie jest przestępstwem, nie wylądujesz z tego powodu w więzieniu, a jeśli masz dzieci - to nikt ci ich nie zabierze tylko dlatego, że nie masz pieniędzy na raty kredytu. Że jeśli grozi ci eksmisja, członkowie la PAH albo ją zatrzymają, albo znajdą ci mieszkanie zastępcze. Że cokolwiek by się działo - nie wylądujesz na ulicy.

Pierwsza zaczyna mówić farbowana blondynka o jasnobrązowej karnacji i wydatnych kościach

W siedzibie la PAH. Fot. David Castro Caso

policzkowych, charakterystycznych dla rdzennych mieszkańców Ameryki. Jak wielu imigrantów, zapewne kiedyś przyleciała do Barcelony, aby szukać lepszego życia w Europie. *Mam na imię Pacita i przedstawię wam mój przypadek* - mówi zdecydowanym głosem.

Chce dalej spłacać dług. Choć długu nigdy nie zaciągała, jest *avalem* (osoba, która żyruje kredyt) swojej przyjaciółki. Trzydziestokilkuletnia Pacita oddała już bankowi klucze do swojego domu. Ale przedstawiciele banku La Caixa powiedzieli to, co zawsze w takim wypadku: *To nie wystarcza, wartość mieszkania spadła, dług jest o wiele większy.*

Żeby się od niego uwolnić, musiałaby spłacać go do końca życia. W trakcie opowiadania łamie jej się głos i zaczyna płakać. Funkcję speakera sprawuje dziś młody, nieco przy tuszy chłopak z bródką, który mówi mi po polsku „dzień dobry". W swojej

kilkuletniej działalności natrafił również na *afectados* imigrantów z Polski. Podchodzi do Pacity poklepać ją po plecach, a mikrofon przejmuje Susana, średniego wzrostu ładna blondynka o ciemnych oczach i przepięknym, kojącym głosie. To jedna z najaktywniejszych członkiń, ta sama, która niegdyś opowiedziała do końca przypadek Irene, kiedy tamtej załamał się głos. **Jak wiele osób, którym udało się dzięki la PAH wyjść z długu, angażuje się w pomoc innym.**

Słuchaj Pacita, powiedziałabym ci, że są gorsze rzeczy na Ziemi, i że byłam w takiej samej sytuacji jak ty, a dzisiaj jestem czysta, ale... najpierw podejdę, aby cię ucałować. Pacita uśmiecha się na czuły gest Susany. Jej słów nie usłyszała dokładnie, z nerwów już od jakiegoś czasu prawie ogłuchła.

Rozlegają się piski i gwizdy na sali. Około pięćdziesięciu osób skanduje *Si se puede* (Yes, we can) - slogan, którym posługiwał się Barack Obama w wygranych wyborach prezydenckich, następnie przejęty przez falę ruchów Oburzonych. Z hiszpańskiego „15-M" (nazwa ruchu pochodzi od daty największego protestu hiszpańskich oburzonych, który miał miejsce 15 maja) wywodzi się również la PAH.

Rozglądając się po sali, dostrzegam **duży napis na ścianie: „Mój dom to nie biznes, to podstawowe prawo".**

XI

W marcu 2013 r. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej określa hiszpańskie prawo hipoteczne jako niezgodne z normami Wspólnoty. **W wielu krajach dłużnik hipoteczny, który odda bankowi nieruchomość i ogłosi bankructwo, jest wolny od wszelkich zobowiązań. W Hiszpanii prawo hipoteczne jest dla kredytobiorcy najostrzejsze w Europie. Jeśli bank**

zabierze mieszkanie, którego wartość spadła (co dotyczy wszystkich nieruchomości w Hiszpanii w czasie kryzysu), dłużnik wciąż zostaje z dożywotnim długiem rzędu dziesiątek lub setek tysięcy euro do spłacenia.

Kilka miesięcy po wyroku la PAH otrzymuje kolejną nagrodę - Ciudadano Europeo (Obywatela Europy). Tym razem od Parlamentu Europejskiego.

Ada Colau **publicznie odpowiada, że Unia Europejska powinna zacząć robić coś pożytecznego dla ludzi, zamiast wręczać nagrody.** Że w imieniu la PAH serdecznie dziękuje, to zapewnia organizacji widoczność, ale nowe *desahucios* i łamanie praw człowieka wciąż postępują. Nie wybiera się do Brukseli.

Innym razem w hiszpańskim Kongresie Ada bierze udział w posiedzeniu komisji przygotowującej zmiany w prawie hipotecznym. **W obronie obecnego prawa występuje przewodniczący Związku Banków Hiszpańskich. Jego słowa oburzają Adę. W emocjonalnym wystąpieniu nazywa go „rzekomym ekspertem" i „kryminalistą". *Gdyby nie to, że chcę przedstawić państwu mój punkt widzenia, rzuciłabym w tego pana butem* - zabrzmi jej słynne zdanie.**

Film na YouTube z jej wypowiedzią obiega całą Hiszpanię. Hiszpanie udostępniają go na kolejnych portalach społecznościowych, a popularność Ady rośnie proporcjonalnie do pokładanego w niej zaufania publicznego. *Moja Ada* - mówią o niej Katalończycy.

Dzisiaj jest kandydatką na *alcadę*, burmistrza Barcelony. I ma realne szanse na zwycięstwo.

XII

Nieraz zdarza się, że banki zapowiadają eksmisję kilku rodzinom jednego dnia. PAH-owianie muszą się rozdzielić, utrzymywać kontakt przez aplikacje internetowe na komórkach i w miarę rozwoju sytuacji dokonywać przegrupowań i przerzutów sił. Połowa pracy działaczy ma miejsce w Internecie, tam można śledzić poszczególne akcje dzięki znajomości związanych z nimi tagów: #siSePuede, #laPAHBarcelona, #IreneSeQueda.

Pod ostatnim tagiem („Irene zostaje") znajduję informację o udanej próbie zatrzymania *desahucio*. W „El Pais" trafiam na artykuł o próbie eksmisji pewnej Irene Sanchéz, córki Marii i matki trójki dzieci. W ten sposób poznaję nazwisko jednej z głównych bohaterek reportażu.

Irene długo nie odpisywała na moje próby kontaktu, bo tego dnia, w dniu czwartej już próby eksmisji, miała ręce pełne roboty. Musiała wyprawić swoje urodziny i kupić kilka butelek cavy dla osób, które zostały jeszcze świętować po zakończonej misji.

Tamtego dnia na ulicy przed domem matki Irene pojawiło się ponad sto osób. Nie dostała sądowego zawiadomienia o eksmisji, dowiedziała się o niej od swojego adwokata przez telefon. *Irene, to będzie w tym tygodniu* - usłyszała. Przez trzy dni po ponad osiem godzin kilkunastu członków la PAH koczowało w domu Marii. Reszta dobiegła po przyjeździe policji. Do tego PAH-owianie **zmobilizowali lokalną społeczność i sąsiadów. To oni wyszli na ulicę z rondlami i łyżkami zrobić *caceroladę*, czyli popularną formę protestu przez hałas. Policja nawet nie weszła do domu.**

XIII

- Ale mój przypadek nie jest jednym z wielu, o jakich usłyszysz w PAH - Irene kontynuuje opowieść i odsłaniając zasłony wpuszcza wreszcie nieco światła do salonu. - Nie traktuję tego jak zwykłego desahucio, to zorganizowane oszustwo. Nie wspomnieli o nim w tym artykule z „El Pais", który czytałaś. *Historia nie skończyła się na dwóch hipotekach. Nie mogąc kontynuować ich spłaty i bojąc się o przyszłość swojej rodziny, zwróciłam się do matki przyjaciela ze szkolnej ławki mojego Salvy, która jest zarządcą finansowym i obraca dużymi sumami należącymi do bogatych ludzi. Pia powiedziała, że widzi jedno proste rozwiązanie sytuacji: bierzemy pożyczkę z jakiejś instytucji finansowej, którą ona poleca, tym razem na nazwisko mamy, i te pieniądze inwestujemy. Oprocentowanie pozwoli nam na comiesięczne wypłaty i powolne spłacanie zadłużeń. Pia inwestuje gdzieś pieniądze, nie wiem gdzie, bo nie znam się na tym, a ona w końcu pracuje w tym fachu od lat.*

Za miesiąc przychodzi z tysiącem euro w gotówce i mówi, że to pieniądze dla mnie, a rata za kredyt, który wzięłyśmy, jest już za ten miesiąc spłacona, i że wychodzi na to, że przez sześć kolejnych miesięcy będzie przynosić mi dodatkowy tysiąc. Potem przychodzi z czekami. Mówi też, że lepiej jednak, żeby moja matka nie była w to zamieszana, że przepiszemy ten kredyt na mnie, i daje mi dokumenty do podpisania. Cieszyłam się, że zdejmuję to z mamy i już sama odpowiadam za swoje zadłużenia. Okazało się potem, że tym podpisem wzięłam kolejną pożyczkę.

Wkrótce Pia znika i nie odbiera telefonów, chodzę po osiedlu i pytam wszystkich, czy wiedzą, co się z nią stało. Okazało się, że w ten sposób wyłudziła pieniądze od połowy mieszkańców osiedla i uciekła.

Wraz z dziesięcioma rodzinami z dzielnicy doszliśmy do wniosku, że ona jest tylko pionkiem w jakiejś większej grze. Ktoś jej w końcu tych kredytów udzielał. Wzięła 130 tys. euro na nazwisko mojej matki. Jaka instytucja daje staruszce takie pieniądze? Realizowała czeki imienne na moją matkę, a przecież moja matka nigdy nigdzie nie poszła odbierać żadnych pieniędzy. To samo było w przypadku innych osób, na które wzięła kredyty. Podpisała je w wielu różnych instytucjach i oddziałach i pozornie nie miały one ze

sobą nic wspólnego, ale kiedy zaczęliśmy drążyć temat, to okazało się, że wszystkie mają tego samego właściciela... Pia *zostaje jednak kozłem ofiarnym, ląduje w więzieniu za oszustwo i nie wybucha większy skandal. Następnie wychodzi w ramach programu resocjalizacji. Pracownicy społeczni znajdują jej pracę i ma się dobrze...*

A kto mnie, matce trójki dzieci, znajdzie pracę?

XIV

Przychodzi do nas informacja od instytucji pod nazwą Plataforma Antidesahucios. Nazwa prawie jak la PAH, do której ludzie mają zaufanie. Piszą, że mieszkanie pójdzie pod licytację, że potrzebuję adwokata.

Wiesz, idą do sądu, patrzą na listę „desahucios", a potem wciskają ci kit, że potrzebujesz ich pomocy. Potwierdzają to adwokaci zajmujący się sprawą tej oszustki. A my idziemy do sądu i okazuje się, że to nieprawda, że żadna procedura nie została uruchomiona, a to z licytacją to bujda. Potem okazało się, że adwokaci też byli zamieszani w proceder wyciągania pieniędzy od tych, którzy mają kredyty.

Najgorsze sępy. Zorientowałyśmy się w porę i za nic im nie zapłaciłyśmy. Ale przez nich sprawa tego, kto stał za Pią, nie ruszyła o krok i licytacja mieszkania rzeczywiście zaczęła zbliżać się wielkimi krokami.

Potem skazany z innego niż nasze powództwa zostaje też notariusz Pii, jednak sąd uznaje, że te instytucje, które udzielały kredytów, również były ofiarami notariusza i Pii i działały w dobrej wierze... Biorę inną adwokatkę, płacę jej, a ona któregoś dnia dzwoni do mnie, podając numer Susany: „Słuchaj, masz tutaj numer do tej kobiety, ona się na tym zna i lepiej ci to ogarnie". Tak, tej samej Susany z la PAH. To za co ja ci zapłaciłam? - pomyślałam. Od tej pory nie robię już niczego bez konsultacji z działaczami Platformy.

Ale nawet oni nie mogli nam już pomóc. Walczą o „dación en pago", płatność w naturze, która w momencie oddania mieszkania bankowi umożliwia anulowanie długu, jeśli nie jesteś w stanie go już spłacać, a także o uzyskanie mieszkania socjalnego. Ja już jedno mieszkanie dobrowolnie oddałam, dom wzięli sobie sami, teraz chcą zabrać mieszkanie babci, a dług wciąż rośnie.

- Twój mąż pozbył się problemu, rozstaliście się?

- Nie do końca się rozstaliśmy. Nie złożyliśmy papierów o separację. To tylko separacja przestrzenna, żeby kiedyś jeszcze móc do siebie wrócić. Wiedzieliśmy, że nie jesteśmy sobą, że ludzie robiący potworną awanturę o to, czy kupić paczkę papierosów (bo szybciej i prościej) czy paczkę tytoniu (bo taniej i więcej), to nie my.

Od tego nie da się tak po prostu odłączyć. Życie kręci się wokół sprawy z mieszkaniem i długiem, bank wchodzi w każdą sferę życia: włazi oknami, wciska się między słowa, w rozmowach, włazi do łóżka. Każda

Fot. David Castro Caso

próba rozmowy może skończyć się awanturą. Nerwy są poszarpane - mówi Irene, a Maria przytakuje porozumiewawczo.

Cały świat w takiej sytuacji stoi na głowie. Słuchaj, przychodzi do mnie kiedyś Iker. I mówi. „Mamo, bo ja sobie przypomniałem, że ty mi kiedyś mówiłaś, że gdyby działo mi się coś złego, to mam dzwonić na policję. A przecież policja chce nas wyrzucić z domu, to do kogo mam dzwonić, jak będę w niebezpieczeństwie?".

XV

Palimy papierosa za papierosem. Czasami po prostu siedzimy w ciszy.

- *To tutaj się wychowałaś, prawda?*
- *No tak... to mieszkanie jest dla nas wszystkim.*
- *To znaczy?*
- *To 40 lat życia. To wszystkie Święta Bożego Narodzenia i kolacje rodzinne. To każde urodziny moich chłopców, każdy weekend, kiedy przychodziliśmy odwiedzić babcię.*

I moje dzieciństwo... - mówi wolno Irene. - *To czasy, kiedy chowaliśmy się z bratem, żeby mama po powrocie z pracy nas nie znalazła. Jak mama wyjeżdżała na weekend, to słaliśmy kolegom z podwórka wieści pocztą pantoflową. Połowa osiedla się wtedy do nas schodziła.*

- *I twoje mieszkanie, Maria, poszło już pod licytację?*
- *No tak. Bez licytacji nie mogą cię eksmitować.*
- *I kto je kupił?*
- *No ci oszuści. Instytucja finansowa, z której ta kobieta brała pożyczki na nasze nazwiska.*

XVI

Irene chwilowo nie chodzi na blokady eksmisji, zbyt jest zajęta własnymi problemami. Zawsze jednak stara się nagłaśniać poszczególne akcje la PAH w Internecie.

Kilka dni po naszej rozmowie to dzięki informacji na jej profilu dowiaduję się o nowej blokadzie. Zbieramy się o 9 rano między stacjami metra Virrei Amat oraz Fabra i Puig. W zielonych koszulkach „Stop desahucios" maszerujemy pod dom marokańskiej rodziny, której grozi eksmisja.

Żona Mahometa wita nas na ławce przed domem w hidżabie, herbatą w arabskich szklaneczkach i ciastem domowej roboty. Za chwilę na rowerze podjeżdża około osiemdziesięcioletni Rafael, stary działacz lewicowy z kaskiem w barwach II Republiki Hiszpańskiej. Na własne oczy mam okazję zobaczyć „górę" la PAH, o której wspominał mi niegdyś jeden z działaczy, opowiadając o strukturze organizacji. Istotnym elementem PAH-owskiej społeczności są ludzie starzy, którzy działali w opozycji za czasów reżimu Franco. Zaprawieni w boju zagrzewają młodych do walki i udzielają im rad. Piszą hasła na transparentach,

Blokada eksmisji Mahometa i jego rodziny. Fot. Angelina Kussy

manifesty i układają teksty przemówień. W dzisiejszej akcji Rafael odpowiedzialny jest za megafon.

Los bancos roban y el gobierno colabora (Banki kradną, a rząd z nimi współpracuje) - wykrzykuje.

Innym istotnym filarem la PAH są strażacy. W przeciwieństwie do policji, z którą się często ścierają, stoją po stronie eksmitowanych. Dzisiaj wywieszają transparenty. Na jednym dziecko mówi do ojca policjanta: *Tato! jak ci minął dzień? Uratowałeś wielu ludzi?* - *Dziś biłem tych, którzy walczą o twoją przyszłość* - odpowiada ojciec policjant.

Powoli robi się z nas mały, dwudziestokilkuosobowy tłum. Mahomet podnosi dziecko, uśmiecha się do niczego nieświadomej, jeszcze nie mówiącej córeczki. *Któregoś dnia tata ci opowie, co się tutaj działo.* - *Jaka pulchna, zdrowa ta malutka* - mówi ktoś z grupy. - *To prawda, przynajmniej ona, bo Mahomet od jakiegoś czasu już nic nie je.*

Tę eksmisję zatrzymamy - **krzyczy Rafael. *Pozbędziemy się tej szajki. Bankierów, polityków, którzy nie wiedzą, czym są kultura, cywilizacja i prawa człowieka.***

Rafael. Fot. Angelina Kussy

Nie spoczniemy, póki odpowiedzialni za ten kryzys nie staną przed trybunałami.

XVII

Jest pogodny, przyjemny dzień. PAH-owianie są w dobrym humorze, długi nie są już jedynym tematem rozmów. Dyskutują o wszystkim: od problemów komunikacyjnych po kwestię istnienia Boga. Dużo jest dzisiaj filozofii.

Któryś z robotników tłumaczy mi swoje myśli, cytując z pamięci Güntera Grassa. Po powrocie do domu odnajduję ten artykuł po polsku, w wydaniu „Wyborczej" z 2011 r.: *Nie mniej istotne są potężne banki, które dzięki lobbingowi uczyniły zakładnikami pochodzący z wyboru parlament i rząd. Banki odgrywają rolę losu – losu nieuniknionego. Wiodą własny żywot. Ich zarządy i wielcy akcjonariusze tworzą społeczeństwo równoległe. Skutki ich ryzykanckiego zarządzania finansami ponosić muszą ostatecznie obywatele, jako płatnicy podatków. Żyrujemy banki, których pochłaniające miliardy czeluści mają niewyczerpany apetyt*.

Tymczasem stary rewolucjonista Rafael tłumaczy zgromadzonym wokół młodym: *Problem polega na tym, że my, prości ludzie, podajemy im, intelektualistom i rządzącym, rękę z dołu. To znaczy właściwie to oni nam ją podają z góry we własnym interesie. „Los sabios"* (mędrcy) *wiedzą za nas.* ***A zmiana możliwa jest tylko wtedy, kiedy przyjdzie od ludzi, a oni ludzi nie zmienią. Wiedza na nas nie skapnie z góry. Sami musimy się zmienić.***

Najgorsze co może zrobić człowiek, to przestać być człowiekiem. Zapomnieć, że to on to wszystko stwarza i może mieć nad tym kontrolę. Jeśli system nie działa, to go zmieniamy. Kto nam powie, że ci, co go wymyślili, mają rację? Tymczasem u nas system rządzi ludźmi. ***Umożliwia bogatym jeszcze większe bogacenie się, a klasa średnia schodzi do poziomu życia w nędzy, biedni zaś popełniają samobójstwa, bo nie mają mieszkania. Równocześnie w samej Hiszpanii mamy setki tysięcy pustostanów.***

Tłum dyskutantów rozstępuje się, przechodzi bezdomny czarnoskóry emigrant z hipermarketowym

wózkiem pełnym złomu. Uśmiecha się i dalej ciągnie swój ciężki wózek.

XVIII

Wiele samobójstw *afectados* wygląda tak, jak w jednym z akapitów tekstu Krzysztofa Kęćka dla tygodnika „Przegląd": *9 listopada komornicy przyszli wyrzucić z mieszkania 53-letnią Amayę Egañę, byłą socjalistyczną radną w mieście Barakaldo w Kraju Basków. Kobieta, matka 21-letniego syna, nie mogła spłacić kredytu hipotecznego w wysokości 200 tys. euro. Amaya Egaña wpuściła urzędników do budynku. Kiedy wchodzili po schodach na czwarte piętro,* ***stanęła na krześle i wyskoczyła z okna. Zginęła na miejscu. Kilka godzin później bank wystawił jej mieszkanie na sprzedaż.*** **[...]** ***Na ścianach i oknach banków pojawiły się napisy „Mordercy".***

Nie istnieją statystyki wyróżniające liczbę samobójstw z powodu niespłaconego kredytu spośród ogólnej liczby takich wypadków w Hiszpanii. Hiszpański urząd statystyczny nie wyróżnia ich ze względu na przyczynę. Liczba ta utrzymuje się na poziomie około 3100 samobójstw rocznie. Choć według najnowszych danych w 2012 r. wzrosła o 11,3 proc. w stosunku do roku poprzedniego, stanowiąc tym samym najwyższą zarejestrowaną liczbę samobójstw w kraju od 2004 r.

Artykuł w Wikipedii pod hasłem „Lista de suicidios relacionados con desahucios" („Lista samobójstw powiązanych z eksmisją") podaje nazwiska osób, które z tego powodu odebrały sobie życie. Odsyła do artykułów na ten temat w prasie. Obok nazwisk wytłuszczona informacja: *Jeśli myślisz o samobójstwie, zadzwoń do la PAH*.

XIX

Rafael kontynuuje: *Ten ogień nie zgaśnie, dopóki winni za ten system nie odpowiedzą. Dopóki nie zabiorą swoich rąk od naszych szkół, szpitali i domów. Podstawowych wartości, które muszą być gwarantowane prawem*.

Przyjeżdża policyjny radiowóz. Wraz z urzędnikiem sądowym, w jasnym eleganckim garniturze, z zażenowaniem i znudzeniem na twarzy spoglądającym co chwilę na swój drogi zegarek.

Negocjacje trwają kilka godzin. Kilka godzin Rafael skanduje swoje rewolucyjne hasła, a my dyskutujemy o świecie.

- *Co tam u Balezy?*
- *Balezy?*
- *No ten. Wasz prezydent.*
- *Przykro mi, ale nie wiem, o czym mówisz.*
- *Przecież nie jesteś tak młoda, żeby...*
- *O Boże, Lech Wałęsa! O niego Ci chodzi!*
- *Lech Baleza* - podchwycił i wykrzykuje zgodnie z hiszpańską wymową tłum. Podchodzi kilka nowych osób zainteresowanych rozmową.
- *Co u niego słychać? To prezydent-robotnik. Mając takie postaci, musicie w Polsce mieć silną tradycję obywatelskiego nieposłuszeństwa i buntu.*

I tak by mi nie uwierzyli, więc postanawiam zmienić temat.

Mahomet wraca zamroczony, PAH-owianie biegną w naszą stronę. Przedstawiciel banku zgodził się na odroczenie *desahucio*.

Czas uaktualnić informacje w sieci: #siSePuede, #MahometSeQueda. Gwiżdżą sąsiedzi i przechodnie, którzy zdążyli się już wraz z nami zgromadzić.

Głowa rodziny może odpocząć. Opiera się o blok i zsuwa po nim na ziemię, wybucha ze szczęścia płaczem dziecka.

Rafael spokojnie, jak przyjechał, tak odjeżdża na swoim rowerze. Korzysta z zamieszania, żeby nie musieć się ze wszystkimi żegnać.

XX

Na początku sierpnia, kiedy jestem już w Polsce, na Facebooku znów wrze od PAH-owych wiadomości. Zaglądam na profil Irene. Pisze, że potrzebują ludzi. Dopiero po kilkukrotnej lekturze dociera do mnie, że chodzi o jej *desahucio*. O *desahucio*, które już doszło do skutku.

Oglądam w Internecie film nagrany przez jednego z członków organizacji. Mossos d'Esquadra znów przyszli nad ranem. Bez uprzedzenia. La PAH nie zdążyło zgromadzić odpowiedniej ekipy. **Wyrzucili ich z domu, podczas gdy trzej chłopcy płakali na schodach. Płakała i biedna, pełna godności i powściągliwa do tej pory babcia Maria.**

Irene została już tylko złość. Po kolei wynosiła z domu najpotrzebniejsze rzeczy, spoglądając co chwilę z pogardą w stronę policjantów. Później dowiem się, że wyzwisk w ich stronę nie szczędziły również jej dzieci.

Powoli dochodzili ludzie, nie tylko z la PAH, ale z wszelkich zaprzyjaźnionych organizacji społecznych. Z rodziną Sanchéz znów była około setka osób. Chłopców odprowadzili do przyjaciółki Irene, przez kilka dni tam zostaną.

Tłum poszedł pod ratusz. Znów z naczyniami kuchennymi, wszyscy pełni złości i oburzenia. Niektórzy nagrywający wszystko na telefony komórkowe, skandujący nieustannie *Si se puede!*. Susana i inni działacze wykrzykują przez megafon nazwisko obecnego *alcade* (burmistrza) Xaviera Triasa, wzywając go do reakcji na to „bandyckie zachowanie" przedstawicieli banku Santander. Przypominając, ile bank otrzymał pieniędzy publicznych. Przypominając o konstytucyjnym prawie Hiszpanów do mieszkania.

Część tłumu - widać to na nagranym filmiku - mija strażnika, rzuca mu na odchodne „dzień dobry" i wchodzi po schodach na pierwsze piętro budynku ratusza. Tam zajmą jedno z pomieszczeń, w którym Maria i Irene wraz z kilkudziesięcioma działaczami la PAH będą dzisiaj spali.

Przez kilka dni trwają negocjacje, nikt nie rusza się w tym czasie z budynku pomimo interwencji policji. La PAH nie przyjęła pierwszych propozycji burmistrza, który chciał ulokować rodzinę Sanchéz w dzielnicy na drugim końcu miasta. *Chłopcy nie będą zmieniać szkoły w trakcie nauki* - mówią działacze. W Internecie następuje aktualizacja informacji: #IreneSeQueda - Irene tymczasowo zostaje w mieszkaniu socjalnym w dzielnicy Franca.

XXI

Na początku września, miesiąc po eksmisji Irene i wydarzeniach w ratuszu, Ada Colau wraz z członkami partii Guanyem (po katalońsku: zwyciężymy) zbiera podpisy poparcia od mieszkańców Barcelony i już przygotowuje się do wyborów na *alcade* miasta, które odbędą się w maju 2015 r. Chce sprawdzić, na jakie poparcie może liczyć. Jeśli nie zbierze 30 tys. podpisów, zrezygnuje z udziału w wyborach.

Barcelońskie Guanyem, nowy ruch społeczny, który przekształcił się w partię, sympatyzuje z ogólnohiszpańskim ruchem Podemos. Ten ostatni podczas wyborów do Europarlamentu w zaledwie kilka tygodni uzyskał w ramach zbiórki społecznej tyle pieniędzy, że był w stanie przeprowadzić kampanię, która zapewniła mu czwarty wynik. Guanyem, podobnie jak Podemos, wyrasta z doświadczenia pokoleniowego Hiszpanów, którym kryzys ekonomiczny odebrał nadzieje na przyszłość, a rządzący pod jego pretekstem stopniowo odbierają im również prawa socjalne. Podemos wprowadziło do Europarlamentu pięciu członków: politolożkę, dwóch profesorów, prokuratora znanego z walki z korupcją oraz fizyka. Również i Guanyem składa się w dużej części z intelektualistów, którzy postanowili „robić politykę" - jak o swojej działalności mówi Ada. Mówi też o konieczności dogłębnych zmian systemowych, powrotu do zasad sprawiedliwości społecznej.

9 listopada, kiedy Katalończycy zadecydują o tym, czy chcą tworzyć odrębne państwo, Irene i Maria wyjdą zagłosować zamykając za sobą drzwi nowego domu. Po długich negocjacjach z pracownikiem socjalnym reprezentującym władze miasta muszą już tylko znaleźć mieszkanie, w którym pomieści się sześć osób. Jego wynajem przez trzy pierwsze lata będzie finansować miasto. Nowy dom, przynajmniej w jednym aspekcie, nie będzie jednak oznaczał nowego życia. Długu wobec banku zapewne nigdy nie uda im się zostawić za sobą. ⚒

REKLAMA

Wprowadzenie i redakcja naukowa Bartłomiej Błesznowski. Wprowadzenie do dziejów polskiej spółdzielczości Remigiusz Okraska

Kooperatyzm, spółdzielczość, demokracja. Wybór pism

Wybór pism najważniejszych polskich działaczy politycznych związanych z praktycznie wszystkimi stronami sceny ideowej, na czele z Edwardem Abramowskim – filozofem, psychologiem, wizjonerem społecznym. Znajdziemy tu teksty dotyczące głównych założeń i ideałów ruchu spółdzielczego w początkach XX wieku, społecznych aspektów funkcjonowania spółdzielni, rozwoju różnorakich gałęzi spółdzielczości – robotniczej, konsumenckiej, kredytowej czy mieszkaniowej, związków między kooperacją a socjalizmem, a także rozwoju spółdzielczości żydowskiej.

Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego

Książka jest dostępna w sklepie wydawcy: www.wuw.home.pl

Wypaczona nauka

Llewllyn Hinkes-Jones

Wprowadzenie do badań naukowych filozofii wolnego rynku spowodowało eksplozję manipulacji i nieuczciwości oraz zmusiło obywateli do płacenia za dostęp do odkryć, które już raz sfinansowali za pomocą swoich podatków.

Sercem opartego o dążenie do maksymalizacji zysku systemu opieki zdrowotnej w Stanach Zjednoczonych i jego podejścia do nauk medycznych jest zasada, że pieniądze mogą przedłużyć życie. Weźmy na przykład klasę genów określanych jako supresory nowotworów. Z powodu właściwości tej grupy genów, polegającej na możliwości regulacji wzrostu komórek nowotworowych, badania ich dotyczące są obecnie jednym z najważniejszych kierunków prac nad terapiami nowotworowymi. Pozytywny wynik testu wykrywającego mutację w genach supresji nowotworowej, takich jak *BRCA1* czy *BRCA2*, jest znaczącym wskaźnikiem zwiększonego ryzyka zachorowania na raka piersi lub jajników.

Jednak **pomimo niezaprzeczalnego znaczenia odkrycia i opracowania tego testu dla ratowania życia, koszt jego przeprowadzenia jest bardzo wysoki – sięga 4000 dolarów za jedną procedurę. Jest to wartość czterokrotnie wyższa niż koszt wykonania pełnego sekwencjonowania genetycznego. Jedynym powodem tak wysokiej ceny testu potencjalnie ratującego życie jest polityka prowadzona przez firmę Myriad Genetics. Chociaż Sąd Najwyższy, stojąc na stanowisku, że geny ludzkie nie mogą być objęte ochroną patentową, odrzucił niedawno roszczenia Myriad Genetics do *BRCA1* i *BRCA2*, to firma ta nie ustaje w wysiłkach zmierzających do zdobycia wyłącznych praw do testu określającego podatność na zachorowanie na raka piersi.**

Jeszcze bardziej oburzające w pazerności i żądzy zysku firmy Myriad Genetics jest to, iż większość kosztów związanych z wynalezieniem i opracowaniem testów dotyczących genów *BRCA1* i *BRCA2* została pokryta ze środków publicznych. Badania dotyczące identyfikacji tych genów i ich funkcji związanych z supresją nowotworową finansowane były przez Wydział Medycyny publicznego Uniwersytetu Utah. Myriad Genetics jest po prostu firmą typu start-up, założoną przez badaczy pracujących na tym uniwersytecie w celu przejęcia patentu na nowo odkryty test. Było to możliwe jedynie dzięki przyjęciu w 1980 r. ustawy Bayha-Dole'a.

Motywem opracowania i przyjęcia ustawy Bayha-Dole'a było zwiększenie innowacyjności badań naukowych. Jednym ze środków do osiągnięcia tego celu było usunięcie wszelkich nałożonych na uniwersytety ograniczeń dotyczących możliwości wykorzystania odkryć dokonanych przez działające na ich terenie zespoły badawcze. W efekcie na amerykańskie uczelnie wyższe wpłynąć miały znaczne pieniądze, umożliwiające pokrycie kosztów funkcjonowania laboratoriów oraz zatrudnienia personelu. Instytutom naukowym umożliwiono m.in. zbywanie praw patentowych prywatnym firmom oraz sprzedawanie im na wyłączność licencji związanych z wynikami prac badawczych. Mając w ręku patent, a więc monopol na określoną własność intelektualną, sektor prywatny zyskiwał interes w szybkim wprowadzaniu na rynek zaawansowanych produktów i usług z nim związanych.

Zwolennicy ustawy Bayha-Dole'a przekonywali, że możliwość zarobienia pieniędzy na badaniach zmotywuje społeczność akademicką do podejmowania nowych wyzwań i dokonywania przełomowych

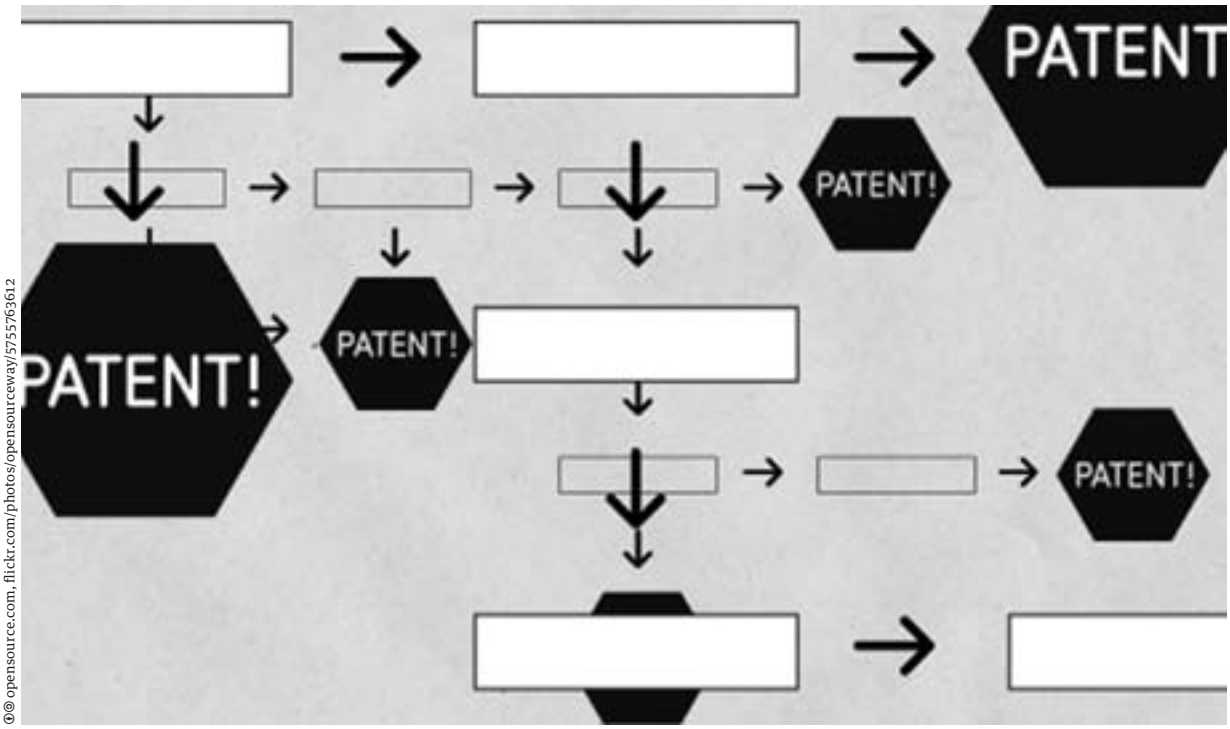

© opensource.com, flickr.com/photos/opensourceway/5755763612

odkryć, a także zachęci kapitał prywatny do adaptowania wynalazków dla celów komercyjnych. Niedługo po uchwaleniu nowego prawa jego następstwa, w tym finansowe, stały się faktem. Naukowcy pracujący na Columbia University wystąpili o ochronę patentową dla procesu kotransformacji DNA, a uzyskany dzięki temu patent (znany jako patent Axela) przyniósł uniwersytetowi setki milionów dolarów ze sprzedanych licencji. Z kolei patent Cohena-Boyera, dotyczący rekombinowanego DNA, przyniósł Uniwersytetowi Stanforda zyski w wysokości ponad 200 milionów dolarów. Wraz z orzeczeniem Sądu Najwyższego z 1980 r. w sprawie Diamond v. Chakrabarty, które umożliwiło ochronę patentową materiału biomedycznego, rozpoczął się boom biotechnologiczny. **Uniwersytety dosłownie rzuciły się do powoływania zaawansowanych laboratoriów naukowych, których celem było tworzenie nowej „własności intelektualnej" przerabianej na patenty i licencje obejmujące wszystko - od opracowywania nowego oprogramowania do sekwencjonowania DNA. Następnie własność intelektualna miała być sprzedawana społeczeństwu.**

Dotychczas odkrycia naukowe będące wynikiem badań prowadzonych na uczelniach publicznych mogły być przekazane firmom przemysłowym jedynie na zasadzie ogólnodostępnych licencji. Przedsiębiorstwa mogły opracowywać na bazie przełomowych badań nowe leki i inne innowacyjne produkty, ale żadne z nich nie miało uprzywilejowanej pozycji. Zwolennicy ustawy Bayha-Dole'a przekonywali, że istnienie okresu, w którym wszyscy w równym stopniu mogą korzystać z odkryć naukowych, jest czynnikiem hamującym innowacyjność. Jeżeli bowiem jedna firma nie posiada wyłącznych praw do dysponowania własnością intelektualną, oznacza to niewielki potencjalny zysk z wprowadzenia produktu opartego na niej. Po co tworzyć innowacyjne rozwiązania, jeżeli konkurencja może zrobić dokładnie to samo i w ten sposób zniwelować potencjalny margines zysku? W efekcie wynalazki w najlepsze gniłyby w szufladach.

Pozornie niewielka korekta regulacji prawnych dotyczących ochrony własności intelektualnej okazała się jedną z głównych przyczyn upadku uniwersyteckiego systemu badań naukowych. Przymus stosowania otwartych licencji chronił akademickie badania naukowe przed gorączką złota spod znaku praw autorskich. Usunięcie tej bariery spowodowało napływ wielkiej fali kapitału z sektora prywatnego, żądnego wyłącznych praw do pionierskich odkryć naukowych. Podmioty prywatne sponsorują dziś instytucje naukowe w zamian za uprzywilejowany dostęp do „transferu technologii", polegającego na przepływie w prywatne ręce licencji na wyniki badań realizowanych za pieniądze publiczne. Wielkie koncerny farmaceutyczne, takie jak Merck czy GlaxoSmithKline, w partnerstwie z prywatnymi i publicznymi uniwersytetami finansują badania dotyczące obecnie nieuleczalnych chorób, z wyraźnym zastrzeżeniem, że to one otrzymają wyłączne licencje na ewentualne owoce pracy badawczej. **Odkrycia te, niezależnie od tego, czy są związane z pierwotnymi celami projektu badawczego czy też nie, przerabia się następnie na skandalicznie drogie lekarstwa i terapie.**

Patenty odbijają się nie tylko na portfelach konsumentów. Ich konsekwencją jest także utrudnienie podejmowania prac badawczych z powodu rosnących kosztów związanych z nabyciem praw autorskich niezbędnych do ich prowadzenia. Laboratoria naukowe zmuszone są płacić tysiące dolarów za dostęp do technologii i procesów, na bazie których powstać mogą kolejne innowacje. [...]

Cechująca współczesną pracę naukową atmosfera ciągłej pogoni za zyskiem jest bardzo odległa od warunków, w jakich pracował Jonas Salk, odkrywca szczepionki przeciwko polio. Jego wynalazek, który wpłynął na życie milionów ludzi na całym świecie, cierpiących na tę wycieńczającą chorobę, został udostępniony za darmo. Salk pytał wówczas retorycznie, czy dopuszczalne byłoby „opatentowanie Słońca" i czerpanie z tego zysków. Dzisiejsza pogoń za czerpaniem finansowych korzyści z własności intelektualnej szybko podąża w kierunku realizacji tej absurdalnej propozycji.

Chociaż wzrost środków inwestowanych w kształcenie społeczeństwa i rozwój nowych technologii jest pozornie w jak najlepiej pojętym interesie społecznym, znaczący napływ prywatnego kapitału do publicznego systemu naukowego prowadzi do degeneracji tego ostatniego. W połączeniu z ostrym ograniczeniem stanowych wydatków na edukację, ustawa Bayha-Dole'a przyczyniła się do prywatyzacji publicznego systemu szkolnictwa wyższego. Pozbawione środków publicznych, uniwersytety stały się w jeszcze większym niż wcześniej stopniu zależne od wsparcia instytucji prywatnych, czy to w formie grantów, czy dotacji. Ten strumień pieniędzy ma destrukcyjny wpływ na kondycję akademii.

Dziedzinami w największym stopniu dotkniętymi konfliktem interesów są farmakologia i biotechnologia. **Naukowcy pracujący w tych branżach są nagminnie wynagradzani za firmowanie swoim nazwiskiem publikacji napisanych przez ghostwriterów, za promocję i opracowywanie leków ze względu na ich potencjał rynkowy, a nie dobro wspólne. Inkasują oni niebotyczne honoraria za usługi doradcze i konsultacje eksperckie oraz za wykłady na konferencjach organizowanych przez lobby przemysłowe. W zamian stają się uległymi najemnikami koncernów.** Przykładem może być historia firmy Pfizer i produkowanego przez nią leku przeciwdrgawkowego Neurontin. Koncern płacił naukowcom po 1000 dolarów za umieszczenie nazwisk pod artykułami napisanymi przez bezimiennego autora, i wygłoszenie na konferencjach referatów wychwalających działanie tego leku. Neurontin pierwotnie przewidziany był dla epileptyków, ale w ramach kampanii promocyjnej zalecano stosowanie go w leczeniu wszelkich problemów psychicznych i neurologicznych, od choroby dwubiegunowej, przez zespół stresu pourazowego i bezsenność, po zespół niespokojnych nóg, uderzenia gorąca, migreny czy napięciowe bóle głowy. W tym i podobnych przypadkach konsumenci są nie tylko dezinformowani na temat bezpieczeństwa i skuteczności leku, ale także w ostatecznym rozrachunku płacą za niego trzykrotnie: dotując badania prowadzone na publicznych uniwersytetach, płacąc wysoką cenę za lek objęty patentem, tolerując odpisy podatkowe dla koncernów farmaceutycznych sponsorujących badania uniwersyteckie.

Nawet w obliczu topniejącego wsparcia budżetowego i rosnącej zależności od pieniędzy z sektora prywatnego uniwersytety nie ograniczyły wydatków, zwłaszcza na nową infrastrukturę. Według opracowania przygotowanego przez McGraw-Hill Construction, budowa nowej infrastruktury dla szkolnictwa wyższego pochłonęła w latach 2010–2012 ponad 11 miliardów dolarów. Uniwersytety liczą, że dzięki wymagającej emisji obligacji rozbudowie kampusów o nowe laboratoria biomedyczne i imponujące obiekty sportowe przyciągną licznych studentów, czołowych naukowców i sponsorów, którzy pomogą pokryć koszty wszystkich tych inwestycji. Prowadząc taką politykę, uczelnie wyższe wpadły w dziką pułapkę przeinwestowania, powodując powstanie spirali zadłużenia. Wydają one ogromne środki na badania, które mają sprowadzić granty zewnętrzne i rozpędzić karuzelę zysków ze sprzedaży własności intelektualnej. Zyski zaś przeznaczane są na pokrycie kosztów rozrastającej się administracji oraz zapewniają obsługę zadłużenia.

Konsekwencje tego wyścigu po pieniądze i sławę ponoszą studenci. W ciągu ostatnich trzydziestu lat opłaty za czesne na uniwersytetach wzrosły średnio sześciokrotnie. Ograniczany jest także dostęp do studiów podyplomowych, nawet w obszarach badań naukowych, na które wydawane są największe pieniądze. Morze prywatnych środków finansujących badania naukowe nie spowodowało rozwoju możliwości kariery naukowej. W miejsce wykwalifikowanej kadry badawczej zatrudnia się słabo opłacanych stażystów, których zadaniem jest produkowanie efektownych wyników przyciągających kolejne granty. Studenci po uzyskaniu stopnia doktora znajdują się w tłumie sobie podobnych, konkurujących o zdobycie nielicznych dostępnych i bezpiecznych socjalnie ofert pracy badawczej w swojej dziedzinie. Owocem takiego systemu jest bardzo konkurencyjny rynek pracy, na którym wielu naukowców walczy o coraz to mniejszą liczbę nowych etatów na uczelniach.

Nacisk na redukcję kosztów dotyka całego systemu szkolnictwa wyższego i badań naukowych. Prowadzi on do tego, że stabilne pozycje profesorskie na

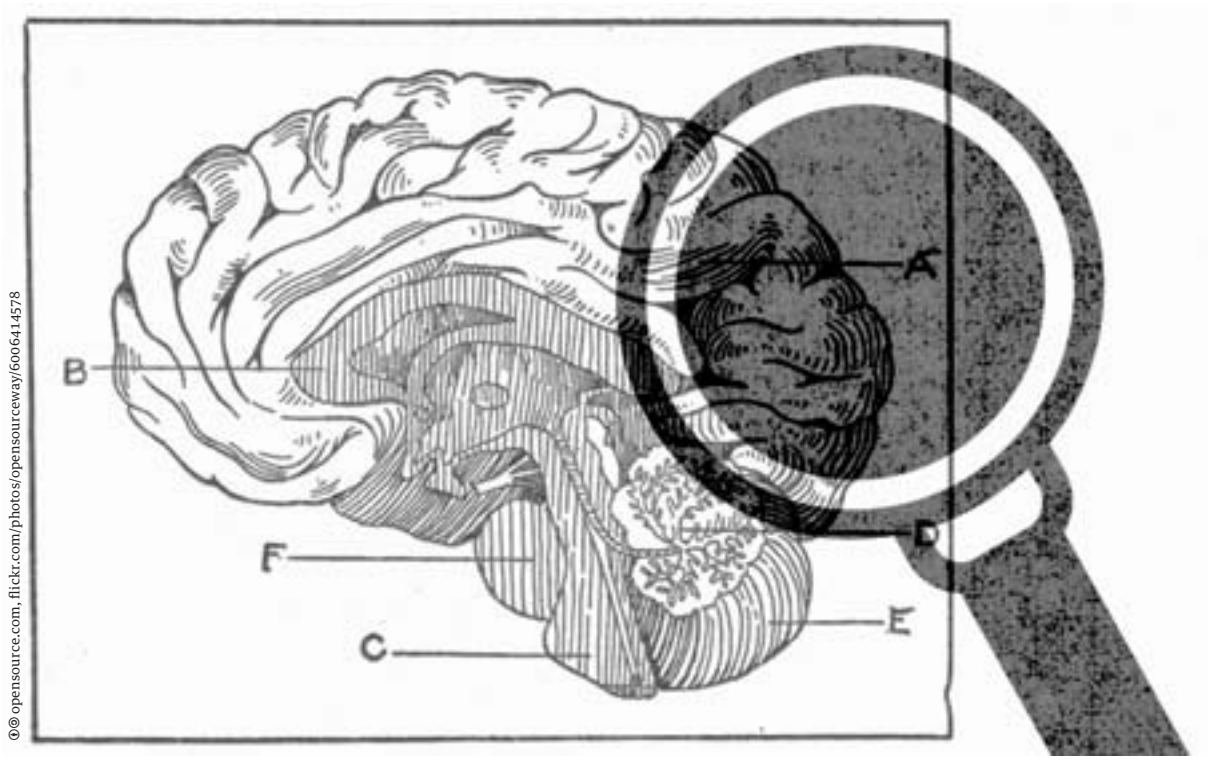

© opensource.com, flickr.com/photos/opensourceway/6006414578

uczelniach zastępowane są kontraktami terminowymi, często gorzej płatnymi i pozbawionymi bezpieczeństwa zatrudnienia. Jednocześnie nieustannie rosną wynagrodzenia administracji i zarządów.

Paula Stephan, profesor ekonomii na Georgia State University, określa to zjawisko mianem piramidy akademickiej, która opiera się na znacznym rozdźwięku płacowym między wzrastającą liczbą niskopłatnych posad dla *postdocs* i pracowników kontraktowych a szybko kurczącą się ofertą zatrudnienia na etatach profesorskich. Taka struktura kadry badawczej wymusza uczestnictwo w brutalnym konkursie piękności i odciska się piętnem na kondycji nauki. Coraz więcej badań o przełomowym znaczeniu dla ludzkości, prowadzonych przez gwiazdy świata naukowego, musi być publikowanych w najlepszych pismach naukowych, żeby skupić na sobie uwagę, pozyskać dalsze środki na prowadzenie badań, podtrzymać uzyskaną pozycję i pokryć koszty utrzymania laboratoriów. W opinii prof. Stephan *większe jest odbierane jako lepsze: wyższe finansowanie badań, więcej publikacji, więcej cytowań, więcej stażystów – i to niezależnie od tego, czy rynek jest w stanie zapewnić im zatrudnienie*.

To już nie zasada „publikuj albo zgiń". To zasada: publikuj przełomowe, prowokacyjne artykuły, których treść może zmieniać nasze rozumienie świata oraz domaga się dalszych badań, a ich wyniki powinny być publikowane w najlepszych pismach naukowych – albo zgiń. W opinii profesora biotechnologii na Stanford University, Stephena Quake'a, działalność naukowa sprowadza się do wyboru: *finansowanie albo głód*. W tak stworzonych realiach atrakcyjne staje się wypaczanie wyników, wybieranie dróg na skróty czy wybiórcze traktowanie badań, a korzyści związane z tego typu praktykami są coraz większe. Celem jest opublikowanie jak największej liczby prac naukowych oraz pozyskanie jak największych projektów badawczych, nieraz za wszelką cenę. Osiągnęło to poziom, na którym naukowcy przekonują, że *opublikowanie nieprawdziwego artykułu nic nie kosztuje. Kosztuje natomiast nieopublikowanie go*. W swojej analizie badań naukowych, publikowanych przez Publiczną Bibliotekę Nauki (Public Library of Science, PLOS), John P.A. Ioannidis obwinia za ten stan rzeczy finansową stronę badań, zauważając, że *im większa jest korzyść finansowa lub inna oraz im więcej w świecie nauki korzyści – finansowej lub innej natury, im więcej jednostronności, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo prawdziwości wyników badań naukowych*.

Rezultaty takiego stanu rzeczy są widoczne gołym okiem. Liczba wniosków do czasopism o wycofanie opublikowanych wcześniej artykułów naukowych rośnie w ostatniej dekadzie w sposób rekordowy. Przyczyną tej sytuacji jest najczęściej błędna metodologia, niewłaściwe podejście do badanego zagadnienia oraz szeroko pojęta nierzetelność naukowa. Problem ten dotyczy w zasadzie każdej dziedziny badań. Odsetek artykułów naukowych, które zostały

wycofane z powodu nieuczciwości lub zaniedbań merytorycznych, wzrósł od 1975 r. dziesięciokrotnie. Zaledwie część wyników badań dotyczących chorób serca i nowotworów wytrzymała próbę czasu, bo wielu rezultatów nie udało się powtórzyć. Teoria procesów starzenia oparta na działaniu wolnych rodników i zbawiennym wpływie antyoksydantów na żywotność komórek została pozbawiona racji bytu, podobnie jak zalecenia USDA dotyczące pomiaru antyoksydantów w żywności. Te fakty postawiły pod znakiem zapytania istnienie i funkcjonowanie przemysłu witaminowych suplementów diety, który opiera się w znaczącym stopniu na zaspokajaniu zapotrzebowania na antyoksydanty. Efekty związane ze stosowaniem kwasów tłuszczowych omega-3, które miały być dobre na wszystko, od zapobiegania nowotworom aż do stymulowania rozwoju mózgu, zostały zakwestionowane po tym, jak kolejne badania nie potwierdziły jakiegokolwiek istotnego oddziaływania. Podane w wątpliwość zostały również zalety regularnego poddawania się badaniu mammograficznemu, po tym jak badania przeprowadzone w ramach Canadian National Breast Screening Study wykazały brak korelacji pomiędzy stosowaniem tej techniki diagnostycznej a śmiertelnością w wyniku zachorowania na raka oraz przypadki mylnych diagnoz pozytywnych.

Choć niewątpliwie istnieje w nauce ogromny obszar badań prowadzonych przy użyciu właściwych metodologii, technik i metod, których wyniki są powszechnie akceptowane, powtarzalne i ważne, to jest on jednak otoczony swoistą chmurą machlojek i nadinterpretacji. Pełne entuzjazmu doniesienia o możliwym odkryciu leku na raka są bezkrytycznie połykane i przetwarzane przez desperacko poszukujące sensacji środki masowego przekazu. Media nie chcą albo nie potrafią identyfikować fałszywych tropów, błędów metodologicznych i nieprawdziwych danych, na podstawie których uzyskano „przełomowe wyniki". Odbiór społeczny i zrozumienie dla tak kontrowersyjnych zagadnień jak modyfikacje genetyczne organizmów czy zaburzacze hormonalne są dodatkowo silnie zakłócone pojawiającymi się wzajemnie sprzecznymi wynikami badań, z których każde wspierają jedną ze stron sporu. W końcu tego typu informacje zamieniają się w krótkotrwałe nowinki dietetyczne czy ostrzeżenia zdrowotne, podobne do twierdzeń, że szczepienia podawane po urodzeniu są przyczyną autyzmu.

© opensource.com, flickr.com/photos/opensourceway/6005871645

Badania prowadzone są często pod presją czasu, a ich wyniki, uzyskiwane i publikowane w pośpiechu, obarczone dużym ryzykiem błędu. Prawdziwa nauka wymaga czasu, a jeszcze dłużej trwa podważenie wyników badań już opublikowanych. Zakwestionowanie przedstawionych niedawno genetycznych testów mających wykrywać autyzm zajęło ponad dziewięć miesięcy, podczas gdy ich opublikowanie (okres od złożenia manuskryptu do skierowania go do druku) trwało łącznie trzy dni. Trudno oczekiwać, aby wielu spośród tych, do których dotarła wiadomość o ekscytującym odkryciu, dotarło do rozczarowującej informacji o jego zakwestionowaniu. Po ukazaniu się publikacji, opisującej z wielkim zadęciem wynalezienie genetycznego testu na długowieczność, wiele małych firm zaczęło oferować przeprowadzenie takich testów. Po wycofaniu tego artykułu – nie z powodu fałszerstwa, a z powodu zastosowania błędnej metodyki badawczej – oferta testów genetycznych z pewnością nie zniknęła z dnia na dzień. Prawdopodobnie żyje własnym życiem w szarej strefie, wykorzystując nikłą świadomość społeczną w zakresie najnowszych osiągnięć naukowych.

Prywatyzacja badań prowadzonych na publicznych uniwersytetach nie tylko zaburza styl pracy naukowej zaczynającej się od hipotezy, a kończącej na wyniku. Wiąże się też z tym, że korupcja w ścisłym sensie tego słowa – tak jak w sytuacji, w której naukowcy opłacani przez prywatne koncerny okłamują społeczeństwo w sprawach dotyczących toksyn znajdujących się w żywności czy zanieczyszczenia powietrza – może prosperować w najlepsze. Naukowcy, w desperackim dążeniu do uzyskania środków finansowych na prowadzenie badań oraz utrzymanie własnego zatrudnienia, są mało odporni na pokusy ze strony nieuczciwych koncernów, których celem jest naginanie nauki do własnych potrzeb. A to wzmacnia z kolei przewrotne mechanizmy wolnego rynku, które biorą we władanie obszary jeszcze nie tak dawno będące domeną publiczną. Gdy zagrożenia zdrowotne związane z rakotwórczymi

substancjami tłumiącymi płomienie są zakłamywane przez przemysł, który jest zainteresowany dalszym ich rozpowszechnianiem, to oznacza to, że nauka ponosi klęskę w walce o dobro społeczne. Ostatecznie, rynkowe podejście do badań podważa sens nauki, która staje się narzędziem do przyciągania uwagi i pieniędzy.

Neoliberalne podejście do uniwersyteckich badań oznacza w istocie powrót do systemu zarządzanego przez prywatne fundacje i darczyńców, pozbawionego bezpieczeństwa zatrudnienia. Do systemu, w którym wiele placówek stanowiło przyczółki naukowe lub tuby propagandowe firm, mając przy tym niewiele wspólnego z produkcją wiedzy naukowej w imię wspólnego dobra ludzkości. Do systemu, w którym profesorowie zdani byli na łaskę i niełaskę darczyńców i rady zarządzającej uniwersytetem. Można było ich natychmiast zwolnić za wyrażanie krytycznych opinii czy publikowanie badań, które mogły zaszkodzić interesom szkoły lub jej sponsorów. Wspieranie praw robotników, opowiadanie się za postulatami socjalistów, nawoływanie do zniesienia niewolnictwa czy informowanie społeczeństwa o szkodliwym działaniu oparów powstających w hutach miedzi mogło skończyć się natychmiastowym wyrzuceniem z pracy. [...]

Bezpieczeństwo zatrudnienia połączone z dostępnością publicznych środków na prowadzenie badań naukowych dało naukowcom wolność ekspresji i umożliwiło pracę bez oglądania się na krótkoterminowe zyski i cele konsumpcyjne, bez presji na szybki zarobek. Odkrycia bez szybkiego i bezpośredniego przełożenia na zysk materialny mogły się dokonywać bez ciągłego przymusu publikowania. **W okresie powojennym dzięki inwestycjom rządowym doszło do szeregu odkryć i przełomów technologicznych, które z dzisiejszego punktu widzenia traktujemy jako oczywiste. To, co wielu określa mianem rewolucji cyfrowej, obejmującej Internet, system GPS czy sekwencjonowanie genetyczne zawarte w patentach Axela, było kiedyś tworzone w ramach ogromnych programów, nadzorowanych i finansowanych przez państwo, a realizowanych na kampusach uniwersyteckich.** Działo się to na długo zanim idee, które doprowadziły do ustawy Bayha-Dole'a, miały szanse narodzić się w czyjejś wyobraźni.

Pomimo argumentów podnoszonych przez zwolenników ustawy Bayha-Dole'a wynalazki te nie zgniły pozostawione w szufladach. ⚒

Tłum. Sebastian Maćkowski

Artykuł pierwotnie ukazał się w czasopiśmie „Jacobin" nr 14. Więcej o piśmie: www.jacobinmag.com. Na potrzeby przedruku poczyniono nieliczne, zaznaczone skróty.

REKLAMA

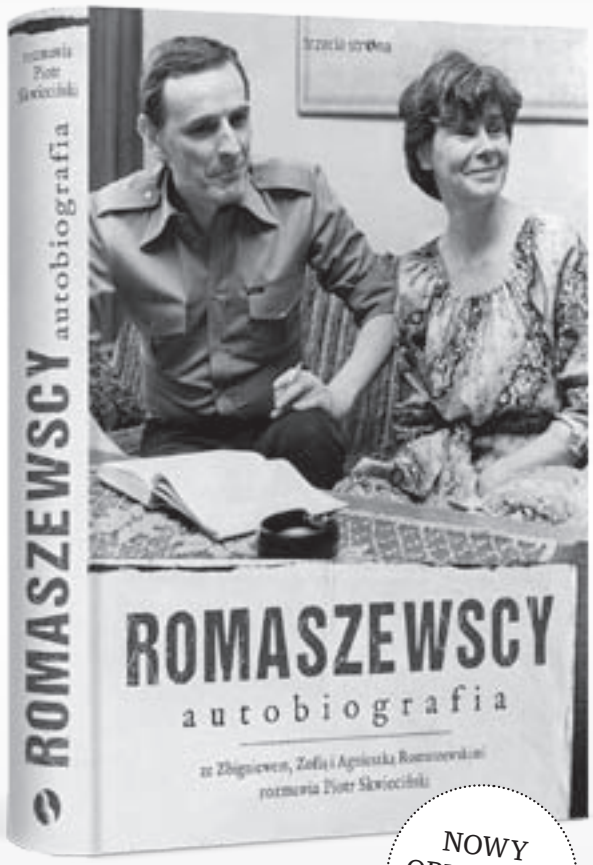

NOWY OBYWATEL **POLECA**

Romaszewscy. Autobiografia

Ze Zbigniewem, Zofią i Agnieszką Romaszewskimi rozmawia Piotr Skwieciński

Fascynująca historia jednej z najbardziej znanych rodzin w polskiej polityce w postaci wywiadu-rzeki z Zofią i Zbigniewem Romaszewskimi oraz ich córką Agnieszką Romaszewską-Guzy. Romaszewscy mówią o dzieciństwie, młodości, politycznym dojrzewaniu i wspólnej walce o wolną Polskę. Zdradzają kulisy funkcjonowania III RP, a ich refleksje mogą stanowić swego rodzaju polityczny testament dla młodszych pokoleń. Wywiad z senatorem Romaszewskim został ukończony na miesiąc przed jego śmiercią.

Wydawnictwo Trzecia Strona
trzeciastrona.pl

Rynek książki czy przeciw książce?

Jarosław Górski

Pod koniec 2011 r. doszło do nagłośnienia w mediach konfliktu między polskimi wydawcami książkowymi i fonograficznymi a siecią dystrybucyjną Empik. Wydawcy zarzucali sieci (a także innym wielkim dystrybutorom detalicznym), że z premedytacją przeciąga terminy spłat należności, odmawia zaległych wypłat, a pozyskane w ten sposób środki wykorzystuje jako nieoprocentowany kredyt na coraz to nowe inwestycje i ekspansję.

Na rynku książki i mediów odraczanie płatności nawet o kilka miesięcy od dostawy jest normalną praktyką, ponieważ oferowany tu towar nie sprzedaje się szybko. Jednak Empik nie dotrzymywał nawet tak wydłużanych terminów płatności. Wielu wydawców, którzy przecież aby wydać książki czy płyty musieli zainwestować spore środki, a także – od początku 2011 r. – zapłacić podatek VAT, stanęło na progu bankructwa, a przynajmniej w obliczu konieczności bardzo znaczących cięć we własnych wydatkach.

Konflikt nabrzmiewał już od lat, jednak nigdy wcześniej nie został tak wyraźnie upubliczniony. Wydawało się, że wydawcy po raz pierwszy stworzyli solidarny front przeciwko bardzo silnemu dystrybutorowi, który opanował ponad 20 proc. detalicznego rynku książki. Z wydawcami solidaryzowali się autorzy, którzy przez opóźnienia w płatnościach sami otrzymywali honoraria z ogromnym poślizgiem. Czytelnicy i osoby związane z branżą wydawniczą **rozpoczęli akcję społeczną „Nie karm książkowego potwora", która informowała publiczność o praktykach wielkich dystrybutorów książek – nie tylko Empiku, lecz także sieci hurtowo-detalicznej Matras, hipermarketów i salonów prasowych. Zachęcano do zakupów z ominięciem dystrybutorów wykorzystujących oligopolistyczną pozycję do wyzyskiwania partnerów, a więc w małych księgarniach tradycyjnych i internetowych oraz w internetowych księgarniach wydawnictw. W 2012 r. akcja „Nie karm książkowego potwora" wygasła.**

Nie znaczy to jednak, że problem zniknął. Empik prowadzi politykę dogadywania się z pojedynczymi wydawcami, wiedząc, że wciąż rosnący dystrybutor, rozprowadzający znaczną część ich produkcji z ominięciem hurtowników, jest na wagę złota, a inne firmy z branży są dla nich konkurentami. Wydawcy zaś po raz kolejny zacisnęli zęby i wprowadzili u siebie rozwiązania, o których mowa będzie niżej, pomagające przetrwać na rynku na warunkach narzucanych przez dystrybutorów. Sytuacja na polskim rynku książki jest coraz gorsza, od kilku lat stale zmniejszają się średnie nakłady, a także liczba sprzedanych egzemplarzy książek, choć wciąż rośnie liczba wydawanych tytułów. W roku 2012 (z którego dostępne są ostatnie dane) wartość sprzedaży nowości po cenach wydawców wyniosła 2,67 miliarda złotych, rok

Lu Dabrowski, flickr.com/photos/lukas834/7264860386

wcześniej 2,71 mld złotych, dwa lata wcześniej 2,94 mld zł. W roku 2012 liczba tytułów, które trafiły do dystrybucji, wzrosła o ponad 10 proc. w stosunku do roku poprzedniego.

Niektórzy tłumaczą ten stan bardzo słabym i wciąż pogarszającym się poziomem czytelnictwa w naszym kraju[1]. Obwiniane są - słusznie - takie zjawiska jak przemiany cywilizacyjne i dominacja kultury audiowizualnej, zmiany wzorców spędzania wolnego czasu, nietrafione reformy szkolnictwa, brak mody na czytanie. Być może warto jednak - uznając zasadność tych rozpoznań - zobaczyć problem także z odmiennej perspektywy. Zapytajmy zatem: jak na czytelnictwo - a co za tym idzie także na wyobraźnię, sposób myślenia oraz intelektualne kompetencje naszych rodaków - wpływa sytuacja na rynku książki? Przyjrzyjmy się jej.

Duży połyka małego

Wielkim dystrybutorom zależy na tym, aby klient wchodzący do stacjonarnego salonu sprzedaży lub logujący się na stronie internetowej sklepu wirtualnego miał wrażenie bogactwa i ciągłego poszerzania ich oferty. Wywierają więc na duże wydawnictwa (a z takimi chcą przede wszystkim robić interesy) presję, aby dostarczały wciąż nowe tytuły. Półki salonów zapełniają się bardzo szybko, szybko też ekspozycja musi się zmieniać. W salonie książka jest fizycznie obecna przez najwyżej trzy miesiące, później musi ustąpić miejsca nowym tytułom. Oczywiście nie dotyczy to pozycji, które zdobyły status bestsellera - one są na półkach tak długo, jak długo dobrze się sprzedają.

W Empiku czy Matrasie można zamówić także książkę nieobecną już na półce, która zostanie dostarczona do salonu po kilku dniach lub wysłana na adres domowy klienta. Może być ona obecna w ofercie sieci jeszcze przez kilka lat od wydania, tak długo, jak długo egzemplarze posiada wydawca. Dla sieci sprzedawanie książek, które nie zajmują sklepowych półek, a ściągane są bezpośrednio z magazynów, jest bardzo opłacalne, jednak jest to margines sprzedaży. Klienci kupują przeważnie to, co znajdą na regałach. Mimo bardzo dynamicznego rozwoju księgarni internetowych, sprzedaż z półek jest w naszym kraju nadal większa od sprzedaży internetowej i wysyłkowej.

Dynamikę udziału procentowego poszczególnych kanałów dystrybucji w sprzedaży detalicznej książek ilustruje tabela:

	1998	2004	2008	2012
Księgarnie indywidualne	45	24	17	12
Sieci księgarskie	5	12	19	26
Domy Książki	9	6	4	2
Hipermarkety	5	8	12	16
Kioski i saloniki prasowe	5	6	7	6
Akwizycja	9	9	3	3
Internet	0	5	13	25
Kluby i wysyłka	24	29	25	10

Tabela pokazuje sprzedaż książki papierowej. Sprzedaż książki elektronicznej, mimo że od kilku lat również szybko w Polsce rośnie, stanowi obecnie kilka procent wartości całego rynku książki (ok. 2 proc. w 2012 r.).

Duże wydawnictwa, które chcą być obecne w ofercie wielkich dystrybutorów, również muszą sprawiać wrażenie, że oferują bogaty wybór. Zatem obok spodziewanych bestsellerów, które mają szanse na przyniesienie dużego zysku – drukowanych w dużych nakładach, staranniejszych edytorsko, reklamowanych w mediach i na billboardach – dostarczają wiele tytułów niemających większej szansy na odniesienie rynkowego sukcesu. Jest to najczęściej literatura pozbawiona poważnego reklamowego wsparcia, wydawana w małych nakładach. Po kilku tygodniach sprzedaży stacjonarnej, 2-3 latach obecności w elektronicznych katalogach i księgarniach, będzie w końcu wyprzedawana, przynosząc niewielki zysk lub częściej – niewielką stratę. Miejsce na półkach salonów jest cenne i zarezerwowane dla szybko zmieniających się absolutnych nowości oraz sprzedażowych hitów.

Klient poszukujący ambitnej literatury wydanej nieco dawniej niż w ostatnim miesiącu może mieć wrażenie, że półki Empików i Matrasów wypełnione są literacką produkcją wątpliwej jakości, a coraz bardziej pozbawione tego, co wartościowe. Jest w tym sporo racji. Empik ostatnimi laty ogranicza swoją stacjonarną ofertę. Ponadto pozycje wartościowe łatwo przegapić, bo literatura, także współczesna, aby zyskać należne sobie uznanie, musi się nieco „uleżeć", mieć czas na dotarcie do znawców, krytyków oraz czytelników-koneserów, którzy po przeczytaniu będą ją polecać znajomym.

Oczywiście w przypadku kiedy książka, która już spadła z półek salonów, dostanie głośną nagrodę literacką lub w jakikolwiek inny sposób zyska rozgłos (np. autor będzie uczestnikiem głośnego skandalu), wtedy wróci do stacjonarnej sprzedaży, a pracownicy sieci i hurtowni będą domagać się od wydawnictwa błyskawicznych dodruków. Tak było np. z powieścią „Pióropusz" Mariana Pilota – autora przecież uznanego, z olbrzymim dorobkiem literackim. Powieść, znakomicie recenzowana, przez niemal rok obecności na rynku osiągnęła średnią jak na nasze warunki sprzedaż – ok. 3000 egzemplarzy – i w sklepach wielkich sieci była już niedostępna. Jednak gdy w 2011 r. została laureatką najbardziej prestiżowej w Polsce nagrody „Nike", po kilku dniach niezbędnych na dodruk pojawiła się w najbardziej eksponowanych miejscach salonów sprzedaży.

Jeszcze szybciej niż w sieciach księgarskich zmienia się oferta w hipermarketach i dyskontach. Ponieważ rzadko odwiedza je klient nastawiony specjalnie na kupno książki, a częściej taki, który kupuje ją przy okazji innych zakupów, sprzedaje się tam najchętniej albo książki szczególnie głośnych autorów, albo szczególnie tanie. Sieci hipermarketów współpracują z hurtowniami książek, które wyszukują i układają ofertę, domagając się od wydawców największych rabatów, jako że i cena detaliczna będzie tam niższa niż gdzie indziej. Ostatnio częsta jest praktyka drukowania dla dyskontów specjalnych nakładów bestsellerów, których cena okładkowa jest dużo, nawet ponad dwukrotnie, niższa niż w księgarniach. Dla wydawców współpraca z sieciami hipermarketów stanowi konieczność ze względu na ogromną skalę ich działalności. Jednak obarczona jest sporym ryzykiem, gdyż w takich miejscach egzemplarze książek najczęściej ulegają uszkodzeniom i najszybciej są usuwane z półek, by zrobić miejsce dla nowej oferty. Co gorsza, nie trafiają później do sprzedaży internetowej, ale są zwracane wydawcy lub przeceniane znacznie poniżej pierwotnej ceny zbytu.

Błyskawiczna rotacja na półkach, pozorne bogactwo asortymentu, a także oferowane przez wielkie sieci ogromne upusty i częste przeceny książek właściwie eliminują z rynku indywidualne księgarnie. One ze względu na swoją skalę nie mogą liczyć nawet na taką marżę, jaką w salonie dostaje często klient w ramach promocyjnego upustu. W mieście, w którym pojawi się Empik, Matras lub od niedawna Świat Książki, dni małej księgarni są policzone. Jest to duża strata dla czytelników, którzy poszukują oferty ambitniejszej, przede wszystkim znikają bowiem księgarnie nastawione na takiego czytelnika: literackie, naukowe, uniwersyteckie itp. W małych księgarniach, także „ogólnych", zazwyczaj książka dostępna jest na półkach dłużej. Księgarze są także skłonni lepiej ją eksponować bez dodatkowych opłat oraz zachęcać do jej zakupu. Lepiej poznają też upodobania czytelnicze swoich klientów (dzięki relacjom osobistym, a nie tylko z raportów sprzedaży) i mogą bardziej elastycznie dostosowywać do nich

© Kuba Bożanowski, flickr.com/photos/jbozanowski/2067770494

ofertę - choć właśnie przez to ich oferta sprawia wrażenie dużo uboższej.

Nieduże księgarnie i mniejsi, sprofilowani sprzedawcy internetowi stanowią też szansę dla niewielkich ambitnych wydawnictw, które ze względu na małą skalę działalności nie mają możliwości umieszczenia swoich książek na półkach wielkich sieci czy na głównych stronach ich sklepów internetowych. **Ktokolwiek kupował kiedyś książki w salonie sieciowym, a tym bardziej w hipermarkecie, wie, że ich pracownicy mogą co najwyżej wskazać czytelnikowi właściwy dział albo książki z listy najlepiej się sprzedających, jednak nie pomogą mu w dokonaniu szczegółowego wyboru.**

Ceny - niższe być nie mogą

Średnia cena egzemplarza książki w Polsce w detalu wynosiła w 2012 r. 38,7 zł przy cenie zbytu (wydawnictwa) 23,1 zł, czyli ok. 60 proc. ceny okładkowej. **Towarzyszy jej przekonanie, że książki w Polsce są za drogie i wciąż drożeją. W istocie jednak od końca lat 90. ich ceny rosną mniej więcej równo ze wskaźnikiem inflacji, z widocznym wahnięciem w górę w latach 2010-2011, kiedy to obłożone zostały 5-procentową stawką VAT.**

Książki są przy tym dobrem kupowanym po zaspokojeniu bardziej podstawowych potrzeb. Zatem wrażenie czytelnika, że kiedyś było go stać na kupno większej liczby egzemplarzy może wynikać po prostu stąd, że dawniej po dokonaniu podstawowych opłat i niezbędnych zakupach, zostawało mu więcej środków, które mógł przeznaczyć na konsumpcję kulturalną (w tym książki). Dziś, w porównaniu z latami 90., wydatki gospodarstw domowych na kulturę i komunikację zawierają także więcej wydatków konkurujących z zakupami w księgarni, takich jak opłaty za telefon komórkowy, Internet i telewizję kablową, a także na częstą wymianę sprzętu elektronicznego. Jak wynika z badań Głównego Urzędu Statystycznego, w roku 2011 największe kwoty wśród wydatków na kulturę gospodarstwa domowe przeznaczyły na telewizję kablową (przeciętnie 138,96 zł na osobę rocznie, czyli 34,3 proc. wszystkich wydatków na kulturę), a na zakup książek (nie licząc podręczników i innych książek do nauki) oraz na bilety instytucji kulturalnych (kino, teatr, muzea itp.) łącznie tylko 19,32 zł (4,8 proc. wydatków na kulturę)[2].

Cenę książek w naszym kraju podnoszą bardzo małe - jak na liczbę ludności - nakłady poszczególnych tytułów. W roku 2012 średni nakład książki

wynosił w Polsce: w gatunku beletrystyka 2680 egzemplarzy; książka dziecięca - 3495 egzemplarzy; książka szkolna - 9673 egzemplarzy; książka naukowa i fachowa - 2097 egzemplarzy. Oczywiście w średniej mieszczą się i wielkie hity (ostatnio największym był sadomasochistyczny thriller erotyczny E.L. James „Pięćdziesiąt twarzy Greya", sprzedany tylko w roku 2012 w 300 tys. egzemplarzy), i liczne książki w nakładzie 200-300 egzemplarzy, które wymagają zewnętrznego dotowania albo przynoszą straty. Jednak dystrybutor zarabia na każdym sprzedanym egzemplarzu, unikając przy tym umieszczania na półkach książek, które mogą się nie sprzedać.

W cenie zbytu egzemplarza, wynoszącej ok. 40-60 proc. ceny okładkowej, mieszczą się także koszty przerzucane na wydawców przez - uprzywilejowanych na rynku - hurtowników i wielkich dystrybutorów. Są to m.in. koszty marketingu, promocji i reklamy tytułu. To wydawnictwo płaci za powierzchnię reklamową, bezpłatne egzemplarze recenzenckie (nawet po kilkaset egzemplarzy jednego tytułu, co przy niewielkich jednostkowych nakładach jest sporym obciążeniem) oraz za przywileje sprzedażowe u dystrybutorów, takie jak obecność książki na półkach salonów przez czas dłuższy niż kilka tygodni, eksponowanie tytułu nie grzbietem, ale okładką do klienta, umieszczenie tytułu na stojaku z nowościami, eksponowanie okładki i informacji o książce w gazetce sieci handlowej, na stronie głównej księgarni internetowej, a czasem także (*sic!*) na liście najlepiej sprzedających się tytułów. Dodatkowo coraz częściej dystrybutorzy przerzucają na wydawców koszty logistyki i magazynowania książek - na półce salonu trzyma się tylko niewielki zapas danego tytułu, a kiedy się kończy, wydawca lub hurtownik musi natychmiast dowieźć następne egzemplarze, nierzadko omijając nawet magazyny sieci. Podobnie dzieje się w przypadku sprzedaży internetowej - sprzedawca nie ma oferowanych tytułów w swoich magazynach, lecz po otrzymaniu zamówienia przekazuje je do wydawcy lub hurtownika, który musi dostarczyć egzemplarz.

Naturalnie to wydawnictwo ponosi również całkowite koszty słabej sprzedaży swoich tytułów, a także egzemplarzy zniszczonych u dystrybutorów (choćby przez klientów przeglądających książki). Wydawnictwa są ponadto zmuszane przez wielkie sieci dystrybucyjne do partycypowania w kosztach często urządzanych promocji, przecen i wyprzedaży.

Szczególnie istotnym kosztem, który musi być wkalkulowany w cenę zbytu egzemplarza książki, jest długie oczekiwanie na zapłatę za dostarczone egzemplarze. W ten sposób powstaje samonakręcający się mechanizm wyzysku, bo wydawcy „fundują" sieciom dystrybucyjnym darmowy kredyt na

© Colton Witt, flickr.com/photos/fuzzylittlemanpeach/4689679368

ekspansję, wyeliminowanie księgarni mniejszych, przyjaźniejszych wydawcom i dalsze wzmocnienie pozycji, dzięki której z kolei dystrybutorzy mogą tym skuteczniej narzucać im swoje warunki.

Wyzyskiwani wyzyskują

Wydawcy próbują rekompensować sobie wzrost kosztów przez podnoszenie cen zbytu, jednak tu ogranicza ich konkurencja oraz niska zdolność nabywcza polskich czytelników.

Starają się więc ciąć koszty - także metodą starą jak świat: przenoszeniem wyzysku niżej, na tych, których pozycja jest jeszcze słabsza. A więc na autorów, własnych pracowników i współpracowników.

Autorzy zapewniający wydawnictwom książki sprzedające się w wielkich nakładach są w tej sytuacji na wagę złota. Mogą oni w związku z tym liczyć na wysokie zaliczki (rzędu kilkunastu, kilkudziesięciu tysięcy złotych) oraz na bardzo wysokie honorarium, nieznacznie przekraczające 20 proc. ceny zbytu, czyli ok. 10 proc. ceny okładkowej książki. Jednak na zarobek w miarę adekwatny do umiejętności i wysiłku niezbędnego dla stworzenia książki nie mogą liczyć nawet autorzy o ustalonej pozycji na rynku, których książki sprzedają się w przyzwoitych nakładach. **Dużych rozmiarów powieść, która sprzeda się w nakładzie 10 000 egzemplarzy (a więc jak na polskie**

warunki znakomitym) w cenie księgarnianej 40 zł, przyniesie autorowi wraz z zaliczką ok. 20-30 tys. zł brutto, zwykle do podziału z agentem literackim, biorącym 10-20 proc. honorarium. Autor „zapełniacza półek" o cenie okładkowej 30 zł, którego dzieło sprzeda się w nakładzie 2000 egzemplarzy, dostanie łącznie 2-3 tys. zł w ciągu dwóch-trzech lat.

Jednak coraz więcej wydawnictw fabrykujących niskiej jakości, sformatowaną i schematyczną literaturę popularną w małych nakładach, pozyskuje autorów, którzy za swoje pierwsze książki nie domagają się zaliczki (lub dostają symboliczną, kilkaset złotych) i godzą się na honoraria rzędu 3-5 proc. ceny okładkowej. Pojawia się także coraz więcej firm wydawniczych proponujących różne warianty finansowania wydania, marketingu i dystrybucji książki przez autora. I chętnych na takie usługi nie brakuje. Wydawane w ten sposób produkty mają z reguły bardzo niską jakość literacką i fatalną edytorską, jednak można je sprzedawać taniej. Inaczej niż dawniej, kiedy autor wydający dzieło własnym nakładem odbierał paki książek z drukarni, a później upraszał księgarzy i znajomych o kupienie kilku egzemplarzy - trafiają na rynek i przez kilka tygodni obecne są na półkach sieci lub księgarni, z którymi współpracuje wydawca. Im więcej jest chętnych na dostarczenie materiału literackiego za darmo lub nawet na dopłacenie do jego wydania, tym słabsza staje się w rozmowach z wydawcami pozycja pisarzy, dla których honorarium jest kwestią istotną, nawet gdy twórczość tych drugich wyraźnie przewyższa jakością to, co dostarczają pierwsi. Zapewne proces ten będzie postępował, gdy zwiększy się w naszym kraju sprzedaż książki elektronicznej i rozwiną się internetowe platformy self-publishingowe pozwalające każdemu zaoferować swoją twórczość z ominięciem wydawcy (a więc również, w dużym stopniu, edytorskiej obróbki), wyłącznie za pośrednictwem i przy zarobku dystrybutora detalicznego.

Autorzy próbujący na swojej pracy zarobić spotykają się także z bardzo długim zwlekaniem przez wydawnictwa z rozliczaniem sprzedaży - często, choć nie wyłącznie, wynika to z winy dystrybutorów nie płacących w terminie wydawcom oraz ze specyfiki rynku, kłopotów z rozliczaniem zwrotów itp. Nierzadkie jest zatajanie prawdziwych jej wyników, choć tu sprzymierzeńcem autorów stał się podatek VAT na książki, dzięki któremu wydawnictwo musi rejestrować faktyczną sprzedaż. Zdarza się wulgarny szantaż („jeśli będziesz się zbyt natarczywie domagał honorariów, to nie wydamy, nie będziemy reklamować, nie zgłosimy do nagrody twojej następnej książki") lub inne wytwory nowoczesnego „zarządzania zasobami ludzkimi" („tylko prezes może podpisać przelew, a prezesa nie ma i nie wiadomo, kiedy będzie").

Wydawnictwa chętnie przerzucają na autorów część kosztów marketingowych. Wywierają presję na darmowe prowadzenie blogów i stron internetowych, zabieganie o obecność w mediach, utrzymywanie kontaktów z recenzentami i coraz liczniejszymi blogerami literackimi. Autorzy sami piszą notki informacyjne na okładki (tzw. blurby) i ulotki informacyjne, czasem organizują sobie spotkania promocyjne. Nakłania się ich, aby bez wynagrodzenia, dla celów marketingowych, brali udział w programach telewizyjnych czy radiowych, pisywali artykuły publicystyczne do prasy (w zamian za ukazanie się informacji o ich książce). Wielu jest oczywiście autorów, dla których obecność w mediach jest atrakcją samą w sobie i to oni są stawiani za nieodparty przykład tym, którzy uważają, że także pozaliteracka praca pisarza oraz dostarczanie mediom atrakcyjnych treści powinny być wynagradzane. Czasami rozgłośnie radiowe, które zobowiązane są do płacenia przyzwoitych honorariów autorom czytanych na antenie utworów literackich, zgłaszają się do wydawców z propozycją nie do odrzucenia: będą emitować czytaną powieść czy opowiadania ich autora pod warunkiem, że ten dobrowolnie zrezygnuje z wynagrodzenia. Wielu autorów, także uznanych i jak na polskie warunki poczytnych, godzi się na to.

Literatura tworzona przez rynek

Taki stan rzeczy ma istotne konsekwencje dla samej jakości produkcji literackiej. Wydawnictwa, przerzucając koszty promocji na autorów, faworyzują tych, którzy w taki czy inny sposób są sobie w stanie taką promocję zapewnić, czyli m.in. celebrytów oraz osoby pracujące w mediach lub ze względów towarzyskich mające do nich dostęp. Jakość artystyczna, a nawet potencjał rynkowy utworu stają się kwestiami drugorzędnymi. Coraz rzadsze są przypadki, kiedy wydawca gotów jest ponieść koszty reklamy i promocji książki autora o mniej znanym nazwisku lub dzięki kontaktom w mediach i środowisku literackim wypromować książkę, którą sam uważa za znakomitą (*casus* „Wojny polsko-ruskiej…" Masłowskiej sprzed kilkunastu lat).

Unikanie przez wydawców ryzyka finansowego powoduje niechęć do eksperymentowania i wydawniczej kreatywności, a więc także do dzieł nieoczywistych gatunkowo czy z przesłaniem idącym w poprzek obiegowym opiniom. Najchętniej przyjmowane są przez wydawnictwa maszynopisy dobrze wpisujące się w gotowe formaty literackie, takie jak kryminał, romans czy tzw. *chick lit* (lekka fabuła obyczajowa dla młodych kobiet, często z wyraźnym elementem pornograficznym), erotyka, różne gatunki fantastyki, reportaż podróżniczy, biografie, sensacje historyczne i polityczne itd. Wydawcy zdają sobie sprawę, że kupujący książki w sieciach i hipermarketach masowy czytelnik ma sprecyzowane oczekiwania: nie lubi być zaskakiwany, chce być dobrze poinformowany o zawartości książki przez okładkę, odpowiedni dział na półce salonu sprzedaży, ewentualnie przekartkowanie i przeczytanie przypadkowego fragmentu.

Jakość przechodzi w ilość

Potrzeba jak najściślejszego wpasowania utworu w format powoduje, że redaktorskie ingerencje w oddany przez autora tekst bywają bardzo poważne. Redaktor zamawiający, zwany też w niektórych wydawnictwach – chyba słusznie – menedżerem produktu lub menedżerem projektu, ocenia utwór pod kątem jego potencjału rynkowego i domaga się od autora wprowadzenia zmian i poprawek koniecznych z tego punktu widzenia. Żąda się często zmian bardzo głębokich, dotyczących przebiegu fabuły, konstrukcji bohaterów, tonacji i przesłania utworu. Często zresztą redaktorzy pracujący dla wydawcy sami dokonują takich ingerencji, które na zasadzie propozycji nie do odrzucenia przedstawiają później autorowi do akceptacji. Oczywiście wydawcom najbardziej opłaca się publikacja takich dzieł, które nie wymagają dużego nakładu pracy. Dlatego najchętniej współpracują z autorami, którzy sami domyślają się, jaka zawartość maszynopisu jest oczekiwana.

Konieczność szybkiego dostarczania dystrybutorom kolejnych nowości powoduje, że jakość bardzo szybko zamienia się w ilość. W cenie są więc autorzy, którzy piszą szybko i zgodnie ze schematem gatunku. Coraz częściej są nimi absolwenci bardzo ostatnio rozpowszechnionych szkółek i kursów kreatywnego (*sic!*) pisania, uczących sprawnego wpasowywania się w podstawowe rynkowe formaty.

Pisarzom tworzącym literaturę popularną, którzy odnieśli pewien (niekoniecznie oszałamiający) rynkowy sukces, proponuje się bezpieczne pod względem finansowym szybkie jego dyskontowanie kolejnymi utworami jak najbardziej przypominającymi poprzednie, zamiast ryzykownej eksploracji nowych tematów i form. Stąd kontynuacje fabuł w seriach czy popularne książki o historycznych sensacjach, kontynuujące motyw, który się sprawdził (skoro dobrze sprzedał się „Seks w starożytnym Rzymie", to ten sam autor pisze później „Słynne nierządnice Renesansu", „Sekretne życie średniowiecznych mnichów" itp.). Regułą jest, że kolejne książki w takich seriach są przez pośpiech napisane mniej starannie od poprzednich, widać w nich brak pomysłu, polotu, niekonsekwencje fabuły czy błędy w dokumentacji. Często bywa też tak, że kolejne książki z takiej serii mają niższe nakłady. Jednak trafiony pomysł eksploatuje się tak długo, jak długo sprzedaje się on we w miarę dobrej ilości. Później mówi się, że „format się wyczerpał", co często oznacza tyle, że czytelnik się do niego zniechęcił.

Warto zastanowić się, a może i kiedyś zbadać, czy niecierpliwy, niemający silnych czytelniczych nawyków ani potrzeb polski czytelnik, zniechęcony do kolejnego autora czy formatu porzuca tylko „winnych", czy też przenosi swoje zniechęcenie na czytanie w ogóle. Z jednej strony bowiem wydawcy i dystrybutorzy, proponując formaty, odpowiadają na oczekiwania czytelnika, który chce otrzymać możliwie łatwo przyswajalny i bezpieczny poznawczo produkt. Z drugiej jednak, kształtują w ten sposób kompetencje czytelnicze odbiorców, co ma tym silniejsze oddziaływanie, im bardziej szkoła i instytucje edukacji publicznej z tego zadania rezygnują. Czytelnikom przyzwyczajonym do łatwego, sformatowanego przekazu będzie się bardzo trudno przekonać do literatury ambitniejszej, nie tylko formalnie bardziej skomplikowanej, ale też niosącej bardziej złożone i niejednoznaczne przesłania. Każde odejście od formatowych schematów będzie przez nich odbierane jako irytujące, niedopuszczalne. Jednocześnie fani poszczególnych formatów prędzej czy później odczuwają znudzenie, dlatego że wciąż mają do czynienia z utworami bardzo do siebie podobnymi. A ponieważ

czytanie i książki kojarzą się im właśnie z formatem, są oni skłonni porzucać nie tylko nużący format, ale i czytanie w ogóle, co w świecie proponującym mnóstwo atrakcyjnych form spędzania wolnego czasu nie jest kłopotliwe.

Podobny proces inflacji jakościowej może zresztą dotyczyć także literatury cieszącej się opinią ambitniejszej. W ciągu ostatnich kilkunastu lat wysoką markę wyrobił sobie polski reportaż literacki, a książki polskich autorów tego gatunku uzyskują przyzwoite nakłady. Ostatnio jednak i u reportażystów daje się zauważyć symptomy presji na nowości. Obszerny reportaż literacki jest gatunkiem wymagającym od autora sporych nakładów finansowych (koszty podróży, researchu itp.), czasu i całkowitego oddania się pracy (trudno pisać reportaż podróżniczy w wolnym czasie po powrocie z biura). Niełatwo więc dostarczać co rok pełnowartościową nowość. Coraz więcej pojawia się w związku z tym zbiorków tekstów reporterów, w których nazwisko autora i szata graficzna serii sugerują, że będą to klasyczne reportaże literackie. Tymczasem bywa, że kilka krótkich reportaży obudowuje się tu np. obszernymi fragmentami dziennika, luźnymi zapiskami, tekstami felietonowymi. Autorzy zgadzają się na takie manipulacje, ponieważ obawiają się, że czytelnik, zasypywany błyskawicznie wciąż nowymi propozycjami, bardzo szybko zapomni ich nazwiska. Pytanie tylko, czy zapomni także o zawodzie, jakiego doznał przez autora obniżającego z premedytacją jakość swoich produktów.

Przyczyny i skutki cięcia kosztów

Ograniczanie początkowych nakładów, za którym idzie także zmniejszanie zależnych od sprzedaży (realnej - a nie spodziewanej) honorariów autorskich, jest jednym ze sposobów cięcia kosztów. Książka wymaga jednak zarazem poniesienia pewnych kosztów stałych. Trzeba zamówić okładkę, ewentualne ilustracje, tekst musi być przetłumaczony (w przypadku przekładu), zredagowany, poddany korekcie, złożony. **Koszty stałe powodują, że przy zmniejszaniu się nakładu znacząco rośnie koszt jednego egzemplarza. Wydawcy starają się więc go zmniejszyć, co powoduje z kolei, że książki mają coraz niższą jakość językową i edytorską.**

Obniża się również jakość graficzna książek. Wydawnictwa oferują grafikom coraz niższe honoraria, wymagając od nich zarazem nie tyle ciekawych artystycznie projektów okładek i szaty graficznej książek, co po prostu krzykliwego przekazu reklamowego, skierowanego do najmniej wymagającego czytelnika. Skoro książka o małym nakładzie nie może liczyć na wsparcie reklamowe wydawcy, musi zachęcić

W mieście, w którym pojawi się Empik, Matras lub od niedawna Świat Książki, dni małej księgarni są policzone.

© paukrus, flickr.com/photos/paukrus/7254820164

klienta salonu sprzedaży lub internautę wyrazistym obrazkiem i liternictwem okładki. Wiele okładek tworzonych jest dzięki komputerowym generatorom, wykorzystującym dostępne w internetowych bazach fotografie, ilustracje i wzory liter. Zdarza się wcale nierzadko, że ta sama fotografia wykorzystywana jest na okładkach kilku książek, które nie reprezentują nawet podobnego gatunku. Bardzo częste jest podpatrywanie i adaptowanie przy niewielkich przeróbkach rozwiązań graficznych zagranicznych wydawnictw. Okładki, mimo swojej pozornej atrakcyjności, są do siebie podobne, monotonne, brzydkie, rzadko nawiązują do zawartości książek, a częściej po prostu informują o tym, jaki gatunek książka reprezentuje. Przyczyniają się do kształtowania złego gustu u jednych czytelników, innych zniechęcają.

Bardzo widoczne są także oszczędności wydawnictw na redakcji i korekcie tekstu. Coraz więcej wydawnictw, i to nie tylko tych z najniższej półki, korzysta z zewnętrznych usług redaktorów językowych i korektorów, oferuje coraz niższe stawki za arkusz lub zleca korektę praktykantom w ramach bezpłatnych stażów. Niektórzy wydawcy całkiem rezygnują z korekty złożonego już tekstu i, co jeszcze niedawno było nie do pomyślenia, zlecają tej samej osobie redakcję i korektę. Wydawnictwa oferujące publikację książek ze współfinansowaniem autora bardzo często po prostu nie wywiązują się ze swoich zobowiązań w zakresie prac redakcyjnych. **Szczególnie niebezpiecznym dla polskiego czytelnictwa zjawiskiem jest oszczędzanie na pracy profesjonalnych tłumaczy i zatrudnianie za grosze osób jako tako znających język oryginału, lecz bez literackiej sprawności w języku własnym. Profesjonalny, doświadczony tłumacz bierze – w zależności od stopnia trudności tekstu, rzadkości języka itp. – 600–1200 zł za arkusz przekładu. Wiele wydawnictw zatrudnia tymczasem amatorów za 200–400 zł lub zgoła „za doświadczenie". Sam spotkałem się już z propozycją redakcyjnego (za niewysoką stawkę) opracowania przekładu dokonanego przez… tłumacza elektronicznego.** Wszystko to powoduje, że coraz gorszy jest także poziom językowy większości publikacji, a książki pisane fatalnym, urągającym wymogom składni i poprawności, językiem, pełne błędów ortograficznych i interpunkcyjnych, zniechęcają do czytania także tych czytelników, których wydawcy i dystrybutorzy traktują jako mało wymagających i niewartych większych starań.

Światełka w tunelu

Negatywnym, również dla poziomu i jakości polskiego czytelnictwa, skutkom zdominowania detalicznej dystrybucji książek przez wielkie sieci i hipermarkety próbują się przeciwstawiać instytucje jednoczące wydawców. Polska Izba Książki rozpoczęła prace nad projektem ustawy o jednolitej cenie nowości wydawniczych. Gdyby Sejm taką ustawę przyjął, wszystkie bez wyjątku podmioty handlu detalicznego (tradycyjne i internetowe) byłyby zmuszone sprzedawać każdą książkę przez rok od jej ukazania się na rynku w tej samej cenie końcowej. A więc wielcy detaliści sieciowi, hipermarkety i dyskonty, a także ogromne księgarnie internetowe (jak wchodzący niedługo na nasz rynek gigant Amazon) **nie mogłyby dłużej wykorzystywać swojej skali do eliminowania mniejszych dystrybutorów poprzez zabójcze dla nich upusty oraz wymuszanie na wydawnictwach coraz większych rabatów finansujących te upusty.** Paradoksalnie więc zmuszenie wielkich sieci do sprzedawania książek po cenie okładkowej może się przyczynić do obniżenia średniej ceny książki. Podobne ustawy obowiązują z powodzeniem od trzydziestu lat we Francji (tzw. prawo Langa, od nazwiska słynnego ministra kultury, który w pierwszej połowie lat 80. przeforsował tę ustawę, wśród wielu innych rozwiązań chroniących rodzimą kulturę przed destrukcyjnym wpływem korporacyjnej komercjalizacji) i w Niemczech. **Nietrudno się domyślić, że próby wprowadzenia tego rozwiązania spotykają się jednak z protestami w imię „prawa do niskich cen", wolności przedsiębiorczości czy haseł w stylu „książka to taki sam towar jak każdy inny".**

Wsparciem dla autorów oraz w pewnej mierze także wydawców może stać się przygotowywane już w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego tzw. Public Lending Right. Prawo to gwarantuje twórcom książki (nie tylko autorom, ale także tłumaczom, ilustratorom, autorom fotografii) i wydawcom honorarium za wypożyczenia ich dzieł w bibliotekach publicznych. Jest to rozwiązanie korzystne nie tylko dlatego, że autorzy i wydawnictwa dodatkowo zarobią (co w pewnym stopniu zrekompensuje im straty wynikające z darmowego udostępniania ich twórczości), ale także dlatego, że do kondycji finansowej autora lub wydawnictwa będą mogli dołożyć drobną cząstkę również bibliotekarze-pasjonaci polecający książkę swoim czytelnikom. Wdrożenia tego rozwiązania wymagają od nas przepisy unijne, zostanie więc ono wprowadzone niezależnie od głosów protestu.

Można by zastanowić się nad preferencjami podatkowymi, prawnymi czy dotyczącymi np. opłat za wynajem lokali dla takich podmiotów rynku książki (od agencji autorskich przez wydawnictwa po księgarnie), które zdecydowałyby się na działalność w formule „non profit". Czyli takich, które nie miałyby prawa wyprowadzać zysków na zewnątrz, miałyby obowiązek inwestowania ich w dalszą statutową działalność, która w tym przypadku mogłaby zostać

przez ustawodawcę poszerzona o działania na rzecz potrzeb kulturalnych klientów, promocji książki i czytelnictwa. Byłoby to tym prostsze, że wielu mniejszych wydawców i księgarzy-entuzjastów już teraz działa na podobnej zasadzie, choć oczywiście z pewnością spotkałoby się to z protestami sieci księgarskich i dużych wydawców.

Warto byłoby też, aby stowarzyszenia twórców i pracowników książki (działające dziś w swoich zawodowych sprawach bardzo rachitycznie) przypomniały sobie postulaty Stefana Żeromskiego sprzed stu lat i zaczęły domagać się gwarantowanych przez prawo państwowe minimalnych tantiem autorskich, zależnych od okładkowej ceny książki (według Żeromskiego zapobiegające wulgarnemu wyzyskowi pisarzy minimalne tantiemy miały wynosić ⅓ lub ¼ ceny księgarskiej - dziś o takich kwotach nie można nawet marzyć!)[3]. Oczywiście spotka się to z wielkimi protestami już nie tylko samych wydawców i dystrybutorów, ale i tych autorów, którzy swoje istnienie na rynku zawdzięczają wyłącznie książkowej nadprodukcji i gotowości do darmowego czy niskopłatnego udostępniania swojej twórczości. Niezbędne wydaje się także działanie innych twórców książki na rzecz wprowadzenia minimalnych stawek za przekłady, redakcję, korektę, skład itp.

Sądzę, że warto myśleć o kolejnych, nawet bardzo radykalnych rozwiązaniach regulujących rynek książki. Straty poniesione wskutek jego nieokiełznanej działalności przez kulturę i czytelnictwo polskie można by w ten sposób - jeśli nie nadrobić, to przynajmniej zapobiec kolejnym. ⚒

Wszelkie dane dotyczące rynku książki podano za: Ł. Gołębiewski, P. Waszczyk, *Rynek książki w Polsce 2013*. Warszawa 2013, tomy: Wydawnictwa i Dystrybucja.

Przypisy:

1. Badania czytelnictwa prowadzone przez Bibliotekę Narodową i ukazują systematyczny spadek:

Rok badania	Nieczytający	Czytający 1-6 książek	Czytający 7 i więcej książek
2002	44,4	32,1	22,2
2004	41,8	32,9	24,4
2006	50,3	31,7	17,2
2008	62,2	24,8	10,6
2010	56,0	31,1	11,6
2012	60,8	26,5	11,1

   Przy czym kategoria „czytający" oznacza tu osobę, która książkę chociażby przekartkowała (i przeczytała 3 stronice), a książka to także album, publikacja fachowa, książka kucharska czy podręcznik. Źródło: http://www.bn.org.pl/aktualnosci/501-czytelnictwo-polakow-w-2012-r.-%E2%80%93-wyniki-badan.html
2. http://stat.gov.pl/cps/rde/xbcr/gus/KTS_wydatki_kultura_2011.pdf
3. Stefan Żeromski, *Projekt Akademii Literatury Polskiej*, w: tegoż, Pisma literackie i krytyczne, Warszawa 1963, s. 63.

REKLAMA

CHCESZ POMÓC?

Takie pismo jak „Nowy Obywatel" nie może utrzymywać się tylko ze sprzedaży, jesteśmy więc zmuszeni stale poszukiwać dodatkowych możliwości finansowania, jednocześnie odrzucając te z nich, które wiązałyby się z promowaniem postaw sprzecznych z naszymi wartościami lub z próbami wpływu na publikowane treści. Dlatego tak ważna jest dla nas każda pomoc – możesz jej udzielić także Ty. Przeczytaj, jak w praktyce można wesprzeć istnienie i rozwój niezależnego czasopisma.

1. **ZOSTAŃ NASZYM PRENUMERATOREM**
   Prenumerata to dla nas konkretny sposób wsparcia, a dla Ciebie – najbardziej korzystny sposób zakupu.
2. **PRZEKAŻ NAM 1% SWOJEGO PODATKU**
   Możesz przekazać nam 1% swojego podatku dochodowego, gdyż wydawca NO ma status OPP. Wystarczy przy rozliczaniu PIT podać nasz numer KRS: 0000248901
3. **WESPRZYJ FUNDUSZ „NOWEGO OBYWATELA"**
   Chcesz żeby pismo nadal się rozwijało? Przekaż mu darowiznę (i zapłać mniejszy podatek)!
4. **POMÓŻ NAM W KOLPORTAŻU**
   Poszukujemy informacji o ambitnych księgarniach i innych punktach sprzedaży, gdzie mógłby się pojawić „Nowy Obywatel".
5. **ZAREKLAMUJ NAS!**
   Jeśli jesteś wydawcą lub prowadzisz stronę WWW – możesz pomóc promować nasze ideały.
6. **PODARUJ NAM SWÓJ CZAS**
   Możesz nam pomóc także swoją nieodpłatną pracą – na przykład organizując w swojej miejscowości spotkanie promocyjne „Nowego Obywatela".
7. **ZOSTAŃ NASZYM REKLAMODAWCĄ**
   Pokaż naszym czytelnikom, że Twój biznes jest społecznie odpowiedzialny, albo poinformuj ich o działaniach Twojej organizacji bądź instytucji.
8. **ZATRUDNIJ NAS!**
   Kooperatywa.org to nasze w pełni profesjonalne studio graficzne i agencja kreatywna.

Więcej na stronie:
nowyobywatel.pl/kwartalnik/jak-pomoc

Ucieczka od wspólnoty

z dr. Jackiem Gądeckim
rozmawia Marceli Sommer

- **Na ile osiedla grodzone, które Pan bada, są jakościowo nowym zjawiskiem w historii rozwoju miast? Czy mówiąc o miastach jako o bytach otwartych i różnorodnych, o wspólnych dobrach i publicznej przestrzeni, nie idealizujemy? Przed powstaniem osiedli grodzonych były w miastach miejsca, do których dostęp był ograniczony albo w których pewne kategorie ludzi nie miały czego szukać, były enklawy luksusu i były slumsy...**
- **Jacek Gądecki:** Na pewno tak. Możemy szukać też analogii do przedwojennych czasów, kiedy istniały ekskluzywne kamienice, w których występował concierge i bronił dostępu postronnym przechodniom. W metropoliach takich jak Paryż tradycje grodzenia sięgają nawet XVIII-XIX w. Nie było to jednak zjawisko rozpowszechnione na taką skalę i nie było tak silnie związane z lękiem i poczuciem zagrożenia, wskazywanymi współcześnie w większości badań jako główne motywacje do zamieszkania na osiedlu grodzonym. Historia współczesnej ekspansji osiedli zamkniętych zaczyna się w latach 80. w USA, kiedy to wskaźniki przestępczości osiągnęły apogeum. Boom na takie osiedla trwał dzięki podtrzymywaniu i podsycaniu lęku przez deweloperów i media. Również do Polski została przeszczepiona strategia reklamy i promocji tego typu osiedli oparta na strachu. Ale to prawda, że raczej niż idealizować przeszłość i demonizować stan obecny, powinniśmy dostrzegać, że niemal od początku historii miast istniały dwie wizje ich rozwoju - emancypacyjna, wedle której miasto miało „czynić wolnym", i druga, elitarystyczna i ekskluzywna, będąca dziedzictwem jednego z ojców założycieli socjologii Georga Simmela, zgodnie z którą miasto zniewala, zwłaszcza przy pomocy pieniądza i zawrotnego tempa życia, jakie narzuca mieszkańcom. One oczywiście często się ze sobą splatają, istnieje cała paleta stanowisk. Osobiście czuję się jednak mocno związany z tą pierwszą, wolnościową koncepcją miasta, i jestem przekonany, że dla takiego modelu rozwoju kluczowe jest istnienie przestrzeni publicznych. Osiedla grodzone są zaprzeczeniem przestrzeni publicznej i stoją w związku z tym w konflikcie z projektem emancypacyjnym.

- **Od pewnego czasu Polska jest jednym z europejskich liderów rankingów dotyczących liczby osiedli zamkniętych. Wspominał Pan o strachu jako jednej z głównych motywacji, którymi grają deweloperzy. Jak widzi Pan szersze przyczyny, dla których w Polsce ten specyficzny segment rynku mieszkaniowego rozwija się szybciej i bardziej ekspansywnie niż gdzie indziej?**
- Lęk jako motywacja kupna mieszkania na osiedlu grodzonym nie musi mieć realnych podstaw - wystarczy, że będzie umiejętnie kreowany i podsycany. Prowadzi to do absurdów, np. w połowie minionej dekady na targach nieruchomości w Krakowie zaczęły pojawiać się tzw. *panic roomy*, czyli małe „domowe schrony", wyposażone w niezależne systemy łączności, zapasy wody itd. Kiedy napadają pana w domu, to musi pan do niego dobiec, zamknąć się w nim i oczekiwać na pomoc. To rozwiązanie było bardzo modne szczególnie w Kalifornii na początku lat 90. XX wieku. Mimo że w Polsce nie mamy do czynienia z nasileniem napadów rabunkowych, lęk stanowi ważny czynnik skłaniający Polaków do zamieszkania na osiedlu zamkniętym. Drugą najczęściej deklarowaną przez mieszkańców takich osiedli motywacją jest potrzeba spokoju i porządku.

- **Jednocześnie ze statystyk wynika, że ani samo grodzenie, ani inne elementy ochrony wcale nie**

© Clint McMahon, flickr.com/photos/clintw/5500687997

zwiększają realnego bezpieczeństwa mieszkańców. Wynikałoby z tego, że efekt grodzenia jest przede wszystkim psychologiczny...

– Tak jest. Są nawet badania, które pokazują, że im droższe i bardziej obwarowane mieszkanie, tym niższy poziom bezpieczeństwa. Wynika to z faktu, że te wszystkie ogrodzenia, kamery monitoringu, drzwi antywłamaniowe i *panic roomy*, a przede wszystkim wynajęta ochrona, powodują postępujące ograniczanie odpowiedzialności obywatelskiej. Zasada „płacę, więc wymagam" bierze górę nad tradycyjnym dozorem sąsiedzkim do tego stopnia, że oczekuje się, iż ochroniarze i operatorzy osiedla zastąpią wszystkie zwyczajne, prospołeczne odruchy mieszkańców. Zanikają tradycyjne formy dozoru sąsiedzkiego i budowania zaufania wewnątrz małej społeczności: nie zerka się już, co u sąsiada, nie reaguje na drobne akty wandalizmu. Bo skoro zdecydowałem się na mieszkanie na takim osiedlu, to kupiłem sobie bezpieczeństwo i nie muszę się nim już zajmować.

– Czy są według Pana – oprócz spokoju i bezpieczeństwa – jeszcze jakieś ważne aspiracje, które kierują ludźmi nabywającymi mieszkanie w tego rodzaju osiedlu, o których, być może, mówią mniej chętnie niż o tych dwóch pierwszych?

– Najważniejszą, choć nie zawsze uświadamianą funkcją grodzonych osiedli, wydaje mi się funkcja „statusowni" – miejsca, gdzie wytwarzany jest status społeczny i tożsamość nowej klasy średniej. Kupno mieszkania na osiedlu zamkniętym oznacza bowiem nie tylko awans klasowy poprzez nabycie własności i zmianę ważnego elementu otoczenia, jakim jest mieszkanie. Razem z nim kupuje się cały pakiet oczekiwań, aspiracji i dążeń. Nawet jeśli poprzestać na dwóch wartościach kluczowych z punktu widzenia deklaracji głównych zainteresowanych – spokoju i bezpieczeństwie – pojawia się przed nami rozległy obszar marzeń, nadziei i obaw, jakie stają się udziałem tej grupy społecznej, a z drugiej strony obietnic, jakie składają jej deweloperzy. W Polsce rynek osiedli grodzonych nie poszedł jeszcze w kierunku charakterystycznym dla Stanów Zjednoczonych, gdzie charakteryzuje go daleko posunięte „profilowanie" (np. po linii wyznaniowej), co doprowadziło do powstawania silnie zintegrowanych społeczności. W Polsce mamy ogrodzenia, ale nie mamy wspólnot – ludzi, którzy mieszkają w zamkniętych osiedlach, niewiele ze sobą łączy. Wiem o osiedlu buddystów i o inicjatywie jednego ze stołecznych deweloperów, który będąc wierzącym i praktykującym katolikiem, oferuje rodzinom katolickim zniżki na mieszkania. Generalnie jednak w polskich osiedlach grodzonych mamy raczej do czynienia z niespełnioną obietnicą wspólnoty.

– Czemu przypisać w takim razie grodzenia wtórne, dotykające wielu starych budynków?

– Grodzeniem wtórnym się nie zajmowałem, ale wiem, że często następuje ono (na żądanie wspólnot mieszkaniowych) w reakcji np. na ulokowanie w tej okolicy mieszkań socjalnych lub innych nowych inwestycji. Socjolog miasta Lesław Michałowski opowiadał mi kiedyś o domu w Trójmieście, którego mieszkanka – emerytowana pracownica Urzędu Skarbowego – przekonała swoją wspólnotę do zainstalowania wokół domu kamer i megafonu, po czym każdy z mieszkańców musiał obowiązkowo monitorować teren przed domem przez określoną liczbę godzin, a gdy zauważył coś niepokojącego, to mógł przez megafon przegonić intruza. Z kolei Włodzimierz Pessel w monografii poświęconej Warszawie z perspektywy śmieci wskazuje

Oczekuje się, iż ochroniarze i operatorzy zamkniętego osiedla zastąpią wszystkie zwyczajne prospołeczne odruchy mieszkańców.

Nico Hogg, flickr.com/photos/nicohogg/7198740664

na problem grodzenia śmietników. Motywacje do wtórnego grodzenia są różne, ale najczęściej dominuje tu chęć uniknięcia „pasażerów na gapę", korzystających za darmo z dóbr wspólnoty takich jak śmietnik czy miejsce parkingowe.

- **Rozparując osiedla grodzone w kategoriach rynkowych, natkniemy się na kwestię wysokiego popytu na mieszkania w tego typu osiedlach. Znalazłem np. dane, które mówią, że na takich osiedlach chciałoby mieszkać aż 60 proc. warszawiaków. Ale interesująca jest także strona podażowa, tzn. na ile pojawienie się zjawiska osiedli zamkniętych na taką skalę wynika po prostu z faktu, że są one bardziej opłacalne dla deweloperów niż klasyczne osiedla? Dodajmy do tego fakt, że po prostu mieszkania na osiedlach strzeżonych stanowią znaczną część, jeśli nie większość nowych mieszkań na rynku. Głównie takie mieszkania promuje też państwo w ramach programu Mieszkania dla Młodych.**
- Oczywiście, jest to jeden z ważnych czynników. Jak wspominałem, nie jest tak, że osiedla pojawiły się w Polsce, ponieważ w naszym kraju mamy niebotyczny poziom przestępczości, zdarzają się masowe porwania dzieci czy krwawe walki ulicznych gangów – a takie było tło społeczne pojawienia się tej tendencji w Stanach Zjednoczonych. Głównym powodem, dla którego zdobywają one w Polsce popularność, jest po prostu to, że osiedle grodzone to towar dobry do sprzedania, bo niesie ze sobą te wszystkie tożsamościowo-egzystencjalne obietnice, o których już rozmawialiśmy: spokój, bezpieczeństwo, zamknięcie, ekskluzywny charakter. Osobną kwestią jest to, na ile te obietnice są w rzeczywistości spełniane.

Osiedla dobrze się sprzedają, a nie są przesadnie koszto- ani materiałochłonne. W czasie największego boomu mieszkaniowego deweloperzy otaczali teren osiedla np. drewnianym parkanem o wysokości 150 cm, a później reklamowali je jako „grodzone i monitorowane". Jeszcze gorzej bywa z jakością innych aspektów budowy. A koszty ochrony ponoszone są zwykle już nie przez inwestora, lecz przez samą wspólnotę. Deweloperzy często optymalizują zyski poprzez wtłaczanie w wąskie, porolne działki podmiejskie maksymalnej możliwej liczby budynków. Tak naprawdę więc natura, reklamowana jako atut osiedla, jest często tym nieznacznym terenem, którego nie pozwalają zabudować przepisy. Takie podmiejskie, grodzone osiedla ze względu na swoje koszty wpisują się idealnie w schemat programów takich jak MdM czy wcześniejsza Rodzina na Swoim,

GĄDECKI

Jacek Gądecki (ur. 1979) - socjolog i antropolog społeczno-kulturowy; adiunkt w Zakładzie Socjologii Ogólnej i Antropologii Społecznej Wydziału Humanistycznego Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Zainteresowania badawcze: antropologia architektury („Architektura i tożsamość. Rzecz o antropologii architektury", 2005), antropologia i socjologia miasta, przestrzeń publiczna, ekonomia kultury i architektura jako taka. Realizował badania m.in. w Fundacji Bauhausu w Dessau i na CUNY w Nowym Jorku (Stypendium Fulbrighta) dotyczące osiedli grodzonych w USA i Polsce („Za murami. Polskie osiedla grodzone - analiza dyskursu", 2009). W 2013 roku zakończył projekt badawczy poświęcony marginalnej gentryfikacji w starej części Nowej Huty („I love NH. Gentryfikacja starej części Nowej Huty?", 2012).

pogłębiając chaos przestrzenny i społeczne podziały za państwowe pieniądze.

Trend jest tak powszechny, że niemal nie spotyka się w gazetach ogłoszeń, w których osiedla definiowane byłyby jako niegrodzone. Budownictwo społeczne to obecnie margines. Niedaleko mojego miejsca zamieszkania jest osiedle, które reklamuje się jako „zrównoważone". I rzeczywiście, jest w nim sporo zadbanej zieleni, ruch samochodowy i pieszy są rozdzielone, ale jednocześnie jest to klasyczne osiedle grodzone.

- **W swoich analizach podkreśla Pan często estetyczny wymiar decyzji o zamieszkaniu na grodzonym osiedlu - ucieczki z miasta, które jest brzydkie, chaotycznie zabudowane, zaśmiecone itd. Czy popularność osiedli grodzonych w Polsce - i szerzej w Europie Wschodniej - wiązałby Pan z doświadczeniami i fobiami nabytymi w okresie realnego socjalizmu - czy wręcz przeciwnie, widziałby ją Pan jako owoc procesów ostatniego 25-lecia?**
- Raczej z tym drugim. Wbrew stereotypom nie wydaje mi się, żeby trafne było kojarzenie minionego ustroju z brzydotą i chaotyczną zabudową miast. Oczywiście w poszczególnych okresach PRL-u bywało pod tym względem różnie, ale przypadki takie jak Nowa Huta i fakt, że jej mit jako „miasta idealnego" jest nadal żywy wśród samych mieszkańców, należą raczej do urbanistycznych utraconych skarbów. Źródłem problemu osiedli grodzonych jest raczej to, co zaczęło się dziać po socjalizmie, czyli dzika, nieuregulowana, błyskawiczna i nierzadko dość prowizorycznie realizowana turbourbanizacja. Miasta nie były na tę chaotyczną rozbudowę przygotowane, a osiedla grodzone są w tym procesie, moim zdaniem, zarówno przyczyną, jak i skutkiem. Z jednej strony pogłębiają chaos, ale z drugiej, na poziomie indywidualnym, oferują mieszkańcom pewien rodzaj ładu estetycznego, który stanowić może ucieczkę od tego co „na zewnątrz". Nie mam tu, rzecz jasna, na myśli estetyki odnoszącej się do stylu architektonicznego czy piękna - chodzi mi raczej o bardziej podstawowe kategorie czystości i zadbania. Ludzie, z którymi rozmawiałem, czy ci, których wypowiedzi pojawiały się w mediach, często mówili np., że uciekli ze swoich pierwotnych lokalizacji, bo mieli dość śmieci, bałaganu, bazgrołów na ścianach klatek schodowych itp., a tu jest taki porządek i spokój. Co nie zmienia z kolei faktu, że gdy mają psa, to sprzątają po nim na osiedlu, ale jeśli wychodzą na spacer poza osiedle, to już hulaj dusza. Wybór osiedla grodzonego wiąże się zatem z dość jednostronnym i egoistycznym podejściem do ładu i czystości.

– O ładzie i czystości mówi Pan jako o częściowo spełnionej obietnicy grodzonych osiedli. Podobnie jest chyba z realizacją niepisanej funkcji „statusowej". Na ile jest tak, że generalnie mieszkańcy tego typu osiedli są zadowoleni ze swojego wyboru, a na ile na dłuższą metę się rozczarowują?

– Z moich badań i obserwacji wynika, że większość konfliktów na osiedlach grodzonych nie dotyczy, paradoksalnie, jego relacji ze światem zewnętrznym, wobec którego mur ma być barierą, lecz relacji wewnątrz wspólnot. Media informują o tym rzadko, ale natychmiast wychodziło to w prowadzonych przeze mnie wywiadach. Bardzo szybko okazuje się bowiem, że chociażby spokój dla ludzi starszych jest czymś zupełnie innym niż dla rodziców z dziećmi, a jak mówiłem, w Polsce nie mamy raczej osiedli sprofilowanych w stylu amerykańskim. I bardzo liczne są przypadki, że np. starsze małżeństwo kupuje sobie mieszkanie na powstającym dopiero osiedlu, ale po wprowadzeniu okazuje się, że właśnie pod nim zlokalizowano piaskownicę dla dzieci. Protestują. Piaskownica zostaje przeniesiona, ale wtedy z kolei rodzice są niezadowoleni, bo chcą widzieć dzieci w czasie zabawy. Piaskownica trafia w okolice dyżurki ochrony osiedla, ale to powoduje jakiś następny sprzeciw. Konflikty się namnażają, atmosfera się zagęszcza, co sprzyja wybuchaniu kolejnych sporów. Do naturalnego zróżnicowania mieszkańców dokłada się jeszcze istnienie grupy rentierów, za sprawą której na osiedla trafiają np. studenci i inne grupy najemców, pochodzące zwykle z zupełnie innego świata niż zdecydowana większość właścicieli mieszkań. Co ciekawe, konflikty wybuchające w ramach osiedli zamkniętych niemal zawsze rozwiązywane są nie bezpośrednio między zainteresowanymi stronami, lecz poprzez administrację osiedla, ochroniarzy czy wręcz policję.

– Wróćmy jeszcze do rozczarowań, jakie przeżywa znaczna część wprowadzających się do nowych osiedli. Większość z nich powstaje na obszarach przedmiejskich, często w znacznym oddaleniu od jakiejkolwiek infrastruktury czy usług publicznych – bez dostępu do transportu miejskiego, szkół, przedszkoli, przychodni itd. Na ile jest to dla mieszkańców problem, a na ile ich styl życia – podziemne garaże, brak zainteresowania ofertą społeczno-kulturalną miasta, prywatna służba zdrowia i opieka nad dziećmi – sprawia, że ta izolacja jest tolerowana czy wręcz aprobowana?

– Na pewno jest to dla nich codzienność, do której chcąc nie chcąc muszą się przyzwyczaić. Trudno powiedzieć, na ile jest to traktowane jako dopust boży. Każdy z nas stara się jakoś racjonalizować swoje wybory, ale zjawisko dysonansu poznawczego w przypadku zakupu nieruchomości bywa szczególnie dojmujące. Może to być coś, z czym trudno sobie poradzić czy zracjonalizować, ale z drugiej strony nie jest to też czynnik prowadzący do jakiegoś fundamentalnego przewartościowania swoich wyborów związanych ze stylem życia.

– Niemal wszystkie badania i analizy wskazują, że w Polsce akt własności mieszkania jest uznawany za jeden z najistotniejszych czynników poczucia egzystencjalnego bezpieczeństwa i stabilności. Różni nas to od wielu innych krajów europejskich, gdzie bardziej doceniane są tanie mieszkania na wynajem. Jak widziałby Pan na tym tle kwestię rozwoju osiedli grodzonych? Czy źródła polskiej specyfiki w tych dwóch sprawach jakoś by Pan ze sobą wiązał?

– Oczywiście. Różnica statusu między najemcą a właścicielem mieszkania jest w Polsce kolosalna. W kontekście problematyki własności, kredytu itd. mówiłbym też o bezpieczeństwie, pojętym znacznie szerzej niż jako ograniczony lęk przed przestępczością – faktyczną czy urojoną. Istotne wydaje mi się po prostu bezpieczeństwo bytowe. Własny dom to ostoja bezpieczeństwa w zmiennych warunkach zewnętrznych. W swojej książce nadałem nawet jednemu z rozdziałów tytuł porównujący dominujące w naszym kraju sposoby myślenia o tych kwestiach do Dzikiego Zachodu. Wzięło się to stąd, że kilka z badanych przeze mnie osób powtórzyło w wywiadach niezależnie od siebie to samo porównanie, opisując spotkania mieszkańców. Wedle ich relacji zawsze jest ktoś, kto przyjmuje role szeryfa, opiekuna osiedla itd. Wiąże się to właśnie ze wspomnianym niezwykle silnym poczuciem przywiązania do swojej własności i ze społecznym prestiżem, jaki z niej wynika. Nawet akt własności w wersji obarczonej 30-letnim kredytem jest czymś ważnym i pożądanym.

– Czy nie jest też tak, że w Polsce dominującym kierunkiem aspiracji jest posiadanie domu jednorodzinnego, a mieszkanie na osiedlu z ogrodzeniem stanowi pewną jego namiastkę czy też rozwiązanie pośrednie pomiędzy posiadaniem domu a życiem w mieście?

– Osiedle grodzone stanowi rzeczywiście pewnego rodzaju erzac niedoścignionego wzorca kulturowego, jakim jest dom pod miastem. Wiele osób określa zresztą mieszkanie na tych osiedlach jako etap przejściowy, bo „docelowo chcemy mieszkać poza miastem", najlepiej w domu jednorodzinnym. Postawa taka jest głęboko zakorzeniona w micie domu z ogrodem czy jeszcze lepiej dworku – wiejskiej idylli itp. Taka interpretacja wyjaśniałaby wiele, choćby wątki natury, jakie pojawiają się w licznych materiałach promujących w Polsce osiedla zamknięte.

Rob Halhead-Baker, flickr.com/photos/robhalhead/8243334726

– Mówi się też, że zarówno myślenie o akcie własności jako o gwarancji życiowego bezpieczeństwa, jak i samą formę osiedli grodzonych zaimportowaliśmy ze Stanów Zjednoczonych, jako wciąż podstawowego wzorca świata, do jakiego aspirujemy. Z drugiej jednak strony charakterystyczne jest to, że grodzenie jest bardzo popularne w krajach trzeciego świata, a związany z nim model rozwoju miast skorelowany jest z nierównościami społecznymi. Jak widzi Pan wpływ tego czynnika na fakt, że polskie miasta wypełniają się tego typu zabudową?

– Kiedy Fundacja Instytut Architektury przygotowywała w Krakowie wystawę pt. „Zamieszkiwanie", skatalogowano różne formy zamieszkiwania we współczesnej Polsce i przyjęto jako jeden z punktów odniesienia Indeks Giniego, mierzący nierówności społeczne, który jest w Polsce dość wysoki. Nie jest może tak, jak czasem się mówi, że Warszawa jest „stolicą trzeciego świata", choć wiele cech jej i innych polskich miast, takich jak schematy związane z akumulacją prywatnej własności i wypychaniem lokatorów mieszkań socjalnych i komunalnych na obrzeża cywilizacji, rzeczywiście przypominają warunki trzecioświatowe. Tak czy inaczej poziom nierówności jest bardzo znaczący i na pewno pośrednio wpływa na taką, a nie inną ścieżkę rozwoju polskich miast.

– Chciałbym dopytać jeszcze o klasowy wymiar osiedli grodzonych. Czy rzeczywiście dążenie do izolacji od życia wspólnotowego wiąże się w Polsce z przynależnością do klasy średniej? A może są to aspiracje o bardziej powszechnym charakterze, tyle że nie każdy ma środki, aby je realizować?

– Myślę jednak, że grodzenie ma w Polsce wyraźnie klasowy charakter. W stereotypowych opiniach o „osiedlach lemingów" jest zdecydowanie sporo racji. Jeśli zgodzilibyśmy się na definicję klasy opartą o kategorie statusu i stylu życia, która wydaje mi się we współczesnym świecie użyteczniejsza niż ta odwołująca się wyłącznie do kwestii własności środków produkcji, to zobaczymy, że tożsamość związana z mieszkaniem na osiedlu grodzonym jest atrakcyjna przede wszystkim dla członków klasy średniej. Ukazanie tych uwarunkowań jest jednym z głównych celów mojej pracy badawczej. Dobrym przykładem na uzasadnienie tezy o klasowym charakterze osiedli był słynny konflikt w Marinie Mokotów w Warszawie, gdzie powstały sklepy, których najemcy zaczęli się skarżyć na brak klientów. W odpowiedzi administracja osiedla otworzyła bramy osiedla, co wzbudziło jednak stanowczy sprzeciw mieszkańców. Menedżerowie uspokajali, podkreślając istnienie licznych i świetnie działających systemów bezpieczeństwa, kamer monitoringu itd. Ale przekaz mieszkańców pozostawał niewzruszony: nie chcemy tutaj społecznej „szumowiny" i żądamy zamknięcia bram. Pokazuje to, że obawa przed przestępczością jest dla nich dużo mniej ważna niż status osiedla zamkniętego przed „elementami obcymi klasowo".

– A czy nie mamy do czynienia ze zjawiskiem odwrotnym, to znaczy czy sami mieszkańcy nowych osiedli nie stają się obiektem stygmatyzacji, przede wszystkim za sprawą narracji wytwarzanych przez inne segmenty wielkomiejskiej klasy średniej? Czy nie bywają oni wpisywani chociażby w podział na „prawdziwych mieszczan od pokoleń" i „słoiki" czy prawdziwą inteligencję i bezrefleksyjne „lemingi"?

– Takie zjawiska rzeczywiście istnieją, choć są one dość nowe i wymagają jeszcze pogłębionych badań. Warto zwrócić uwagę na fakt, że przez jakieś 15 lat w zasadzie nie dyskutowano problemów związanych z ekspansją grodzonych osiedli. W przekazach medialnych były one pokazywane w wyłącznie pozytywnym świetle, jako forpoczta modernizacji, a pejoratywne ujęcia pojawiły się właściwie dopiero w ostatnich 2-3 latach, wraz z rozwojem i popularyzacją tzw. ruchów miejskich i ich walki o przestrzeń publiczną. Dlatego mimo wszystko postrzegałbym te stereotypy, epitety czy czasem wątpliwych lotów dowcipy odnoszące się do mieszkańców osiedli grodzonych jako uboczny skutek szerszych, pozytywnych zmian w myśleniu o mieście. I to zmian, które wykraczają już poza grono mieszczańskich aktywistów, obejmując również przedstawicieli klasy średniej, do niedawna potencjalnych kupców mieszkań na zamkniętych osiedlach. Obraz staje się coraz bardziej złożony i jest to świadectwo dojrzewania polskiego społeczeństwa i jego refleksji o mieście.

© SNappa2006, flickr.com/photos/snappa2006/4343170689

– Bardzo optymistycznie postrzega Pan sytuację. Powstanie subkultury „miejskich prawdziwków" i wybranie mieszkańców osiedli grodzonych lub „słoików" na ich kozły ofiarne – byłoby wyrazem czegokolwiek więcej niż prosta dystynkcja?

– Oczywiście stygmatyzacja tej grupy społecznej to jest ten aspekt sprawy, z którego się nie cieszę. Ale z drugiej strony trzeba wiedzieć, że osiedla grodzone są ważnym ogniwem debaty o miejskości i mieszkaniu w mieście.

– Ale czy stygmatyzacja „słoików", „lemingów" itp. nie jest symptomem czegoś innego – że miejsce poszerzonej debaty o mieście inkluzywnym i demokratycznym, także pod względem przestrzennym, zajmuje wyścig o społeczny prestiż między poszczególnymi grupami mieszkańców?

– Jest takie zagrożenie. Przeprowadzka do Krakowa 5 lat temu była dla mnie pod tym względem wielką nauczką. Stąd wziął się zresztą mój pomysł na badania Nowej Huty - była to próba odnalezienia i opisania alternatywnego myślenia o miejskości wobec tej linii tradycyjno-mieszczańsko-snobistycznej, która jest w Krakowie wyjątkowo silna. Na pewno jest to inny wariant tego samego, co robi znaczna część mieszkańców nowych osiedli, czyli budowania statusu w oparciu o dystynkcję i wykluczenie. Ale powiedzmy, że traktuję to jako pewien rodzaj nieuniknionego folkloru miejskiego, który w tej czy innej formie funkcjonował od dziesięcioleci. Ważniejsze jest dla mnie, jaki jest długofalowy kierunek rozwoju.

– W jednym z wywiadów wspominał Pan, że w USA mieszkańcy osiedli grodzonych tworzą grupy politycznego nacisku, np. na rzecz ograniczenia

© Lydia, flickr.com/photos/lydiashiningbrightly/3056050625

lokalnych podatków. Czy w Polsce zauważa Pan jakieś analogiczne przejawy politycznej mobilizacji? Czy wydzielanie ze wspólnej przestrzeni kolejnych osiedli generuje albo generować będzie nowe interesy, nowe konflikty?

– Obecnie mieszkańcy osiedli zamkniętych nie są grupą wystarczająco zintegrowaną, żeby byli w stanie uzgodnić ze sobą wspólne interesy na poziomie miasta jako całości. Przypadki mobilizacji dotyczą raczej spraw bezpośrednio związanych z osiedlem, takich jak protest przeciwko lokalizacji jakiejś inwestycji, niemniej nawet w tego typu kwestiach zwykle nie są w stanie przeforsować swoich postulatów. Na razie nie wykazują potencjału, by stać się zorganizowanymi grupami interesu, zdolnymi do przemodelowania myślenia o mieście na swoją rzecz.

– **Nie obawia się Pan, że to właśnie na puchnących wciąż osiedlach grodzonych, a nie w ruchach miejskich, wykuwa się tożsamość polskiej klasy średniej? Mogłoby to oznaczać dominację postaw aspołecznych i egoistycznych na wiele pokoleń naprzód...**

– Z jednej strony wydaje mi się, że tego typu postawy mogą rzeczywiście stanowić spore wyzwanie, szczególnie w wymiarze pokoleniowym. O ile wśród współczesnych mieszkańców zamkniętych osiedli przeważają trzydziestolatkowie, dla których istotnymi punktami odniesienia pozostają choćby „okołotrzepakowe" wspomnienia z dzieciństwa, rzeczywistość państwowych szkół itp., o tyle ich dzieci będą w dużej mierze pozbawione tego typu doświadczeń. To może rodzić pewne problemy. Z drugiej strony masowe powstawanie osiedli grodzonych wywołuje coraz dalej idący ferment i z czasem spodziewam się silnego odwrotu od tej tendencji. Rosnąca mobilność młodych ludzi może skłaniać do poszukiwania alternatyw wobec mieszkań własnościowych – np. wzrost liczby komunalnych mieszkań czynszowych czy pojawienie się kooperatyw mieszkaniowych wydaje mi się absolutnie normalnym i, co więcej, pożądanym trendem. Tego typu przemiany mogą objąć także dzieci wychowujące się za ogrodzeniami. Wydaje mi się, że mija zachłyśnięcie się Zachodem w wersji rodem z westernu...

– **Dziękuję za rozmowę.** ⚒

Lipiec 2014 r.

Własną drogą

Piotr Wójcik

Według czeskiego ekonomisty Tomáša Sedláčka ekonomia to przede wszystkim opowiadanie historii. Nie ulega wątpliwości, że dzieje każdego sukcesu i porażki gospodarczej to specyficzna i unikatowa historia. Utkana jednak nie z niezmiennych i niepodważalnych zasad ekonomii, lecz z realnych działań podejmowanych przez decydentów. Na gospodarczych losach narodów piętno odciskają nie mityczna niewidzialna ręka rynku czy homo oeconomicus, lecz decyzje i kroki podjęte przez żywych ludzi osadzonych w konkretnych warunkach. A prawdziwie wielkie dokonania gospodarcze osiągały te kraje, których decydenci nie bali się podejmować nieszablonowych i ryzykownych decyzji.

Liberalni ekonomiści próbują nam wmówić, że wszystko w ekonomii już zostało odkryte i teraz należy jedynie deregulować, liberalizować i czekać na efekty. Szwedzi, Finowie, Tajwańczycy i Koreańczycy z Południa udowodnili, że na szczęście (dla człowieka i dla samej historii) los społeczeństw wciąż spoczywa przede wszystkim w rękach i głowach ludzi, a nie w tym, jak pokornie i wytrwale będą zginać karki przed nieubłaganymi prawami rynku. Sukces gospodarczy jest możliwy pod każdą szerokością geograficzną i w każdym kręgu cywilizacyjnym. Wystarczy odważyć się zbudować własną historię, bez oglądania się na mądrości zastępów ekonomistów, którzy wszystko już wiedzą, bo naczytali się odpowiednich podręczników. Wystarczy pójść własną drogą.

Socjalizm według Myrdalów

Historia szwedzkiego państwa dobrobytu związana jest ściśle z dziejami powstałej w 1889 r. Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej (SAP). Od roku 1932, czyli od jej czwartego wyborczego zwycięstwa, rozpoczął się około 70-letni okres dominacji socjaldemokratów na scenie politycznej. Wtedy też rozpoczęło się na dobre budowanie zrębów bogactwa szwedzkiego społeczeństwa. W zasadzie od początku istnienia SAP kierowała się reformistycznym, a nie rewolucyjnym sposobem działania, dosyć szybko obierając sobie za cel model tzw. gospodarki mieszanej, w której sektor państwowy współgra z prywatnym. Bliscy SAP byli ekonomiści ze „szkoły sztokholmskiej", tacy jak Erik Lindahl, Alf Johansson czy Alva i Gunnar Myrdalowie – niektórzy z nich, jak Gunnar Myrdal, zostali zresztą ministrami w socjaldemokratycznych rządach. Znani byli z bezczelnego podważania ówczesnych ekonomicznych dogmatów, które zresztą trzymają się mocno do dziś. Przykładowo w 1934 r. (a więc podczas Wielkiego Kryzysu) Johansson zamachnął się na dogmat o wpływie wysokich płac na wzrost bezrobocia, a dwa lata wcześniej Lindahl postulował aktywną politykę antycykliczną oraz walkę z recesją za pomocą inwestycji publicznych. W 1931 r. późniejszy minister finansów Ernst Wigfors przypuścił atak na przekonanie, jakoby przyczyną recesji były zbyt wysokie płace, postulując postrzeganie płac nie jako koszt

produkcji, lecz jako jeden ze składników globalnego popytu. Ze wszystkich tych tez rządy SAP skorzystały w praktyce.

W 1932 r. pod hasłem „folkhemmet", oznaczającym „dom ludu", Alvin Hansson poprowadził SAP do wyborczego zwycięstwa i sam został premierem. Zgodnie z wyborczymi zapowiedziami przystąpił do budowy owej ludowej chałupy. W tym samym roku SAP zawarła porozumienie ze swym „etatowym" koalicjantem - partią agrarną - który zgodził się poprzeć rządowy plan robót publicznych w zamian za podwyższenie cen produktów rolnych. W 1938 r. miało miejsce wydarzenie, którego wagi dla szwedzkiego porządku nie sposób przecenić - w Saltsjöbaden zawarto Porozumienie Podstawowe, z udziałem największego związku zawodowego Landsorganisationen i Sverige (LO) i najsilniejszego związku pracodawców Svenska Arbetsgivareföreningen (SAF). **Na mocy paktu powstała Rada Rynku Pracy, ustalono zasady negocjacji płacowych, zwolnień pracowników oraz rozwiązywania sporów, co na lata ukształtowało formułę relacji między pracownikami a przedsiębiorcami.**

Bardzo ważny był ustanowiony przez to porozumienie system negocjacji płacowych, oparty o zasadę płac solidarystycznych - równa płaca za tę samą pracę, niezależnie od zakładu. W zasadzie uniemożliwiło to przedsiębiorstwom konkurowanie niskimi kosztami pracy, wymuszając stawianie nacisku na jakość, lepszą organizację produkcji itp. Negocjacje płacowe miały charakter dualistyczny - na szczeblu centralnym określano minimalny krajowy wzrost płac, a na szczeblu lokalnym dodatkowy, obowiązujący tylko w danym regionie. Ten system funkcjonował bez większych zmian aż do lat 70., gdy związki pracowników administracji wypowiedziały LO zgodę na ich reprezentowanie. Kolejni od stołu odeszli przedsiębiorcy branży metalowej, aż w końcu w 1992 r. z negocjacji centralnych wycofało się

© Simon Cunningham, flickr.com/photos/lendingmemo/11746798794

samo SAF, co było gwoździem do trumny systemu w dotychczasowej formie. Nie znaczy to jednak, że negocjacje płacowe przestały istnieć - po prostu przeniosły się na szczebel branżowy, w dalszym ciągu zapewniając godny wzrost zarobków (o 2 proc. w latach 1994-95, zaś w roku 1996 aż o 6 proc., czyli wyraźnie ponad ówczesny 2-procentowy wzrost produktywności). Obecnie zbiorowymi układami pracy objętych jest w Szwecji ok. 90 proc. pracowników.

Jednak dbałość o godziwe zarobki oraz dochodowy egalitaryzm to nie wszystko, co Szwedzi mają w zanadrzu, jeśli chodzi o rynek pracy. Ich znakiem rozpoznawczym jest tzw. aktywna polityka rynku pracy (ALMP), która funkcjonuje w Szwecji od lat 50., choć jej zręby powstawały dużo wcześniej. Już w 1914 r. utworzono Państwową Komisję Bezrobocia, która miała za zadanie koordynowanie prac lokalnych komitetów ds. bezrobocia i pomocy społecznej. Instytucje rynku pracy są w Szwecji ukierunkowane na możliwie szybki powrót bezrobotnego do aktywności zawodowej, a od lat 90. ewoluują w kierunku egzekwowania konkretnych obowiązków od swych klientów, co jest warunkiem otrzymywania zasiłków (które nie przysługują zresztą wiecznie). W 2001 r. publiczne biura pracy wprowadziły indywidualne plany działania dla każdego bezrobotnego. Postawiono też na rozwój kompetencji wśród bezrobotnych poprzez organizację kursów oraz szkoleń zawodowych w zakładach pracy.

Polityka prozatrudnieniowa ma zresztą w Szwecji charakter kompleksowy i nie ogranicza się jedynie do działań na rynku pracy, lecz obejmuje również odpowiednie kształtowanie innych polityk - edukacyjnej, rodzinnej, społecznej itd. Najlepszym tego przykładem jest polityka rodzinna, dzięki której bardzo wyraźnie wzrosła aktywność zawodowa kobiet. Impuls do jej rozwoju dała słynna książka Alvy i Gunnara Myrdalów „Kryzys w kwestii ludnościowej", napisana w 1934 r. w reakcji na bardzo niską dzietność. Co ciekawe, jej współczynnik wynosił wtedy w Szwecji 1,7 - gdybyśmy obecnie mieli taki w Polsce, bylibyśmy szczęśliwi. Większość ze sformułowanych tam postulatów znalazła odzwierciedlenie w ustawach przyjętych w 1937 r., które zapoczątkowały rozwój polityki prorodzinnej. Pierwszy urlop macierzyński (3-miesięczny) wprowadzono w roku 1955, a 6-miesięczny w 1962 r. Obecnie (od 2002 r.) cała dostępna dla rodziców pula wynosi 16 miesięcy, w tym 2 miesiące urlopu „tacierzyńskiego".

Oprócz tego funkcjonuje bardzo dobrze rozwinięta sieć instytucji opiekuńczych dla dzieci. W 1995 r. ustawowo zagwarantowano dostępność miejsc w placówkach przedszkolnych dla każdego dziecka, a w 2002 r. ustalono maksymalna opłatę za przedszkole na poziomie 3 proc. wysokości zarobków (w ten sposób pokrywa się ok. 10 proc. kosztów opieki przedszkolnej, reszta finansowana jest ze środków gminnych). Wszystkie te ruchy sprawiły, że obecny wskaźnik zatrudnienia kobiet w Szwecji jest wyjątkowo wysoki i wynosi ok. 80 proc. Warto dodać, że poziom ten osiągnięto już w roku 1981, choć jeszcze w roku 1960 wynosił zaledwie 30 proc. Te działania spowodowały też, że obecne bezrobocie wśród kobiet (7,7% w 2012 r.) jest niższe niż wśród mężczyzn (8,2%).

O szwedzkim modelu państwa opiekuńczego można by pisać długo. Jest on wyjątkowo rozbudowany i obejmuje nie tylko standardowe obszary, takie jak ubezpieczenia społeczne (wsparcie dla bezrobotnych, emerytury) czy usługi publiczne (edukacja, opieka medyczna), lecz także te mniej typowe, jak dokształcanie lub zmiana kwalifikacji pracownika, pomoc w łączeniu obowiązków domowych z pracą itp. **Charakterystyczną cechą modelu szwedzkiego jest przeniesienie jak największej części ryzyk socjalnych na wspólnotę czy też, inaczej mówiąc, maksymalne uspołecznienie ryzyka. W ten sposób każdy obywatel zabezpieczony jest przed zagrożeniami płynącymi z fluktuacji koniunktury gospodarczej i innych nieprzewidzianych zdarzeń.**

Wbrew liberalnym wieszczom okazuje się, że tak zaprojektowany system nie doprowadził wcale do ubezwłasnowolnienia ani rozleniwienia społeczeństwa. Wręcz przeciwnie - aktywność zawodowa Szwedów jest jedną z najwyższych na świecie. Natomiast bezrobocie przez lata utrzymywało się na poziomach w zasadzie niespotykanych, może poza „azjatyckimi tygrysami" - dekadę lat 70. Szwecja zaczynała z 1,5-procentowym bezrobociem, a w następnych latach także wielokrotnie spadało ono poniżej dwóch procent. „Rozbuchane welfare state" nie doprowadziło też do bankructwa państwa - szwedzkie finanse publiczne żyją i mają się dobrze. Osiągnięto to m.in. dzięki wysokim obciążeniom fiskalnym - poziom dochodów szwedzkiego sektora publicznego w latach 1971-2008 średniorocznie wynosił prawie 58% PKB. Owszem, po kryzysie, jaki dopadł Szwecję w latach 90., zmodyfikowano pewne elementy tamtejszego państwa opiekuńczego, np. nie jest już ono całkowicie uniwersalne i nie wszystkie świadczenia są w nim niezależne od dochodów; zmniejszono także wysokość niektórych z nich. Jednak podstawowe zasady od dziesiątków lat są w zasadzie niezmienne. Nie jest również prawdziwa teza, często powtarzana, że Szwedzi stworzyli zręby państwa opiekuńczego, gdy już „dorobili się". Gdy Alvin Hansson dochodził do władzy w latach 30. i budowa państwa socjalnego ruszała z kopyta, towarzyszyły temu zamieszki robotnicze, a sytuacja gospodarcza kraju była nie do pozazdroszczenia. Szwedzka polityka społeczna nie

© © Marc, flickr.com/photos/sumofmarc/7841139094

zaszkodziła także konkurencyjności (w rankingu konkurencyjności gospodarek światowych World Economic Forum za lata 2012-2013 Szwecja zajęła 4. miejsce) ani innowacyjności (w Global Innovation Index Szwecja jest na 2. miejscu). Aktywne państwo wcale nie musi też zatruwać życia obywateli - pod względem wskaźnika HDI, mierzącego szeroko pojęty rozwój społeczny i jakość życia, Szwecja zajmuje 10. miejsce na świecie.

Komputery w służbie społeczeństwa

Jeszcze w 1880 r. zaledwie 12 proc. Finów potrafiło pisać. Obecnie, według analizy Global Talent Strategy 2011, Finlandia posiada najlepiej wyedukowaną siłę roboczą świata. **Jeszcze w latach 60. XX w. 70 proc. Finów kończyło naukę na 6-letniej podstawówce, a sieć uniwersytetów ograniczała się do dwóch miast. Obecnie 30 proc. z nich ma wyższe wykształcenie, a liczba uniwersytetów wzrosła do 20, rozsianych po 10 miastach. Jeszcze w roku 1960 aż 75 proc. wolumenu eksportowego Finlandii stanowiło drewno i produkty papierowe. Obecnie ok. ⅓ eksportu fińskiego to produkty sektora high-tech.** Jak ten niewielki lud z północy dokonał tego wszystkiego? Historia fińskiego sukcesu stanowi dowód, że edukacja może przynosić spektakularne efekty.

Intensywna przebudowa fińskiego systemu szkolnictwa rozpoczęła się w roku 1972 od przełomowej ustawy wprowadzającej powszechną i obowiązkową 9-letnią edukację, podzieloną na 6 lat podstawówki i 3 lata gimnazjum. W tym okresie powstały też pierwsze strategie dotyczące dalszych zmian w oświacie i sposobów efektywnego sprzęgnięcia jej z gospodarką. W 1998 r. ustanowiono prawo każdego sześciolatka do nauki w klasie zerowej, z którego już cztery lata później skorzystało 96 proc. dzieci w tym wieku. **Wszystkie te zmiany złożyły się na ukształtowanie obecnego systemu edukacji. Jego najważniejszą cechą jest powszechność, co oznacza, że nacisk położono (oprócz jakości, rzecz jasna) na maksymalną egalitarność procesu kształcenia i równy dostęp do dobrych szkół dla wszystkich obywateli. W związku z tym edukacja jest w Finlandii darmowa. Oznacza to nie tylko brak opłat za naukę (ich pobierania zabrania prawo), ale także darmowe podręczniki, przybory szkolne, obiady oraz transport. Uczniom miewającym problemy w nauce przysługują również darmowe zajęcia wyrównawcze.** Oprócz powszechności ważna jest ustawiczność kształcenia. Fiński system nie stawia żadnych barier, jeśli chodzi o prawo do kontynuowania nauki, niezależnie od wieku i poziomu wykształcenia. Nic nie stoi zatem na przeszkodzie, aby uczyć się przez całe życie.

Jak wspomniałem, Finlandia posiada 20 publicznych i bezpłatnych uniwersytetów w 10 miastach. Właściwie wszystkie te uczelnie są zorientowane na technologię - nawet ok. 30 proc. studentów wybrało nauki ścisłe. Fińskie uniwersytety nie są jednak odizolowanymi od społeczeństwa bytami kultywującymi „autonomię nauki" i uczącymi dla samego uczenia. Nie są też zakładami, których głównym zadaniem jest zatrudnianie profesorów i doktorów. Nawet kształcenie kompetentnej kadry dla fińskich firm nie wyczerpuje palety funkcji, które spełniają fińskie uczelnie. W murach tamtejszych uniwersytetów wre bowiem praca badawcza, nakierowana na tworzenie nowych rozwiązań dla przedsiębiorstw - i to z zamierzeniem, aby je faktycznie wdrożyć, a nie jedynie schować do szuflady. W całym tym procesie fińskie uczelnie blisko współpracują nie tylko z rodzimymi przedsiębiorcami (w latach 1994-96 aż 53 proc. fińskich firm miało podpisane umowy o współpracy z uniwersytetami), ale też z całym systemem fińskich publicznych instytucji wspierających badania i rozwój.

Sieć fińskich placówek naukowych - najważniejsze z nich to Helsiński Uniwersytet Technologiczny i Uniwersytet Techniczny w Tampere - jest

koordynowana przez powstałą w 1987 r. Radę Polityki Naukowej i Technologicznej, natomiast o ich należyte finansowanie dba Akademia Fińska. Radą formalnie kieruje premier, a więc jest odpowiednio umocowana politycznie. Posiada też niezbędną niezależność i jest to w zasadzie cecha wszystkich instytucji badawczych w Finlandii - z jednej strony są kontrolowane politycznie, ale z drugiej zadbano o niezależność podejmowanych przez nie decyzji. Rada skupia 8 kluczowych ministrów, 10 przedstawicieli uniwersytetów, a także reprezentantów przedsiębiorców, pracowników oraz Akademii Fińskiej. Jest to więc platforma dyskusji między wszystkimi zainteresowanymi stronami. Rada ma z władzą relacje nie tylko formalne, ale także praktyczne - jej zalecenia znajdują odzwierciedlenie w polityce rządu. Obrazu dopełnia nadzorowana przez resort edukacji Akademia Fińska, której głównym zadaniem jest finansowanie badań podstawowych. Środki, które rozdysponowuje, stanowią ok. 15 proc. wszystkich publicznych nakładów na badania i rozwój (B+R).

Jedną z pierwszych instytucji, które wpłynęły na innowacyjność fińskiej nauki i gospodarki, był Narodowy Fundusz Badań i Rozwoju (SITRA), powstały już w 1967 r. SITRA, **podlegający bezpośrednio parlamentowi, wspiera finansowo przede wszystkim raczkujących przedsiębiorców podejmujących ryzykowne i nowatorskie projekty, a więc jest czymś na kształt funduszu** *venture capital* **- tyle że o publicznym charakterze. Największym z funduszy jest Narodowa Agencja Technologiczna (TEKES), która kontroluje 30 proc. środków na B+R. Wspiera ona badania prowadzone zarówno w placówkach publicznych, jak i w podmiotach prywatnych. W zasadzie z jej wsparcia korzystała na którymś etapie działalności każda odnosząca sukcesy fińska firma technologiczna, łącznie z Nokią.** TEKES promuje działalność sieciową - większe wsparcie mogą uzyskać te projekty, które są przygotowywane w ramach współpracy wielu podmiotów. Podlega ona Ministerstwu Handlu i Przemysłu, jednak decyzje o alokacji środków podejmuje niezależnie od władz resortu. A trzeba powiedzieć, że środki, którymi dysponuje TEKES i reszta omawianych tu instytucji, są rzeczywiście niebagatelne. **W 1982 r. rząd zadecydował o podniesieniu nakładów na badania i rozwój z 1,2 proc. PKB do 2,2 proc. w 1992 r., który to plan został zrealizowany. Kolejnym celem było osiągnięcie nakładów w wysokości 2,9 proc. PKB w 1999 r., co udało się osiągnąć już rok przed terminem. W 2010 r. fińskie środki na B+R wyniosły 3,87 proc. PKB, co stanowi wynik zupełnie bezkonkurencyjny w skali świata.**

Według powszechnie panującego przekonania szybki rozwój technologiczny musi pociągać za sobą postępujące rozwarstwienie ekonomiczne. W takich warunkach najzdolniejszym jednostkom otwiera się wiele możliwości dużego zarobku, za to spada popyt na najniżej wykwalifikowanych pracowników, co negatywnie odbija się na ich sytuacji. **Przypadek Finlandii zadaje kłam tej teorii. Mierzący rozwarstwienie ekonomiczne wskaźnik Giniego spada w tym kraju nieprzerwanie od lat 60., a więc dzieje się to równolegle z szybkim postępem technicznym. Obecnie Finlandia jest jednym z najmniej rozwarstwionych państw świata i gwałtowny rozwój w żaden sposób temu nie przeszkodził. Stan ten uzyskała ona za pomocą rozbudowanego państwa opiekuńczego, które zapewnia odpowiednią jakość powszechnych i darmowych usług publicznych, a przede wszystkim wysoki poziom zabezpieczenia społecznego.** Taki stopień zabezpieczenia (chociażby od bezrobocia) umożliwia z kolei funkcjonowanie elastycznego rynku pracy, i to za akceptacją silnych w tym kraju związków zawodowych. Dzięki tej kombinacji czynników pracownicy nie boją się zwolnienia. Wiedzą bowiem, że w razie czego otrzymają należyte wsparcie - zarówno materialne, jak i w kierunku znalezienia nowego zatrudnienia. Pracodawcy, działający często w nowatorskich i w związku z tym niepewnych branżach, nie mają zaś obiekcji przed zatrudnianiem nowych pracowników, ponieważ wiedzą, że nie będą mieli problemów z ich zwolnieniem. Oczywiście ci sami pracodawcy godzą się na to, że w zamian za elastyczny rynek pracy partycypować muszą w utrzymaniu rozbudowanego systemu zabezpieczeń, innymi słowy - płacić wysokie podatki. A więc coś za coś - o regule tej niestety zapomina się w Polsce podczas dyskusji nt. rynku pracy.

Państwo opiekuńcze koegzystuje z kulturą innowacyjności w jeszcze jeden sposób. Mianowicie jest ono platformą wdrażania wielu innowacji. Z jednej strony dochodzi dzięki temu do jego usprawniania, a z drugiej - nowe pomysły mogą zostać znakomicie przetestowane przed ewentualną komercjalizacją. Przykładem może być np. wprowadzany przez Ministerstwo Zdrowia projekt Macro Pilot, umożliwiający zdalną opiekę nad chorym w jego własnym mieszkaniu, wyeliminowanie papieru z obiegu w opiece medycznej (elektroniczne recepty) czy możliwość internetowej łączności między lekarzami, co eliminuje konieczność chodzenia od specjalisty do specjalisty.

Dzięki tym i innym rozwiązaniom Finlandia przeżyła boom gospodarczy w latach 80., a także bardzo szybko wyszła z głębokiej recesji lat 1990-1993, spowodowanej głównie upadkiem ZSRR, z którym utrzymywała intensywne relacje handlowe, oraz deregulacją rynków, umożliwiającą ataki spekulacyjne na fińską walutę. O ile poziom PKB spadł wówczas o 14%, o tyle w latach 1995-2001 rozwijała się już z średnioroczną prędkością 3,3 proc., a druga połowa lat

🄯 John Skodak, flickr.com/photos/skodak/663567320

90. była okresem rozkwitu jej gospodarki i sukcesów wielu fińskich przedsiębiorstw (oprócz Nokii były to m.in. Soner, Elis czy Elcoteq). Tempo wzrostu utrzymała w XXI wieku, a w latach 2000-2008 Finlandia była jednym z najszybciej rozwijających się wysoko rozwiniętych państw OECD (średni roczny wzrost 3,09%), co osiągała przy bardzo wysokich podatkach (dochody sektora finansów publicznych w tym okresie stanowiły przeciętnie 53% PKB). Obecnie jest jednym z najlepiej rozwiniętych państw na Ziemi. W rankingu najbardziej konkurencyjnych gospodarek świata w latach 2012-2013 według WEF zajęła 3. miejsce. A jeszcze kilkadziesiąt lat temu wydawało się to niemożliwe.

Ucieczka z piekła do raju

Resztki armii Czang Kaj-szeka, pierzchające w pośpiechu z kontynentalnych Chin przed zwycięskimi komunistami Mao Zedonga, pewnie nawet nie przypuszczały, że ich klęskę uda się jeszcze przekuć w jeden z największych sukcesów gospodarczych w historii. Gdy weterani Kuomintangu osiedlali się na małej wyspie Tajwan (dawnej japońskiej kolonii) i ogłaszali oderwanie tego terytorium od Chin, byli urzędnicy i generałowie stający na czele państwa marzyli zapewne jedynie o tym, aby utrzymać niezależność od maoistów. Gdyby ktoś im wówczas powiedział, że kilkadziesiąt lat później stworzony naprędce podmiot państwowy będzie stawiany za wzór błyskawicznego rozwoju innym krajom na całym świecie, najpewniej pukaliby się w czoło z niedowierzaniem. Historia potrafi jednak płatać figle. Przede wszystkim na ich korzyść zadziałała odwaga podejmowania nieszablonowych decyzji. A także lęk - przed masami zbuntowanych rodaków całkiem niedaleko przymierzających się do budowania ludowej utopii - który okazał się najlepszą motywacją do zbudowania silnego i efektywnego państwa.

Wartości głoszone przez Sun Jat-sena, głównego ideologa Kuomintangu, nie zostały przez jego następców na Tajwanie zapomniane, przeciwnie, twórczo zaadaptowano je do nowych realiów. Z trzech głównych jego zasad (patriotyzm, demokracja, dobrobyt społeczeństwa) pierwsza i trzecia były sumiennie wprowadzane w życie, a jeśli o drugiej nieco zapomniano, to wynikało to z ciągłego zagrożenia ze strony dawnych pobratymców. W nowej ojczyźnie uciekinierzy z Chin nie musieli budować wszystkiego

od podstaw, gdyż na miejscu zastali dobrze zachowane struktury dawnej administracji japońskiej, co też skrzętnie wykorzystano. Pomni niedawnych błędów, które skończyły się spektakularnym obaleniem rządu Kuomintangu na kontynencie, niesieni ideami Sun Jat-sena, wsparci zastanymi na miejscu sprawnymi urzędnikami japońskich zaborców, a przede wszystkim w oparciu o konfucjańskie wartości (w których poczucie wspólnoty, odpowiedzialność i karna wręcz obowiązkowość to przymioty oczywiste) natychmiast zabrali się do roboty. Choć nie obyło się bez początkowych błędów.

Jednym z pierwszych działań decydentów świeżo upieczonego państwa była reforma rolna, podjęta jeszcze w latach 50. XX wieku, dzięki której zjednano sobie miejscowych chłopów. Wielkich posiadaczy ziemskich wywłaszczano stopniowo i z rozwagą. Najpierw nakazano obniżenie renty dzierżawczej, co odciążyło uprawiających ją rolników. Następnie sprzedano użytkownikom tę ziemię, w której posiadanie państwo weszło podczas przejmowania dawnej własności japońskiej. Na koniec przejęto ziemię należącą do latyfundystów, płacąc im w 70 proc. krajowymi obligacjami, a w 30 proc. udziałami raczkujących państwowych przedsiębiorstw. Mylnie sądzono, że byli feudałowie staną się w nowych warunkach sprawnymi kapitalistami - rentierzy przyzwyczajeni do łatwej eksploatacji rodzimej siły roboczej nie potrafili przemienić się w przedsiębiorców. Sama reforma zakończyła się jednak sukcesem. Zdobytą ziemię oddano rolnikom na warunkach 5-letniej spłaty ratalnej, wartość ziemi określając jako równowartość pochodzących z niej 2,5-rocznych plonów. Dzięki tym ruchom radykalnie zmniejszono dysproporcje majątkowe, które do dziś utrzymują się na niewielkim poziomie.

Kolejnym reformowanym segmentem gospodarki był przemysł. Lata 50. to okres szeroko stosowanej przez państwa rozwijające się substytucji importu, której celem był rozwój rynku wewnętrznego za pomocą własnych zasobów, z ograniczoną rolą handlu zagranicznego. Taką strategię przyjęto również na Tajwanie w latach 1958-1959. Substytucja importu nigdzie nie przyniosła dobrych rezultatów. Wynika to z faktu, że w państwach rozwijających się rynek wewnętrzny jest zawsze raczej ograniczony. W większości gałęzi gospodarki produkcja w takich warunkach nie może stać się opłacalna, ponieważ nie ma mowy o efekcie skali. Ponadto odcięcie od importu oznacza brak dostępu do zagranicznych osiągnięć technologicznych, co uniemożliwia z kolei wzrost produktywności.

W przeciwieństwie jednak do krajów Ameryki Łacińskiej, które na protekcjonistycznej strategii poległy, decydenci z Tajwanu szybko przeanalizowali sytuację i zmienili kierunek polityki gospodarczej na proeksportową (wprowadzając tzw. subsydiowanie eksportu). Wiązało się to przede wszystkim z wdrożeniem Programu Poprawy Kursu Waluty i Kontroli Handlu. Owa „poprawa kursu waluty" była po prostu ładnie nazwaną dewaluacją dolara tajwańskiego, czyli radykalnym obniżeniem jego zewnętrznej wartości, co błyskawicznie poprawiło warunki do eksportu, gdy rodzime produkty stały się dla zagranicznych kontrahentów dużo tańsze. To jednak nie wszystko. Potencjalnym eksporterom zaczęto aplikować bodźce podatkowe (ulgi), nie rezygnując jednocześnie z ochrony rynku wewnętrznego. Udało się dzięki temu utrzymać daleko idącą kontrolę importu: do 1972 r. aż 41 proc. importu podlegało kontroli państwowej, dzięki czemu sprowadzano towary pożądane z punktu widzenia rozwoju, a takich, które zagrażały rodzimej przedsiębiorczości - już nie. Państwo zajęło się też samym handlem. Przede wszystkim utworzono państwowe centrale handlowe, co umożliwiło eksport małym i średnim przedsiębiorcom, niezorientowanym w zasadach prowadzenia transakcji międzynarodowych i pozbawionym zagranicznych kontaktów.

Słynna tajwańska polityka przemysłowa to jednak nie tylko subsydiowanie eksportu. Co ciekawe, tworzyli ją inżynierowie i naukowcy, czyli osoby bez wykształcenia ekonomicznego. Przykład Tajwanu pokazuje, że nie jest ono potrzebne, aby osiągnąć sukces gospodarczy, a w dzisiejszych czasach, zdominowanych przez neoliberalizm, może nawet przeszkadzać. **Specjalnością tajwańską stało się tzw. planowanie indykatywne. Różni się ono od centralnego planowania, ponieważ jest nie tyle sterowaniem gospodarką, ile wytyczaniem konkretnych celów makroekonomicznych (przykładowo osiągnięcia określonego poziomu eksportu, wzrostu PKB itd.) i dążeniem do nich za pomocą stosowania różnorakich bodźców politycznych.** Spadkobiercy Kuomintangu szeroko stosowali przede wszystkim wspomniane zachęty podatkowe, ale nie tylko. Rozwijającym się firmom oferowano gwarancje kredytowe, dzięki czemu uspołeczniono ryzyko inwestycyjne. Stosowano, oględnie mówiąc, bardzo liberalne prawo patentowe, czyli wyjątkowo niewielką ochronę własności intelektualnej. Raczkującym gałęziom przemysłu zapewniano publiczne finansowanie działań badawczo-rozwojowych oraz inwestycje w niezbędną infrastrukturę (także ze środków publicznych).

Prywatyzowano powoli i rozważnie, długo utrzymując bardzo wyraźny udział sektora publicznego w gospodarce - w 1972 r. stanowił on 20 proc. Przed rozpoczęciem procesu prywatyzacji firmy przewidziane do przekształcenia (ok. 400) skonsolidowano

w 22 dużych podmiotach, dzięki czemu uzyskano bardzo dobre warunki sprzedaży i uczyniono z nich w sposób naturalny motory sektora prywatnego. Zresztą rozległy sektor publiczny nie konkurował z sektorem prywatnym, wręcz przeciwnie, miał za zadanie tworzyć warunki dla jego ekspansji. Inną cechą charakterystyczną dla Tajwanu było oparcie rozwoju na sektorze małych i średnich przedsiębiorstw, co jest raczej nietypowe wśród państw prowadzących aktywną politykę przemysłową. Jednak tamtejsze małe i średnie przedsiębiorstwa były bardzo wyraźnie wspierane przez państwo, głównie poprzez osłony kredytowe, publiczne finansowanie badań czy wspomniane już centrale handlowe. Długo również (aż do lat 80.) nie deregulowano na Tajwanie systemu finansowego i nie liberalizowano handlu, dzięki czemu kraj nie był podatny na wahania przepływu kapitału.

Powyższe działania przyniosły niespotykane rezultaty. Początkowo (od 1953 r.) tworzono 4-letnie plany. W 1965 r. zastąpiły je plany 10-letnie i roczne. Aż do lat 80. były one wykonywane z regularną nadwyżką. **Osiągnięcia gospodarcze Tajwanu pozwalają określić jego rozwój jako najszybszy skok cywilizacyjny w historii. W zasadzie w 30 lat zamienił się on z biednego rolniczego kraju w uprzemysłowione i całkiem nowoczesne państwo.** Co więcej, osiągnięto te cele nie przypłacając ich zbyt dużym rozwarstwieniem dochodowym obywateli. W latach 1950-1980 PKB na głowę mieszkańca średniorocznie rosło w błyskawicznym tempie 5,7 proc. W samych latach 80. średnioroczny wzrost gospodarczy wynosił 7,7% PKB. A trzeba pamiętać, że liczba mieszkańców Tajwanu wzrosła w tym okresie z 8 do 18 mln. Ten ponaddwukrotny przyrost ludności nie przeszkodził w... praktycznej likwidacji zjawiska bezrobocia. Dekadę lat 80. Tajwan zaczynał z bezrobociem na poziomie 1,2%, a kończył z 1,6%. Nawet w czasach kryzysu azjatyckiego czy podczas recesji roku 2001 nie osiągało ono nawet 6%. **Ciekawie wypada również porównanie Tajwanu do sztandarowego państwa neoliberalnego, jakim jest Chile. O ile jeszcze w latach 60. południowoamerykański kraj miał PKB *per capita* dwukrotnie większy, o tyle już na przełomie XX i XXI wieku relacja ta była odwrotna. Jak widać, szkoła chicagowska szkole tajwańskiej nie może nawet wiązać sznurówek.**

© Republic of Korea, flickr.com/photos/koreanet/12690743664

Generał ośmiesza Bank Światowy

W latach 1950-1953 Półwysep Koreański stał się areną bratobójczej wojny, za pomocą której ówczesny światowy oligopol (ZSRR i USA) dokonywał podziału części wschodnioazjatyckich łupów. W wyniku tych burzliwych „negocjacji" nie udało się jednak ustalić, po której stronie powojennego konsensusu (zwanego dla zmyłki „zimną wojną") powinna znaleźć się Korea. W związku z tym jej południe pozostało pod protektoratem amerykańskim. Niezwykłym uproszczeniem byłoby powiedzenie, że Korea była wówczas krajem biednym. Jej PKB na głowę mieszkańca było wtedy nawet parokrotnie niższe niż w wielu państwach afrykańskich. Lata 50. były okresem rządów przybyłego z emigracji w USA prezydenta Rhee. Jego głównym „osiągnięciem" było ujarzmienie lewicowej opozycji - z poprawianiem standardu życia obywateli szło mu jednak kiepsko. Przeprowadzono co prawda reformę rolną, bardzo podobną do tej z Tajwanu, jednak podobnie jak tam dawni feudałowie nie chcieli wykrzesać z siebie smykałki do interesów. Dokonano także szybkiej prywatyzacji i w 1960 r. pozostało już tylko 36 państwowych firm. Liberalna polityka rozwojowa nie przyniosła większych efektów i to pomimo wsparcia gospodarczego ze strony amerykańskich protektorów, które sięgało 15 proc. PKB. Zasadniczo sprawy w kraju szły w niedobrym kierunku i w 1961 r. generał Park Chung-hee wraz z grupą oficerów postanowili wziąć je w swoje ręce. I trzeba powiedzieć, że ta junta wojskowa spadła Koreańczykom z nieba.

Gdy tajwańscy decydenci kierowali się ideami Sun Jat-sena, świeżo upieczony prezydent Park za wzór obrał sobie japońskie reformy Meiji, oparte na mocno akcentowanym patriotyzmie oraz dążeniu do dobrobytu społecznego, budowie silnej armii i sprawnej biurokracji. Swoje rządy oprzeć chciał na współpracy patriotycznie nastawionej elity urzędniczo-biznesowej, co miało doprowadzić do szybkiego uprzemysłowienia kraju dotychczas rolniczego. Właśnie rozwój produkcji przemysłowej (szczególnie stalowej, a następnie chemicznej) był dla nowej koreańskiej władzy priorytetem, jawiąc się jako niezbędny warunek bezpieczeństwa i siły narodu. A skoro władzę przejęli czynni oficerowie, początek operacji cechował iście wojskowy dryl, pozbawiony formalności, analiz i rad ekonomicznych ekspertów.

Doktrynę ekonomiczną Parka można określić jako ultrainterwencjonizm. W głównych punktach strategia ekonomiczna Koreańczyków zbieżna była z tym, co rozpoczęli trochę wcześniej uchodźcy z Chin na Tajwanie. Podobnie jak rządy Kuomintangu, ekipa Parka zdecydowała się na odejście od substytucji importu na rzecz subsydiowania eksportu. Z tą różnicą, że zamiast ulg podatkowych oferowali oni swym przedsiębiorcom przede wszystkim bardzo opłacalne kredyty ze zdominowanego przez państwowe podmioty sektora bankowego (co nie znaczy, że z zachęt podatkowych zupełnie zrezygnowano). Wdrażano z sukcesami planowanie indykatywne, przy współpracy z samymi przedsiębiorcami, a także aktywnie pomagano krajowym przedsiębiorcom w eksporcie, np. utworzono Koreańską Korporację Promocji Handlu, a korpus dyplomatyczny zaangażowany był w poszukiwanie kontrahentów. Podobnie jak na Tajwanie, dogodne warunki dla eksportu uzyskano dzięki dewaluacji waluty. Prezydent Park organizował Miesięczne Spotkania Promocji Eksportu, a w 1964 r. ustanowiono coroczny Dzień Eksportu, podczas którego nagradzano medalami najlepszych eksporterów.

Odbudowano sektor publiczny, ograniczony po prywatyzacjach z czasów rządu Rhee - wyłączając rolnictwo, osiągnął on poziom 13 proc. PKB, a w sektorze finansowym stanowił aż 87 proc., dzięki czemu możliwa była bardzo aktywna polityka kredytowa. Władza utrzymywała bliskie relacje z przedsiębiorstwami. Dominowały wśród nich, inaczej niż na Tajwanie, wielkie, tzw. czebole. Były to ogromne podmioty, które pomimo prywatnego (a często w zasadzie rodzinnego) charakteru zaprzęgnięte były do realizacji politycznych i publicznych celów. Za ich realizowanie mogły się spodziewać odpowiednich profitów i wsparcia (w postaci chociażby udzielanych przez rząd gwarancji finansowych, za pomocą których uspołeczniono ryzyko inwestycyjne). Całą sferę ekonomiczną Korei Południowej podporządkowano celom politycznym, co przejawiało się w czasem wręcz brutalnej ingerencji państwa w gospodarkę.

Bardzo szybko stało się jasne, jak będzie wyglądać sposób zarządzania gospodarką przez nowe koreańskie władze. Już w 1961 r. (a więc zaraz po przewrocie) uchwalono prawo o nielegalnym gromadzeniu bogactwa, na mocy którego aresztowano część przedsiębiorców, a następnie wypuszczono ich pod warunkiem, że na wolności założą nowe firmy i oddadzą państwu udziały w nich. Następnie Park i spółka złagodzili nieco swoją politykę, stawiając raczej na kooperację i metodę marchewki, jednak kij wciąż czasem wchodził w grę - głównie pod postacią groźby utraty profitów lub, w ostateczności, zapraszania zbyt krnąbrnych przedsiębiorców na pogawędkę ze służbą bezpieczeństwa. Przede wszystkim jednak całe publiczne oraz prywatne zasoby mobilizowano do osiągania politycznie wyznaczonych celów (co czyniono wyjątkowo skutecznie), nawet jeśli mogły się one komuś wydawać zupełnie idiotyczne.

Sztandarowym przykładem był pomysł stworzenia krajowego przemysłu stalowego, na którym od samego początku Park chciał oprzeć gospodarkę.

Wydawało się, że jest to projekt zupełnie nierealny. Po pierwsze, gospodarka koreańska była kompletnie nieprzygotowana na tak skomplikowaną produkcję (wcześniej eksportowała głównie ryby, surowce, odzież i... peruki). Po drugie, nie posiadała niezbędnych surowców, a ich najbliższe źródła znajdowały się w Australii i Kanadzie, czyli w odległości wielu tysięcy kilometrów. **Wszyscy zagraniczni eksperci ekonomiczni pukali się w czoło, a Bank Światowy oficjalnie odradził potencjalnym inwestorom zaangażowanie się w projekt. Rząd Korei miał poważne problemy ze znalezieniem inwestora i nie pomagało w tym nawet oferowanie wszelkich możliwych subsydiów (rozbudowa infrastruktury, ulgi podatkowe, przyspieszona amortyzacja itd.). Koreańscy decydenci nawet nie brali pod uwagę rezygnacji z planu wyśmiewanego przez wszystkich. Wobec braku zewnętrznego finansowania wykorzystali środki pochodzące z reparacji japońskich za okres rządów kolonialnych i założyli państwowe przedsiębiorstwo POSCO, które miało zarządzać przyszłą hutą. Na dodatek na jego czele stanął niemający prawie żadnego doświadczenia biznesowego generał armii Park Tea-joon. Wszystko wskazywało na to, że projekt zakończy się wielką klapą. Jednak ku zdumieniu wszystkich (oprócz Koreańczyków, rzecz jasna) katastrofa wcale nie nadeszła. Produkcja ruszyła z kopyta w 1973 r., a już w latach 80. POSCO było uważane za jednego z najefektywniejszych producentów niskogatunkowej stali na świecie. Obecnie należy do grupy kilku największych światowych producentów tego surowca.**

Przykład POSCO wcale nie był wyjątkiem. Lata 60. to m.in. początki rodzinnego czebola Lucky-Goldstar, który zamierzał wejść w przemysł tekstylny, ale... dostał od rządu polecenie rozpoczęcia produkcji przewodów. Jak miało okazać się później, ruch ten stał się podstawą powstania wielkiego elektronicznego koncernu, jakim jest dziś LG. Dekadę później założyciel Hyundaia Chung Ju-yung kręcił nosem na „propozycję" od rządu, aby otworzył stocznię. Widząc niewystarczający entuzjazm ze strony przedsiębiorcy, prezydent Park osobiście zagroził Chungowi bankructwem. Chcąc nie chcąc Hyundai wszedł w branżę stoczniową. Obecnie jest jednym z największych producentów statków na świecie.

W latach 1961-1979 koreańscy generałowie pod wodzą Parka Chung-hee zadziwili świat. I gdyby nie zabójstwo Parka w 1979 r., i idąca za nim wyraźna korekta jego polityki, pewnie zadziwialiby nadal. Idąc pod prąd wszelkim „niepodważalnym prawom" ekonomii, wojskowi z Korei udowodnili, że w rozwoju gospodarczym liczą się przede wszystkim pomysłowość, odwaga eksperymentowania (nie wszystkie decyzje junty były celne, choć ich bilans był zdecydowanie dodatni) oraz konsekwencja. **Wyniki ekonomiczne z tego okresu Korea notowała rewelacyjne. Trzy pięcioletnie plany z lat 1962-1976 wykonano z ogromną nadwyżką. Średnioroczny wzrost PKB z lat 1967-1979 wynosił - bagatela - ponad 11 proc. (w latach 1962-1966 było to 8,2 proc.), a wzrost produkcji przemysłowej ponad 20 proc. Korea Południowa w niezwykle krótkim czasie stała się państwem uprzemysłowionym - w roku 1976 udział przemysłu w PKB wynosił 36 proc., choć jeszcze w latach 50. była ona jednym z najbiedniejszych państw świata, jeśli nie najbiedniejszym.** Epoka prezydenta Parka stworzyła w Korei podwaliny pod trwały wzrost, który utrzymał się także w dekadach następujących po jego rządach - przykładowo w latach 80. rozwijała się ona przeciętnie w godnym pozazdroszczenia tempie 8,6% PKB. Dziś Korea Południowa to państwo wysoko rozwinięte i dysponujące niezwykle innowacyjną gospodarką - okres rządów generała Parka walnie się do tego przyczynił.

Konieczność własnej drogi

Z dziejów gospodarczych opisanych państw można wyciągnąć wiele wniosków. Szwedzi udowodnili, że państwo opiekuńcze może być fundamentem trwałego rozwoju społecznego, a nie społecznej apatii. **Przypadek koreański z kolei obnaża nieprawdziwość słów byłego polskiego ministra Tadeusza Syryjczyka, według którego *najlepsza polityka przemysłowa to brak polityki przemysłowej*. Śledząc historię Koreańczyków, którzy podejmowali decyzje, wydawałoby się, najgłupsze z możliwych, dochodzimy do wniosku wręcz odwrotnego - każda polityka przemysłowa jest lepsza niż jej brak.** Tajwańczycy i Koreańczycy udowodnili też, że sukces gospodarczy nie jest zarezerwowany tylko dla pewnych kręgów kulturowych czy cywilizacyjnych - jeszcze na początku XX wieku znawcy Dalekiego Wschodu uznawali koreański lud za jeden z najbardziej leniwych i zepsutych na świecie, a konfucjanizm wydawał się zupełnie nie do pogodzenia z kapitalizmem. Przede wszystkim jednak powyższe przykłady różnych dróg rozwojowych pokazują jedno: nie warto zostawiać kwestii rozwoju ekonomicznego tajemniczej „logice rynkowej", gdyż dużo lepsze i szybsze efekty można uzyskać, świadomie zaprzęgając procesy gospodarcze do służby dobru wspólnemu.

Prawdziwy sukces ekonomiczny osiągają te wspólnoty, które zamiast dostosować się do otaczającej rzeczywistości, postanowiły tę rzeczywistość kształtować. **Sukces czeka na te społeczności, które nie bacząc na uniwersalne rady ekspertów, wypracowały własne unikatowe mechanizmy rozwoju. Szwedzi, Finowie, Tajwańczycy oraz Koreańczycy odważyli się samodzielnie myśleć i wyszli na tym znakomicie. Teraz czas na Polaków.** ⚒

Papers, please!

Ilona Majewska

Punkt kontroli granicznej kraju w regionie zapalnym. Tłum chętnych do przekroczenia granicy: represjonowani, uciekający przed zamieszkami, migrujący za chlebem, ale też oszuści i niebezpieczni przestępcy. Straż graniczna ma mało czasu na podjęcie decyzji, kogo wpuścić, a kogo odesłać. Czy „przymknąć oko" na brak stempla w dokumentach żony opozycjonisty? A może rozdzielić rodzinę, pozwalając tylko jemu przekroczyć granicę? Ta scena z gry Lucasa Pope'a „Papers, please" jest znacznie uproszczoną wersją relacji osób, które ubiegają się o przyznanie ochrony międzynarodowej. Joanna Paliwoda-Szubańska, która współpracuje z Ośrodkiem dla Uchodźców w Grotnikach, przyznaje, że metafora gry jest zasadna. Uzyskanie ochrony, nawet przez osoby, którym się ona „należy", wymaga - jak w grze strategicznej - dobrego przygotowania, predyspozycji i odrobiny szczęścia.

© Rosande Tyskar, flickr.com/photos/rasande/14060147226

Europa zamknięta

Dane Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych wskazują, że obecna liczba uchodźców - 45 mln - jest najwyższa od czasów II wojny światowej. Podstawowa linia polityki emigracyjnej Unii Europejskiej to wzmacnianie ochrony granic. W raporcie „Ludzkie koszty budowy twierdzy Europa: łamanie praw człowieka migrantów na granicach Europy" Amnesty International wskazuje, że **z miliardów euro wydawanych przez Unię Europejską na politykę migracyjną znaczna część przeznaczana jest na wzmacnianie granic, zwiększanie liczby patroli, budowę skomplikowanych systemów monitoringu itp. Dla przykładu w latach 2007-2013 wydano na poprawę warunków przyjmowania uchodźców 700 mln euro, a aż 2 mld na ochronę granic.** Ponadto tylko od 2005 do 2013 roku budżet Frontexu (agencji zarządzającej współpracą operacyjną na granicach zewnętrznych Unii) wzrósł czternastokrotnie.

Zapobieganie tzw. nieregularnym migracjom wygrywa z poszanowaniem praw człowieka osób starających się o przyznanie międzynarodowej ochrony. W opłacanych przez UE państwach (Libii, Turcji, Maroko) powstają strefy buforowe między Europą a Azją i Afryką. Właśnie w tych krajach zatrzymywani są często migranci próbujący dostać się do Unii Europejskiej. Kolejną praktyką jest nielegalne zawracanie na granicach bez rozpatrzenia indywidualnych okoliczności. Amnesty International podaje przykłady z Bułgarii, Grecji i Hiszpanii (na początku 2014 r. w wodach terytorialnych tych państw utonęło 14 osób, a straż graniczna ostrzelała ich gumowymi kulami i użyła gazu łzawiącego). **Szczególnie dramatycznie wygląda sytuacja uchodźców z Afryki, decydujących się dotrzeć do Europy drogą morską. Historia polskiego statku, który uratował 97 osób dryfujących na pontonie między Maltą a Libią w lipcu 2014 r., to akurat przypadek zakończony happy endem, ale od 2000 r. zginęły w taki sposób 23 tys. osób.**

Amnesty International postuluje, żeby państwa Wspólnoty wzięły odpowiedzialność za życie migrantów i poszły w ślady Włoch, które po tragedii na Morzu Śródziemnym w październiku 2013 r. (zatonęło 400 uchodźców) rozpoczęły akcję „Mare Nostrum" (patrole i ratownictwo), dzięki której przez 6 miesięcy uratowano 50 tysięcy osób.

Reżim uchodźczy

Zwyczajowo pod terminem „uchodźcy" rozumiemy wszystkich migrantów, którzy opuścili swój kraj z powodu wojny, prześladowań czy fatalnej sytuacji ekonomicznej. Dymitr Gafarowski z Instytutu Rosji i Europy Wschodniej Uniwersytetu Jagiellońskiego podkreśla jednak, że termin zarezerwowany jest dla osób spełniających kryteria Konwencji Genewskiej. W momencie przyjęcia Konwencja miała dotyczyć wyłącznie tych, których uchodźstwo spowodowane było wydarzeniami sprzed 1 stycznia 1951 r. Dopiero Protokół Nowojorski z 1967 r. objął definicją także osoby emigrujące później. Coraz częściej pojawiają się opinie, że Konwencja to dokument nieadekwatny do współczesnych realiów.

Określa ona, że status uchodźcy może być przyznany *osobie, która na skutek uzasadnionej obawy przed prześladowaniem ze względu na swoją rasę, religię, narodowości, przynależności do danej grupy, poglądy polityczne musi opuścić państwo, którego jest obywatelem*. Status może uzyskać również ten, kto nie posiada żadnego obywatelstwa i znajduje się, na skutek powyżej opisanych zagrożeń, poza granicami kraju stałego zamieszkania. Daniel Pluta ze Stowarzyszenia „Jeden Świat" w artykule „Zarys zjawiska uchodźstwa" zauważa: *ważną częścią tej definicji jest stwierdzenie „uchodźca jest osobą", co w konsekwencji sprawia, że pod tym pojęciem nie*

rozumie się niepoliczalnej masy ludzi, którzy uciekli z jednego miejsca do drugiego, ale zbiór poszczególnych jednostek, z których każda indywidualnie musi udowodnić, że była prześladowana lub że prześladowanie jej zagraża. **Warunkiem niewystarczającym jest to, że w danym kraju mają miejsce zamieszki, panują fatalne warunki ekonomiczne, a nawet trwa wojna. Wąska definicja uchodźstwa wyklucza przytłaczającą liczbę ofiar niestabilnych sytuacji politycznych czy gospodarczych.**

– *Wszystkie instrumenty prawne w zakresie uchodźstwa i rozwiązywania związanych z nim problemów* – mówi Gafarowski – *tworzą tzw. reżim uchodźczy. To szerokie pojęcie z niwy stosunków międzynarodowych, określające zespół aktów prawnych takich jak Konwencja Genewska, Protokół Nowojorski oraz – na szczeblach państwowych – ustawy określające zasady i formy ochrony międzynarodowej. Role reżimu są dwie – polityczna, czyli kontrola uchodźców, i humanitarna – świadczenie pomocy w ramach ideologii praw człowieka*. Większość krajów Europy Zachodniej szuka sposobu pogodzenia tych sprzecznych racji. Ważną zasadą, na której opiera się cały system, jest wyrażona w Konwencji zasada *non-refoulement*, zakładająca, że emigranta nie można odsyłać do kraju, gdzie jest narażony na prześladowanie. Tym samym Polska, jak każdy z sygnatariuszy Konwencji, musiała przyjąć inne formy ochrony dla osób, które nie kwalifikują się do przyznania statusu uchodźcy, a nie mogą wrócić do kraju pochodzenia.

Polska prowadzi kompleksową procedurę azylową – jeśli dana osoba nie spełnia warunków przyznania statusu uchodźcy, automatycznie sprawdza się możliwość objęcia niższą formą ochrony (ochronę uzupełniającą, pobyt humanitarny). Ochrona uzupełniająca daje prawa tożsame ze statusem uchodźcy, z wyjątkiem przyznania paszportu genewskiego. Nadawana jest w sytuacji zagrożenia życia, ryzyka tortur oraz innych poważnych okoliczności *zindywidualizowanego zagrożenia dla życia i zdrowia wynikającego z powszechnego stosowania przemocy*. Definicja ta jest dość niejasna – przede wszystkim nie rozstrzyga, na ile zagrożenie ma być indywidualne, a na ile dotyczyć może szeroko rozumianych warunków w kraju pochodzenia.

W przypadku gdy odmówiono przyznania zarówno statusu uchodźcy, jak i ochrony uzupełniającej, cudzoziemiec ma jeszcze szansę na pobyt humanitarny. Taką ochronę przyznaje się osobom, których powrót do kraju pochodzenia zagroziłby ich podstawowym prawom do życia i bezpieczeństwa. W teorii wniosek powinien zostać rozpatrzony w ciągu 6 miesięcy. W praktyce trwa to niestety o wiele dłużej, nawet kilka lat spędzanych w ośrodku dla cudzoziemców w oczekiwaniu na decyzję.

Chlebem i solą?

Doświadczenia Polski jako kraju przyjmującego migrantów rozpoczynają się na początku lat 90. podpisaniem Konwencji Genewskiej. Tuż po jej ratyfikacji dotarła do nas pierwsza grupa ok. 1000 cudzoziemców, których ulokowano w domu wczasowym w Świnoujściu, a opieki nad nimi podjął się Czerwony Krzyż. Ponad 20 lat przyjmowania cudzoziemców, w tym 10 lat przynależności do Wspólnoty Europejskiej, pozwoliło zbudować ramy prawne i zdobyć doświadczenia w przeprowadzaniu procedury.

Proces zaczyna się na przejściu granicznym, w momencie zgłoszenia do Straży Granicznej wniosku o objęcie ochroną międzynarodową. Cudzoziemiec ma prawo wnioskować o przyznanie ochrony już w trakcie pobytu na terytorium Polski, np. jeśli zmieniła się sytuacja w jego kraju i mogą mu w związku z tym zagrażać prześladowania. W 2013 r., jak podaje raport Urzędu do Spraw Cudzoziemców, złożono ponad 5 tys. wniosków, które obejmowały 14 996 osób. W 80 proc. są to osoby pochodzące z Federacji Rosyjskiej, znaczna część deklaruje narodowość czeczeńską, pozostali to m.in. Gruzini, Syryjczycy, Ormianie, Kazachowie, Kirgizi, Afgańczycy.

Na granicy cudzoziemiec wypełnia wniosek o przyznanie statusu (w języku polskim), a wszystko, co tam powie, jest brane pod uwagę w procedurze prowadzonej przez Urząd do Spraw Cudzoziemców. Paliwoda-Szubańska opowiada, że to, jak potoczy się procedura, zależy od sposobu przedstawienia dowodów oraz posiadania dokumentów, które mogą świadczyć o powodach opuszczenia kraju. Zdarzało się, że ktoś miał dramatyczne doświadczenia, ale nie był w stanie ich udokumentować. **Urzędnik rozpatrujący sprawę ocenia „suche fakty", więc tylko jeśli zeznania są spójne, poparte dowodami – fotografiami, wypisami ze szpitala, obdukcjami zaświadczającymi pobicia itp. – może odnieść się pozytywnie do sprawy. Często narracje nie są płynne, co wynika m.in. z zespołu stresu pourazowego (PTSD), który może wpływać na zaburzenia pamięci. Przesłuchania są obarczone formalizmem – chaotyczna narracja przekreśla szansę na uzyskanie ochrony.**

Rafał Baczyński-Sielaczek z Polskiej Akcji Humanitarnej, który koordynuje projekt „Razem dwa" w dwóch ośrodkach dla uchodźców, mówi: *Trudno zająć stanowisko i generalizować na temat tego, jak UDSC wydaje decyzje, ale faktycznie obserwujemy, że część osób, które kwalifikują się do przyznania ochrony, nie otrzymuje jej. Sytuacja Czeczenów jest tu szczególnym przypadkiem – formalnie zakończyły się tam działania wojenne, ale sytuacja ludzi jest szczególnie trudna, daleka od stabilizacji. Zdarzają się porwania dla okupu, ludzie znikają z ulic, wyciągani są nocą z domów, szerzy się ogromna korupcja. To kraj na*

© Evan Bench, flickr.com/photos/austinevan/4263462042

granicy rozkładu - na pewno część z tych osób naprawdę czuje obawę przed utratą zdrowia czy nawet życia, przed bezpodstawnym uwięzieniem, dlatego uciekają. Statystyki pokazują, że mimo to nie otrzymują ochrony.

Po pierwszym przesłuchaniu wykonywane są fotografie i pobierane odciski palców. Zarejestrowanie danych w bazie EURODAC pozwala przestrzegać rozporządzenia Dublin II, które określa, jakie państwo członkowskie jest właściwe do rozpatrywania wniosku o azyl. To poważna konsekwencja, o której często nie wiedzą lub zapominają cudzoziemcy - jeśli odciski palców zostały pobrane i zarejestrowane w Polsce, a celem migracji jest np. Szwecja, to dopóki procedura nie zostanie zakończona, dopóty próby wyjazdu poza granice Polski będą kończyły się deportacją. Cudzoziemcy dostają Tymczasowe Zaświadczenie Tożsamości Cudzoziemca, wydane przez komendanta placówki Straży Granicznej, ważne przez 30 dni. Jest to dokument tożsamości pozwalający na poruszanie się po terytorium Rzeczypospolitej Polskiej. Z granicy są przewożeni do ośrodków recepcyjnych w Dębaku lub Białej Podlaskiej, gdzie odbywają się badania mające na celu zminimalizowanie ryzyka przenoszenia do Polski chorób zakaźnych. Kolejny krok to zakwaterowanie w ośrodku pobytowym.

Obecnie istnieje w Polsce 13 ośrodków - część należy do UDSC, niektóre, jak w Grupie koło Grudziądza i w Grotnikach w woj. łódzkim, są własnością prywatną, a prowadzący zostali wyłonieni w konkursie. Większość znajduje się z daleka od dużych miast - głównie w województwach lubelskim i mazowieckim. Raporty UNHCR oceniają stan ośrodków jako dobry, warto jednak mieć świadomość, że warunki są tam skromne. Przykładowo **5-osobowa rodzina (rodzice i troje dzieci w wieku wczesnoszkolnym)**

zakwaterowana jest w jednym pokoju z małą łazienką, wyposażonym w podstawowe sprzęty – łóżka piętrowe, stolik, krzesła. – W ***ośrodkach zapewnione są posiłki oraz ekwiwalent dla dzieci, które nie żywią się w stołówce. Obalić należy mit, że uchodźcy otrzymują „duże pieniądze" za nic. Miesięcznie to 70 zł*** – mówi Paliwoda.

W opinii publicznej uchodźcy nierzadko budzą niechęć. Najczęściej wynika ona z niewiedzy i braku świadomości, jak wygląda procedura. Częstym zarzutem jest też to, że nie pracują. – *Co do pracy* – opowiada Paliwoda-Szubańska – *to po sześciu miesiącach mogą wystąpić o pozwolenie na podjęcie zatrudnienia. Warto jednak uświadomić sobie kilka rzeczy – po pierwsze: bariera językowa i duża niechęć do zatrudniania cudzoziemców. Po drugie – ośrodki jak np. ten w Grotnikach ulokowane są w małych miejscowościach, gdzie ofert pracy najczęściej nie ma, a oddalenie od ośrodków miejskich też jest zaporą – przy kieszonkowym 70 zł trudno wyruszyć na solidne poszukiwania zatrudnienia, kiedy nie ma wystarczających pieniędzy nawet na bilet miesięczny.* Zdarzają się przypadki nielegalnego zatrudniania cudzoziemców, żerowania na ich trudnej sytuacji, nieznajomości przepisów. Organizacje pozarządowe postulują umożliwienie podejmowania pracy od początku znalezienia się w ośrodku i wspieranie w tym cudzoziemców.

Ci, którzy współpracują z różnymi ośrodkami, przyznają, że **stan zawieszenia, organizacja przestrzenna, gdzie na stosunkowo małej powierzchni skupiona jest duża grupa obcych sobie, także kulturowo, ludzi, generuje specyficzną atmosferę. Komunikat wysyłany do przebywających w ośrodkach – „nic od was nie zależy" – przekłada się na panujący marazm czy zaburzenia poczucia czasu.** – *Prawo jest tak skonstruowane, że nie ma znaczenia, czy cudzoziemiec uczy się języka polskiego, znalazł pracę, a jego dzieci chętnie realizują obowiązek szkolny – nie są to kategorie brane pod uwagę przy podejmowaniu decyzji o przyznaniu statusu* – dodaje Szubańska. W przypadku kultur patriarchalnych (Czeczenia, Gruzja, Kazachstan) mężczyznom trudniej zaadaptować się w nowych warunkach. Ich żony, tak jak przed wyjazdem, zajmują się dziećmi, organizują „życie domowe", a oni tracą wszystkie zajęcia, wysoki status, poczucie wpływu na los rodziny. To wyjaśnia depresje i przypadki silnego PTSD.

Wsparciem w rozwiązywaniu codziennych problemów mają służyć zatrudniani w ośrodkach pracownicy socjalni. – ***Część personelu tylko z nazwy jest pracownikami socjalnymi, gdyż wykonują jedynie obowiązki administracyjne, związane z funkcjonowaniem ośrodka, a brakuje realnej pracy socjalnej z wspieraniem podopiecznych w codziennych problemach. Można stwierdzić, że starania na rzecz integracji cudzozoemców ze strony władz publicznych pozostają słabe,*** *lukę wypełniają organizacje pozarządowe* – mówi Baczyński-Sielaczek. – *Jeśli chodzi o preintegrację (integrację jeszcze przed nadaniem ochrony), państwo nie realizuje żadnych działań oprócz mało efektywnych lekcji języka polskiego w ośrodkach* – dodaje mój rozmówca. Z doświadczeń PAH-u wynika, że **jakość wsparcia psychologicznego, opieki medycznej, a nawet samo nastawienie personelu do uchodźców bywa, delikatnie mówiąc, różne, a często kuleje.**

© Photo Unit, flickr.com/photos/10126896@N04/10992023523

Jeśli do ośrodka trafi ze swoim projektem organizacja pozarządowa, jest szansa, że będzie tam świadczone poradnictwo prawne – często kluczowe, aby przygotować się do przesłuchania, zrozumieć, na jakim etapie jest postępowanie, napisać odwołanie od decyzji itd. Organizacje podejmują także działania edukacyjne dla społeczności lokalnych. Pozwala to uniknąć konfliktów między mieszkańcami miejscowości, gdzie powstają ośrodki, a przyjezdnymi.

Doświadczenia PAH-u (dwuletnie w ośrodku w Dębaku i czteroletnie w Grupie) pokazują braki działań preintegracyjnych w ośrodkach. Założenie świetlic i systematyczna praca z dziećmi pozwalają im odnaleźć się w często zupełnie nowej sytuacji, jaką jest chodzenie do szkoły (z chwilą zamieszkania w ośrodku dzieci muszą zacząć realizować obowiązek szkolny). Na świetlicy można odrobić lekcje, uzyskać wsparcie, szybciej poznać język polski, ale też nauczyć się funkcjonowania w grupie. Świetlice pracują także z rodzicami, wyrabiają w nich zainteresowanie edukacją dzieci - to zmniejsza absencję w szkole, która wśród dzieci uchodźczych jest bardzo wysoka. Projekty pozwalają również uzupełnić wykształcenie, przekwalifikować się zawodowo osobom dorosłym. Baczyński-Sielaczek przyznaje, że **projektowy charakter takich form wsparcia jest wadą, a przed Polską stoi konieczność wypracowania systemowych rozwiązań, które będą obowiązywać we wszystkich ośrodkach, a nie tylko w tych, do których dotrze organizacja pozarządowa.**

Przystanek Polska

Wywiady statusowe przeprowadzane są w siedzibie UDSC w Warszawie. W sprawie osoby, która stara się o status, nie są przesłuchiwani pozostali członkowie rodziny. Z doświadczeń Paliwody-Szubańskiej wynika, że to często niekorzystne dla cudzoziemców - przykładem może być przypadek Ingusza, którego znaleziono ciężko pobitego w lesie. Zeznania jego żony mogłyby wnieść do sprawy fakty, których przesłuchiwany nie pamiętał z powodu obrażeń. Szczególną ochroną w toku postępowań o nadanie statusu uchodźcy objęte są następujące grupy cudzoziemców: małoletni przebywający na terytorium RP bez przedstawiciela prawnego lub zwyczajowego (małoletni bez opieki), ofiary przemocy oraz osoby niepełnosprawne. Zeznania od tych osób przyjmowane są w szczególnych warunkach - w przypadku nieletnich w obecności psychologa, pedagoga lub lekarza - przez specjalnie przygotowanych pracowników. Nie można ich umieścić w areszcie lub ośrodku strzeżonym w przypadku wydalenia.

W rzeczywistości większego wsparcia w trakcie przesłuchań wymaga znacząca większość ubiegających się o ochronę. - *Znam sytuację Czeczena, który w Polsce był ok. 5 lat, siedem procedur zakończyło się negatywną oceną* - opowiada Baczyński-Sielaczek. - *Kiedy trafił do mojej znajomej, pracownicy socjalnej, okazało się, że miał 60-procentową utratę słuchu, a deklarowana znajomość języka polskiego była szczątkowa. Dopiero gdy ta koleżanka jako pełnomocniczka wzięła udział w przesłuchaniu i pilnowała, aby pytania były zadawane głośno i wyraźnie, otrzymał decyzję pozytywną. W trakcie wcześniejszych przesłuchań wskutek stresu odmawiał odpowiedzi, nerwowo kiwał głową, co było dla urzędników przesłanką, że nie wie, że odmawia odpowiedzi. Trudno generalizować, ale można mieć pewne zastrzeżenia do procedur.*

Procedura zwykle trwa dłużej niż przepisowe sześć miesięcy. Na długi czas rozpatrywania wniosku mogą składać się różne czynniki, m.in. rosnąca liczba podań o objęcie ochroną - UDSC podaje, że w stosunku do roku 2012 w 2013 złożono o 40 proc. więcej wniosków. Zdaniem Baczyńskiego-Sielaczka realne skrócenie jej do trzech miesięcy byłoby zasadne także ze względów ekonomicznych, a zaoszczędzone środki mogłyby powiększyć fundusze przeznaczane na realizowane systemowo integrację i wsparcie cudzoziemców.

Jak podaje UDSC, w 2013 r. status uchodźcy otrzymało 200 osób. Najwyższa forma ochrony gwarantuje paszport genewski uprawniający do legalnego pobytu we wszystkich krajach UE, oraz prawo do skorzystania z rocznego Programu Adaptacyjnego, prowadzonego przez Powiatowe Centra Pomocy Rodzinie. Agnieszka Duszkiewicz-Nowacka, dyrektorka

PCPR w Zgierzu, opowiada o tym, jak w praktyce wygląda świadczenie pomocy: *Z mojej perspektywy jest tak, że* ***ci ludzie przychodzą do nas z dużą nieufnością, a ich skrypt poznawczy jest taki, że urzędowi nie należy ufać, bo może mieć charakter represyjny. Oni przed czymś uciekli z bagażem negatywnych doświadczeń*** *i nie oczekuję, że przyjdą do nas, opowiedzą życiorysy ze szczegółami. Tańczymy swoistego menueta z uchodźcami, pozyskujemy zaufanie, staramy się wzajemnie oswajać, po to żeby oni się otwierali, bo jeśli nie powiedzą nam o swoich problemach, o tym, co najbardziej im przeszkadza, to nie udzielimy im adekwatnej pomocy. Chodzi nie tylko o udzielanie pomocy finansowej, bo nie jesteśmy tylko płatnikami świadczeń, lecz także o to, żebyśmy mogli wesprzeć ich w zakresie szukania mieszkania, relacji z sąsiadami, zdobycia pracy czy w kwestii tego, co się dzieje z dziećmi w szkole.* Moja rozmówczyni przyznaje, że znaczną przeszkodą są zasady wydatkowania finansów publicznych. - *To powoduje, że wypłacamy świadczenia z ogromnym opóźnieniem. Nie wynika to z zaniedbania, ponieważ kiedy tylko otrzymujemy sygnał, że będziemy mieli osoby, mamy ich dokumenty, które są podstawą do działania, działamy natychmiast.*

Pracownicy socjalni postępują w oparciu o indywidualny program integracji, który ma charakter kontraktu. Strony zobowiązują się w nim do wzajemnych świadczeń. Kontrakt trwa rok i określa rodzaje przyznanej pomocy - finansowej i socjalnej. Zapewnia możliwość korzystania ze wsparcia psychologicznego i prawnego. Agnieszka Duszkiewicz-Nowacka przyznaje, że przy posiadanych zasobach kadrowych PCPR poniósłby porażkę, gdyby nagle pod opiekę trafiła większa grupa osób. Obecnie zajmują się sześcioma wielodzietnymi rodzinami. Zdaniem organizacji pozarządowych, które wspierają cudzoziemców, program jest kosztowny, mało efektywny, a największą jego wadą jest zbyt krótki okres wspierania uchodźców. Od dawna postulują wydłużenie go do co najmniej dwóch lat.

Pozytywne zakończenie procedury to przejście z jednego rodzaju kłopotów w inne. Usamodzielnienie się w Polsce nie jest proste - posiadając na starcie zaledwie kilka rzeczy osobistych, trzeba rozkręcić nowe życie w kraju o zupełnie obcych realiach. Pierwszym problemem jest wynajęcie mieszkania - znalezienie oferty w dobrej cenie, najlepiej z wyposażeniem, nie jest proste. Dochodzi do tego niechęć Polaków, którzy często odmawiają wynajęcia lokalu „obcym". Kolejna trudność to zobowiązanie cudzoziemca do zameldowania - aby otrzymać wsparcie finansowe od PCPR-u, konieczne jest także wyrobienie PESEL-u. Justyna Olesińska - pracownik socjalny zgierskiego PCPR-u, przyznaje, że to częsty problem. *Pamiętam historię, że tłumaczyłam właścicielowi, jak wygląda procedura, prosiłam go o zameldowanie rodziny, której wynajmował mieszkanie. Mimo że nie sprawiali żadnych kłopotów, regularnie płacili czynsz, następnego dnia po rozmowie ze mną kazał im się wyprowadzić.* Wynika to prawdopodobnie z niechęci właścicieli mieszkań do wypełniania obowiązku meldunkowego wobec najemców.

Osobnym wątkiem są historie tych uchodźców, którzy otrzymali najniższą formę ochrony, czyli pobyt humanitarny. Nie przysługują im świadczenia i praktycznie z dnia na dzień muszą opuścić ośrodek i rozpocząć nowe życie. Świadczenia dla osób posiadających status uchodźcy lub ochronę uzupełniającą nie są wysokie - to od 531 do 1260 zł miesięcznie, w zależności od liczby osób w gospodarstwie domowym oraz od okresu realizacji Indywidualnego Programu Integracyjnego. Przez pierwsze 6 miesięcy świadczenie jest wyższe, zaś w okresie od 7. do 12. miesiąca kwota maleje. Zdaniem Duszkiewicz-Nowackiej **konieczna jest realna pomoc finansowa po opuszczeniu ośrodka:** ***Wyobraźmy sobie, że my sami z jedną reklamówką lądujemy np. w Brukseli! Ci ludzie mają dzieci, często kilkoro, to znacznie podnosi koszty utrzymania. Boję się, że jeśli nie stworzymy im warunków na starcie, to uciekną do szarej strefy.*** Uzupełnieniem działań państwa może być koordynowany przez PAH „Wolontariat wsparcia" w Warszawie i Toruniu - każdej rodzinie asystuje 1-2 wolontariuszy. Co szczególnie ważne, ich zadaniem nie jest wyręczanie, lecz jedynie wspieranie w sytuacjach codziennych, a sprawiających bardzo dużo trudności - zapisania rodziny do ośrodka zdrowia, a dzieci do szkoły. Jednak żadne pozarządowe działania nie wystarczą, jeśli publiczne instytucje nie będą interesować się osobami, które teoretycznie państwo objęło ochroną, lecz w praktyce uniemożliwia im staranie się np. o zasiłek rodzinny czy inne formy wsparcia socjalnego.

Baczyński-Sielaczek **zwraca uwagę na zagrożenie bezdomnością wśród emigrantów na prawach pobytu humanitarnego. Potwierdza to raport Instytutu Spraw Publicznych, który na zlecenie UNHCR przygotowano w 2013 r. - spośród 4920 osób, które pod koniec 2011 r. miały kartę stałego pobytu, około 2000 kwalifikowało się jako bezdomni.** W tym nawet 5-10 proc. osób w ogóle nie miało dachu nad głową, a reszta mieszkała u znajomych albo w schroniskach. Zdarzają się przypadki, że mimo obowiązku wyprowadzenia się z ośrodku w ciągu 2 miesięcy od otrzymania karty pobytu, nie udaje się znaleźć pracy ani wynająć mieszkania. W takich sytuacjach (jeśli są miejsca) rodzina zostaje w ośrodku. To rozwiązuje problem dachu nad głową, ale dostępu do żywności już nie. Sytuacja przypomina błędne koło - Alikhan i Kheda z trójką małych dzieci kilka nocy spędzili w samochodzie, w końcu udało im się wynająć tanie

mieszkanie, za które nie musieli wpłacać kaucji. Mieszkanie było puste i oddalone od większego miasta, co znacząco utrudniało znalezienie jakiejkolwiek pracy, np. w Łodzi, dokąd i tak ciężko byłoby dojeżdżać. Jedzenie, które otrzymali z Banku Żywności, też nie rozwiązywało problemu, bo nie mieli kuchenki, żeby móc cokolwiek ugotować z otrzymanych półproduktów. W końcu, jak wielu w podobnej sytuacji, zdecydowali się nielegalnie ruszyć na Zachód.

Wschód – Zachód

Dla pracujących z uchodźcami wyjazdy na Zachód nie są niczym zaskakującym. Wyjeżdżają osoby, którym paszport genewski otwiera legalną drogę do osiedlania się na terenie krajów zamożniejszych. Polskę opuszczają także beneficjenci ochrony uzupełniającej i pobytu humanitarnego, bo nie radzą sobie z naszą rzeczywistością. Wyjeżdżają wreszcie osoby, które otrzymały kolejną decyzję odmowną. Przekroczyć granicę na Zachód jest łatwo, a zwiększa to szanse na rozwiązanie problemów ekonomicznych. Cudzoziemcy, których wnioski są aktualnie rozpatrywane, w przypadku zatrzymania i sprawdzenia w bazie EURODAC, są deportowani do Polski. Osobnym tematem są powroty do kraju pochodzenia – w przypadku ostatecznego zakończenia procedury i wydania negatywnej odpowiedzi, ale też w ramach tzw. powrotów dobrowolnych. Powroty dyktowane są często względami rodzinnymi, gdy ktoś z bliskich zachorował lub zmarł. Czasem decyzja zapada po kolejnej negatywnej odpowiedzi UDSC, kiedy traci się wiarę w pozytywne rozwiązanie sytuacji. Powrót dobrowolny jest wtedy mniejszym złem – te osoby mają szanse skorzystać z programu prowadzonego przez Biuro Międzynarodowej Organizacji do spraw Migracji (IOM), które ułatwia proces reintegracji, przydzielając niewysokie środki finansowe na start lub asygnując wsparcie finansowe dla opracowanego jeszcze w Polsce biznesplanu.

Pobyt w Polsce jest dla większości uchodźców wielkim przystankiem – ci, którym się uda, ruszą na Zachód, pozostałych czeka deportacja, pojedyncze osoby decydują się zostać. Jak długo władze publiczne nie podejmą się rzetelnego i kompleksowego wypracowania mechanizmów integracji, tak długo trudno oczekiwać, że ten przystanek może zostać potraktowany jak cel podróży. ⚒

REKLAMA

Muzeum Historii Spółdzielczości w Polsce
www.muzeum.krs.org.pl

PA TRIO TYZM JUTRA

Strona powstała w ramach projektu „SpółDzielmy się historią” dofinansowanego ze środków Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach programu „Patriotyzm Jutra”.

(Dez)organizacje

z dr Grażyną Piechotą
rozmawia Marceli Sommer

- **Jaka jest dziś kondycja polskiego społeczeństwa obywatelskiego oraz jego rzeczywistej bądź domniemanej emanacji, czyli tzw. trzeciego sektora? Jak ma się rzeczywistość do ideału społeczeństwa aktywnego i podmiotowego?**
- **Grażyna Piechota:** Społeczeństwo obywatelskie w Polsce jest wciąż bardzo słabe. Jak wynika z cyklicznie przygotowywanej „Diagnozy Społecznej", sytuacja ta od wielu lat praktycznie się nie zmienia. Minimalna poprawa na poziomie pojedynczych wskaźników, takich jak ocena zachowań aspołecznych, np. niepłacenia podatków, kradzieży prądu czy jeżdżenia na gapę, wynika z rosnącego poziomu edukacji Polaków, wzrostu ich kompetencji społecznych i obywatelskich. Polacy wciąż nie są jednak zainteresowani tworzeniem dobra wspólnego, nie postrzegają tej wartości jako czegoś ważnego. Nie widzimy związku między jakością własnego życia a aktywną postawą i świadomością obywatelską. Widać to doskonale na przykładzie frekwencji wyborczej. Wciąż ponad połowa uprawnionych dokonuje politycznego samowykluczenia, nie biorąc udziału w wyborach, a zatem nie przyjmując odpowiedzialności za kierunek naszego rozwoju i związany z nim poziom życia. Szczególnie rażąco ta abdykacja z zaangażowania w życie wspólnoty przejawia się na poziomie lokalnym, gdzie podejmowane są najważniejsze decyzje kształtujące jakość życia mieszkańców. A sięgając jeszcze niżej, znakomicie widać ją choćby na przykładzie frekwencji podczas zebrań wspólnot mieszkaniowych, w których średnio bierze udział ok. 10-15 proc. mieszkańców.

  Inny problem, jaki dostrzegam, to rosnący strach przed wyrażaniem opinii i przyjmowaniem postaw krytycznych, kontestujących rzeczywistość. Zdarza się, że jednostki, które sprzeciwiają się różnym patologiom, ponoszą dotkliwe konsekwencje bycia aktywnym - zyskują opinię „wichrzycieli", tracą pracę lub możliwości awansu itp. Pomimo nieznacznego wzrostu poziomu kompetencji społecznych i obywatelskich, wielu Polaków nadal nie zna swoich praw i nie przestrzega obowiązków - i jest to niestety postawa szeroko akceptowana. Coraz bardziej powszechne staje się natomiast przejawianie aktywności obywatelskiej w rzeczywistości wirtualnej. Internauci korzystają z możliwości finansowania społecznościowego (crowdfundingu), wyrażają w Sieci swoje niezadowolenie, angażują się w projekty polityczne, ekonomiczne czy ekologiczne. Często biorą też udział w przedsięwzięciach wykraczających poza granice kraju czy wręcz globalnych. Trzeci sektor ulega tymczasem stopniowej profesjonalizacji.

- **To dobrze czy źle?**
- Skutki profesjonalizacji działalności pozarządowej są ambiwalentne. Z jednej strony mamy z pewnością do czynienia ze wzrostem kompetencji osób zaangażowanych w działalność trzeciego sektora, co przekłada się na coraz efektywniejsze funkcjonowanie organizacji, sprawniejsze procesy komunikowania się ze społeczeństwem oraz poprawę standardów współpracy z administracją publiczną. Z drugiej strony profesjonalizacja w pewnym stopniu niestety zabija społecznikostwo i spontaniczność, które były dotąd niezbywalnymi atrybutami działalności organizacji oddolnych. Ich miejsce zastępuje w coraz większym stopniu świadome zarządzanie emocjami otoczenia, tak aby organizacja mogła skutecznie realizować swoje działania.

Benson Kua, flickr.com/photos/bensonkua/4886812019

– Z czego wynikają te przemiany?

– Ważną rolę odegrało z jednej strony wprowadzenie nowych regulacji dotyczących działalności pożytku publicznego w 2003 r., które m.in. unormowały status wolontariuszy oraz wyodrębniły spośród ogółu organizacji pozarządowych (NGO) grupę organizacji pożytku publicznego (OPP). Z drugiej strony istotną rolę odegrało wprowadzenie możliwości finansowania tych organizacji jednoprocentowym odpisem z PIT. Wymusiło to na OPP, które chciały ubiegać się o tego typu finansowanie, projektowanie profesjonalnych kampanii społecznych i innych działań komunikacyjnych skierowanych do opinii publicznej, a to z kolei wiązało się ze zwiększonym zainteresowaniem mediów. Jednocześnie pojawiły się także liczne konkursy grantowe, które stawiają przed organizacjami ubiegającymi się o fundusze daleko idące wymagania formalne. Zmiany te przyczyniły się do zaistnienia OPP na szerszą skalę w świadomości społecznej. Jeśli chodzi o gotowość obywateli do angażowania się w ich działania, wciąż jednak są to zmiany nieznaczne, a stan rzeczy odległy od tego, który moglibyśmy określić mianem aktywnego społeczeństwa obywatelskiego.

Polskie NGO swoimi działaniami oraz przyjętymi strategiami komunikacyjnymi także nie przyczyniają się do zmiany postaw dominujących wśród Polaków.

– Jak to?

– Najczęściej spotykane w sferze publicznej przekazy NGO nastawione są przede wszystkim na oddziaływanie na emocje odbiorców – zwykle po to, aby skłonić ich do wsparcia działań określonej organizacji. Brakuje natomiast w tych przekazach zabiegów na rzecz zwiększania kompetencji społeczeństwa, objaśniania długofalowych zadań i celów, jakim służą organizacje pożytku publicznego. Bez takich działań trudno sobie tymczasem wyobrazić możliwość formułowania racjonalnych oczekiwań społecznych wobec NGO. Koncentrowanie się wyłącznie na doraźnych celach – a takie intencje przyświecają wielu organizacjom w ich działaniach komunikacyjnych – powoduje, że ludzie nierzadko wspierają przedsięwzięcia społeczne

CC BY United States Mission Geneva, flickr.com/photos/us-mission/8046989861

bez zrozumienia ich, dociera do nich bowiem tylko ten powierzchowny emocjonalny przekaz. Konkurencja między organizacjami odbywa się zatem bardzo często nie w oparciu o merytoryczne argumenty i realne osiągnięcia, ale o to, kto lepiej w sensie marketingowym zaprojektuje działania promocyjne.

- **Jak ocenia Pani system finansowania organizacji pozarządowych w Polsce? Jak wpływa on na ich podmiotowość względem administracji państwowej z jednej, a biznesu z drugiej strony?**

- Polskie organizacje pozarządowe są niestety uzależnione od dotacji i grantów - albo tych płynących z administracji publicznej, albo pozyskiwanych w ramach innych projektów, np. finansowanych przez biznes.

Syndrom tzw. grantozy to nie tylko konkurencja o granty, ale przede wszystkim ich „przerabianie" - koncentracja na rozliczaniu projektów, zamiast na celach społecznych, które organizacja powinna osiągać. Myślenie w horyzoncie krótkoterminowym, w którym zanikają priorytety organizacji - także te ogólne, takie jak integracja społeczna, aktywizowanie jednostek (nie tylko dla potrzeb formalnej realizacji grantu), otwarcie na nowe koncepcje, projekty i na ludzi „z zewnątrz" - a liczą się tylko policzalne cele wyznaczone przez grantodawcę. Kilka lat temu prof. Mirosława Marody wskazała, iż „Większość fundacji i stowarzyszeń III sektora to zbiurokratyzowane (w weberowskim tego słowa znaczeniu) instytucje, zajęte głównie polowaniem na granty, których »przerabianie« jest podstawową racją ich istnienia". To zdanie nadal nie straciło na aktualności.

Uzależnienie się organizacji od grantów jest wyrazem słabości polskiego trzeciego sektora. Powoduje, że organizacje nie zajmują się tym, co jest istotne, lecz tym, na co można zdobyć grant. Kierunek rozwoju całego sektora kształtują więc w dużej mierze podmioty dysponujące funduszami, a nie autonomiczne decyzje poszczególnych NGO czy diagnoza potrzeb otoczenia. Przy czym charakter i znaczenie poszczególnych grantodawców mogą być różne w zależności

od miejsca, w którym organizacja działa, oraz obranej przez nią domeny działalności. W dużych miastach NGO mają zwykle większe możliwości wyboru i dywersyfikacji źródeł finansowania - granty oferują tam zarówno władze publiczne, jak i organizacje i koncerny międzynarodowe. Na gruncie lokalnym często samorząd jest jedynym dysponentem funduszy. Mechanizm dostosowywania prowadzonych działań do oferty grantodawców stoi w sprzeczności z sensem istnienia organizacji pozarządowych, jako ulokowanych poza rządem i poza rynkiem. Poleganie na grantach powoduje często, że organizacje muszą podporządkować się celom politycznym wyznaczanym przez samorząd albo celom biznesowym fundacji korporacyjnych. Taka sytuacja, delikatnie mówiąc, nie sprzyja rozwojowi społeczeństwa obywatelskiego.

- **Lekarstwem na te problemy miał być wspomniany wcześniej odpis podatkowy.**
- Tak, to miało być nowe, ważne źródło finansowania dla organizacji, wpływające na wzrost ich niezależności wobec arbitralnych sponsorów. Kategorię OPP stworzono równolegle z systemem jednoprocentowych odpisów podatkowych, wzorując się na rozwiązaniach węgierskich, w celu wyselekcjonowania i uregulowania organizacji pozarządowych uprawnionych do pozyskiwania środków z 1 proc. Przed Polską podobne rozwiązania wprowadziły również takie kraje byłego bloku wschodniego, jak Słowacja, Rumunia czy Litwa. Nie wydaje mi się natomiast, żeby sam fakt posiadania statusu OPP stanowił miarę społecznej użyteczności danej organizacji. Takiego statusu często nie posiadają małe, lokalne organizacje, które spełniają ważne funkcje społeczne.

- **Polacy jednak masowo skorzystali z nowej możliwości wspierania OPP.**
- To prawda. Jak wynika jednak z badań przeprowadzonych przeze mnie w 2010 r., masowość wspierania organizacji 1 proc. podatku dochodowego wynika głównie z liberalizacji przepisów i przeniesienia obowiązku przekazywania odpisów na urzędy skarbowe. Mówiąc inaczej: Polacy pomagają, bo nic ich to nie kosztuje.

- **A czy system przekazywania 1 procent spełnił pokładane w nim nadzieje, jeśli chodzi o finansowe upodmiotowienie OPP, uniezależnienie od grantodawców itp.?**
- W uzasadnieniu projektu ustawy o odpisach z PIT podnoszono właśnie, iż ten sposób wspierania organizacji pozwoli na ich finansowe usamodzielnienie, gdyż środki płynące od obywateli w ramach odpisów podatkowych będą dotyczyć konkretnych

PIE CHO TA

dr Grażyna Piechota - prawniczka, socjolożka, doktor nauk humanistycznych. Specjalizuje się w problematyce lokalnej, związanej z socjologią polityki, komunikowania i mediów. Studia doktoranckie odbyła w Instytucie Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk w Warszawie oraz na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Członkini European Communication Research and Education Association (ECREA) i Polskiego Towarzystwa Komunikacji Społecznej. Od 2008 roku adiunkt w Katedrze Medioznawstwa i Komunikowania Politycznego Wydziału Zarządzania i Komunikacji Społecznej Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Odbyła staże zagraniczne w Berlinie, Dreźnie i Pradze. Autorka książek „Szkoła w kryzysie versus media" (Warszawa 2010), „(Nie)ład komunikacyjny w demokracji lokalnej. Komunikowanie polityczne w budowaniu lokalnego społeczeństwa obywatelskiego" (Katowice 2011) oraz „Organizacje pożytku publicznego. W drodze do społeczeństwa obywatelskiego?" (Katowice 2011).

organizacji. Już przytoczone badania, które cytowano w uzasadnieniu do projektu ustawy, wskazywały jednak, iż respondenci podkreślali zamiar finansowania przede wszystkim organizacji, które pomagają chorym i niepełnosprawnym lub zajmują się pomocą społeczną. Szybko okazało się, że środki z odpisu podatkowego trafiają przede wszystkim do tego szczególnego typu podmiotów, nie wpływając znacząco na sytuację finansową innych NGO. Dominują one wśród organizacji, które pozyskują najwyższe kwoty z odpisu podatkowego (powyżej miliona złotych). W 2013 r. aż ok. 25 proc. kwoty przekazanej przez podatników wpłynęło na konto tylko jednej organizacji, która gromadzi środki na tzw. subkontach przypisanych konkretnym beneficjentom. A nie był to jedyny podmiot w gronie pozyskujących najwyższe kwoty z 1 proc. OPP, który działał w ten właśnie sposób.

- **Jak ten swoisty oligopol w sferze pozyskiwania środków z 1 proc. wpływa na ogólną strukturę sektora?**

- Te organizacje, które pozyskują wysokie kwoty z 1 proc., są zwykle zarazem najskuteczniejsze w zdobywaniu grantów i najszybciej się rozwijają. Ale zdecydowana większość organizacji, które zdobywają z odpisów symboliczne, kilkutysięczne kwoty, musi korzystać z grantów i innych sposobów finansowania działalności, żeby w ogóle przetrwać. Z badań, które prowadziłam w 2013 r., wynikało, że w grupie OPP pozyskujących z odpisów kwoty od 2 do 5 tys. złotych - a to tych organizacji co roku jest najwięcej - suma przychodów z 1 proc. stanowiła przeciętnie ok. 17 proc. rocznego budżetu.

Istnieją oczywiście i takie organizacje, które sobie dobrze radzą, skutecznie pozyskują znaczne kwoty (z odpisu podatkowego i nie tylko), zatrudniają pracowników, notują stały rozwój swojej działalności, a wreszcie - mają istotne znaczenie w społeczności, w której funkcjonują. Ale istnieje też wiele świetnie prosperujących OPP, które z pozyskiwania odpisu jednoprocentowego uczyniły sobie sposób na działalność, niekoniecznie postępując przy tym etycznie. Szeroko opisywane przez media były choćby przypadki organizacji, które zbierały środki na subkontach udostępnianych później organizacjom, które same nie były uprawnione do gromadzenia środków z 1 proc. Reakcji środowiska trzeciego sektora na takie praktyki nie było.

- **Jak Pani tłumaczy nierówną dystrybucję środków z 1 proc.?**
- Polacy wspierają organizacje pozarządowe lub ich beneficjentów, kierując się przede wszystkim zasadami altruizmu i empatii, regułą wzajemności oraz doborem krewniaczym. Trudno znaleźć natomiast wśród motywacji te, które dotyczą budowania dobra wspólnego i działania na rzecz poprawy jakości życia. W ostatnich latach nie doszło do wzrostu poziomu aktywności obywatelskiej ani zainteresowania wolontariatem. Nie odnotowano nawet zwiększonego wsparcia finansowego Polaków dla organizacji ze źródeł innych niż odpis podatkowy.

- **Może taka - „pomocowa" - już jest specyfika polskiego sektora pozarządowego i społecznych oczekiwań wobec niego, i należy się z tym pogodzić, a działań na rzecz dobra wspólnego wypatrywać gdzie indziej?**
- W pewnym stopniu taki pomocowy charakter odpisu podatkowego jest chyba rzeczywiście elementem polskiej specyfiki, choć nie tylko polskiej - podobne skutki mechanizm odpisów przyniósł na Słowacji i Węgrzech. Dopóki opieka zdrowotna i społeczna będą w Polsce na takim poziomie, na jakim są, dopóty ludzie będą przede wszystkim szukać substytutów dla nich. Trudno oczekiwać, że ktoś będzie myślał o tworzeniu dobra wspólnego, kiedy wie, że jakieś dziecko w rodzinie albo wśród znajomych potrzebuje pomocy finansowej, aby przeżyć. Osobną sprawą jest, na ile NGO są w stanie wypełnić te braki podstawowych usług publicznych.

Ale innym wnioskiem, jaki wypływa z moich badań, jest to, że pieniądze z 1 proc. są najważniejsze i najpotrzebniejsze dla organizacji lokalnych, choć obiektywnie nie chodzi w ich przypadku o wysokie kwoty. Odpis podatkowy ma dla nich bardzo istotną wartość integrującą. Fundusze przekazywane są bowiem przez osoby związane z organizacją, adresatów jej działań, członków lokalnej wspólnoty. Choć pewna grupa OPP profesjonalizuje swoją działalność, to większość z nich nadal stanowią organizacje typu społecznikowskiego, opierające się na zaangażowaniu i wolontariacie wspólnot lokalnych.

- **Jak problemy z finansowaniem wpływają na warunki pracy i morale pracowników NGO w Polsce?**
- Na tak postawione pytanie nie potrafię odpowiedzieć precyzyjnie - nie było to przedmiotem moich badań ani zainteresowań. Faktem jest natomiast, że zatrudnienie w polskim trzecim sektorze rośnie z roku na rok. Na koniec 2010 r. zatrudnionych było około 190 tys. pracowników; jeszcze w 2006 roku było to 115 tys. pracowników, a w 2008 - 140 tys. Praca w trzecim sektorze raczej nie powinna być kojarzona z wysokimi zarobkami. Motywacja do zatrudnienia w organizacji zwykle wynika raczej z pozapłacowych elementów, takich jak realizacja misji organizacji, spełnianie ważnych społecznie celów, satysfakcja z pomagania innym itd.

- **Czy winą autorów ustawy jest porażka systemu 1 proc. odpisów od PIT, jeśli chodzi o spełnianie części zamierzonych celów?**
- Stworzone przepisy były już kilkakrotnie nowelizowane. Na przykład obostrzono wymagania wobec NGO - na status OPP szanse mają jedynie te, które działają od co najmniej 2 lat, dzięki czemu udało się uszczelnić system i zapobiec tworzeniu OPP tylko po to, aby zdobywać pieniądze z 1 proc. Jednocześnie dla mniejszych organizacji ograniczono wymogi związane ze sprawozdawczością, wprowadzając tzw. uproszczone sprawozdanie merytoryczne.

- **Czego zabrakło?**
- Przede wszystkim działań edukacyjnych, tłumaczących Polakom, na czym polega i jakim celom powinien służyć odpis 1 proc. PIT dla OPP. Nie podjął ich ani rząd, ani zainteresowane organizacje czy podmioty je zrzeszające. W efekcie potocznie utożsamia się często 1 proc. PIT z darowizną. OPP twierdzą, że

Kompania Piwowarska, flickr.com/photos/kompania_piwowarska/8019746170

wiąże się to z ograniczeniem innych niż odpisy form wsparcia.

- **A organizacjom wygodniej jest uznać, że tłumaczenie nowych zasad nie należy do ich obowiązków?**
- Połączenie luk w wiedzy Polaków o tym, czym jest 1 proc., z brakiem zaangażowania NGO w formułowanie przekazów innych niż czysto marketingowe i z koncentracją na walce o pieniądze z odpisu podatkowego, daje taki rezultat, jaki obserwujemy w ponad dziesięcioletniej praktyce. Z rywalizacji zwycięsko wychodzą naturalnie najsilniejsze organizacje. Znaczące kwoty trafiają do kilkunastu OPP (np. w 2013 r. 60 proc. zgromadzonych odpisów podatkowych trafiło do 65 organizacji), zaś zdecydowana większość otrzymuje relatywnie niskie sumy. Współpraca między mniejszymi organizacjami, dyskryminowanymi przez obecny podział środków, mogłaby tę sytuację zmienić. W 2013 r. prowadziłam badania, których wyniki zostały zebrane w monografii pt. „Fakty i mity o jednym procencie podatku" (ukaże się za kilka miesięcy) - potwierdzają one, że OPP rzadko ze sobą współpracują, a w przypadku pozyskiwania 1 proc. praktycznie wcale. Brakuje integracji, zwłaszcza na poziomie lokalnym.

- **Czy system 1 proc. przełożył się w jakiś sposób na zainteresowanie lub aktywne uczestnictwo Polaków w działalności dotowanych organizacji?**
- Jak wspomniałam, dzięki 1 procent PIT organizacje zaistniały w świadomości społecznej. Media masowe częściej informują o działalności organizacji i wprowadzają je do debaty publicznej. Dzięki temu wzrosła rozpoznawalność organizacji oraz ich kompetencje komunikacyjne wobec otoczenia. Wzrosła także wrażliwość i tolerancja społeczna Polaków. Trudno jednak powiedzieć, żeby 1 proc. wpłynął jakoś szczególnie na aktywność obywatelską. Z pewnością grupa organizacji aktywnych medialnie - przy czym mam tu na myśli także aktywność w nowych mediach czy na portalach społecznościowych - zwiększa dzięki temu możliwości pozyskiwania wolontariuszy, młodych ludzi, którzy mają zapał do pracy. Największe strumienie wolontariuszy kierują się do tych organizacji, które potrafią się z nimi komunikować, także posługując się ich językiem i wykorzystując te kanały komunikowania, które są młodym ludziom bliskie. Nowe media stają się zresztą coraz istotniejszym kanałem nie tylko komunikacji z otoczeniem, ale i pozyskiwania finansowania dla konkretnych projektów (crowdfunding)

czy też poparcia dla nowych ruchów społecznych i głoszonych przez nie idei. Z prowadzonych przeze mnie badań wynika jednak, że generalnie organizacje słabo radzą sobie z komunikacją poprzez nowe media. Albo takiej komunikacji nie prowadzą w ogóle, albo jest ona nieefektywna, nie angażuje użytkowników.

– Wspomniała Pani o crowdfundingu. Jak widzi Pani przyszłość takich form finansowania czy choćby na nowo odkrywanej ekonomii społecznej, a jak perspektywy rozwojowe i możliwości udoskonalanie obecnie „przodujących" metod – systemów grantowych, mecenatu publicznego i prywatnego czy tradycyjnych składek członkowskich?

– W mojej ocenie będzie rosnąć rola crowdfundingu oraz finansowania działań organizacji w ramach programów CSR-owych (społeczna odpowiedzialność biznesu), które coraz częściej wdrażane są przez firmy i korporacje. Wzrost znaczenia pierwszego z wymienionych narzędzi finansowania działań organizacji wynikał będzie z rozwoju komunikacji przez nowe media i serwisy społecznościowe. Jeśli organizacje będą potrafiły zaangażować użytkowników w komunikację w tych mediach, a w konsekwencji także w obserwowanie i wspieranie swoich działań, to będą również zdolne do efektywnego korzystania z finansowania społecznościowego. W przypadku finansowania organizacji przez firmy i korporacje w ramach projektów CSR-owych znaczenie będzie miał projekt, który do finansowania zaproponuje organizacja – jego kreatywność oraz dopasowanie do oczekiwań beneficjentów, np. lokalnej społeczności. Należy pamiętać, że firmy i korporacje w Polsce coraz częściej powołują własne fundacje, za pomocą których gromadzą również odpis jednoprocentowy (tzw. fundacje korporacyjne). Dzięki takim fundacjom, także ze środków pozyskanych z 1 proc., firmy i korporacje prowadzą działania kreujące ich wizerunek jako fundatora (najczęściej nazwa fundacji zawiera w sobie nazwę fundatora).

Należy sądzić, że również ekonomia społeczna będzie notować wzrost zainteresowania i rozwój wynikający z szukania alternatywnych sposobów aktywizacji określonych grup społecznych oraz wspierania partycypacji w wytwarzaniu dóbr. Coraz bardziej stajemy się bowiem społeczeństwem wymiany, a nie posiadania.

W moim przekonaniu maleć będzie natomiast członkostwo w organizacjach, a w ślad za nim strumień środków ze składek. Wiąże się to przede wszystkim z coraz większą mobilnością ludzi, zmiennością ich zainteresowań, chwilowymi fascynacjami różnymi projektami – tego rodzaju tendencje nie sprzyjają budowaniu trwałych relacji.

– Jak można byłoby udoskonalić obecne otoczenie prawno-administracyjne NGO, szczególnie w kwestiach związanych z finansowaniem?

– Organizacje powinny stanowić ważny budulec życia wspólnotowego, być swoistym inkubatorem i nośnikiem nowych wartości, idei i społecznej energii. Tego w Polsce nie widzę. Jak twierdzi prof. Jerzy Hausner, o ile obecnie organizacje jakoś radzą sobie finansowo, o tyle gdyby zabrakło środków z dotacji czy grantów, los wielu z nich byłby przesądzony. Problemem organizacji jest to, że nie potrafią dotrzeć do otoczenia (głównie w przestrzeni lokalnej).

– Jak zagwarantować lepsze niż obecnie wypełnianie swojej funkcji i reprezentację „strony społecznej" przez organizacje pożytku publicznego? Jak powiązać je silniej z lokalnym środowiskiem raczej niż z państwowym czy prywatnym grantodawcą?

– To w znacznym stopniu zależy od samych organizacji – ich zdolności do komunikowania się z otoczeniem, rozpoznania potrzeb i oczekiwań społeczności oraz umiejętności dotarcia do niej z ofertą swoich usług. Polski trzeci sektor potrzebuje innowacyjnych działań, kreatywnego, a nie biurokratycznego podejścia do rozwiązywania problemów. Świetnym przykładem takiego podejścia jest np. inicjatywa Krakowski Alarm Smogowy, która podjęła walkę o czystość powietrza w mieście, wykorzystując różnorodne strategie i formy przekazu: działania poprzez media społecznościowe, happeningi i manifestacje, szeroko zakrojoną kampanię informacyjną dla mieszkańców i turystów. Na efekty nie trzeba było długo czekać – udało się przyciągnąć uwagę mass mediów i skłonić władze Krakowa do szybkiego podjęcia realnych kroków na rzecz poprawy sytuacji.

Kolejne wyzwanie, przed jakim stoją dziś OPP, to zmiana postaw w relacjach z innymi organizacjami. NGO stają się coraz bardziej zamknięte i coraz mniej skłonne do współdziałania z osobami spoza swoich struktur. Tym samym, na poziomie lokalnym (a na tym obszarze koncentrują się prowadzone przeze mnie badania) zauważalne jest istnienie kilku, a czasem i większej liczby (zależnie od wielkości wspólnoty) zamkniętych środowisk, które raczej ze sobą rywalizują niż współpracują. Nie sprzyja to ani wypełnianiu funkcji reprezentanta lokalnej społeczności (np. wobec władz samorządowych), ani prowadzeniu otwartego i owocnego dialogu publicznego.

Ważna dla organizacji jest także umiejętność dostosowywania się do zmiennych warunków społecznych, np. do rozwoju nowych mediów i sieci społecznościowych. Te ostatnie stają się coraz bardziej istotne i stanowią czasami jedyny sposób na dotarcie z prospołecznym przekazem do młodych ludzi.

– Dziękuję za rozmowę. ⚒

Finansowanie przez tłum

Marcin Giełzak, Bartosz Filip Malinowski

Niektórzy - jak brytyjski „The Guardian" - nazywają crowdfunding kapitalizmem dla 99% społeczeństwa. Inni określają go jako realizację ideału społecznej (i społecznościowej) gospodarki rynkowej. Jeszcze inni twierdzą, że to przejaw kooperatyzmu przyszłości. Wszystkie te opinie mówią nam więcej o ludziach, którzy je sformułowali, niż o samym zjawisku. Nie da się jednak nie zauważyć, że łączy je pewien wspólny mianownik: wszystkie widzą w finansowaniu społecznościowym przełom gospodarczy i kulturowy.

© pcutler, flickr.com/photos/silwenae/8750287591

Czym jest crowdfunding?

Crowdfunding, finansowanie społecznościowe lub dosłownie: „finansowanie przez Tłum" to fenomen relatywnie nowy. Początki społecznościowej rewolucji w cyfrowej gospodarce sięgają roku 2006. Szlaki przetarł crowdsourcing, czyli proces wykorzystywania potencjału rozproszonych, indywidualnych dostawców (Tłumu) oferujących pracę, pomysły, treści i rozwiązania. Nie trzeba było wiele czasu, aby tę samą metodę zaczęto wykorzystywać do zbierania funduszy. Zamiast zabiegać o 50 tys. złotych u jednego człowieka (inwestora), można przekonać tysiąc osób (Tłum), aby wpłaciły po 50 złotych.

Tłum, o którym tu mowa, można określić mianem cyfrowego, inteligentnego albo po prostu Tłumu 2.0. Cechuje go łatwość w korzystaniu ze zdobyczy nowoczesnych technologii, brak zaufania tak do państwa, jak i do mechanizmów rynkowych,

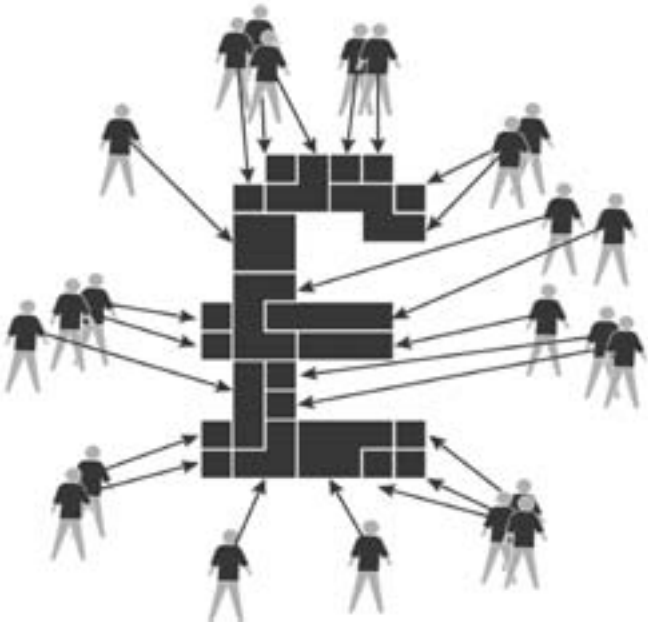

CC BY NC SA lulupinney, flickr.com/photos/lulupinney/8361107950

CC BY NC SA OUYA, flickr.com/photos/urustar/8757166679

przywiązanie do wartości takich jak niezależność, dobrowolność, nieskrępowana kreatywność. Przypisać można mu także przedkładanie współpracy nad rywalizację, dobra interesariuszy nad zysk akcjonariuszy, spontanicznie tworzonych więzi nad ścisłe hierarchie. To właśnie Tłum 2.0 – jako społeczność projektodawców i osób wspierających – stanowi zbiorowy podmiot crowdfundingu. Przestrzenią jego aktywności są zaś tzw. platformy crowdfundingowe – swoiste agregatory projektów, a zarazem pośrednicy w relacji, jaka zachodzi między projektodawcą a wspierającymi go internautami. Ich zadaniem jest udostępnić przestrzeń, w której twórca produktu, usługi czy dzieła zaprezentuje swoją ofertę oraz uzbroi ją we wszystkie funkcjonalności pozwalające dokonywać wpłat, zamieszczać aktualizacje i komentarze, kontaktować się z projektodawcą itd. Oprócz tego platformy często biorą na siebie rolę doradców, oferujących pomoc przynajmniej na etapie wprowadzenia projektu na serwis. Bywa, że idą o krok dalej, proponując także wsparcie przy promocji projektu, kontaktach z mediami czy podwykonawcami, trzeba jednak pamiętać, że inicjatyw idą setki, a moce przerobowe pracowników platform są ograniczone.

Crowdfunding prowadzi do usunięcia pośredników między twórcą a odbiorcą oraz do zdemokratyzowania relacji panujących na wolnym rynku. Projektodawca angażujący się w kampanię crowdfundingową musi dostosować ofertę i sposób komunikacji do potrzeb Tłumu, bo to do niego zwraca się o pieniądze i przez niego będzie rozliczany z ich rozdysponowania. W praktyce oznacza to, że twórca gry komputerowej odpowiada przed graczami, autor książki przed czytelnikami, inicjator akcji dobroczynnej przed darczyńcami, organizator konferencji przed jej uczestnikami itd. W tym dwustronnym układzie nie ma miejsca dla sponsorów czy grantodawców. **Kapitał społeczny odgrywa tu większą rolą niż ten odłożony na koncie bankowym, wsparcie społeczności znaczy więcej niż poparcie *lobbies*, kreatywność silniej decyduje o sukcesie lub porażce niż kreatywna księgowość.**

Mechanizm finansowania przez Tłum

Mechanizm crowdfundingowy jest prosty i intuicyjny – m.in. w tym tkwi przyczyna jego popularności. Tłum wspiera dany projekt wpłatami, w zamian za co każdy z wpłacających otrzymuje określone świadczenie zwrotne. Czasami działa to na zasadzie prostej przedsprzedaży, innym razem pomaga realizować szczytne cele społeczne, a bywa i tak, że chodzi jedynie o dobrą zabawę.

Ryzykując pewne uproszczenie, etapy kampanii finansowania przez Tłum należałoby rozpisać następująco: po pierwsze – projektodawca opisuje cel prowadzonej przez siebie akcji (produkt, usługa, dzieło artystyczne, wydarzenie itd.). Po drugie – przedstawia

© Mark, flickr.com/photos/coffeegeek/8494164244

on gratyfikacje, jakie oferuje w zamian za wsparcie pieniężne. Każdej z nagród przypisana jest określona z góry „cena", czyli kwota, jaką trzeba uiścić poprzez internetowy system płatności, aby ją otrzymać po zakończeniu kampanii. Ilość, jakość i rodzaje nagród zależne są wyłącznie od możliwości i inwencji właściciela projektu. Mogą to być świadczenia symboliczne (np. podziękowanie listowne), rzeczowe (np. płyta z muzyką), usługowe (np. warsztaty) lub odwołujące się do tzw. marketingu doświadczeń (np. obiad z twórcą). Wspierający mogli m.in. pojawić się jako statyści w filmie Spike'a Lee albo jako postać w grze komputerowej, otrzymać dożywotnią wejściówkę na szkolenia prowadzone przez jedną z fundacji lub pojechać na imprezę do Nowego Jorku, wziąć udział w koncercie artysty, którego wsparli, albo zobaczyć swoje nazwisko w książeczce załączonej do jego najnowszego albumu.

Krok trzeci to sama kampania: promocja i komunikacja, informowanie i zabieganie o wsparcie. Akcja crowdfundingowa nigdy nie może być pozostawiona samej sobie. Walczyć trzeba o każdy datek, jeśli bowiem nie udałoby się uzyskać zadeklarowanej przed kampanią kwoty, wszystkie wpłaty wrócą bezpiecznie do wspierających. Dobra wiadomość dla projektodawcy jest jednak taka, że gdyby uzyskał np. 368% sumy zadeklarowanej jako minimalna, może te pieniądze zatrzymać. Etap czwarty zaczyna się ostatniego dnia kampanii (najczęściej trwają one od 30 do 45 dni) - jest to czas realizacji projektu. System płatności przekazuje pieniądze z wpłat projektodawcy, ten zaś rozpoczyna prace nad wysyłaniem nagród i wywiązaniem się z celów wyłożonych w toku kampanii.

Kogo wspiera Tłum?

Istotę wszystkich motywacji i mechanizmów, które składają się na fenomen finansowania przez Tłum, najlepiej wyjaśnić, omawiając konkretne przykłady. Za jedną z wzorcowych kampanii zorganizowanych zupełnie oddolnie, niewielkim nakładem sił i środków, uznajemy projekt Ghost, z powodzeniem sfinansowany w ubiegłym roku na Kickstarterze - jednej z najpopularniejszych platform crowdfundingowych. Ghost to serwis służący do przygotowania i zarządzania blogami, stworzony przez wieloletniego pracownika popularnego WordPressa, Johna O'Nolana.

Geneza Ghost tkwi w ostatnich miesiącach, jakie twórca spędził w dawnej pracy, dochodząc do wniosku, że WordPress to już tylko biznes, zainteresowany głównie współpracą z korporacjami. Dojrzewając do decyzji o odejściu, O'Nolan snuł plany na przyszłość. Temu projektodawcy marzył się powrót do korzeni, do traktowania blogosfery jako obszaru dzielenia się pasją, wiedzą, wewnętrznymi przeżyciami, a nie kolejnego pasa transmisyjnego dla komunikacji marketingowej wielkich firm. Z taką myślą stworzył on zestaw nagród obejmujący szereg

narzędzi pomagających tworzyć strony blogowe, w którym coś dla siebie znajdą zarówno zupełni laicy, jak i profesjonalni webdesignerzy. Wspierając ten projekt, można było uzyskać rozliczne wtyczki, motywy, dokumenty zawierające porady techniczne, a nawet dostęp do serwerów i domen. Monopolista WordPress z dnia na dzień musiał stanąć wobec poważnego rywala.

Przy całej swojej fachowości O'Nolan pokazał, że nie jest pozbawiony poczucia humoru i wyczucia ironii. Jedną z nagród, wycenioną na 3 tys. dolarów, było wytatuowanie sobie przez projektodawcę logo WordPressa (*w rozmiarze odcisku kubka do kawy*). Rękojmię stanowiłby tutaj filmik uwieczniający proces tatuowania. Szczęśliwie dla projektodawcy nikt akurat tej nagrody nie wybrał. Pozostałe jednak sprzedawały się lepiej niż dobrze. Minimalną wysokość poparcia, od której cel byłby realizowalny, ustalono na 25 tys. dolarów. Kwotę przekroczono wielokrotnie, pozyskując ostatecznie prawie 200 tys. dol. Ghost był projektem średniej wielkości. Widać to w sposób jaskrawy, jeśli zestawimy go z 10 mln dolarów na zegarek Pebble, 8,5 mln na konsolę do gier Ouya czy 5 mln na film „Veronica Mars".

Nad Wisłą największe sukcesy święciły projekty związane z szeroko rozumianą rozrywką oraz przedsięwzięcia animujące życie większych społeczności. Gra planszowa „Pan Lodowego Ogrodu" uzyskała 124 tys. złotych. Fundacja Cohabitat sfinansowała dwa wydarzenia - Gathering (98 tys. zł) oraz MAKE (86 tys.). W chwili, gdy piszemy te słowa, trwa kampania mająca zebrać środki na wskrzeszenie legendarnego pisma o grach, anime i kulturze cyfrowej „Secret Service". Choć do końca akcji pozostał prawie miesiąc, organizatorzy już uzyskali 150 tys. złotych. Jedną z najgłośniejszych kampanii było „X dni do Soczi". Poprzez swoje zaangażowanie finansowe polski Tłum pomógł stworzyć warunki treningowe dla naszych sportowców przed igrzyskami w Rosji. Wśród nagród były m.in. koszulki i zdjęcia z autografami, zaproszenia na imprezę charytatywną czy osobisty trening z polskimi olimpijczykami. Warto jednak śledzić także zbiórki mniejsze, lecz niezwykle cenne z punktu widzenia beneficjentów. Należy do nich np. projekt Lokaj USOS-a (5,5 tys. złotych), dzieło warszawskiego matematyka, który wydatnie uprościł i usprawnił działanie zmory, jaką dla żaków i pracowników akademickich stanowiły dotąd Uniwersyteckie Systemy Obsługi Studenta.

Coś więcej niż biznes

Ważnym obszarem sporu jest - i najpewniej pozostanie jeszcze przez jakiś czas - problem relacji łączących projektodawców z biznesem, szczególnie z tzw. wielkimi koncernami. To zarówno szansa, jak i zagrożenie dla finansowania przez Tłum. Szansa, ponieważ potencjalnie zwiększa ilość udanych zbiórek (wartościowsze nagrody, sprofesjonalizowany proces marketingu i logistyki itd.). **Zagrożenie - wizja „rządów marketerów i pijarowców" w kampaniach crowdfundingowych, które przyjmą postać starannie wyreżyserowanych, bezideowych, przepłaconych akcji promocyjnych, nie mających nic wspólnego z oddolną, demokratyczną istotą finansowania przez Tłum. Nie ma formalnych ani praktycznych przeszkód, aby korporacyjni mecenasi dogadywali się z góry z projektodawcami, że dorzucą się do zbiórki. Słowem - nie ma żadnej pewności, że nie będą oni ustawiać zbiórek.** Tego rodzaju inwestycja może mieć sens z punktu widzenia wielkiego biznesu: w końcu budują w ten sposób wizerunek firmy zaangażowanej i nowoczesnej, wyczulonej na potrzeby klienta, pomagającej realizować projekty, które Tłum obdarzył zaufaniem. Kolejny rekord wsparcia to przecież doskonałe *publicity*. Układ taki tym bardziej ma sens z punktu widzenia projektodawcy, któremu bardziej niż na czymkolwiek innym zależy przecież, aby jego kampania zakończyła się powodzeniem. Nie inaczej widzą ten problem platformy crowdfundingowe.

Relacje z biznesem szczęśliwie nie muszą wyczerpywać się na formule mecenatu. Projektodawca potrzebuje przecież dostępu do sieci dystrybucji, zaplecza produkcyjnego, wsparcia prawniczego, księgowego czy IT - wszystkiego tego, co firmy mogą z łatwością zapewnić. Na tym czy innym etapie większość weteranów największych kampanii musi uścisnąć rękę diabłu. Nic nie stoi jednak na przeszkodzie, aby robili to z pozycji siły. Pieniądze, które otrzymają od Tłumu, i uzyskana w ten sposób pozytywna weryfikacja projektu, powinny dać im silną pozycję w negocjacjach i szeroki zakres biznesowej (artystycznej, ideowej, etc.) swobody.

Każda zbiórka crowdfundingowa zawiera w domyśle obietnicę, że jej organizator odpowiada przede wszystkim przed Tłumem wspierających. To ich interes jest najważniejszy. Myśląc więc o promocji i nagrodach, celach i cenach, projektodawca powinien wziąć pod uwagę fakt, jak odbierze to Tłum, nie zaś czy spodoba się to sponsorowi. Łączenie wsparcia biznesu z crowdfundingiem staje się jeszcze trudniejsze, gdy kampanię prowadzi organizacja pozarządowa. W ich przypadku sama decyzja o podparciu się crowdfundingiem często podyktowana jest chęcią uniezależnienia się od grantów i skomplikowanych procedur z nimi związanych lub od firm i ich CSR-owej otoczki. Jest więc rzeczą kluczową, aby nie wpaść z deszczu pod rynnę i nie używać mechanizmu finansowania społecznościowego na zasadach podyktowanych przez sponsorów.

Jednym z wyjść z tego impasu mógłby być tzw. *match pledge*, czyli publiczne przyrzeczenie firmy, że podwoi każdą złotówkę wpłacaną przez Tłum. W ten sposób to nadal społeczność decyduje o tym, czy kampania się powiedzie, projektodawca cieszy się wyższymi wpłatami, firma natomiast odnosi korzyści wizerunkowe i wzmacnia relacje z organizatorem zbiórki na poczet przyszłej współpracy w obszarze dystrybucji czy promocji.

Kolejne zagrożenie tkwi w samej społeczności wspierających, w Tłumie. W ostatnich miesiącach doniesienia poświęcone crowdfundingowi zdominowała absurdalna akcja, którą rozpoczął Amerykanin Zack Danger Brown, zbierający na... sałatkę ziemniaczaną. Jak dotąd mieszkaniec Ohio uzbierał ponad 50 tys. dolarów. Brown, który w rubryce „cel" wpisał: *chcę zrobić sałatkę ziemniaczaną, nie zdecydowałem jeszcze jaką dokładnie*, a w dziale „ryzyko i zagrożenia": *może nie być zbyt dobra, to moja pierwsza sałatka*, traktował całą sprawę jako prowokacyjny wygłup. W dobie Internetu niewiele jednak potrzeba, by tego typu informacja obiegła cały świat. Oprócz portfeli rozbawionych ludzi, przed Brownem otworzyły się studia telewizyjne i łamy szacownych czasopism. Główny bohater całej afery wydawał się zakłopotany sensacją, którą wywołał. W tym samym czasie, na tej samej platformie, z powodzeniem sfinansowano wartościowy projekt Reading Rainbow – przedsięwzięcie mające na celu walkę z problemem funkcjonalnego analfabetyzmu wśród ubogich dzieci. Ponad 5,5 mln dolarów zebranych przez LeVara Burtona posłuży stworzeniu internetowej i mobilnej infrastruktury, dzięki której każdy nauczyciel czy rodzic będzie mógł wspierać naukę czytania i promować czytelnictwo wśród najmłodszych. **Mimo entuzjastycznych tekstów w „Vanity Fair", „Gizmodo" czy na stronach Smithsonian Institution akcję tę przyćmił niestety wygłup z sałatką.**

Jeśli egotyzm i kultura spektaklu (albo wręcz wygłupu) zdominują platformy crowdfundingowe, można sobie wyobrazić, że pokusa wcielenia tego mechanizmu do repertuaru działań z zakresu PR/marketingu raczej się wzmocni, niż osłabi. Taki los spotkał już wcześniej inne branże, m.in. muzyczną i filmową, skazane na równanie do najniższego wspólnego mianownika. Jak zły pieniądz wypiera dobry, tak złe finansowanie może wziąć górę nad lepszym. Stanisław Lem nie mylił się, gdy stwierdzał, że im dane medium doskonalsze, tym głupsze treści będą za jego pomocą przemycane. Przeciętny człowiek będzie słyszał wtedy o crowdfundingu głównie w kontekście kolejnych prób tworzenia medialnego szumu przez jakąś firmę lub osobę. Trudno sobie wyobrazić, aby finansowanie przez Tłum nadal mogło wtedy przyciągać rzesze ludzi zorientowanych na bezinteresowną pomoc czy idealistów takich jak Burton. Gdyby ten scenariusz miał się spełnić, crowdfunding należałoby wymyślić na nowo. ⚒

REKLAMA

Niech znów ruszą maszyny

Zarys programu reindustrializacji Polski

Marcin Malinowski

Niedawno w mediach zaczął pojawiać się temat reindustrializacji, czyli odbudowy przemysłu w Polsce. Zagadnieniu temu warto przyjrzeć się bliżej, ponieważ należy ono, w moim przekonaniu, do najważniejszych wyzwań dla naszego kraju. To m.in. na polu polityki przemysłowej rozstrzygać się będą nasza przyszłość oraz szanse rozwojowe.

Zacznijmy od zacytowania dwóch paragrafów z Komunikatu Komisji Europejskiej dotyczącego polityki przedsiębiorczości z 2012 r.:

> *Europa musi przywrócić swemu przemysłowi należną mu rolę w XXI w. Jest to jedyny sposób, by zapewnić zrównoważony wzrost gospodarczy, tworzyć miejsca pracy wysokiej jakości i rozwiązywać obecne problemy społeczne. Aby to osiągnąć, potrzebna jest* ***całościowa wizja****, skupiająca się na inwestycjach i innowacjach [...].*
> *Skupienie uwagi polityków na przemyśle zasadza się na konstatacji, że* ***silna baza przemysłowa jest konieczna dla dobrobytu i sukcesu gospodarczego Europy.***

Główną przeszkodę dla reindustrializacji w Polsce stanowi jej sprzeczność z teorią neoliberalną, w oparciu o którą została przeprowadzona transformacja ekonomiczna. Herezją wobec tej doktryny jest **jakakolwiek istotna interwencja państwa w gospodarkę – co ma oczywiście zastosowanie także w przypadku planowej polityki państwa na rzecz odnowy przemysłu.** Obecnie doktryna neoliberalna sama stała się w świecie zachodnim „dinozaurem" i jest poddawana daleko idącej krytyce. W Polsce nadal jednak trzyma się dość mocno, popierana przez znaczną część środowisk opiniotwórczych.

W minionych dekadach mieliśmy już do czynienia z przypadkami, kiedy to niektóre państwa prowadziły aktywną i skuteczną politykę przemysłową, co przyczyniło się do rozkwitu ich gospodarek. Szczególnie znane są przykłady „wschodnioazjatyckich tygrysów": Korei Płd., Tajwanu, Chin, Japonii czy Singapuru. **Kraje te, dzięki szybkiemu rozwojowi produkcji przemysłowej, zaczęły wypychać z licznych globalnych rynków dotychczasowych potentatów z Unii Europejskiej czy USA. Ważnym składnikiem ich sukcesu są inteligentne zabiegi mające na celu ochronę swoich rynków, przede wszystkim dyskretne tworzenie tzw. nietaryfowych barier handlowych (*non-tariff barriers*).** W krajach służących za liberalny wzór, jak USA czy Wielka Brytania, nastąpił w tym okresie powolny zmierzch przemysłu.

Objectivised, flickr.com/photos/47997385@N00/14653505765

Dopiero w ostatnich latach trend zaczął się odwracać. Szczególnie skuteczne okazały się reindustrializacyjne poczynania Stanów Zjednoczonych, napędzane tanią energią z gazu łupkowego.

Znakomite przykłady efektów takiej polityki przemysłowej przynosi obserwacja sytuacji na rynkach elektroniki, statków i samochodów. Jeszcze kilkanaście lat temu wiele marek telewizorów pochodziło z krajów nieazjatyckich. Obecnie na rynku dominuje kilka azjatyckich firm. Europejscy producenci, tacy jak Philips, przetrwali tylko dzięki uzależnieniu od dostaw komponentów z Azji (wielkości około 80 proc. wartości produktu) i w zasadzie zajmują się głównie końcowym wzornictwem. Innego przykładu z dziedziny elektrotechniki dostarcza rynek telefonów komórkowych, szeroko omawiany po bankructwie Nokii. **Nie jest przypadkiem, że Azja zdominowała rynek elektroniki, spychając starych liderów do nisz. Ta azjatycka dominacja to właśnie owoc starcia neoliberalnej doktryny nieingerencji państwa w gospodarkę z dobrze przemyślaną, aktywną polityką przemysłową.**

Na tej samej zasadzie polskich stoczni nie „wykończyły" regulacje UE w zakresie pomocy państwowej, jak się tu i ówdzie czyta, ale przede wszystkim inteligentne subwencje dla stoczni jednego z krajów azjatyckich. W efekcie także i w tym sektorze europejska konkurencja została zepchnięta do specjalistycznych nisz. Wyglądało to tak, że najpierw koreańskie stocznie zaniżały ceny statków, a później ich straty wyrównywał państwowy bank. Z uwagi na wieloletni rytm finansowania było to trudne do wychwycenia. W konsekwencji po jakimś czasie konkurencja wycofała się, a *de facto* monopolistyczna pozycja na globalnym rynku dużych statków szybko wynagrodziła państwu koszty subwencji. Zresztą w tej chwili inny wschodzący gigant z Azji - Chiny - rozpycha się na rynku dużych okrętów podobną metodą, podkopując pozycję poprzedniego hegemona.

Jeśli chodzi o samochody, na europejskich drogach widać miliony aut produkcji japońskiej. Jednocześnie Europa sprzedaje do tejże Japonii zaledwie kilka tysięcy aut rocznie, i to w zgodzie z zasadami Światowej Organizacji Handlu (WTO)! Oczywiście, istnieje

jedna dyskretna bariera handlowa, tyle że zaprojektowana tak sprytnie, aby nie stała w sprzeczności z międzynarodowymi umowami. Polega ona na nieformalnych ustaleniach między dealerami samochodów a producentami japońskich aut. W konsekwencji Japonia korzysta z otwartych rynków USA i UE, równocześnie chroniąc własny, a tym samym miejsca pracy w swoim przemyśle. Właśnie liczne przypadki tego rodzaju sprawiły, że w wolny globalny handel, „niewidzialną rękę rynku" czy neoliberalizm wierzy już niewielu ekspertów (zwłaszcza pozostających poza organizacjami od dekad żyjącymi z głoszenia takich teorii). Praktyczne efekty neoliberalizmu to masowe bezrobocie powodowane konkurencyjną porażką i upadkiem firm pozbawionych wsparcia państwa (np. Nokia czy Loewe). **Nie ma sensu prowadzenie wolnego handlu z krajami, które po cichu chronią swój rynek, pośrednio przyczyniając się do likwidowania miejsc pracy gdzie indziej.** Zasada wzajemności wydaje się tu właściwym podejściem. Ale dla ortodoksyjnych wyznawców wolnego handlu nawet tak pragmatyczne postawienie sprawy stanowi herezję.

Obecnie Polska jest niemal wyłącznie krajem oddziałów zagranicznych przedsiębiorstw. A w najlepszym wypadku – dostawcą nisko lub średnio przetworzonych produktów dla zagranicznych marek. Oznacza to niewielkie marże (a więc skromny zysk) oraz łatwą zastępowalność w „globalnym łańcuchu gospodarczym" przez kraje o jeszcze tańszej sile roboczej – czyli stałe zagrożenie jeszcze wyższym bezrobociem.

Celem każdego strategicznie myślącego państwa powinno być unowocześnianie struktury przemysłu. Taka polityka powinna się opierać na tworzeniu dla przedsiębiorstw optymalnych warunków do podwyższania swojej konkurencyjności poprzez różnorakie, dobrze zsynchronizowane instrumenty polityki gospodarczej. Zamieszczona poniżej tabelka stanowi szacunkowe przedstawienie tego, gdzie jako kraj jesteśmy, oraz dokąd powinniśmy dążyć.

Pożądanej struktury przemysłu nie sposób osiągnąć bez osłabienia dominacji neoliberalnej ortodoksji. Zmiany byłyby możliwe w perspektywie dwóch dekad, ale tylko przy zintegrowanej i wielopoziomowej polityce gospodarczej. Potrzebne jest całościowe podejście – od wypracowania mądrej polityki handlowej dla wybranych sektorów po dostęp do kredytowania dla małych i średnich przedsiębiorstw. Do tego dochodzi polityka podatkowa czy usprawnienie sądownictwa orzekającego w zakresie sporów między firmami. Wiele decyzji istotnych dla konkurencyjności przedsiębiorstw nie zapada w Polsce, lecz np. w UE lub WTO. Dlatego elementem polityki zintegrowanej i wielopoziomowej musi być pilnowanie, by polska perspektywa była tam w należytym stopniu brana pod uwagę. Podobnie jak dzieje się to w przypadku interesów innych krajów członkowskich.

Postulat tak pojętego interwencjonizmu nie oznacza, że państwo musi budować fabryki albo nakazywać przedsiębiorstwom państwowym kupowanie wskazanych firm (choć może to robić, gdyż UE nie zabrania państwowej własności). Wykluczone jest też, aby zalecane ustawy wyszły spod pióra jakiejkolwiek partii politycznej. Tego się nie da zrobić bez użycia machiny rządowej: publicznych konsultacji itd. Można natomiast **określić realistyczne cele – co Polska powinna osiągnąć za 5, 10 czy 20 lat – i zależnie od nich definiować właściwe instrumenty działania. Na przykład za pomocą, o zgrozo, planów 5-letnich – jak robią to choćby Chiny. Nie chodzi tu o demonizowane praktyki rodem z PRL, lecz o wyznaczenie założeń i celów, które co kilka lat podlegają ewaluacji i ewentualnej korekcie – to normalna praktyka w nowoczesnym *policy making*. Nie chodzi również o promowanie firm Polaków – priorytetem powinno być tworzenie lepszych miejsc pracy w Polsce. W tym celu potrzebujemy zmiany struktury przemysłu**

Obecna struktura polskiego przemysłu	Pożądana struktura polskiego przemysłu
Skromna baza instytutów badawczych wyspecjalizowanych w rozwoju, patentowaniu i komercjalizacji zaawansowanych i średnio-zaawansowanych technologii	Solidna baza instytutów badawczych wyspecjalizowanych w rozwoju, patentowaniu i komercjalizacji zaawansowanych i średnio-zaawansowanych technologii
Brak liczących się za granicą polskich marek produkujących zaawansowane technologie (polska marka to taka, której centrala produkcyjna i większość aktywności badawczo-rozwojowych są ulokowane w Polsce; teoretycznie właścicielem może być Marsjanin, byleby powyższe warunki były spełnione)	Kilka znanych i dużych „flagowych" polskich marek produkujących zaawansowane technologie
Importer średnio i wysoko zaawansowanych technologicznie produktów	Importer surowców i nisko technologicznie zaawansowanych produktów
Eksporter surowców, nisko i średnio przetworzonych produktów oraz złożonych w Polsce zaawansowanych technologicznie produktów z importowanych części, na podstawie zagranicznych technologii i patentów	Eksporter przetworzonych i technologicznie zaawansowanych produktów zaprojektowanych, opatentowanych i skomercjalizowanych w Polsce

Uogólniony obraz obecnej struktury przemysłu w Polsce i jej stan pożądany.

Thomas Hawk, flickr.com/photos/thomashawk/13779658473

z gorszej, mniej dochodowej i tworzącej nisko płatne miejsca pracy na lepszą i nowocześniejszą. Taki proces zwiększy zamożność Polski i jej stabilność w szybko globalizującej się gospodarce.

Jak się „robi" reindustrializację?

Po pierwsze - należy podważyć w Polsce neoliberalny dyskurs i utopię „niewidzialnej ręki rynku". **W rzeczywistości jest to ręka dobrze zorganizowanego lobbingu, wypychającego z rynków nowy i słabszy kapitał z krajów rozwijających się.** Dziś jednak sami tradycyjni liderzy technologiczni są spychani do nisz przez budzącą się Azję. **Alternatywa, jaką dysponujemy, nie polega wcale na prymitywnym protekcjonizmie ani powrocie do rozwiązań rodem z realnego socjalizmu, jak to demagogicznie przedstawiają akolici neoliberalizmu. Wystarczy zwyczajne unowocześnienie myślenia o przemyśle, polityce przemysłowej oraz jej wpływie na miejsce Polski w świecie. Musimy również odejść od dogmatu bezrefleksyjnej prywatyzacji wszelkiej własności nieprywatnej (państwowej, komunalnej, spółdzielczej itd.), zwłaszcza w sektorach mających specjalne znaczenie strategiczne lub społeczne.** W niektórych gałęziach gospodarki lepiej sprawdza się właściciel prywatny, w niektórych państwowy, a w jeszcze innych - spółdzielczy czy komunalny. Mówiąc inaczej, wolny rynek ma swoje ograniczenia i trzeba mieć ich świadomość. W Niemczech czy Szwecji traktuje się jako oczywistość pozostawanie wielu sektorów pod kontrolą państwa. Zła kondycja wielu polskich państwowych spółek nie wynika natomiast z formy ich własności, lecz ze skolonizowania przez politykę, co powoduje merytorycznie mizerny dobór kadry kierowniczej, a w konsekwencji - marne zarządzanie i takież wyniki finansowe.

Po drugie - sama wzmianka decydentów o reindustrializacji Polski wywołałaby dobrze zorganizowaną reakcję obronną beneficjentów obecnej, niekorzystnej struktury przemysłu. Na każdej zmianie ktoś traci. Dlatego dla realizacji programu reindustrializacji niezbędne jest przygotowanie **strategii komunikacyjnej**.

Po trzecie - należy **myśleć o przemyśle całościowo.** Decyzje w tym obszarze polityki powinny zapadać w jednym miejscu - inaczej wszystko rozpłynie się w konsultacjach międzyresortowych, sprzecznych interesach, lobbingu itd. Rozdrobnienie decyzyjności

to częsty błąd, który poważnie utrudnia zmiany, a wynikający z „terytorialnego" myślenia polityków chroniących swoje „dominia", które z kolei decydują o zdolności załatwiania posad dla swoich ludzi.

Po czwarte - **należy przeprowadzić rzetelny audyt przemysłu w Polsce**, aby dokładnie wiedzieć, gdzie jesteśmy ćwierć wieku po zmianie systemu. Przeprowadźmy analizę poszczególnych rynków. Jakie sektory dają nadzieje na rozwój technologiczny Polski? Kto wykonuje badania nad technologiami albo testuje wdrażanie nowych rozwiązań? Czy satysfakcjonuje nas struktura własności przemysłu (udział kapitału polskiego i zagranicznego)? Jakie przedsiębiorstwa mają w Polsce centrale lub ośrodki badawczo-rozwojowe? Czy firmy sumiennie odprowadzają w Polsce podatki od zysku, czy raczej unikają płacenia podatków za pomocą inżynierii finansowej? Jakie są główne bariery dla naszego rozwoju? Czy i w jakich sektorach dochodzi do stosowania praktyk kartelowych i monopolistycznych? Jaką rolę odgrywają w polskiej gospodarce małe i średnie przedsiębiorstwa? Jak wygląda ich relacja z dużymi klientami i dostawcami? Co blokuje dostęp do kredytów dla przedsiębiorstw, zwłaszcza tych mniejszych? Z jakimi patologiami mamy do czynienia na styku instytucji państwa z biznesem? Jaki typ zagranicznego kapitału sprzyja rozwojowi, a jaki zubaża i degeneruje naszą gospodarkę (np. kapitał spekulacyjny inwestowany na giełdzie, kapitał nastawiony na kartelizację sektorów gospodarki, kapitał uniemożliwiający rozwój polskiego kapitału, np. w handlu czy finansach)? Podobne pytania można by mnożyć w nieskończoność, a waga problemu nie pozwala na lekceważenie żadnego z nich. **Analiz tego rodzaju nie powinny przeprowadzać zagraniczne spółki doradcze, ponieważ są one zagrożone konfliktem interesów. Analizy dla przemysłu niemieckiego opracowują wyłącznie zaufane niemieckie instytuty lub personel zrzeszeń producenckich (tylko zatrudnieni pracownicy, żadne zlecenia). To dobry wzór do naśladowania.**

Dopiero na bazie audytu można zdefiniować cele w odpowiedniej perspektywie. A zdefiniowawszy cele, przejść do pisania lub nowelizowania ustaw czy narzucania sposobu działania instytucjom je wdrażającym. Na końcu pozostaje monitoring realizacji wyznaczonych zadań i wprowadzanie ewentualnych korekt w miarę rozwoju sytuacji.

Polityka horyzontalna i sektorowa reindustralizacji

Polityka ds. przedsiębiorstw powinna składać się z dwóch zsynchronizowanych elementów: horyzontalnego i sektorowego.

Polityka horyzontalna wytyczać powinna ogólne kierunki i zawierać rozstrzygnięcia wspólne dla całego przemysłu. Jej przykładowy zakres obejmowałby takie obszary, jak np. dostęp do finansowania kredytów, synchronizacja polskiego ustawodawstwa z politykami Unii Europejskiej, ustalanie ogólnych kierunków ekonomicznych w relacjach międzynarodowych, polityka względem małych i średnich przedsiębiorstw, ramy podatkowe, postępowania antymonopolowe i antykartelowe, koordynacja polityk sektorowych, synergia między sektorami.

Polityka sektorowa zajmowałaby się natomiast rozwiązaniami dotyczącymi konkretnych sektorów.

Odpowiednio skoordynowane polityki sektorowe i polityka horyzontalna powinny zajmować się wszystkimi głównymi aspektami otoczenia prawnego, które mają wpływ na konkurencyjność przemysłu oraz na jakość i ilość miejsc pracy w Polsce. Odpowiedzialna za politykę przemysłową jednostka rządowa powinna mieć właściwą strukturę (odzwierciedlającą strukturę rynków) oraz blisko współpracować z pozostałymi instytucjami mającymi wpływ na otoczenie ekonomiczne przedsiębiorstw, takimi jak komisje sejmowe, inne ministerstwa, urzędy skarbowe, Państwowa Inspekcja Pracy, agencje zajmujące się różnego rodzaju kontrolami itp.

W dalszych rozważaniach skoncentruję się na najbliższym moim kompetencjom przemyśle produktów inżynieryjnych (zresztą technologie inżynieryjne to ok. 30 proc. wartości dodanej przemysłu krajów rozwiniętych technologicznie), w tym technologii przemysłu obronnego. Przemysł produktów inżynieryjnych to szeroka kategoria, na którą składają się przemysły: maszynowy, elektrotechniczny, elektroniczny i obróbki metalu (od metalowych komponentów, maszyn budowlanych, silników i technologii produkcyjnych po półprzewodniki, telefony komórkowe, komponenty elektroniczne czy sprzęt optyczny). Sektory te należy traktować łącznie, ponieważ znaczna część zaawansowanych technologicznie produktów przemysłowych składa się obecnie z metalu, półprzewodników, silników i komponentów elektronicznych. Wiele produktów ma również wbudowane oprogramowanie oraz wymaga serwisowania po sprzedaży (czyli usług), co regulują odpowiednie umowy z klientami. Wymienione sektory dzieli się z kolei na podsektory, np. technologie energetyczne, maszyny, komponenty elektroniczne, elektronikę konsumpcyjną, sprzęt AGD, technologie informacyjne i komunikacyjne itd.

Trudno dziś ocenić, w jakich sektorach czy podsektorach tkwi potencjał koła zamachowego reindustrializacji Polski. Temu powinna służyć proponowana wcześniej analiza. Zakładam, że do pierwszego miejsca pretenduje dwóch kandydatów: przemysł obronny (czyli *de facto* technologie inżynieryjne o zastosowaniu militarnym) oraz liczne małe

g p, flickr.com/photos/malaqa/3182422554

i średnie przedsiębiorstwa sektora inżynieryjnego, które powstały w Polsce po transformacji ustrojowej i odniosły sukces ekonomiczny, takie jak perełki polskiej prywatnej myśli technologicznej: PESA SA, Solaris Bus & Coach SA czy Wilk Elektronik SA.

Przemysł obronny stanowi zapewne jedyny sektor technologiczny w Polsce, który wciąż działa na dość dużą skalę i posiada sporą bazę rozwojowo-badawczą. Jeśli dodamy do tego znaczne plany zakupowe wojska, stanie się jasne, że z pomocą rzetelnego *policy making* możemy uczynić z niego solidne koło zamachowe polskiej ekonomii.

Małe i średnie przedsiębiorstwa powstały m.in. w następujących obszarach: produkcja software (np. oprogramowanie produktów inżynieryjnych), produkcja komponentów metalowych do maszyn oraz sprzętu kuchennego. Kilka chlubnych wyjątków działa w branży transportowej. W ciągu kilkunastu lat polskie MŚP mogą stać się nowoczesnymi, stabilnymi, międzynarodowymi podmiotami ze sporym „ekosystemem" dostawców. **Jedno przedsiębiorstwo, produkujące zaawansowany technologicznie produkt i zatrudniające ok. 200 pracowników, może mieć w swoim łańcuchu dostawczym zakłady zatrudniające kilka tysięcy osób.** Gra toczy się więc o sporą stawkę, a inżynieryjne MŚP to potencjalnie kury znoszące złote jaja. Obecna gospodarka oparta na technologiach składa się nie tylko z produktów masowych, ale **także z licznych nisz ekonomicznych, co otwiera sporą szansę dla ewentualnych nowych graczy, takich jak Polska.**

Jak w praktyce uczynić polski przemysł obronny liderem reindustralizacji?

Warto podkreślić, że Polska wydaje rocznie kilka miliardów złotych **na nowe uzbrojenie. To o wiele za dużo, żeby nie myśleć o tych wydatkach perspektywicznie.**

Reprezentanci zbrojeniówki deklarują, że ok. 70 proc. pieniędzy trafia do niej, a tylko 30 proc. do zagranicznych kontrahentów. Realnie udział polskich przedsiębiorstw w zyskach jest prawdopodobnie dużo mniejszy, ponieważ nawet jeśli to u nas składa się np. wóz pancerny Rosomak, to kilkadziesiąt procent jego wartości dodanej jest importowane (zwłaszcza technologie - silniki, optyka, elektroniczne komponenty itd.).

Jak zmienić sytuację w polskim sektorze zbrojeniowym na jego i nas wszystkich korzyść? Oto zarys działań, które należałoby podjąć.

Po pierwsze, należy **stworzyć grupę zarządzającą całym projektem przebudowy zbrojeniówki**, obejmującą ludzi kompetentnych i wpływowych, posiadających silne wsparcie polityczne. Grupa ta zorganizowałaby się z kolei w dwa typy technicznych podgrup. Z jednej strony zespoły zajmujące się wymiarami horyzontalnymi procesu: bariery prawne, otoczenie prawne UE, finansowanie projektu,

polonizacja patentów wojskowego uzbrojenia, ich komercjalizacja w polskim przemyśle cywilnym, ochrona przez odpowiednie służby, strategia komunikacyjna, globalne analizy itd. Z drugiej - zespoły do spraw konkretnych produktów.

Ważne, aby z procesu tworzenia strategii działania wyłączyć zagraniczne firmy (zwłaszcza te, które stracą na wzmocnieniu polskiego przemysłu), ponieważ nie są one zainteresowane powodzeniem projektu tego typu. Włączeni powinni być natomiast ewentualni strategiczni partnerzy, najlepiej z krajów zaawansowanych technologicznie, nie za dużych, mających podobne problemy z bezpieczeństwem, dla których Polska może stworzyć efekt skali.

Po drugie, trzeba zidentyfikować wszystkie grupy interesu (w sensie pozytywnym, tzn. grupy, które mają władzę, możliwości i wiedzę) oraz potencjalne ofiary zmian. A następnie umieścić problem w globalnym kontekście - prześledzić światowe trendy i dokonać analizy SWOT (silnych i słabych stron, szans i zagrożeń - dop. red.) polskiego przemysłu. Wizualizacja za pomocą tego rodzaju heurystycznych technik analitycznych to potężne narzędzie w *policy making*, ułatwiające doprowadzenie do konsensusu.

Po trzecie, konieczne jest zwięzłe zdefiniowanie **celu**. To bardzo trudne zadanie. Wojsko dąży do maksymalizacji potencjału obronnego kraju i jest mu obojętne, czy sprzęt wyprodukowano w Polsce, czy poza nią. Z kolei polskiemu przemysłowi zależy na maksymalizacji zysku. Do tego dochodzą interesy przemysłu zagranicznego (przejęcie polskiego rynku i maksymalizacja zysku bez konieczności dzielenia się patentami), związków zawodowych (podwyżka zarobków i brak zwolnień), polskich ośrodków badawczo-rozwojowych (implementacja rozwiązań ich autorstwa, nawet jeśli niektóre są kiepskie), polityków rządzących (szybkie i medialne sukcesy), polityków opozycji (krew rządu za wszelką cenę), mediów (skandale do nagłośnienia) itd. Trzeba więc mieć świadomość, że pojawią się liczne konflikty interesów.

Przykładowy zapis celu mógłby brzmieć tak: *Długoterminowym celem inwestycji Polski w nowoczesne uzbrojenie jest maksymalizacja krajowego potencjału obronnego i globalnej konkurencyjności polskiego przemysłu obronnego (w tym polonizacji zaawansowanych technologii), rozwój ośrodków badawczo-rozwojowych w Polsce oraz stworzenie platformy napędzającej rozwój i konkurencyjność polskiego przemysłu cywilnego, dającego szansę na tworzenie konkurencyjnych miejsc pracy dzięki cywilnej komercjalizacji wojskowych patentów.*

Wokół celu sformułowanego w ten sposób należy wypracować konsensus polityczny, aby nie był on co kilka lat podważany i demontowany. Na jego bazie

Tegeler, flickr.com/photos/loks-privat/8038461959

należy ponadto spisać **wizję projektu** (*vision paper*). Warto podkreślić, że ewentualny sukces przyniesie dopiero co najmniej dekada ciężkiej, systematycznej pracy.

Po czwarte, zdefiniowany cel trzeba poprzeć konkretnymi liczbami, aby umożliwić dokonywanie koniecznej co kilka lat ewaluacji procesu i formułowanie ewentualnych korekt do wcześniejszych założeń. W praktyce okazują się one często niedokładne, gdyż okoliczności się zmieniają - nie jest to jednak powodem do wstydu, lecz zwykłą częścią *policy making*. Jeden z celów, jakie można by wyznaczyć, to 70 proc. wartości dodanej wytwarzanej w oparciu o polskie patenty, w tym przynajmniej 50 proc. w oparciu o zaawansowane technologie.

Po piąte, stworzenie **kilku projektów pilotażowych** pomogłoby zdobyć niezbędne doświadczenia, a także przetestować i skorygować plany. Jako pilotażowe produkty powinno dobrać się takie, których armia będzie potrzebować długoterminowo (oraz, rzecz jasna, możliwe do wykonania przez polski przemysł).

Po szóste, niezbędne jest zorganizowanie wokół każdego projektu pilotażowego platformy na poziomie eksperckim, z udziałem przedstawicieli rządu, wojska, przemysłu, politechnik etc. To ta platforma będzie zarządzała projektem na poziomie technicznym, komunikowała się z platformą polityczną oraz z odpowiednimi instytucjami (np. dostawcy, ośrodki badawczo-rozwojowe itd.).

Siódmy element to ewaluacja każdego projektu pilotażowego za pomocą osobnych kryteriów, istotnych z punktu widzenia wyznaczonych celów.

peter.poland, flickr.com/photos/piotronline/4743554018

Platforma każdego projektu musiałaby zatem zdefiniować czynniki szczególnej wagi dla pilotowanego przedsięwzięcia.

Kluczowa dla powodzenia projektu będzie wymiana zagranicznych technologii na takie, które kontrolowane są - zarówno od strony produkcyjnej, jak i patentowej - przez firmy działające w Polsce. Na dokonanie tego rodzaju operacji nie ma jednej dobrej metody, bo zagraniczni producenci broni zazdrośnie strzegą swych sekretów.

Można się jednak pokusić o ogólne zasady:

- wiedzmy, czego chcemy, żeby właściwie negocjować. Można, czytając prasę, onieść wrażenie, że porażka offsetowa podczas zakupu F-16 wynikała z uległości strony polskiej względem USA, braku odpowiedniego przeszkolenia w prowadzeniu negocjacji (w tym z wytrzymywania presji negocjacyjnej) oraz z braku jasno ustalonych priorytetów;
- przyjrzyjmy się skandynawskiemu rynkowi uzbrojenia: Szwecja, Norwegia czy Finlandia to małe kraje, ale technologiczni giganci. O ile dla Stanów Zjednoczonych jesteśmy malutkim rynkiem, o tyle kraje skandynawskie traktują nas jako poważnego klienta z dużą siłą negocjacyjną - można więc z nimi wynegocjować lepsze umowy czy wręcz partnerstwo. Państwa te podzielają polskie obawy związane z rozwojem sytuacji na Ukrainie, więc mają polityczny interes we wzmacnianiu polskiej armii;
- rozmawiajmy z MŚP w krajach zaawansowanych technologicznie. Produkują one **nowoczesne produkty, często lepsze od wytwarzanych przez gigantów, jednak ci ostatni wypychają je z rynków.** Można też oferować zlecenia zagranicznym ośrodkom badawczo-rozwojowym, a w kontrakcie zastrzec własność patentu lub otwarcie oddziału w Polsce z mieszanym kapitałem.

Podsumowując, należy: zapewnić solidne polityczne wsparcie projektowi; zastosować właściwą metodologię; stworzyć platformę projektu; wypracować cele projektu i jego wizję; zorganizować projekty pilotażowe służące udoskonaleniu metodologii i zdobyciu doświadczenia; we właściwym czasie uruchamiać kolejne projekty; poświęcić szczególną uwagę na przepływ *know-how* do polskiego przemysłu obronnego, a następnie do cywilnego; zintensyfikować współpracę z krajami skandynawskimi; odpolitycznić zarządzanie spółkami sektora obronnego.

Mimo sporego znaczenia określania celów w liczbach i procentach, nie wolno ich absolutyzować. Służą one wytyczaniu kierunków, ale planowanie gospodarcze to nie nauka ścisła. Należy się kierować elastycznością i zdrowym rozsądkiem.

Jak pracować nad konkurencyjnością MŚP sektora inżynieryjnego?

Sytuacja małych i średnich przedsiębiorstw przemysłowych jest trochę inna aniżeli sektora obronnego, który w zasadzie ma wszystko - od sporych zleceń i pewnego rynku po solidne wsparcie budżetowe, zdolność wytwarzania całych produktów i ośrodki badawczo-rozwojowe (OBR).

Tymczasem większość sektora inżynieryjnego po 1989 r. albo zbankrutowała, albo została wrogo przejęta przez zagraniczne firmy, co ograniczyło ich samodzielny byt i w zasadzie zakończyło działalność prywatnych działów badawczo-rozwojowych. Umowy prywatyzacyjne nie zapewniły im kontynuacji, jak miało to miejsce np. w byłym NRD. Poza sektorem obronnym baza naukowo-badawcza przemysłu inżynieryjnego ogranicza się dziś do politechnik.

Proces wzmacniania konkurencyjności MŚP powinno się zacząć od analizy sektora oraz identyfikacji polskich firm wykazujących innowacyjność, wytwarzających zaawansowane technologicznie produkty lub usługi, a także prowadzących działalność badawczo-rozwojową lub zamawiających ją.

Jak wesprzeć polskie MŚP? W Austrii funkcjonuje chociażby program Leitbetriebe (Przedsiębiorstwa Wiodące), wspierający najlepsze firmy. UE funduje zaś takie projekty jak Lead Markets Initiative (Inicjatywa Rynków Wiodących) czy Key Enabling Technologies (Kluczowe Technologie). Wszystkie te inicjatywy mają na celu wspieranie podmiotów działających na rzecz rozwoju „rynków przyszłości", takich jak energia odnawialna, mikroelektronika czy materiały zaawansowane. Warto je krytycznie obserwować i z niektórych rozwiązań brać przykład, bo wiele szlaków zostało już przetartych. Warto zachęcać polską stronę do aktywnego udziału w tych projektach. Oczywiście polska platforma nie byłaby w stanie od początku działalności opierać się na tak zaawansowanych technologiach, ale trzeba zacząć od tego, co osiągalne. Nie warto dzielić i tak skąpych środków na badania czy innowacje między wszystkie firmy sektora. Albo przedsiębiorstwo wykazuje innowacyjność, albo nie. Dotacje nie pobudzą innowacyjności tam, gdzie nie ma dla niej potencjału. Stąd rozlewanie jak konewką takich funduszy „po równo" dla wszystkich jest ich zwyczajnym marnotrawieniem.

UE, której prawodawstwo w znacznej mierze przekłada się na regulacje polskiej gospodarki, promuje zasadę Think Small First (Najpierw myśl na małą skalę). W imię tej zasady pozwala się na różne wyjątki od antyetatystycznych zapisów prawa unijnego, np. jeśli chodzi o subwencje dla MŚP. Ułatwia to stymulację rynku za pomocą wszelakich bodźców, co nie powinno stanowić celu samego w sobie, ale wypada o tym wiedzieć, zwłaszcza że polskie firmy to głównie MŚP. W rozwijanym projekcie można się oprzeć na powyższej zasadzie.

Prawo UE nie pozwala natomiast na klasyczny protekcjonizm. Nie dopuszcza więc dzielenia firm – na poziomie prawa krajowego – na polskie i niepolskie. Wobec tego jedyną metodą wspierania rodzimej przedsiębiorczości pozostaje użycie alternatywnych kryteriów: wielkości obrotu, udziału w lokalnym rynku itd.

Po zidentyfikowaniu wyróżniających się MŚP i uzyskaniu od nich informacji zwrotnej o chęci udziału w projekcie należałoby stworzyć platformę nim zarządzającą. Powinna składać się z reprezentantów rządu, wyselekcjonowanych polskich firm, polskiego sektora bankowego, struktur samorządów, w których firmy są zgrupowane, ośrodków badawczo-rozwojowych, politechnik itp. Nie istnieje obiektywnie właściwy schemat działania. Wypracować da się go jedynie w konstruktywnym dialogu, z wzięciem pod uwagę specyficznych warunków lokalnych. Na sukces projektu składają się następujące elementy:

1. Współfinansowanie z funduszy państwowych projektu badawczego wraz z komercjalizacją i opatentowaniem rozwiązań.
2. Dofinansowanie przez budżet ośrodków badawczo-rozwojowych celem obsłużenia konkretnych zamówień MŚP.
3. Pomoc państwa w zakupie zagranicznych licencji.
4. Analiza sektora w skali globalnej, służąca obraniu właściwej strategii.
5. Wsparcie dla polskich podmiotów w ubieganiu się o granty badawcze UE. Kształtowanie rynku polskich przetargów celem ułatwienia absorpcji rozwijanych w Polsce technologii przez rynek i tym samym tworzenia dobrych miejsc pracy. Zagadnienie to wymaga dokładnej analizy zgodności z prawem unijnym.
6. Przedstawienie rządowi rekomendacji w kwestii kształtowania istotnych dla grupy polityk UE.
7. Zmniejszenie nieścisłości prawnych blokujących krajowy rozwój technologii.
8. Zachęty podatkowe promujące badania i rozwój.
9. Współpraca z polskim sektorem obronnym celem transferu technologii do polskiego przemysłu cywilnego i otrzymywania zleceń w projektach zbrojeniowych.
10. Wspieranie ekspansji zagranicznej wybranych MŚP.
11. Organizacja kursów uczących, jak profesjonalnie zarządzać platformami technologicznymi na poziomie regionalnym.
12. Wypracowanie z bankami propozycji w zakresie innowacyjnych instrumentów finansowych pomocnych dla rozwoju MŚP i ośrodków badawczo-rozwojowych.
13. Współpraca z politechnikami na rzecz lepszej edukacji inżynierów oraz poprawienia oferty badawczej na potrzeby MŚP.
14. Zachęty dla zagranicznych MŚP na rzecz lokowania działalności w Polsce, np. poprzez otwarcie rynku w sektorach kontrolowanych przez

państwo. Silne w badaniach i rozwoju MŚP chętnie podejmą działalność tam, gdzie w mniejszym stopniu grozi im konkurencja ze strony większych pomiotów.

Projekt musi cechować całościowe podejście, z wzięciem pod uwagę każdego istotnego elementu konkurencyjności danego sektora. Nie ma sensu inwestować pieniędzy i czasu w sektor, w który inwestują też inni (a przynajmniej działać bez uwzględnienia tego faktu).

Tego rodzaju działania można podjąć także w sektorach innych niż inżynieryjny. Chociażby w sektorach energetycznym, chemicznym, transportu kolejowego i miejskiego, rafineryjnym czy górniczym. Państwo posiada w nich znaczne udziały, co może ułatwić współpracę rozwojową. Co więcej, sektory te wydają miliardy na zakup technologii, które, czerpiąc wzór z liderów technologicznych, niekoniecznie musimy kupować za granicą, jeśli polskie firmy zapewniają odpowiednią jakość. **Tym samym fakt zakupu pociągu Pendolino, a nie taboru z PESA SA, albo wybór – na etapie wstępnej edycji – chińskich autobusów elektrycznych w Warszawie, a nie pojazdów polskiego Solarisa, jest, delikatnie mówiąc, brakiem szacunku dla polskich pracowników, wyborców i przedsiębiorców.** Jest to również świadectwo ewidentnego rozminięcia się politycznej praktyki z interesem ekonomicznym Polski.

Metodologia projektu wygląda mniej więcej podobnie do sugestii względem przemysłu zbrojeniowego opisanych wcześniej. Choć oczywiście inny cel oznacza inne instrumenty.

Propozycje zawarte w tym artykule to tylko zarys ogólnego kierunku. Tak jednak postępują dziś nowoczesne państwa. **Aby pchnąć polski przemysł technologicznie do przodu, państwo musi podjąć rolę koordynatora, wygospodarować pieniądze i usprawnić prawo, gdyż dezindustrializacja zaszła przez ostatnie 25 lat zbyt daleko, aby to stało się samo.** Jak zresztą widać na poniższym wykresie, Polska ma ciągle dużo mniejsze inwestycje w badania i rozwój niż inne kraje europejskie.

Niewielki wzrost tych wydatków w ostatnich latach po części można tłumaczyć funduszami unijnymi. To właśnie skutek błędów przeszłości. **Brak aktywnej roli państwa będzie powodował dalszy dryf w kierunku statusu pustyni technologicznej. Globalnej konkurencji będzie się to bardzo podobać.**

Alternatywa? Zdobądźmy doświadczenie poprzez projekty pilotażowe. Bądźmy cierpliwi, bo na efekty przyjdzie poczekać ładnych parenaście lat. Wymagajmy od polityków ponadpartyjnego konsensusu w kwestii tego, co służy długofalowemu interesowi Polski. ⚒

Wydatki na badania i rozwój w latach 2002-2012 jako procent Produktu Krajowego Brutto (Źródło: Eurostat).

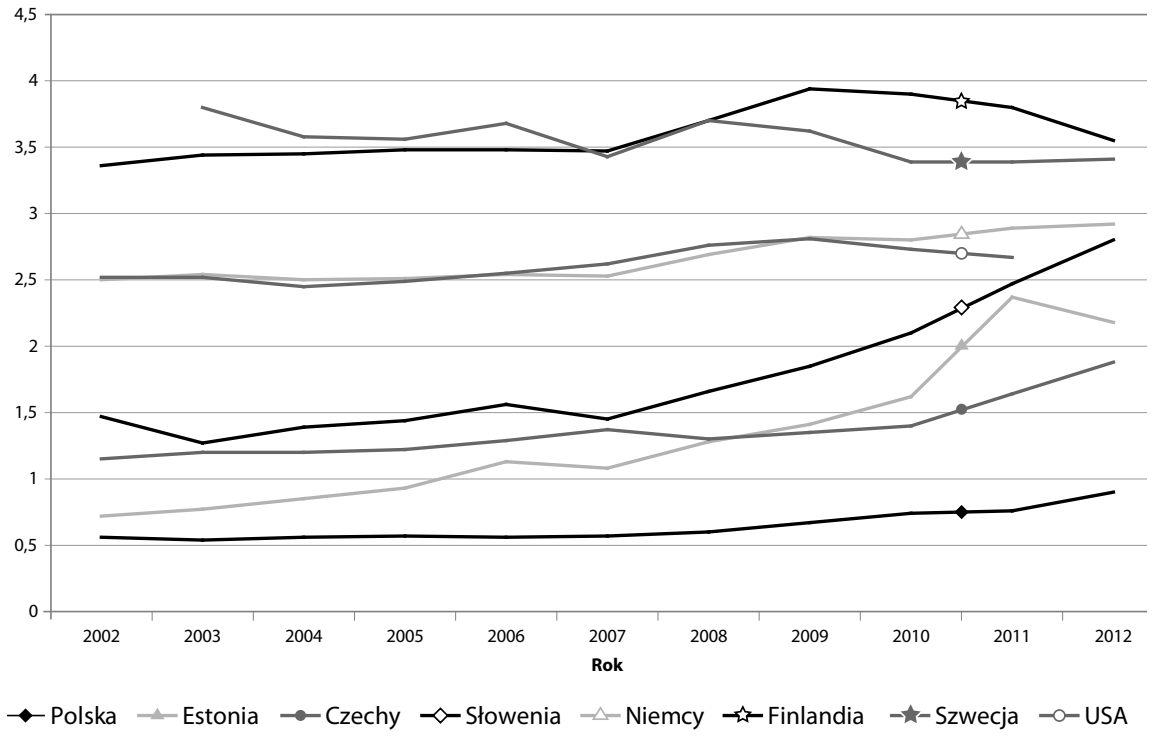

Islam i socjaldemokraci: integracja europejskich mniejszości muzułmańskich

Jonathan Laurence

Pierwsze poważne spięcia między muzułmanami a środowiskami lewicowymi w Europie wywołała fatwa nałożona w 1989 r. przez irańskiego ajatollaha Chomeiniego na Salmana Rushdiego, wsparta żądaniem ocenzurowania jego powieści „Szatańskie wersety". Podział pogłębił się, gdy jeszcze w tym samym roku Francja zaczęła ograniczać prawo do noszenia przez dziewczęta chust w szkołach.

Wcześniej partie lewicowe traktowały jako naturalnego sojusznika tę w znacznej części robotniczą mniejszość. Imigranci z krajów w większości muzułmańskich zaczęli po raz pierwszy masowo osiedlać się w Europie Zachodniej w latach 70. i 80. XX wieku. Niespodziewana przemiana z krajów otwartych na cudzoziemców w „społeczeństwa imigrantów" wywołała nacjonalistyczne i rasistowskie reakcje na prawicy. Przed partiami lewicowymi pojawiła się natomiast perspektywa znacznego napływu nowych wyborców. Niemieckie związki zawodowe przyjmowały gastarbeiterów już w latach 60. XX wieku, na kilka dekad zanim rząd niemiecki zaczął rozważać ułatwienie Turkom uzyskiwania obywatelstwa. We Francji lider Partii Socjalistycznej François Mitterrand po zwycięskich wyborach prezydenckich 1981 r. zezwolił obcokrajowcom na tworzenie stowarzyszeń kulturalnych i politycznych. Głównymi beneficjentami nowych możliwości byli Algierczycy, Marokańczycy i Tunezyjczycy, którzy w planach partyjnych liderów mieli stowarzyszyć się pod skrzydłami ruchu socjalistycznego.

W tym samym czasie, gdy partie lewicowe zaczęły organizować i wspierać działania zmierzające do integracji imigrantów, partie centroprawicowe rozpoczęły walkę o elektorat z zyskującym na sile prawicowym ekstremizmem. Kiedy niemieccy Zieloni i socjaldemokraci prowadzili kampanię na rzecz podwójnego obywatelstwa dla Turków, chadecy powtarzali niczym mantrę: „Niemcy nie są krajem imigrantów". Ówczesne koalicje konserwatystów przedstawiały społeczności imigranckie jako przyczynę marnotrawstwa publicznych środków oraz zagrożenie dla bezpieczeństwa i stylu życia narodu. Socjaldemokratyczna obrona prawa drugiego pokolenia cudzoziemców do odmienności i uczestnictwa w życiu politycznym umożliwiła wtedy partiom centrolewicowym nie tylko obronę swoich wartości, ale i docieranie do milionów potencjalnych wyborców.

© Marco Belluci, flickr.com/photos/marcobellucci/2502594771

Podobną taktykę przyjął Mitterrand. Stworzył on organizację przeciwko dyskryminacji, SOS Racisme, która wykazała, że rasizm jest wszechobecny we francuskim społeczeństwie – od klubów nocnych do agencji pracy i instytucji ds. mieszkaniowych. Dzięki wykorzystaniu mediów i skutecznemu użyciu hasła „Touche pas à mon pote" („Odczep się od mojego kumpla") organizacja przyczyniła się do rewolucyjnej zmiany postrzegania północnych Afrykanów – z imigrantów stali się współobywatelami. Liczono też oczywiście, że stowarzyszenie przyciągnie do partii aktywistów z przedmieść zamieszkanych przez imigrantów.

Zimna wojna kultur

Po zakończeniu zimnej wojny, w europejskiej sferze publicznej pojawiły się napięcia kulturowe i religijne, co diametralnie zmieniło relacje między muzułmanami a partiami lewicowymi. Był to wewnątrzeuropejski rewers trwających od prawie 25 lat regularnych starć zbrojnych między światem zdominowanym przez islam a krajami zachodnimi, które mają dziś liczne mniejszości muzułmańskie. Upolitycznienie islamu oraz różnego rodzaju represje stosowane wobec ekstremistów religijnych w Afryce Północnej i Turcji w latach 90. przyczyniły się do umocnienia tożsamości religijnej w diasporze muzułmańskiej.

W tym samym czasie europejskie organizacje powiązane z Bractwem Muzułmańskim zaczęły coraz silniej zabiegać o prawa obywatelskie i religijne mahometan w Europie Zachodniej. **W wielu krajach, szczycących się dotąd sukcesami polityki opartej na integracji i wsparciu tożsamości muzułmańskiej, środowiska lewicowe przeżyły rozczarowanie. Wiele z najbardziej kontrowersyjnych żądań organizacji islamskich, jak np. postulaty wprowadzenia cenzury religijnej i prawa kobiet do zakrywania włosów i twarzy ze względów religijnych, stanęło w jawnej sprzeczności z postępowymi ideami lewicy: równością płci i swobodą krytykowania religii.**

Reakcje na ataki terrorystyczne Al-Kaidy, przeprowadzone przez kilkudziesięciu europejskich muzułmanów najpierw w USA, a później w Hiszpanii i Wielkiej Brytanii, przyczyniły się do postrzegania różnorodnych społeczności o korzeniach imigranckich przez jednolity, religijny pryzmat. Antagonizmy między religijnymi muzułmanami a środowiskami lewicowymi wzmocnił następnie międzynarodowy spór o duńskie „karykatury Proroka". Nie takie plany miała Partia Socjalistyczna wobec tej grupy nowych wyborców. Nie była ona przygotowana na religijny zwrot w polityce dotyczącej mniejszości - od „Odczep się od mojego kumpla" do „Odczep się od mojego proroka".

Bagatelizowanie religii

Centrolewicowe partie odpowiedziały na to bagatelizowaniem roli religijnych aspektów polityki wobec mniejszości. Większość lewicy europejskiej, inaczej niż w USA, uznała akcje afirmatywne, parytety, punkty za pochodzenie itp. za działania pozorne, zastępcze wobec rozwiązań systemowych. Minęły dziesięciolecia zanim pojawił się pierwszy socjalistyczny parlamentarzysta czy członek kierownictwa partii wywodzący się ze stowarzyszenia SOS Racisme. Tymczasem prawicowi prezydenci Francji, Jacques Chirac i Nicolas Sarkozy, w ciągu kilku tygodni od objęcia przez siebie urzędu powołali łącznie pięciu ministrów pochodzenia muzułmańskiego.

Johannes Kandel, długoletni badacz islamu związany z niemieckimi socjaldemokratami, uważa, że jego partia stawiała po prostu zawsze na swoje najmocniejsze strony: gospodarcze i społeczno-polityczne metody rozwiązywania problemów. Przez wiele lat socjaldemokraci proponowali godne pochwały strategie zmierzające do skuteczniejszej integracji cudzoziemców - od zapewnienia równości dostępu do edukacji i większego uczestnictwa w rynku pracy, po dofinansowywanie większej liczby placówek kulturalnych i boisk piłkarskich w uboższych dzielnicach. Stanowisko SPD z 2011 r. stwierdza kategorycznie, że *głównymi przyczynami niepowodzeń rzeczywistej integracji nie są różnice kulturowe, religijne czy etniczne między większością społeczeństwa a imigrantami, ale brak równych szans*. Partie socjalistyczne i socjaldemokratyczne wolą traktować problemy z integracją jako problemy o charakterze ściśle społeczno-ekonomicznym.

Prawica może dzięki temu zdominować politykę symbolicznej inkluzji społeczności muzułmańskich, pomimo że to ona przodowała zawsze w ich krytyce i w forsowaniu prawa restrykcyjnego wobec nich. Lewica nie wydaje się tymczasem zainteresowana ani zbiorową tożsamością muzułmańską, ani obroną wolności wyznania tej grupy, pozostawiając tym samym prawicę bez konkurencji na obu tych „frontach". Gdy to partie centroprawicowe wskazują na niebezpieczeństwa związane z noszeniem chust czy ubojem rytualnym, wydają się one bliższe środowiskom kobiecym i obrońcom praw zwierząt niż ich postępowi przeciwnicy.

Na przykład **w latach 2002-2006 partie centroprawicowe zaangażowały się we włączanie islamu w relacje państwo-kościół, ustanawiając m.in. Conseil Français du Culte Musulman (Francuską Radę Kultu**

© Michaël Garrigues, flickr.com/photos/lain32/8118861878

jay chilli, flickr.com/photos/jay-chilli/2460489910

Muzułmańskiego) oraz Deutsche Islam Konferenz (Niemiecką Konferencję ds. Islamu). W odpowiedzi pojawiły się na lewicy głosy krytyki rządów za tworzenie muzułmańskiego lobby oraz podsycanie ciasnego komunitaryzmu, pogłębianie izolacji niewielkich wspólnot, a także wpisywanie się w konserwatywny scenariusz wzmacniania przynależności religijnej kosztem wspólnoty obywatelskiej. Debata w tej sprawie wzbudziła mieszane uczucia szczególnie w partiach lewicowych o korzeniach antyklerykalnych - ich sztandarowe osiągnięcia powojenne to wszak parytety płci na listach wyborczych oraz przeciwstawianie się pa paternalistycznemu podejściu do spraw aborcji i rozwodów. Tak oto - wbrew intencjom - partie centrolewicowe odmawiają *de facto* religii islamskiej instytucjonalnej równości względem innych wyznań. To stracona szansa, żeby poruszyć kwestię relacji między religią a demokratycznym porządkiem prawnym i wywalczyć kompromis, który mógłby pomóc „oswoić" islam, tak jak stało się to z Kościołem katolickim czy z emancypacją Żydów w krajach chrześcijańskiej większości.

Niestety, kiedy partie lewicowe bardziej popierały prawa religijne muzułmanów, prowokowały oskarżenia o to, że są użytecznymi idiotami reakcyjnych wyznawców islamu. Według tej retoryki bierność lewicy umożliwia w istotnej mierze rozkwit kultur paternalistycznych, który wzmaga z kolei problem nietolerancji i niepowodzeń w integracji. Było tak w przypadku Wielkiej Brytanii, gdzie Partia Pracy podjęła kroki, aby wesprzeć organizowanie się brytyjskiego islamu w 1997 i 2005 r., a jej muzułmańscy partnerzy odmówili udziału w uroczystościach upamiętniających Holokaust, oraz w Niemczech w 2002 r., gdy państwowa telewizja wyemitowała program „Naïve Tolerance", który ujawnił antysemityzm panujący na łamach wydawnictw jednej z organizacji zaproszonych przez burmistrza Bremy do udziału w miejskim „Tygodniu islamu". W wielu innych miejscach agresywne kampanie czy pozwy sądowe składane przez ugrupowania muzułmańskie za publikację „bluźnierczych" duńskich karykatur wprawiały partie lewicowe w zakłopotanie.

Te tendencje utrzymały się w 2013 r. W kwietniu jedyny muzułmański członek rady krajowej szwedzkich socjaldemokratów został zmuszony do ustąpienia z powodu powiązań z reakcyjnymi duchownymi oraz wzywania do nalotów na Izrael. W tym samym roku w kampanii wyborczej kandydat socjaldemokratów na stanowisko kanclerza Niemiec powiedział muzułmańskiemu wyborcy, że popiera osobne pływalnie dla kobiet i mężczyzn, czym sprowokował

zdecydowany protest rządu chrześcijańskich demokratów Angeli Merkel. Autor szybko wycofał się ze swoich słów.

Istnieje kilka pozytywnych przykładów zaangażowania lewicy w politykę wobec mniejszości muzułmańskich na poziomie lokalnym, zwłaszcza we Francji, Niemczech i Szwecji. Jednak na poziomie polityk krajowych w Europie trudno odróżnić ją od prawicy - z tym tylko, że to centroprawica jest bardziej skłonna do podejmowania jakichkolwiek działań. Pomimo antyimigracyjnych poglądów i koncentracji na kwestiach związanych z bezpieczeństwem narodowym, prawica przyjęła dość pojednawcze stanowiska wobec praktycznych aspektów funkcjonowania islamu w Europie. Okres po 11 września partie centroprawicowe wykorzystały do promowania zwyczajnej równości pomiędzy religiami, zwiększając tym samym nadzór nad meczetami, imamami itd. Krótko po mianowaniu na ministra spraw wewnętrznych Francji w 2002 r. Sarkozy powiedział dziennikarzowi: *Nie rozwiążemy problemu młodych ludzi z przedmieść, dając im jedynie boiska piłkarskie i ośrodki młodzieżowe... Przedmieścia, podobnie jak inne miasta, potrzebują miejsc dających inspirację, gdzie ludzie mogą się zebrać w duchu wzajemnego szacunku, gdzie chronione są wartości życia i nadziei. Synagoga, świątynia, kościół czy meczet mogą pełnić tę funkcję.*

W różnych państwach Europy wyłanianie islamskich rad, mających na celu dostosowanie wyznania do lokalnych warunków, wymagało kompromisów z przywódcami społeczności religijnych. W kolejnych krajach lewica inicjowała negocjacje, ale ich nie kończyła. Za każdym razem zatrzymywała się na tym samym pytaniu pojawiającym się przy każdej poważnej próbie instytucjonalizacji islamu w relacjach państwo-kościół: kto będzie skłonny podpisać porozumienie z uważającymi się za umiarkowane grupami islamistycznymi? We Francji rządy socjalistów na początku i pod koniec lat 90. prowadziły wstępne konsultacje, ale to rząd centroprawicowy doprowadził do porozumienia o ustanowieniu Francuskiej Rady Kultu Muzułmańskiego. We Włoszech w 1998 r. centrolewicowy rząd zlecił ministerstwu spraw wewnętrznych utworzenie rady islamskiej, ale to minister spraw wewnętrznych z ramienia chrześcijańskich demokratów sfinalizował powstanie Consulta Islamica w 2004 r. Podobnie było z niemieckimi Zielonymi, którzy wiele lat przygotowywali państwo do idei „niemieckich muzułmanów" i pomogli w przyjęciu w 1999 r. nowej ustawy o obywatelstwie. A jednak to chadecki minister spraw wewnętrznych ustanowił w 2006 r. Deutsche Islam Konferenz.

Po części ma to związek z momentem historycznym: to centroprawica była w tych krajach u władzy w kluczowych latach po 11 września. Ale prawdopodobnie powyższe działania podejmowano też z nadzieją, że uda się u tych muzułmańskich mniejszości wzmocnić konserwatywne rysy tożsamościowe.

Partie centroprawicowe odczuwają jednak presję ze strony skrajnej prawicy i wszelkie oznaki dobrej woli szybko znikają. Urzędnicy wybrani z ramienia francuskiej Unii na rzecz Ruchu Ludowego (UMP), niemiecka CDU i włoska Liga Północna angażują się w różnym stopniu w nagonkę na wyznawców islamu, krytykując prawie wszystkie zewnętrzne przejawy pobożności muzułmanów. Zastępca burmistrza Nicei z UMP w lipcu 2013 r. stwierdził stanowczo, że islam i demokracja są „całkowicie nie do pogodzenia". W obliczu takich oskarżeń partie lewicowe stały się domyślnym wyborem dla elektoratu muzułmańskiego, z wyjątkiem jedynie najzagorzalszych zwolenników asymilacji. A jednak gdy Angela Merkel, Nicolas Sarkozy i David Cameron ogłosili śmierć multikulturalizmu, nie pojawił się nikt, kto przedstawiłby alternatywną wizję.

Przymykanie oczu na spory

Dobrą wiadomością dla partii lewicowych jest to, że imigranckim mniejszościom chyba na tym nie zależy. Nawet po publikacji przez ważnego członka SPD Thilo Sarrazina prowokacyjnej broszury pt. „Niemcy likwidują się same", w której przekonuje, że ludność Niemiec głupieje wskutek migracji, i po tym, jak partia zagłosowała za utrzymaniem jego członkostwa, niemieccy Turcy głosowali w 64 proc. za socjaldemokratami - znacznie powyżej 27 proc., które partia zdobyła w skali kraju. Tymczasem niemiecki rząd i ONZ rozważają pociągnięcie Sarrazina do odpowiedzialności za stosowanie mowy nienawiści.

W dziedzinie polityki zagranicznej poglądy centrolewicy i centroprawicy wobec świata muzułmańskiego są dość podobne. Europejskie partie lewicowe i prawicowe jednomyślnie poparły demonstrantów na Placu Taksim w czerwcu 2013 r. Należy jednak dodać, że diasporze tureckiej w Europie bliżej było do rządu niż do protestujących. Mizerna skala demonstracji solidarności europejskich Turków z demonstrantami z Taksim w 2013 r. raziła w porównaniu z tłumami, jakie zebrały się przed Zgromadzeniem Narodowym w 2011 r., aby protestować przeciwko ustawie Sarkozy'ego penalizującej negowanie ludobójstwa Ormian - ustawie, która została przyjęta z pełnym poparciem francuskiej Partii Socjalistycznej. Z kolei w kwestii Izraela często zakłada się, że lewica jest przychylniejsza stronie palestyńskiej, jednak i w tym przypadku partie centroprawicowe nie różnią się znacząco od lewicowych. Konserwatywny prezydent Francji, Jacques Chirac, zagroził opuszczeniem Izraela podczas

🅭🄏🄎 Lyon says Hello, flickr.com/photos/lyonsayshello/6102636655

🅭🄏 Montecruz Foto, flickr.com/photos/libertinus/5565642017

🅭🄏🄎 looking4poetry, flickr.com/photos/looking4poetry/3216710714
Protest przeciwko atakom na Gazę, Paryż

wizyty we Wschodniej Jerozolimie w 1996 r., wymyślając ochroniarzom izraelskim, którzy nie zgodzili się na przywitanie się przez niego z palestyńskim przechodniem i swobodne przejście. Cztery lata później jego socjalistyczny rywal, Lionel Jospin, został natomiast obrzucony kamieniami i zmuszony do ucieczki pod osłoną swoich ochroniarzy po ostrej wymianie zdań z palestyńskimi studentami na Uniwersytecie Birzeit na Zachodnim Brzegu (dwa dni wcześniej ogłosił, że Hezbollah jest ugrupowaniem terrorystycznym). Jednak przy następnej okazji wyborcy muzułmańscy w zdecydowanej większości i tak opowiedzieli się za francuską Partią Socjalistyczną.

Jak dotąd okazywało się, że **europejscy muzułmanie chętnie ignorują różnice, jakie dzielą ich z europejską lewicą. Ich interesy jako wyznawców religii leżą po prawej stronie od centrum, ale w kwestiach społeczno-ekonomicznych wciąż najlepiej chronieni są przez partie socjalistyczne i socjaldemokratyczne. W ankietach osoby uważające się za muzułmanów odpowiadają, że kwestie polityki zagranicznej i wolności religijnej są istotne, jednak dla większości z nich nie są to czynniki decydujące przed wyborami. Obecnie, gdy kwestie tożsamości i kultury zyskują na znaczeniu dla środowisk robotniczych, które oddalają się od głównych partii socjaldemokratycznych na lewo i prawo, warto zauważyć, że życiowe problemy,**

takie jak mieszkalnictwo, usługi medyczne i edukacja albo walka z rasizmem i dyskryminacją o prawa imigrantów – pozostają najważniejsze dla wyborców muzułmańskich.

Lewica i islam po Arabskiej Wiośnie

Arabska Wiosna jeszcze bardziej skomplikowała sytuację. Zimą 2011 r. francuski minister obrony z partii UMP zaproponował tunezyjskiemu prezydentowi Zinemu El Abidine Ben Alemu pomoc w stłumieniu zaczynającego się powstania, a francuski premier (także z UMP) przyjął propozycję wakacyjnego wyjazdu od egipskiego prezydenta Hosniego Mubaraka. Ale także ministrowie z Partii Socjalistycznej nie szczędzili w przeszłości pochwał Ben Alemu i utrzymywali dobre relacje z Mubarakiem. We Włoszech rząd Berlusconiego wspierał Ben Alego w czasie trwania rewolucji, ale włoska lewica nie była od niego lepsza. Zresztą to włoski socjalistyczny rząd pomógł Ben Alemu w dojściu do władzy, uznając go swego czasu za symbol świeckiej, nowoczesnej Afryki Północnej.

Partie lewicowe wyrażają chęć naprawienia błędów z przeszłości, jednak podobnie jak wszyscy inni nie mają pomysłu, jak tego dokonać. Ta schizofrenia ma realną podstawę: ambiwalentną funkcję islamizmu jako języka represjonowanych przeciw autorytaryzmowi, a jednocześnie języka represyjnych sił polityczno-kulturowych, w opozycji do których lewica określała się przez większą część ostatniego stulecia. Eksperyment z rządami Bractwa Muzułmańskiego w Egipcie pogłębił jeszcze jej dezorientację.

Jednak, jak to określił Khalid Chaouki, włoski Marokańczyk z podwójnym obywatelstwem, niedawno wybrany do włoskiego parlamentu, na lewicy *poczucie winy jest większe niż jej przewinienia*. W maju 2013 r. w Parlamencie Europejskim odbyła się ważna konferencja europejskich socjalistów z północnoafrykańskimi grupami islamskimi. Włoska Partia Demokratyczna marzyła nawet o utworzeniu „międzynarodówki islamskiej", ale przedsięwzięcie nie powiodło się z powodu wewnętrznych podziałów.

Turecka Partia Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) ma status obserwatora w konserwatywnej Europejskiej Partii Ludowej od 2005 r., a tunezyjska partia Ennahda, która wzoruje się na AKP, również wydaje się naturalnym sojusznikiem dla europejskich centroprawicowych partii masowych, historycznie związanych z chrześcijańską demokracją.

Jak lewica może popierać „partie hidżabu" za granicą i walczyć z ich sojusznikami w kraju? Jak długo jeszcze mniejszość głosująca na partie islamskie w krajach w większości muzułmańskich będzie wolała wybierać partie socjaldemokratyczne w Europie? W 2012 r. 86 proc. muzułmańskich wyborców we Francji poparło kandydata socjalistów François Hollande'a, w dużej mierze dlatego, że odpychał ich Sarkozy. Diaspora Turków i Tunezyjczyków w Europie jest jednak bardziej konserwatywna od wyborców krajowych w Turcji i Tunezji. W 2011 r. AKP uzyskała 49,5 proc. głosów w Turcji, ale aż 60 proc. Turków głosujących w zagranicznych lokalach wyborczych. Połowa przedstawicieli wybranych przez tunezyjską diasporę w Europie w 2011 r. pochodziła z partii Ennahda, w porównaniu z 41 proc. w samej Tunezji. Arogancją byłoby uznanie dzisiejszej przewaga opcji postępowej za dowód na to, że również przyszłe pokolenia muzułmanów urodzonych już w krajach zachodnich będą w większości popierać lewicę.

Zapobieganie dalszym podziałom

W miarę jak prawicowa retoryka na temat islamu staje się coraz bardziej toksyczna, na lewicy pojawia się przestrzeń do bardziej zdecydowanej i liberalnej obrony religijnych praw muzułmanów. **Wobec prognoz demograficznych, przewidujących stały wzrost populacji muzułmańskiej w Europie Zachodniej aż do stabilizacji na poziomie 25 do 30 mln osób (lub 7–8 proc. populacji) w 2030 r., partie polityczne zmuszone są traktować wyborców muzułmańskich niczym, jak to ujął Benjamin Disraeli w odniesieniu do mas robotniczych w XIX wieku, anioły uwięzione w bloku z marmuru. Jeśli tożsamość religijna muzułmanów nie spotka się z akceptacją lewicy, to muzułmanie, dla których praktykowanie islamu jest istotną częścią życia, spróbują sobie znaleźć bardziej tolerancyjną przestrzeń w innym miejscu, wycofując się z szerszej europejskiej wspólnoty lub tworząc nowe partie oparte na ich tożsamości.**

Jeżeli partie lewicowe chcą zainteresować tych wyborców na dłuższą metę, kluczowe jest, aby zrozumiały znaczenie neutralności państwa w złożonych instytucjonalnych strukturach europejskich państw narodowych. Filozof z Princeton, Kwame Anthony Appiah, napisał niedawno, że **przeciwdziałanie terroryzmowi wymaga** sojuszu ludzi wszystkich wiar i niewierzących, którzy potrafią żyć z różnicami kulturowymi i tolerować je, przeciw tym, którzy – gdziekolwiek mieszkają i jakiegokolwiek są wyznania – tego nie potrafią. Ten prosty apel o przejście na właściwą stronę barykady w walce o tolerancję jest wciąż na miejscu i nadal zbyt odosobniony. Paradoksalnie w celu utrzymania religii z dala od polityki i przekroczenia barier w relacjach ze społecznością muzułmańską lewica powinna przyjąć aktywną, zaangażowaną rolę w kształtowaniu podstaw interakcji religijnych tej mniejszości z państwem i społeczeństwem.

„Liberalny pentagram" Timothy'ego Gartona Asha (integracja, jasność, konsekwencja, stanowczość i otwartość) stanowi podstawę ambitnej, lecz

CC BY Adam Lederer, flickr.com/photos/elmada/6156796020

krytycznej polityki potrzebnej, by **doprowadzić społeczności różnych wyznań do tego samego wniosku: prawo danego kraju jest prawem nas obowiązującym. Nie dojdzie do tego, jeżeli instytucje zajmujące się religią nie nawiążą dialogu z muzułmańskimi organizacjami religijnymi i przywódcami, także tymi najmniej postępowymi, aby stworzyć więzi analogiczne do tych, które państwo utrzymuje z wszystkimi innymi większymi grupami wyznaniowymi.**

To zaś wymagać będzie przyjęcia do wiadomości faktu, że osiąganie zwycięstwa postępu w długiej perspektywie może stać w sprzeczności z doraźnymi rozstrzygnięciami w duchu progresywnych wartości. **Zakaz noszenia chust w szkołach publicznych może się wydawać doskonałym pomysłem, ale co jeśli rodzice dziewcząt, które najbardziej potrzebują integracji, wyślą je w efekcie do szkół wyznaniowych?** Jeżeli zaś godziny segregacji płciowej na basenie są do dyspozycji wszystkich kobiet, które wolą pływać same, to co państwu do tego, czy wynika to z „feministycznych" czy z „islamistycznych" pobudek?

***

Zamiast bronić liberalnego porządku, partie lewicowe zaczęły tak bardzo martwić się utratą głosów, że czują się zmuszone do ulegania populistycznym pokusom związanym z islamem i imigrantami w ogóle. Nawet brytyjski lider Partii Pracy Ed Miliband powrócił ostatnio do starego sloganu, że imigranci zarobkowi stanowią naturalne zagrożenie: *Nie jest oznaką uprzedzenia, że ludzie obawiają się imigrantów. To zrozumiałe. Myliliśmy się w przeszłości, gdy lekceważyliśmy obawy ludzi*. Bez względu na to, jak bardzo politycy przejmują się o zachowanie głosów muzułmanów, bardziej obawiają się potencjalnej wrogości wobec muzułmanów w swoich szeregach. Może to dlatego partie lewicowe bardzo starają się podkreślać niereligijne zbiorowe tożsamości. Jednak **gdy lewica „obstawia przeciwko Bogu", jak ujął to włoski intelektualista Giancarlo Bosetti, sprowadza wszystko do walki o wpływy między świeckim państwem a władzami religijnymi i rezygnuje z potencjalnych sojuszy ze społecznościami wierzących, z którymi dzieli wspólne postawy w sprawach moralnych, gospodarczych i społecznych.**

Bez elementarnej integracji społeczności muzułmańskich do istniejących struktur dialogu między państwem a wspólnotami religijnymi, w obliczu histerii związanej z mięsem halal, hidżabami, minaretami i nikabami, kwestia wyznania pozostanie sferą dyskomfortu, łączącą tę mniejszość w „poczuciu" bycia muzułmaninem, bez względu na to, jaka jest rzeczywista religijność jej poszczególnych przedstawicieli. Jeśli partie lewicowe nie chcą stracić wyborców na rzecz nowych formacji religijnych, muszą stworzyć warunki, aby ludzie wierzący czuli się bardziej komfortowo w instytucjach państwowych. Możliwe są bardziej kompleksowe rozwiązania niż te zaproponowane do tej pory. ⚒

Tłum. Anna Kleina

Tekst pierwotnie opublikowano jesienią 2013 r. na stronie internetowej magazynu „Dissent", lewicowego amerykańskiego kwartalnika poruszającego tematy polityki i kultury, ukazującego się od 1954 r. (www.dissentmagazine.org).

PROLETARIUSZE SYJONU

Burzliwa historia socjalistycznego syjonizmu

DR HAB. JAROSŁAW TOMASIEWICZ

W marcu 1968 r., gdy oficjalna pisownia słowa „syjonizm" nie była jeszcze ustalona (alternatywną wersją był „sjonizm"), opowiadano następujący dowcip: „– Tato, jak właściwie pisze się syjonizm? – Teraz to nie wiem, ale przed wojną pisało się przez »ż« z kropką". Słowo „syjonista" dla antysemitów stało się kryptonimem Żyda, dla antysyjonistów – synonimem reakcyjnego, ekspansywnego, rasistowskiego szowinizmu. Rzeczywistość jest bardziej złożona.

Syjonizm narodził się jako ruch religijny – kolejny przejaw żydowskiego mesjanizmu usiłujący przyspieszyć odkupienie Żydów poprzez powrót do Palestyny. Toruński rabin Cwi Hirsz Kaliszer w 1860 r. zorganizował zjazd poświęcony osadnictwu żydowskiemu w Ziemi Izraela, w wyniku czego powstał Izraelicki Związek dla Kolonizacji Palestyny. Sekularyzacji syjonizmu dokonał Theodor Herzl, który swymi pracami „Judenstaat" (1896) i „Altneuland" (1902) pchnął ruch na tory świeckiego liberalnego nacjonalizmu. **Nie wszystkim jednak wystarczała wizja Herzla – część syjonistów ciążyła ku socjalizmowi.**

Pierwsi żydowscy socjaliści (jak Aaron Lieberman, który w 1876 r. założył w Londynie organizację Agudat ha-Sozialistim ha-Ivrim) obojętnością na kwestię narodową przypominali działaczy naszego Proletariatu – ich zdaniem socjalizm miał automatycznie rozwiązać wszelkie problemy narodowościowe. Impulsem, który wpłynął na powstanie pierwszej żydowskiej partii robotniczej Bund, była konstatacja, że jeśli chce się pozyskać żydowskich robotników dla sprawy rewolucji, trzeba mówić językiem zrozumiałym dla nich – czyli w jidysz. Bundyści, skądinąd zazdrośnie strzegący odrębności żydowskiego proletariatu, pozostawali jednak wrodzy wobec burżuazyjnego i utopijnego w ich oczach syjonizmu. W tym samym wszakże roku (1897), w którym powstał Bund – Powszechny Żydowski Związek Robotniczy Litwy, Rosji i Polski – pojawił się na I Kongresie Syjonistycznym w Bazylei pierwszy syjonista-socjalista Nachman Syrkin. W swej publikacji „Die Judenfrage und der sozialistische Judenstaat" (1898) rozprawił się z kosmopolityzmem żydowskich socjalistów: *Żydowscy socjaliści Europy Zachodniej, którzy wyrośli ze zasymilowanej żydowskiej burżuazji, nieszczęśliwie uosabiają* [...] *ten sam brak szacunku dla samych siebie i duchowe ubóstwo, poza faktem, że moralny upadek socjalistycznej odmiany asymilacji jawi się bardziej*

CC BY NC ND © Government Press Office, flickr.com/photos/government_press_office/8402192868

jaskrawym. Syrkin założył w Berlinie pierwsze grupy socjalsyjonistyczne Hessiona (1901) i Heirut (1902).

Najbujniej socjalsyjonizm rozkwitł w ówczesnym Cesarstwie Rosyjskim. Działający tam Bund sprzeciwiał się emigracji Żydów do Palestyny, uważając, że los narodu żydowskiego związany jest z Europą Wschodnią. Przeciwstawiał też propagowanemu przez syjonizm językowi hebrajskiemu kulturę opartą na jidysz. W 1901 r. Bund wykluczył syjonistów ze swych szeregów.

W tym samym roku młody żydowski socjaldemokrata Ber Borochow założył w Jekaterynosławiu grupę Robotnicy Syjonu (Po'alei Zion, Poalej Syjon). Zapoczątkowany przez niego ruch dynamicznie rozwijał się w kolejnych latach. W 1903 r. emigranci z Rosji zakładają organizację PS w Nowym Jorku, dwa lata później rozwinęła się ona w Socialist Jewish Labour Party Poale Zion. W 1904 r. wokół wiedeńskiego pisma „Der jüdische Arbeiter", wydawanego przez Szlomo Kapłańskiego, powstała federacja Poalej Syjon w Austrii. Początkowo skupiała ogół robotników-syjonistów, nie propagując żadnej szczególnej doktryny. Dopiero w 1906 r. przyjęła program socjalistyczny i nazwę Żydowskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej Poalej Syjon. W 1905 r. na zjeździe w Ciechocinku ukonstytuował się Związek Socjalistów Żydowskich Poalej Syjon w Królestwie Polskim. W 1906 r. Icchak Ben-Zvi założył zaś pismo „Onfang", inicjując tym samym poalejsyjonizm w Palestynie. W tym samym roku na konferencji w Połtawie Borochow zjednoczył rosyjskie grupy poalejsyjonistyczne w Żydowską Socjaldemokratyczną Partię Robotniczą Poalej Syjon. Wreszcie w 1907 r. na kongresie w Hadze powstał Światowy Związek (Welt-Verband) Poalej Syjon, skupiający partie z Rosji, USA, Austro-Węgier, Wielkiej Brytanii, Rumunii, Palestyny i Argentyny. Związek jako tzw. Sonderverband wszedł w skład Światowej Organizacji Syjonistycznej. Po klęsce rewolucji

rosyjskiej ruch poalejsyjonistyczny przechodzi jednak kryzys. Drastycznie, z 25 tys. do 300, spada stan liczebny rosyjskiej organizacji Poalej Syjon. Narastać zaczął też konflikt między marksistowską frakcją Borochowa i reformistyczną Kapłańskiego, ujawniony już na IV konferencji Związku w 1913 r.

Borochow, który swoje poglądy określał mianem „żydowskiego naukowego socjalizmu", starał się wykorzystać teorię marksistowską do rozwiązania problemu żydowskiego, daleki jednak był od dogmatyzmu. **Rozszerzył marksowskie pojęcie „stosunków produkcji" o czynniki geograficzne, antropologiczne i historyczne, wprowadzając kategorię „warunków produkcji". Pozwoliło mu to zdefiniować naród jako społeczność *zjednoczoną świadomością indywidualnych członków i pokrewieństwem wynikającym ze wspólnej historycznej przeszłości, której korzenie tkwią w tych samych warunkach produkcji*. Naród, by rozwijać swą gospodarkę, musi posiadać terytorium.**

Logicznie wypływał stąd wniosek, że przyczyną złej sytuacji Żydów było wykorzenienie z ojczyzny, czyniące z nich mniejszość podrzędną ekonomicznie i bezsilną politycznie. Zgodnie z dokonanymi przez Borochowa analizami ekonomicznymi rozwój nowoczesnej gospodarki skazywał żydowskie drobnomieszczaństwo na bezrobocie, natomiast robotnicy żydowscy pozostawali skoncentrowani w zacofanych i nieprodukcyjnych gałęziach gospodarki. Jak głosiła jedna z żydowskich partii robotniczych: *Wskutek całego szeregu przyczyn historycznych i społecznych, żydowscy robotnicy nie zajmują żadnej pozycji w nowoczesnych zakładach przemysłowych i w gospodarstwie rolnym. Są oni najczęściej zatrudniani w małych* [...] *warsztatach i dlatego najsilniej odczuwają jarzmo kapitalistycznego ustroju*. [...] *W taki sposób liczba robotników żydowskich pozostaje ograniczona i dla żydowskich mas, popychanych koniecznością pójścia z życia pasożytniczego do zdrowej fizycznej pracy proletariackiej, która coraz bardziej staje się jądrem władzy politycznej i życia, przejście to staje się niedostępnym*.

Diaspora była według Borochowa społeczną aberracją sprawiającą, iż *społeczna psychologia ludu żydowskiego jest organicznie chora*. Zdecydowanie przeciwstawiał się zarazem asymilacji, którą uważał za moralnie podejrzaną (jako sukces jednostki kosztem uciśnionej zbiorowości) i obiektywnie niemożliwą ze względu na nieprzezwyciężalne uprzedzenia większości. Jedynym wyjściem miało być stworzenie przez Żydów własnej „niezależnej bazy ekonomicznej" – *zdrowego fundamentu społeczno-ekonomicznego, który będzie podstawą bytu narodowego i narodowej kultury, oraz bazą dla* [...] *socjalistycznej transformacji życia narodowego*. Dlatego głosił konieczność migracji Żydów do Palestyny

© Government Press Office, flickr.com/photos/government_press_office/8401103493

w celu stworzenia tam autonomicznego żydowskiego społeczeństwa.

Palestyna miała stać się bazą walki klasowej żydowskiego proletariatu, a żydowski robotnik – „pionierem żydowskiej przyszłości". Zdaniem Borochowa koncentracja Żydów w Palestynie była koniecznością dziejową, skutkiem obiektywnych procesów, co powtarzali za nim tzw. prognostycyści. W ruchu poalejsyjonistycznym istniała jednak również frakcja „pryncypialistów", głoszących, że żydowska kolonizacja Palestyny będzie dziełem ludzkiej woli wynikającym z pryncypiów syjonizmu. Poalejsyjoniści dystansowali się wszakże od „burżuazyjnego" ruchu syjonistycznego i w 1909 r. wycofali się ze Światowej Organizacji Syjonistycznej.

Poalejsyjonizm nie był jedynym wariantem syjonistycznego socjalizmu. Krystalizowanie się programu syjonistycznego i towarzyszące mu dyskusje prowadziły do licznych rozłamów w ruchu. Na początku XX stulecia doszło do perturbacji związanych z tzw. planem Uganda, tj. brytyjską koncepcją stworzenia żydowskiej siedziby narodowej w Afryce Wschodniej. Znalazły one odzwierciedlenie także wśród socjalsyjonistów, spośród których część skłonna była domagać się dla Żydów jakiegokolwiek terytorium, niekoniecznie w Palestynie. Pod wodzą Syrkina uformowali oni na konferencji w Odessie w 1905 r. Syjonistyczno-Socjalistyczną Partię Robotniczą (Cionistisz-Socialistiszer Arbeter Partaj). Jeszcze dalej od programu syjonistycznego odeszli tzw. sejmiści, czyli Socjalistyczna Żydowska Partia Robotnicza (Socialisticzeskaja Jewrejskaja Raboczaja Partija, Sjerp), utworzona w 1906 r. w Kijowie przez m.in. Mojżesza Zylberfarba. To związane z rosyjskimi socjalistami-rewolucjonistami, a więc niemarksistowskie ugrupowanie domagało się dla ludności żydowskiej eksterytorialnej autonomii narodowo-politycznej, nieco szerszej niż postulowana przez Bund autonomia narodowo-kulturalna. Wszystkie te „narodowo-socjalistyczne" (wedle własnego określenia) partie – *przednią straż proletariatu żydowskiego w walce o jego zupełne wyzwolenie socjalne i narodowe* – **łączyło przekonanie, że *zupełne wyzwolenie narodu żydowskiego osiągnąć można tylko po upadku ustroju kapitalistycznego*. Twierdziły, iż *nikt nie jest tak zainteresowany w rewolucji jak my, ciemiężeni wśród ciemiężonych*. Zarazem krytykowały nieżydowskich marksistów za ignorowanie żądań Żydów, głosząc: *Żydowski robotnik nie mógł się* [...] *w żadnym wypadku wyrzec swoich żądań narodowych, ponieważ byłoby to czynem samobójczym*.**

O ile poalejsyjoniści przypominali polskich niepodległościowych socjalistów spod znaku Kazimierza Kelles-Krauza, usiłujących połączyć postulaty narodowe z ideologią marksistowską, o tyle młodosyjoniści byli odpowiednikiem rodzimych „zetowców" – zradykalizowanych społecznie dysydentów z ruchu nacjonalistycznego. Ruch Młodzi Syjonu (Ze'irei Zion, Cejrej Syjon) uformował się w łonie rosyjskiego syjonizmu około 1903 r. Zgodnie z nazwą skupiał on młodych działaczy prących do większej aktywności w dziele kolonizacji Palestyny. Młodosyjoniści chcieli też umasowienia ruchu poprzez włączenie do niego żydowskiej biedoty. Członkowie Cejre Syjon uczestniczyli ponadto w walce o demokratyzację Rosji, co w naturalny sposób pchało ich ku lewicy społecznej. W wymiarze ideologicznym ruch ten usiłował połączyć idealistyczny pierwiastek syjonizmu z socjalistycznym materializmem. **Uważano, że warunki ekonomiczne wymuszają emigrację Żydów, zaś sentyment wskazuje Palestynę jako jej kierunek. Palestyna miała być odzyskana przez żydowską pracę, a nie kapitał, co determinowało egalitarny ideał ustrojowy.** Zarazem jednak cejresyjoniści byli przeciwni walce klas, uważając, że nacisk arabskiego otoczenia wymusza na Żydach solidaryzm. Współtwórca Cejrej Syjon, Josef Sprinzak, pisał: *Jesteśmy socjalistami dla przyszłości. Z utworzeniem niepodległej* [...] *Erez Israel* [Ziemi Izraela] *będzie dla nas możliwe być socjalistami*. Młodosyjoniści złagodzili też stanowisko w kwestii językowej, uznając, że o ile w przyszłości językiem Żydów będzie hebrajski, o tyle w codziennym użyciu diaspory może być na razie używany jidysz.

Ruch młodosyjonistyczny rósł szybko, obejmując zasięgiem nie tylko Europę Wschodnią, ale i Palestynę, Południową Afrykę, Austro-Węgry, Niemcy, Wielką Brytanię, USA oraz Amerykę Południową. Zwieńczeniem tego procesu stała się konferencja w Wiedniu z 1913 r., z udziałem 30 działaczy Cejrej Syjon reprezentujących diasporę i 26 przedstawicieli palestyńskiej organizacji Młody Robotnik (Hapoel Hatzair, Ha-Po'el ha-Za'ir).

Palestyńskim odgałęzieniem Cejrej Syjon była Federacja Młodych Robotników Ziemi Izraela (Histadrut ha-Po'alim ha-Ze'irim be-Erez Israel) – pierwsza żydowska partia zrodzona w Palestynie, potocznie zwana Hapoel Hatzair. Założona jesienią 1905 r. przez Shlomo Zemaha i Eliezera Shohata głosiła „podbój pracą" (ang. *conquest of labour*): *Koniecznym warunkiem realizacji syjonizmu jest opanowanie wszystkich gałęzi produkcji w Ziemi Izraela przez Żydów*. W praktyce oznaczało to najmowanie się młodych imigrantów do pracy fizycznej, zwłaszcza w rolnictwie (dotąd zdominowanym przez tańszych pracowników arabskich).

Ideologię młodorobotniczą rozwinął Aaron Dawid Gordon – robotnik rolny i filozof, który osiedlił się w Palestynie w 1904 r. Myśl Gordona czerpała obficie z inspiracji religijnych – uważał, że poprzez religię

Źródło: http://tauberholocaustlibrary.org

człowiek może poczuć się integralną częścią kosmosu, choć zarazem krytykował zbytnie przywiązanie do form poszczególnych wyznań (dostrzegamy tu wpływ Lwa Tołstoja). Gordon uznawał jedność człowieka i kosmosu, choć więź ta jego zdaniem wymykała się kategoriom czysto racjonalnym, uchwytna była tylko intuicyjnie. Porzucając ziemię dla miasta, człowiek odcinał się jednak od kontaktu z naturą, utylitarnej degeneracji ulegały też jego stosunki z innymi ludźmi. Dlatego Gordon głosił konieczność odrodzenia moralnego człowieka: *Nasza droga prowadzi do natury poprzez pracę fizyczną*. To praca (najlepiej na roli) zapewnia człowiekowi kontakt z przyrodą i kosmosem, zaś duchowa więź z ziemią umożliwia wewnętrzną odnowę (jeśli odrzucić uwielbienie ziemi, podobny kult pracy dostrzeżemy u Stanisława Brzozowskiego). Wspólna praca pozwala też na uszlachetnienie człowieka i przezwyciężenie egoizmu. Gordon był kolektywistą, wierzącym, że człowiek jako indywiduum skazany jest na uwiąd, a tylko będąc cząstką organizmu społecznego, może się rozwijać. Naturalnym środowiskiem jednostki miała być zatem organiczna, homogeniczna kulturowo wspólnota, poprzez którą człowiek łączy się z kosmosem.

Gordon pozostawał krytyczny zarówno wobec państwowotwórczego nacjonalizmu, jak i wobec kosmopolityzmu. **Jego „kosmonacjonalizm" zakładał, że wspólnota etniczna jest pośrednikiem między jednostką a ludzkością.** ***Oznajmiliśmy, że człowiek jest stworzony na podobieństwo Boga. Musimy pójść dalej i powiedzieć: naród musi być stworzony na podobieństwo Boga*** **– pisał. Daleki od egoizmu narodowego, propagował pokojową koegzystencję z ludnością arabską**, krytyczny był wobec tworzenia Legionu Żydowskiego czy nawet Deklaracji Balfoura[1]. Tym niemniej uznanie pracy za wartość najwyższą oznaczało w palestyńskim kontekście intensyfikację działalności kolonizacyjnej. Według Gordona ***kraj należy do tego, kto w walce o ziemię wycierpiał najwięcej.*** **[...]** ***tu nie ilość już decyduje, ale jakość: kto więcej będzie pracował, kto stworzy więcej, włoży więcej miłości, ten zyska więcej prawa moralnego i władzy nad tą ziemią. Oto współzawodnictwo pokojowe i szlachetne.*** W praktyce przekładało się to na tworzenie kolektywnych gospodarstw produkcyjnych (kibuców), z których pierwsze powstało w 1909 r. w Deganyah. Zespołowa praca i gromadne życie miały umożliwić odrodzenie narodu żydowskiego i jednocześnie wyeliminowanie przejawów pasożytnictwa. Ten praktyczny komunizm nie miał jednak nic wspólnego z marksizmem, postrzeganym przez Gordona jako produkt jednostronnego intelektu, zrodzony z cywilizacji technologicznej i kapitalizmu. Po śmierci Gordona ideologię Hapoel Hatzair („ludowy socjalizm", Volkssozialismus) rozwijał Chaim Arlosoroff, czerpiący z dorobku Gustava Landauera i Martina Bubera.

Innym wartym odnotowania ugrupowaniem lewicowo-syjonistycznym był młodzieżowy ruch Młoda Straż (Hashomer Hatzair, Ha-Shomer ha-Za'ir). Powstał w 1913 r. w Galicji na styku Cejrej Syjon i żydowskiego skautingu Ha-Shomer, stawiając sobie za cel przygotowanie młodzieży do pracy w Palestynie. Osiedlający się na Ziemi Izraela członkowie ruchu zakładali kibuce, które w 1927 r. połączyły się w federację Kibbutz Artzi. Pod względem ideologicznym Młoda Straż łączyła marksizm Borochowa, egzystencjalizm Bubera i psychoanalizę Siegfrieda Bernfelda.

Pierwsza wojna światowa i rewolucja rosyjska dogłębnie przeorały pejzaż socjalistycznego syjonizmu. Po Deklaracji Balfoura rację bytu stracili terytorialiści i sejmiści: partie te w 1917 r. połączyły się w Żydowską Socjalistyczną Partię Robotniczą „Zjednoczeni" (Jidisze Socjalistisze Arbajter Partaj „Ferajnigte"), która - według jej przywódcy Józefa Kruka - *należąc do ogólnoświatowej armii socjalistycznej, kieruje walką klasową proletariatu żydowskiego zgodnie z zasadami i celami socjalizmu międzynarodowego i w ten sposób walczy dla narodu żydowskiego o autonomię narodową*. Już w 1922 r. Ferajnigte zdecydowali się zjednoczyć z polską Partią Niezależnych Socjalistów, uznając konieczność sojuszu proletariatu żydowskiego i nieżydowskiego.

W poalejsyjonizmie doszło do rozłamu. Ruch bardzo zradykalizował się pod wpływem rewolucji październikowej i na światowej konferencji Poalej Syjon w Wiedniu w 1920 r. ogłosił akces do Kominternu, z czym nie pogodziły się partie z USA, Wielkiej Brytanii i Palestyny. Lewica (Jakub Witkin ps. Zerubawel, Nuchim J. Rafałkes) zorganizowała się we Wszechświatowy Żydowski Komunistyczny Związek Robotniczy (Altweltlicher Jidiszer Komunistiszer Arbeterfarband) Poalej Syjon pod hasłami *walki o socjalizm na całym świecie* oraz *popierania żydowskiej emigracji i koncentrowania jej w Palestynie, mającej stać się komunistycznym centrum robotniczym*. Według poalejsyjonistów-komunistów proletariat żydowski miał być awangardą dyktatury proletariatu na Bliskim Wschodzie. Zmianie uległo wszakże stanowisko partii w kwestii językowej - jidysz miał pozostać językiem Żydów także w Erez Israel. W zakresie ustroju politycznego głoszono: *tam, gdzie jeszcze nie osiągnięto dyktatury proletariatu, poale-syjonizm korzysta nawet z instytucji demokracji burżuazyjnej, ale rozprasza iluzje, jakoby instytucje te były w stanie zmienić życie żydowskie* [...]. Na tej podstawie postulowano przekształcenie poszczególnych partii Poalej Syjon Lewicy w żydowskie sekcje krajowych partii komunistycznych, a Wszechświatowego Związku - w sekcję żydowską Międzynarodówki Komunistycznej. Ich zadaniem miała być praca na rzecz proletariackiej emigracji do Palestyny i zaspokajanie potrzeb kulturalnych proletariatu żydowskiego.

Projekt ten zakończył się fiaskiem, ponieważ Komintern zażądał rezygnacji z idei państwa żydowskiego w Palestynie i koncepcji autonomii żydowskich komunistów w diasporze. Lewicowi poalejsyjoniści twierdzili (cokolwiek na wyrost), że winę za to ponosili komuniści pochodzenia żydowskiego: *Zasymilowana inteligencja żydowska uprawia bardzo często politykę antysemicką w szeregach* [komunistycznej - J.T.] *partii polskiej, byleby skryć swoje pochodzenie*. VI konferencja Poalej Syjon Lewicy (Gdańsk 1922 r.) odrzuciła kominternowskie warunki, stwierdzając, że ich przyjęcie *oznaczałoby zdradę interesów robotnika żydowskiego*. Ruch pogrążył się jednak w kryzysie. W Palestynie na bazie lewicowo-poalejsyjonistycznej Socjalistycznej Partii Robotniczej (Mifleget Po'alim Sozyalistim) powstała Palestyńska Partia Komunistyczna, w Związku Radzieckim Żydowska Partia Komunistyczna (Jidisze Komunistisze Partaj Poalej-Cion) uległa samorozwiązaniu, a Żydowska Komunistyczna Partia Robotnicza została zdelegalizowana w 1928 r. Na placu boju pozostały tylko polska sekcja ruchu (Jidisze Socjalistisz-Demokratisze Arbeter Partaj Poalej-Cion in Pojlen) i palestyńska grupa Abrahama Revusky'ego (Po'alei Zion Smol) - w 1926 r. zorganizowały międzynarodową konferencję poalejsyjonistyczną w Paryżu.

Umiarkowane skrzydło poalejsyjonizmu (Wszechświatowy Żydowski Socjalistyczny Związek Robotniczy - Altweltlicher Jidiszer Socjalistiszer Arbeterfarband Poalej-Cion: Kapłański, Mordechaj Jarblum, Berl Locker) związało się najpierw z tzw. Międzynarodówką II½, zajmującą pozycję centrową między Kominternem a socjaldemokratyczną II Międzynarodówką, a następnie weszło w skład Socjalistycznej Międzynarodówki Robotniczej (powstałej

z połączenia międzynarodówek II oraz II½). Jego program uznawał socjalizm za cel, a walkę klas za drogę ku niemu, domagał się dla Żydów autonomii terytorialnej w Palestynie i narodowo-personalnej[2] w diasporze, przy czym w Palestynie miał obowiązywać język hebrajski, a w diasporze jidysz.

Środek ciężkości umiarkowanego poalejsyjonizmu przesunął się w tym czasie do Palestyny. W 1919 r. z inicjatywy Icchaka Ben-Zvi i Dawida Ben Guriona utworzona została partia Zjednoczenie Pracy (Ahdut ha-Avodah), rok później centrala związkowa Histadrut ha-Owdim. Nowa partia oddalała się od marksizmu. Ben Gurion na III zjeździe Ahdut ha-Avodah w Hajfie w 1922 r. mówił: *To nie poszukiwanie ani marzenie o nowym, harmonijnym, perfekcyjnym porządku społecznym i gospodarczym kieruje naszym postępowaniem. Naszą wielką i przyćmiewającą wszystko troską* [...] *jest zdobywanie i rozbudowywanie kraju za pomocą zakrojonej na szeroką skalę imigracji*. Jak komentuje Göran Rosenberg: ***Socjalizm w tym kontekście nie był ideą głoszącą uniwersalną zmianę społeczeństwa, lecz przede wszystkim „mobilizującym mitem", rozumianym jako jeden z warunków przeprowadzenia narodowej rewolucji***.

Ta ewolucja sprawiła, że dochodzi do zbliżenia między Poalej Syjon Prawicą a radykalizującą się lewicą młodosyjonistyczną. Na konferencji w Charkowie w 1920 r. tzw. Frakcja Ludowa Cejrej Syjon przekształciła się w Syjonistyczną Partię Socjalistyczną (Cionistisze Socjalistisze Partaj) Cejrej Syjon, która rok później przystąpiła do Międzynarodówki II½. W 1925 r. oba ruchy oraz Syjonistyczno-Socjalistyczna Federacja Wolność (Cionistisze-Socjalistisze Federacje „Dror") połączyły się, tworząc Altweltlicher Jidiszer Socjalistiszer Arbeterfarband Poalej-Cion (Farajnigt mit Ceire-Cion Farband) - Wszechświatowy Żydowski Socjalistyczny Związek Robotniczy Poalej-Syjon (Zjednoczony ze Związkiem Cejrej Syjon) z sekcjami w Palestynie, Polsce, Niemczech, Rumunii, Litwie, Belgii i USA.

Natomiast prawe skrzydło Cejrej Syjon na zjeździe w Pradze w 1920 r. zjednoczyło się z Hapoel Hatzair, tworząc Światową Syjonistyczną Partię Pracy (Mifleget ha-Avodah ha-Ziyyonit, Internationale Cionistisze Arbajts Partaj) „Hitahdut". Centrala partii mieściła się w Jerozolimie, natomiast sekcje działały w 17 krajach, m.in. w Niemczech (Zionistische Volkssozialistischen Partei Hapoel Hazair - Syjonistyczna Partia Ludowo-Socjalistyczna Młody Robotnik), Austrii, Polsce, Rosji, Litwie, Łotwie, Estonii, Rumunii, Włoszech, Belgii, Francji, Turcji, USA, Południowej Afryce, Ameryce Południowej i oczywiście Palestynie. Do czołowych działaczy należeli - oprócz Arlosoroffa - Uriel Friedland, Jakub Hellman i Abram

Kacenelson. Hitahdut również uważała się za partię socjalistyczną i w 1925 r. przystąpiła do Socjalistycznej Międzynarodówki Robotniczej. Postulowała *udział* [Żydów – J.T.] *jako narodu we wspólnej walce całej pracującej ludzkości, w walce, w której partia solidaryzuje się ze wszystkimi wyzyskiwanymi i narodowo uciskanymi*, gdyż, jak głosiła, ***socjalizm wprowadzi narodowość żydowską, jako równouprawnionego członka, do przyszłej rodziny socjalistycznej narodów***. Socjalizm młodosyjonistów miał jednak wyraźnie solidarystyczny i reformistyczny charakter. Zgodnie ze swoim programem *Światowa Syjonistyczna Partia Pracy Hitahdut jest zjednoczonym ruchem robotników palestyńskich oraz tych odłamów żydowskiego narodu w diasporze, które pracują produkcyjnie lub które zmierzają do takiej pracy produkcyjnej. Usiłuje ona połączyć wszystkich Żydów, pracujących fizycznie i umysłowo, którzy skazani są na wyniki własnej pracy oraz wszystkich tych, których dążeniem jest praca produkcyjna dla wspólnych zadań,* ***mających na celu wyzwolenie narodu żydowskiego pod względem narodowym i społecznym. Całkowite urzeczywistnienie tej niepodzielnej pracy partia Hitahdut uważa za możliwe uskutecznić przez wytworzenie wolnego pracującego społeczeństwa w Palestynie, jako jedynego centrum narodowego na podłożu socjalistycznej wspólnoty gospodarczej, wolnej od wszelkiego wyzysku*** **[...]** ***i wypełnionej pracą w zakresie kultury hebrajskiej;*** [...] *Wychodząc z powyższych* [...] *założeń, partia rozważa narodowe i społeczne wyzwolenie Żydów, jako jednolity ewolucyjny proces, którego charakter przede wszystkim o cechach konstrukcyjnych uzewnętrznia się w realnych stosunkach życia ludowego i dla którego rozwoju największe znaczenie mają – działalność pionierska i doskonalenie się jednostki*. Prymat kolonizacji Palestyny sprawiał, że Hitahdut uczestniczyła w instytucjach ogólnosyjonistycznych.

Kolejny etap rozwoju ruchu socjalistyczno-syjonistycznego rozpoczął się w 1930 r., gdy w Palestynie doszło do zjednoczenia Ahdut ha-Avodah i Hapoel Hatzair w Robotniczą Partię Ziemi Izraela (Mifleget Poalei Erez Israel, Mapai). **Miała to być *syjonistyczna partia socjalistyczna wierząca w ideał narodowego odkupienia i ideał socjalizmu w ojczyźnie*. Socjalizm Mapai miał charakter pragmatyczny, polegał przede wszystkim na postulacie stopniowego uspołeczniania środków produkcji. Miał też charakter narodowy: praca została uznana za centralną siłę narodu, odpowiedzialną za osiąganie narodowych celów. Ben Gurion ujął to formułą „mi-maamad le-am" (od klasy do ludu).** Podejście takie pozwoliło na zawarcie sojuszu z religijno-syjonistyczną partią Mizrachi. Narastał natomiast antagonizm z syjonistyczną ultraprawicą, tzw. rewizjonistami, którzy zostali oskarżeni o zabójstwo Arlosoroffa w 1933 roku. Jedność dwóch głównych nurtów lewicowego syjonizmu w Palestynie zaowocowała niebawem zjednoczeniem socjalsyjonistów w skali międzynarodowej. Na kongresie w Gdańsku w 1932 r. Poalej Syjon Prawica i Hitahdut połączyły się w ha-Ihud ha-Olami. W rezultacie na kongresie syjonistycznym w Pradze w 1933 r. blok lewicy Liga Pracujących Palestyny zdobył większość, majoryzując Mizrachi i rewizjonistów.

Hegemonię Mapai usiłowały kontestować – chociaż bez większych rezultatów – Po'alei Zion Smol i Hashomer Hatzair. Ta ostatnia opierała się głównie na ruchu kibucowym, ale w 1936 r. utworzyła działającą w miastach Socjalistyczną Ligę Palestyny. Młoda Straż ewoluowała w kierunku marksizmu, coraz mocniej akcentując walkę klas. Co więcej – pod wpływem pacyfistycznej grupy Brit Shalom (Martin Buber, Gershom Scholem) **jako jedyna żydowska partia uznawała prawa narodowe palestyńskich Arabów i postulowała ustanowienie w Palestynie państwa dwunarodowego (żydowsko-arabskiego). Przywódca Młodej Straży Meir Jaari krytykował Mapai: *Propozycja Ben Guriona całkowicie pomija fakt, że milion Arabów żyje tu razem z nami – jakby w ogóle nie istnieli*.** Na arenie międzynarodowej Hashomer Hatzair była związana z tzw. Międzynarodówką III½ (właściwie Międzynarodowe Rewolucyjne Centrum Marksistowskie), skupiającą partie lewicowo-socjalistyczne i komunistyczną „Prawą Opozycję" bucharinowców. Dodajmy, że działaczem polskiej sekcji Hashomer Hatzair był m.in. Mordechaj Anielewicz, legendarny przywódca Żydowskiej Organizacji Bojowej w getcie warszawskim.

W 1944 r. lewicowa frakcja Mapai – Si'ah Bet – oderwała się od partii, odbudowując Ahdut ha-Avodah, dwa lata później połączyła się z Po'alei Zion Smol. Odrodzone Zjednoczenie Pracy cechował radykalizm społeczny i narodowy. Partia reprezentowała orientację proradziecką, jej ideologią proklamowano „naukowy socjalizm" o wyraźnie marksistowskiej genezie. Ahdut ha-Avodah wypowiadało się zarazem przeciw podziałowi terytorium Palestyny. Berl Kacenelson, reprezentujący związany ze Zjednoczeniem ruch Ha-Kibbutz ha-Me'uhad, mówił: *Syjonizmu socjalistycznego* [...] *nie da się wprowadzić w podzielonym Erez Israel, a jedynie w Kraju Izraela jako całości, w hebrajskim państwie socjalistycznym należącym do narodu żydowskiego* [...] *i Arabów żyjących na tej ziemi – cała Palestyna w jej naturalnych granicach* [jest] *historyczną ojczyzną narodu żydowskiego*. Nieprzypadkowo szturmowe oddziały armii izraelskiej Palmach rekrutowały się w dużej mierze z Ahdut ha-Avodah.

W 1948 r. Ahdut ha-Avodah Po'alei Zion połączyło się z Partią Robotniczą Młoda Straż (założoną dwa lata wcześniej na bazie Hashomer Hatzair), tworząc

Zjednoczoną Partię Robotników (Mifleget ha-Po'alim ha-Me'uhedet, Mapam). Rok później w skład Mapam weszła Hebrajska Partia Komunistyczna Eliezera Premingera, stawiająca sobie za cel *scalenie teorii komunizmu z narodowym i społecznym wyzwoleniem narodu hebrajskiego w Palestynie*. Nowa formacja okazała się jednak tworem niestabilnym. Proces Slansky'ego (czechosłowackiego komunisty żydowskiego pochodzenia, oskarżonego o udział w syjonistycznej konspiracji) zmusił Mapam do reorientacji swego stanowiska wobec bloku radzieckiego, co spowodowało z kolei secesję prokomunistycznej Frakcji Lewicy (Si'ah Smol) Moshe Sneha w 1952 r. Dwa lata później działacze niechętni komunizmowi i członkostwu Arabów w partii ponownie reaktywowali Ahdut ha-Avodah Po'alei Zion. Ugrupowanie to występowało przeciw normalizacji stosunków z Niemcami w 1952 r. i przeciw wycofaniu się z Półwyspu Synajskiego w 1956 r. Przywódca Zjednoczenia Itzhak Tabenkin wywodził zaś prawo Izraela do Synaju z... Dziesięciorga Przykazań. Po wojnie sześciodniowej 1967 r. połączył socjalsyjonistów (takich jak Nathan Alterman, Rachel Yanait Ben-Zvi, Icchak Cukierman, Zivia Lubetkin, Eliezer Livneh, Moshe Shamir) z syjonistami-rewizjonistami w Ruch Wielkiego Izraela (HaTenu'a Lema'an Eretz Yisrael HaSheleima), domagając się żydowskiego osadnictwa na terytoriach okupowanych[3].

Niekwestionowaną hegemonię na izraelskiej scenie politycznej sprawowała jednak Mapai. W wyborach do Knesetu w 1949 r. uzyskała 36% głosów, w 1951 r. - 37%, w 1955 r. - 32%, w 1959 r. - 38%, w 1961 r. - 35%, w 1965 r. - 37%. Dla porównania - druga co do siły syjonistyczno-rewizjonistyczna Cherut nigdy nie przekroczyła 14% głosów poparcia. Nic dziwnego, że Robotnicza Partia Izraela sprawowała rządy praktycznie niepodzielnie, posiłkując się sojuszami zarówno z partiami socjalistycznymi, jak i... religijnymi. Partia uważała się za socjalistyczną, głosząc (1965 r.), że ***głównym celem Mapai jest nadal budowanie społeczeństwa socjalistycznego w Izraelu i partia użyje wszystkich środków nacisku państwowego i społecznego, by zmniejszyć istniejące różnice w dochodach różnych grup ludności.*** **Środkiem wiodącym w tym kierunku miała być** ***gospodarka planowa połączona z rozwojem konstruktywnych przedsiębiorstw prywatnych*****. Socjalizm Mapai przeniknięty był wszakże nadrzędnym „poczuciem państwowości" - mamlachtiut, co może przywodzić nam na myśl ideowe tendencje piłsudczyków. Pryncypium solidarności narodowej skłaniało ponadto Ben Guriona do rewaloryzacji społecznej roli religii. W 1957 r. mówił o Biblii jako tekście narodotwórczym:** ***Przekazy o naszych przodkach sprzed 4000 lat*** **[...]** ***są dla młodego pokolenia, żyjącego dziś w ziemi Izraela, bardziej aktualne, bliższe, bardziej budujące od wszystkich przemówień i dyskusji bazylejskich kongresów.*** Charakterystyczne, że Partia Robotnicza nie przyjmowała w swe szeregi Arabów, preferując raczej współpracę z satelickimi grupami palestyńskimi, takimi jak Demokratyczna Lista Nazaretu. Wspierana przez Ben Guriona frakcja „młodych" (m.in. Moshe Daian, Shimon Peres) szła jeszcze dalej w kierunku pragmatycznego nacjonalizmu. Gdy w 1965 r. Mapai wbrew Ben Gurionowi zawarła sojusz z Ahdut ha-Avodah, „młodzi" utworzyli nową partię Robotnicza Lista Izraela (Reshimat Po'alei Israel, Rafi). Rafi domagała się wzmocnienia siły militarnej Izraela i większościowej ordynacji wyborczej, na platformie obronności współpracując z prawicowym blokiem Cherut i liberałów.

W 1968 r. Ahdut ha-Avodah, Mapai i Rafi (bez grupy Ben Guriona, który utworzył ciążącą ku prawicy Listę Narodową) zjednoczyły się w Izraelską Partię Pracy (Mifleget HaAvoda HaYisraelit, Mai). Zapoczątkowało to nowy rozdział w dziejach lewicowego syjonizmu. Zarówno klasowy internacjonalizm Borochowa, jak również romantyczny idealizm Gordona nie przystawały do nowej rzeczywistości, w której syjonistyczna socjaldemokracja stała się technokratyczną partią władzy. Co więcej, zwycięska wojna 1967 r. podminowała etos socjalistycznego syjonizmu. Jak wyjaśnia Göran Rosenberg w swej książce „Kraj utracony (Moja historia Izraela)": *Ideologiczne różnice w polityce międzynarodowej i obronnej między partiami Cherut i Mapai zostały drastycznie zredukowane. Również ich retoryka zaczęła się do siebie upodabniać.* [...] *Państwo stało się ważniejsze od klas, armia - głównym symbolem narodu, syjonistyczny ideał pionierów nabrał jeszcze bardziej nacjonalistycznego zabarwienia i zawierał teraz wymaganie poświęcenia się służbie państwu. - Innymi słowy, wojnę przetrwał mit partii Cherut i rewizjonizmu, a nie syjonizmu pracy.* ⚒

Przypisy:

1. Legion Żydowski był złożoną z żydowskich ochotników jednostką wojskową walczącą na Bliskim Wschodzie u boku armii brytyjskiej 1917-1918. Deklaracja Balfoura (1917) obiecywała Żydom stworzenie siedziby narodowej w Palestynie przez rząd brytyjski. Oba fakty tworzyły fundamenty przyszłej żydowskiej państwowości, sceptycznie postrzeganej przez Gordona.
2. Autonomia narodowo-personalna to koncepcja instytucjonalizacji praw mniejszości narodowych wypracowana przez austromarksistów (Otto Bauer), a przejęta m.in. przez Bund. Zakładała tworzenie eksterytorialnych instytucji kulturalnych, oświatowych, opiekuńczych itd. podległych samorządowi poszczególnych grup etnicznych.
3. Kolonizacja Zachodniego Brzegu i Strefy Gazy miała umocnić żydowski charakter tych obszarów i organicznie scalić je z Państwem Izrael; pozostaje zarazem sprzeczna z prawem międzynarodowym zabraniającym zmiany stosunków ludnościowych na terenach okupowanych.

Buntownik nie bez powodu: Bob Santamaria

DR HAB. RAFAŁ ŁĘTOCHA

Australijscy myśliciele, politycy i działacze społeczni nie są w Polsce zbyt dobrze znani, pomimo iż jest to kraj-kontynent należący do kręgu kultury anglosaskiej. W związku z peryferyjnym położeniem, oddaleniem i względną izolacją, jest stosunkowo najsłabiej znana spośród państw anglosfery. Tymczasem tamtejsza rzeczywistość bywała złożona i ciekawa, a szereg zjawisk, problemów czy kontrowersji, z którymi mieliśmy do czynienia w XX w. w Europie czy Ameryce, znajdowało w Australii swoje odzwierciedlenie - jakkolwiek przybierało niejednokrotnie swoisty lokalny koloryt. Postacią, której biografia skupia jak w soczewce problemy życia społeczno-politycznego Australii w XX w., jest bez wątpienia Bob, a właściwie Bartholomew Augustine „B.A." Santamaria.

Jego działalność i myśl pozostają źródłem inspiracji - szczególnie w świecie anglosaskim - dla reprezentantów różnych środowisk i orientacji politycznych, a nawet poglądów religijnych. To ostatnie może zaskakiwać w przypadku myśliciela postrzeganego jako tradycjonalista katolicki. Swojej fascynacji naszym bohaterem nie ukrywa np. taoista Peter Myers, który charakteryzuje go w następujący sposób: *Socjalista, antykomunista, protektor drobnych rolników i zwolennik migracji na tereny wiejskie, przeciwnik Megalopolis i nie-anglosas, który zyskał pozycję „pierwszego Australijczyka"*[1].

Santamaria urodził się 14 sierpnia 1915 r. w Melbourne jako syn włoskiego imigranta z Wysp Liparyjskich[2]. Jego ojciec był właścicielem sklepu warzywnego, w którym Santamaria pracował jako młody chłopak. Uczęszczał do dwóch katolickich szkół, a następnie studiował na University of Melbourne.

Od najmłodszych lat angażował się w działalność publiczną, w czasie nauki w szkole średniej wstąpił do organizacji katolickiej pod nazwą Campion Society. Wówczas też doszło w jego życiu do swoistego zwrotu, który w dużej mierze zdeterminował całą późniejszą działalność. Impulsem była lektura książki angielskiego pisarza i dziennikarza Malcolma Muggeridge'a „Winter in Moscow". Muggeridge był świadkiem Wielkiego Głodu na Ukrainie, który pochłonął 6-7 milionów ofiar. W tym czasie liczni europejscy intelektualiści i pisarze zachwycali się Związkiem Radzieckim. Muggeridge w książce z 1934 r. obnażył ich ślepotę, oportunizm, głupotę, służalczość i zwykłą nieuczciwość intelektualną, określając to szczególnym grzechem XX w. Pod wpływem lektury Santamaria doszedł do wniosku, że komunizm stanowi wcielenie zła integralnego, któremu należy przeciwstawiać się ze wszystkich sił.

©℗© Balazs Gardi, flickr.com/photos/balazsgardi/6493512011

W 1936 r. został współtwórcą czasopisma „The Catholic Worker", które stawiało sobie za cel propagowanie zasad katolickiej nauki społecznej. Był jego pierwszym redaktorem i jednocześnie twórcą profilu ideowego. Pismo zdecydowanie występowało zarówno przeciwko komunizmowi, jak i kapitalizmowi. Santamaria, pomimo że krytykował ostro nadużycia kapitalizmu, za głównego wroga uznał Komunistyczną Partię Australii, która zdobywała wówczas coraz większe wpływy w ruchu związkowym. W 1937 r., za namową abp. Daniela Mannixa, współtworzył wraz ze swoim nauczycielem z czasów szkolnych, Francisem Maherem, Sekretariat Krajowy Australijskiej Akcji Katolickiej (Australian National Secretariat of Catholic Action). W 1941 r. założył Catholic Social Studies Movement, zwyczajowo określany po prostu mianem Ruchu (The Movement). Celem jego było prowadzenie działalności w środowisku robotniczym i przeciwstawianie się tam wpływom komunistycznym. Wszedł w związku z tym w konflikt nie tylko z Partią Komunistyczną, ale i z lewym skrzydłem Australian Labor Party (ALP), usiłującym tworzyć w czasie II wojny światowej „front ludowy" z komunistami. Eliminacji komunistycznych wpływów z życia publicznego, a przede wszystkim ze środowisk robotniczych i lewicowych, służyć miały Industrial Groups - komórki związkowe powoływane przez Partię Pracy, a kierowane przez Ruch Santamarii. Inny ważny element Ruchu stanowiło czasopismo „Freedom", następnie wydawane pod tytułem „Australia's National News-Weekly", by wreszcie zmienić w 1947 r. nazwę na „News Weekly", pod którą ukazuje się do dziś.

W tym samym okresie Santamaria podjął pracę na odcinku wiejskim - który w kolejnych latach został przedmiotem jego szczególnego zainteresowania - tworząc National Catholic Rural Movement. Owocem zaangażowania w sprawę chłopską była programowa

książka napisana w latach II wojny światowej pt. „The Earth – Our Mother. A Study of the Future of Australian Agriculture". Zauważał w niej kilka niepokojących zjawisk przyczyniających się do słabnięcia rolnictwa i ludności wiejskiej. Jednym z nich była nadmierna specjalizacja produkcji rolnej w Australii. Santamaria proponował wprowadzenie – na wzór europejski – większego zróżnicowania upraw i zwiększenia samowystarczalności australijskich farm. **Odejście od monokulturowego charakteru gospodarstw miało przede wszystkim zapobiegać degradacji gleby i przeciążeniu ekosystemu. Jednocześnie umożliwiało ograniczenie ryzyka rolników – ochronę gospodarstw przed wahaniami cen, sytuacjami kryzysowymi czy klęskami nieurodzaju – w myśl starego powiedzenia, że nie należy wkładać wszystkich jaj do jednego koszyka.**

Ponadto Santamaria wskazywał, że rosnące zadłużenie, osiągające rozmiary niebezpieczne dla przetrwania australijskich gospodarstw, stanowi w dużej mierze efekt celowej polityki banków dążących do koncentracji kapitału. Propagował w związku z tym idee spółdzielczości, przyjmując za wzór rozwiązania amerykańskie i kanadyjskie, przede wszystkim tzw. Back-to-the-Land Movement czy Landward Movement, a także Antigonish Movement, rozwijany w Nowej Szkocji przez księży Jamesa Tompkinsa i Mosesa Coady'ego. Sukcesy kanadyjskich rozwiązań w dziedzinie wspierania spółdzielczości, rozwoju społeczności wiejskich czy system mikrokredytów wprowadzony w prowincji Maritimes, stanowiły dla niego ważne punkty odniesienia, świadczące o tym, że **ludzie są w stanie zmieniać świat wokół siebie własnymi siłami, czynić go bardziej przyjaznym, że nie są skazani na życie w ubóstwie, niepewności o przyszłość, uzależnieniu od banków i wielkiego kapitału**.

Trzecia kluczowa kwestia, którą podnosił Santamaria, wiązała się z orientacją całego australijskiego systemu edukacji na miasto. Konstatował on, iż aby zapobiec odpływowi elit młodego pokolenia ze wsi do miast, należy ukierunkować system kształcenia na potrzeby rolnictwa. Projekty Santamarii, jak i całego National Catholic Rural Movement, opierały się na trzech podstawowych fundamentach. Były to: koncepcje agrarystów, program New Deal wdrażany w tamtym czasie w USA oraz idee katolicyzmu społecznego[3]. Santamaria uważał, iż wszystkie obserwacje i doświadczenie wskazują na to, że żarliwość i systematyczność życia religijnego zależą od żywotności wsi. Sądził wręcz, że można mówić o uniwersalnej zasadzie, według której wzrost urbanizacji owocuje spadkiem „temperatury" życia religijnego: *Jeśli zniszczysz życie wiejskie, to nieważne, jak wiele kościołów zbudujesz w miastach, nie będziesz w stanie zachować bowiem życia chrześcijańskiego na odpowiednim poziomie*[4]. Życie wiejskie miało być zatem promowane również dlatego, że sprzyjało religijności, katolickiej duchowości, utrzymywaniu w społeczeństwie wartości wypływających z etyki chrześcijańskiej.

Santamaria mocno stał zatem na gruncie charakterystycznych dla agraryzmu poglądów o uszlachetniającym wpływie pracy na roli na życie człowieka. Jego działalność i propagowany w niej model życia społecznego nie wynikały więc tylko z charakterystycznego dla epoki wielkiego kryzysu rozczarowania kapitalizmem, poszukiwania „trzeciodrogowych" rozwiązań w dziedzinie społeczno-gospodarczej czy przekonania o tym, że ziemia jest naturalną podstawą bogactwa narodu i głównym źródłem jego rozwoju gospodarczego.

Efektem praktycznym ewolucji Santamarii w stronę agraryzmu było powstanie eksperymentalnych wsi Maryknoll i San Isidore. Ideę powołania tego rodzaju wspólnot podsunął mu wspomniany ruch Antigonish oraz działania amerykańskiego księdza Luigiego Liguttiego – lidera organizacji National Catholic Rural Life Conference. W 1940 r. ks. Ligutti opublikował wraz z innym zwolennikiem katolickiego ruchu na rzecz życia wiejskiego, Johnem C. Rawe'em, książkę „Rural Roads to Security", zawierającą, że **przyjęcie zasad gospodarki liberalnej doprowadziło do upadku rodzinnych gospodarstw. Wbrew temu, co obiecywał liberalizm, nieskrępowany wolny rynek nie przyczynił się do osiągnięcia przez społeczeństwo optymalnego dobrobytu. Wręcz przeciwnie – doprowadził do bankructwa drobnych producentów, przymusowej migracji z terenów wiejskich do aglomeracji, pozbawienia rzesz ludności jakiegokolwiek oparcia i zabezpieczenia w postaci własności prywatnej czy rodzinnej, a w konsekwencji spowodował rozbicie i osłabienie samej instytucji rodziny.** Bez własności i kontroli nad środkami produkcji człowiek pada bowiem ofiarą ekstremalnej koncentracji własności, co prowadzi do stanu bliskiego zinstytucjonalizowanemu niewolnictwu.

Pod wrażeniem nędzy, którą przyniósł amerykańskim rodzinom wielki kryzys, ks. Ligutti już w 1933 r. wcielił w życie postulaty swojego agrarystycznego dystrybucjonizmu, zakładając w Granger koło Des Moines specjalne gospodarstwo o charakterze spółdzielczym. Dzięki rządowym kredytom udało mu się zakupić na rzecz wspólnoty zwierzęta gospodarskie, narzędzia, maszyny, ziemię i budynki. Gospodarstwo obejmowało 160 ha gruntu, z którego wydzielono 35 działek trzyhektarowych. Reszta przeznaczona została na wspólne pastwiska, lasy czy drogi. Na tym terenie osiedliło się 50 rodzin, które utrzymywały się zarówno z pracy w pobliskich kopalniach, jak i z uprawy ziemi. Projekt spełnił swoje zadanie – dwa

Indigo Skies Photography, flickr.com/photos/indigoskies/9300117350

lata później, w 1935 r., udało się prawie całkowicie spłacić zaciągnięte pożyczki. Gospodarstwo w Granger było nawet odwiedzane przez samą Eleanor Roosevelt jako przykład wzorcowego przedsięwzięcia społecznościowego epoki New Deal i uchodzi za najbardziej udany z niemal 200 federalnych projektów tego rodzaju[5].

Do realizacji australijskiej mutacji tego projektu pozyskał Santamaria ks. Wilfreda Pooley'a z Melbourne. W 1949 r., za zgodą arcybiskupa Daniela Mannixa, ks. Pooley zakupił ponad 200 ha ziemi w odległości 40 mil od Melbourne. Osiedlono na niej ok. 30 rodzin, a osadę nazwano Maryknoll. Pierwsi osadnicy żyli w prymitywnych zabudowaniach, bez bieżącej wody, prądu czy gazu. Wkrótce jednak miasteczko rozrosło się, a mieszkańcom z powodzeniem udawało się realizować ideały propagowane przez Santamarię i ks. Pooley'a. Zasadnicze cele, które przyświecały twórcom Maryknoll, to **urzeczywistnienie koncepcji decentralizacji, polegającej na przenoszeniu rodzin z miast do małych, dwuakrowych gospodarstw wiejskich i tworzenie spółdzielni różnych branż w celu zapewnienia im zatrudnienia. Rodziny zaangażowane w projekt miały uzyskać niezależność, bezpieczeństwo i stabilność gospodarczą, a tym samym przezwyciężyć charakterystyczny dla naszych czasów strach przez ubóstwem i niepewnością jutra.**

Inną pobudką Santamarii i ks. Pooley'a było stworzenie równowagi między życiem wiejskim a przemysłowym. Zakładano, iż mężczyźni będą spędzać na pracy w rzemiośle czy przemyśle jedynie część czasu - ok. 4 dni w tygodniu - pozostały poświęcając na uprawę gospodarstw. Wszystko to razem miało zaś umożliwić rodzinom prowadzenie życia zgodnego z zasadami katolicyzmu, praktykowanie i rozwijanie katolickiej kultury zgodnej ze specyfiką australijską.

W kolejnych latach w Maryknoll powstały spółdzielnie drobiarskie, stolarskie i produkcji wód gazowanych, założono pocztę, towarzystwo kredytowe i sklep[6]. Mimo iż Santamaria w książce „Against the Tide" przedstawia Maryknoll jako niepodważalny sukces, trzeba pamiętać, iż społeczność tam mieszkająca borykała się z nieustającymi problemami.

Po śmierci ks. Pooley'a w 1969 r. okazało się, że brakuje dla niego odpowiedniego następcy, który mógłby kontynuować prowadzenie tego dzieła, a rozrastanie się Melbourne powodowało, że wartość gruntów w Maryknoll rosła i niejednokrotnie dzieci czy wnuki pierwszych osadników decydowały się na sprzedaż ziemi.

W swoich poglądach społeczno-gospodarczych pozostawał Santamaria niewątpliwie pod wpływem koncepcji dystrybucjonistycznych, jednak nie można mówić o kopiowaniu przez niego pomysłów ojców-założycieli tego nurtu – Chestertona i Belloca. Chociaż podzielał ich koncepcję upowszechniania własności, w wielu kluczowych kwestiach nie zgadzał się z angielskimi myślicielami albo uważał, że ich pomysły nie przystają do australijskiej rzeczywistości. Zarzucał on chociażby Bellocowi, odnosząc się do jego pracy „The Servile State", iż lekceważy instytucję państwa, osuwając się tym samym na pozycje nazbyt idealistyczne. Santamaria uznawał bowiem, że **postulat dystrybucji własności można urzeczywistnić jedynie z pomocą zakrojonych na szeroką skalę działań państwowych. Postęp w tej dziedzinie miał więc być osiągany nie tyle przez indywidualną aktywność, ile przede wszystkim przez skłonienie rządu do wdrażania określonego programu gospodarczego**[7].

© Mountain/ \Ash, flickr.com/photos/mountainash/5633504733

Australijski myśliciel uważał, że **państwo winno ogrywać kluczową rolę w dziedzinie regulacji płac i cen. Wspierał też nacjonalizację banków, podkreślając, że *wprowadzenie należytych standardów płacowych w Australii* jest niemożliwe dopóty, dopóki kontrola kredytu będzie spoczywać *w prywatnych rękach, zainteresowanych jedynie własnym zyskiem***[8]**. Postulował więc państwo jako aktywnego gracza w życiu społeczno-gospodarczym, który powinien nie tylko regulować rynek i chronić słabszych jego uczestników, ale i inicjować określone przedsięwzięcia gospodarcze.** W latach 30. chętnie powoływał się na przykład robót melioracyjnych uruchomionych we Włoszech, wielkie wrażenie wywarł na nim również Rooseveltowski Nowy Ład. W liście do swojego mentora, abp. Daniela Mannixa, pisał, iż nie wierzy, *że świat zostanie zmieniony za sprawą milionów indywidualnych działań charytatywnych. W dzisiejszych czasach reforma instytucji społecznych jest kluczem do sytuacji chrześcijan, a to wymaga prowadzonej na dużą skalę akcji legislacyjnej w zakresie politycznym, ekonomicznym, kulturowym*[9].

Richard J. Doig zwraca uwagę, że chociaż Santamaria przyjmował pewne podstawowe konstatacje Belloca, trudno nazwać go dystrybucjonistą. Santamaria w ostatnim wydaniu swoich wspomnień podkreślał, iż poglądy gospodarcze głoszone przez niego nie są dystrybucjonistyczne w „kanonicznym" rozumieniu tego słowa[10]. Doig wskazuje na znaczny wpływ, jaki wywarł na Santamarię inny angielski myśliciel, a mianowicie Christopher Dawson, od którego przejął wiele poglądów związanych z filozofią kultury, rolą postępu i religii, charakterem i istotą współczesnego kryzysu oraz znaczeniem kwestii agrarnej dla jego przezwyciężenia[11]. Wpływ Dawsona pozwolił Santamarii i osobom skupionym wokół niego w Campion Society na zachowanie wiary w możliwość rekonstrukcji państwa i instytucji społecznych, zabezpieczał przed wpływami idealizmu społecznego i pokusą eskapizmu oraz przyczynił się do uznania za głównego wroga społecznego i gospodarczego indywidualizmu, a nie, jak czynił to Belloc, „państwa niewolniczego".

Dawson wskazywał też Australijczykom kierunek, w którym winna zmierzać przebudowa społeczna. Według niego indywidualizm wraz z kapitalizmem przemysłowym i mechanicyzmem podważyły religijny ideał i doprowadziły do wykorzenienia człowieka, zerwania więzi społeczeństwa z ziemią. Głównym postulatem było więc zadzierzgnięcie tych związków na nowo i działanie na rzecz zrównoważonego rozwoju.

Państwo miało w tym planie odegrać rolę niepoślednią. Podkreślano, iż próby indywidualnego zaradzenia problemom społeczno-gospodarczym

© Community History SA, flickr.com/photos/communityhistorysa/6798319325

nie mają szans powodzenia - rząd miał wspomagać procesy deglomeracji i rozproszenia przemysłu, regulować ceny i udzielanie kredytów. Z uwagą obserwowano rozwiązania w sferze kontroli upraw, ochrony gruntów, regulacji płac itp. przyjmowane w USA i postulowano przeprowadzenie w Australii podobnych reform. W czasie II wojny światowej Santamaria liczył, że War Agricultural Committees (WACs), powołane przez rząd do koordynacji produkcji wiejskiej w warunkach wojennych, staną się podstawą systemowych działań w czasie pokoju, mających na celu rozwój rolnictwa spółdzielczego, a nawet powołanie specjalnego „parlamentu rolniczego", odrębnego od politycznego[12]. Nadzieje okazały się jednak płonne, a WACs zostały rozwiązane już pod koniec wojny. **W zredagowanym przez Santamarię oświadczeniu biskupów „The Land is Your Business" z 1945 r. wzywano rząd do wspierania wiejskich spółdzielni i towarzystw kredytowych, organizowania rad przemysłowych służących kontroli i regulacji przemysłu, oraz do jak najszerszego rozpowszechniania własności.** Sugerowano nawet wprowadzenie odgórnego ograniczenia rozrostu miast do poziomu 100 tys. mieszkańców[13].

W latach 30. i 40. Santamaria wspierał „konserwatywne" skrzydło Australijskiej Partii Pracy. Dość długo miał nadzieję, że Ruch będzie w stanie doprowadzić do zmiany przywództwa w partii i wprowadzić do jej struktur federalnych i stanowych dużą liczbę osób, które przeforsują program chrześcijańsko-społeczny[14]. Na łamach czasopism „Freedom" i „Catholic Worker" **przewidywano rychłe pojednanie między chrześcijanami a socjalistami, wyłączając z niego komunistów. Podkreślano, iż wielu spośród tych, którzy określają się mianem socjalistów, zda sobie niebawem sprawę, że propagowana przez nich idea jest tożsama z chrześcijańskim nauczaniem społecznym.** Santamaria dyskutował o dopuszczalnej z punktu widzenia katolicyzmu interpretacji socjalizmu nawet z byłym członkiem Komunistycznej Partii Australii Lloydem Rossem. Podczas krajowej konferencji National Catholic Rural Movement, którego Santamaria był sekretarzem, Ross stwierdził, iż znajduje wiele punktów stycznych między ideami socjalistycznymi a programem NCRM. Australijska Partia Pracy była w tamtym czasie, jak podkreślał Santamaria, zupełnie innym ruchem politycznym, niż stała się w czasach późniejszych, jej filozofia *była połączeniem wysiłków lewicy* [...] *i katolików jak Scullin i Calwell, i im podobni. To stanowiło etos ALP. Była partią klasy pracującej i niższej klasy średniej.* [...] *Nie tak, jak dzisiaj, kiedy stała się partią akademickiej klasy średniej*[15].

Wyrazem dążeń Santamarii do zaszczepienia ALP w jak największym stopniu programu zawartego

w papieskich encyklikach społecznych (jako przeciwwagi dla tendencji socjalistycznych), była wydana przez niego w 1948 r. broszura zatytułowana „Socialisation". Zwracał w niej uwagę na różnice między uspołecznieniem czy socjalizacją a socjalizmem. Podkreślał, iż ten ostatni oznacza pełną nacjonalizację własności, zaś socjalizacja to kontrolowanie określonych, kluczowych gałęzi gospodarki przez państwo, możliwie najszersze upowszechnienie drobnej własności oraz rozwijanie spółdzielczości[16]. Nawiązywał do nauczania Kościoła, według którego własność posiada dwa wymiary - indywidualny oraz społeczny. Z każdą własnością prywatną wiążą się pewne obowiązki, „hipoteka społeczna". Winna ona służyć nie tylko zaspokojeniu potrzeb właściciela, ale i całego społeczeństwa. Pomoc ludziom ubogim i pokrzywdzonym nie jest więc jedynie wyrazem miłosierdzia, ale przede wszystkim nakazem sprawiedliwości. Broszura Santamarii rozeszła się w nakładzie ok. 200 tys. egzemplarzy, a nuncjusz apostolski w Australii, abp Paul Marella, twierdził, iż przeczytał ją z zainteresowaniem sam papież.

W latach zimnej wojny Santamaria zaczął się oddalać od Partii Pracy. Wynikało to przede wszystkim z jego integralnego antykomunizmu. Punktem zwrotnym było przejęcie władzy w ALP w 1951 r. przez Herberta Vere'a Evatta, który stanął na czele skutecznej kampanii przeciwko wprowadzeniu do konstytucji australijskiej zapisu o zakazie działalności partii i organizacji komunistycznych. Wielu członków Partii Pracy nie zgadzało się jednak z jego stanowiskiem, uznając, że odrzucenie proponowanych zapisów doprowadzi do nasilenia komunistycznej infiltracji związków zawodowych i stworzy zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego w związku z wojną koreańską. Wkrótce pojawiły się wobec Evatta zarzuty o szpiegostwo na rzecz ZSRS (wówczas nie zostały dostatecznie udowodnione, jednak w świetle najnowszych badań ich słuszność wydaje się nie budzić wątpliwości[17]). Po porażce w wyborach z 1954 r. Evatt otwarcie oskarżył katolicką frakcję Partii Pracy o sabotowanie jego kampanii, po czym zwolennicy Santamarii zostali usunięci z ugrupowania. Po licznych perturbacjach Santamaria założył nową organizację, pod nazwą National Civil Council (NCC). Jego zwolennicy wyrzuceni z ALP utworzyli zaś Democratic Labor Party (DLP), opozycyjną zarówno wobec Partii Komunistycznej, jak i Partii Pracy. Santamaria nigdy nie został członkiem nowej partii, bez wątpienia miał jednak decydujący wpływ na jej oblicze ideowe. NCC stanowiła rodzaj think tanku DLP, rozwijając

W zredagowanym przez Santamarię oświadczeniu biskupów z 1945 r. wzywano rząd m.in. do wspierania wiejskich spółdzielni i towarzystw kredytowych.

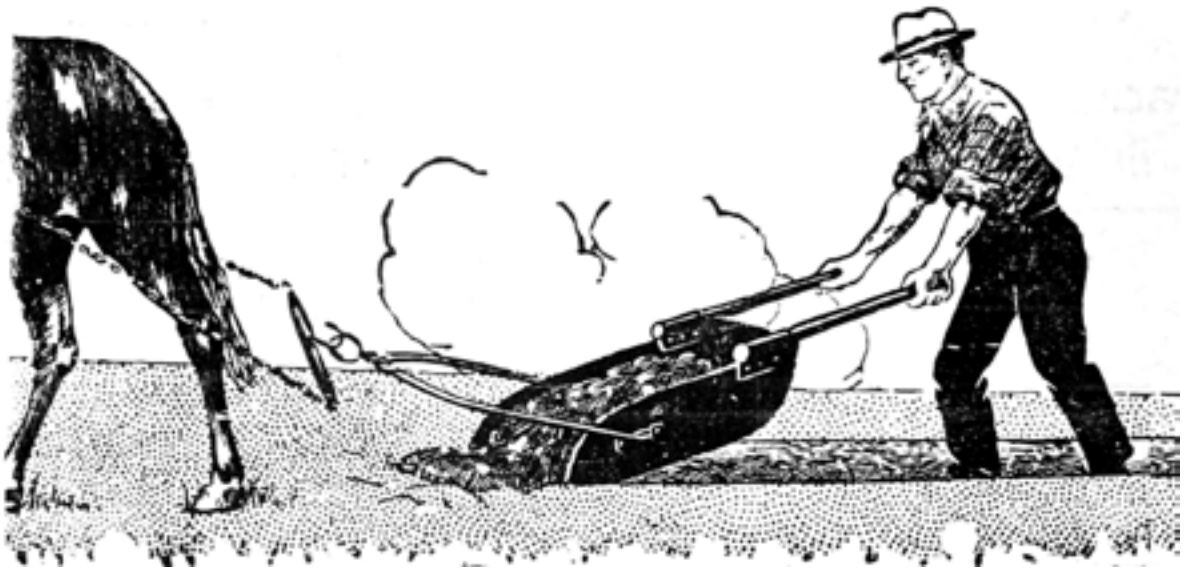

Internet Archive Book Images, flickr.com/photos/internetarchivebookimages/14774284151

i promując politykę opartą na pięciu najważniejszych wytycznych (*primacies*): 1) wsparcie rodziny jako podstawowej komórki społecznej i fundamentu narodu; 2) postulat decentralizacji we wszystkich sferach polityki i gospodarki (wspieranie drobnej własności w rolnictwie i przemyśle, w opozycji do monopoli i nadmiernej centralizacji); 3) prawna ochrona życia każdego człowieka od poczęcia do naturalnej śmierci; 4) patriotyzm, rozumiany jako prowadzenie niezależnej polityki zagranicznej, opartej na interesie narodowym, a także zapewnienie Australii suwerenności gospodarczej i militarnej; 5) promowanie spajających społeczeństwo wartości judeochrześcijańskich i przeciwstawienie się tendencjom odrzucającym ideę dobra wspólnego oraz relatywizującym pojęcia dobra i zła czy prawdy i fałszu[18].

Od lat 60. Santamaria zaczął zauważać daleko idące zmiany społeczne, które budziły w nim coraz większy niepokój, oraz skłaniały go do nowych form i metod działalności. Dwie kwestie, które uznał wówczas za szczególnie palące i wymagające natychmiastowych działań, to kryzys rodziny i religii. W 1980 r. założył Australian Family Association, stawiające sobie za cel wspieranie małżeństwa oraz rodziny jako podstawowej komórki społecznej. Organizacja podejmowała przez lata działania na polu walki z aborcją, pornografią, eutanazją, prawnym sankcjonowaniem małżeństw homoseksualnych itp.[19] Reakcją na kryzys religijny było natomiast powołanie w 1979 r. Thomas More Centre, które miało na celu doprowadzenie do ożywienia w Australii życia parafialnego, odnowy katolicyzmu. Jedną z przyczyn pesymistycznych diagnoz dotyczących kondycji katolicyzmu był krytyczny stosunek Santamarii do zmian, które zaczęły dokonywać się w Kościele po II Soborze Watykańskim. Nie podobała mu się tzw. polityka wschodnia Watykanu, zainicjowana za pontyfikatu Jana XXIII i Pawła VI. Złośliwi stwierdzali nawet, że przeszedł on od cytowania papieży do powoływania się na Aleksandra Sołżenicyna. Jednocześnie Santamaria stał się głównym w Australii orędownikiem mszy trydenckiej i krytykiem posoborowych zmian w doktrynie Kościoła, które postrzegał jako źródło postępującego kryzysu wiary i sekularyzacji społeczeństwa. Postawa Santamarii zadaje kłam twierdzeniom, jakoby tradycjonalizm katolicki wiązał się z ekonomicznym liberalizmem, zaś poglądy, które umownie moglibyśmy nazwać „chrześcijańsko-lewicowymi" implikują religijny modernizm.

Zmarł 25 lutego 1998 r. w Hospicjum Caritas Christi w Kew (Melbourne) po przebytej operacji raka mózgu. Do dziś poglądy i działalność Santamarii cieszą się w Australii dużym zainteresowaniem, czego wyrazem są liczne publikacje ukazujące się na ten temat. Nadal są też one przedmiotem bardzo żywych dyskusji, sporów i kontrowersji, jak to często bywa w przypadku osób - jak Bartholomew Santamaria - konsekwentnych i zarazem bezkompromisowych we wszystkich sferach swego życia prywatnego i publicznego. ⚒

Przypisy:

1. P. Myers, *Bob Santamaria - the Battler's Friend*, http://mailstar.net/santamaria.html (dostęp 17.03.2014).
2. Większość informacji biograficznych dotyczących Santamarii pochodzi z wywiadu-rzeki, którego udzielił w 1997 r. australijskiej dziennikarce Robin Hughes, http://www.australianbiography.gov.au/support/settings/santamaria/1/ (dostęp 24.02.2014).
3. R.J. Doig, *The National Catholic Rural Movement and a „New Deal". The Rise and Fall of an Agrarian Movement 1931-1958*, Charles Sturt University 2002, s. 226, http://researchoutput.csu.edu.au/R/?func=dbin-jump-full&object_id=20156&local_base=GEN01-CSU01
4. R. Murray, *The Split: Australian Labor in the Fifties*, Melbourne 1972, s. 110.
5. A. Carlson, *The New Agrarian Mind. The Movement Toward Decentralist Thought in Twentieth-Century America*, New Brunswick (New Jersey), London 2004, s. 155.
6. D. Griffiths, *The Maryknollers and Maryknoll*, http://news.victoria.coop/artman2/publish/ VIC_58/The_Maryknollers_and_Maryknoll_Updated_7.php (dostęp 25.03.2014); G. White, *Maryknoll. History of a Catholic Rural Settlement*, Revised Edition, Artistic Wombat, 2002.
7. B.A. Santamaria, *What the Church has done for the Worker*, ACTS leaflet, 1940, no 197.
8. R.J. Doig, op. cit., s. 117.
9. R.J. Doig, op. cit., s. 121.
10. B.A. Santamaria, *Santamaria: A Memoir*, Melbourne 1997, s. 193.
11. R. J. Doig, op. cit., s. 122.
12. B. Duncan, *Crusade or Conspiracy? Catholics and Anti-Communist Struggle in Australia*, Sydney 2000, ss. 54-55.
13. M. Auster, *Making the Earth Like Heaven: Christian and Secular - Professional Attitudes to Australian Land Settlement*, „Journal of Religious History" 1998 Vol. 16, No. 3, ss. 304-314.
14. B. Costar, P. Strangio, *B.A. Santamaria: „A True Believer"?*, „History Australian" 2004 Vol. 1 No. 2, s. 270.
15. *Bob Santamaria - full interview transcript*, http://www.australianbiography.gov.au/subjects/santamaria/intertext5.html (dostęp 26.03.2014).
16. B. Duncan, *Social Catholicism on Democracy, Stakeholding and Government. Address to the conference „Globalisation, community and the social: regenerating a social ethic"*, Fitroy (VIC), 28 April 1999, s. 10, http://www.frbrucedun-can.com/ index2.php?option=com_docman&task=doc_view&gid=30&Itemid=29 (dostęp 26.03.2014)
17. D. Ball, *The moles at the very heart of government*, „The Australian" 16 04 2011, http://www.theaustralian.com.au/national-affairs/the-moles-at-the-very-heart-of-government/story-fn59niix-1226039586701 (dostęp 18.03.2014).
18. *The Primacies*, https://national-civic-council.org.au/ (dostęp 18.03.2014).
19. *About Us*, http://www.family.org.au/about-us#objectives (dostęp 31.04.2014).

Przebudźmy się!?

Aleksandra Bilewicz

„Prześniona rewolucja" Andrzeja Ledera to próba dokonania swoistej psychoterapii na polskim społeczeństwie, a przede wszystkim na jego klasie średniej. Autor sięga do tego, co uznaje za ukrytą (wypartą) prawdę na temat genezy naszej burżuazji i stara się ją „przepracować", pokładając nadzieję w dobroczynnym działaniu samoświadomości. Poznając prawdę o swoim pochodzeniu, dokonując swoistego przebudzenia, polskie mieszczaństwo ma niejako stać się „klasą dla siebie", zrozumieć swoje położenie i dzięki temu ostatecznie dokończyć dzieła modernizacji kraju. Czy jednak autor trafnie charakteryzuje sens burzliwych przemian polskiego społeczeństwa poprzedniego stulecia? A może jednak przydałby się nam inny rodzaj przebudzenia?

Posługując się zawiłą terminologią psychoanalizy lacanowskiej, Leder dokonuje interpretacji przełomowych i tragicznych lat XX-wiecznej historii Polski, tj. lat 1939-1956, w kategoriach wielkiej rewolucji społecznej. Polegać miała ona na przejściu od przednowoczesnego, na wpół feudalnego społeczeństwa agrarnego do cywilizacji mieszczańskiej. Zasadnicza teza Ledera brzmi, że rewolucja ta dokonała się rękami naszych okupantów – hitlerowskich Niemiec oraz Sowietów, została więc narzucona z zewnątrz, przemocą. Zagłada Żydów miała umożliwić Polakom uwłaszczenie się na ich mieniu i zajęcie ich miejsca w strukturze społecznej. Natomiast wojna klasowa prowadzona przez radzieckiego okupanta, a następnie przez władze stalinowskie w powojennej Polsce, miała położyć kres feudalnej rzeczywistości folwarku, wprowadzając reformę rolną i stwarzając możliwości awansu chłopstwa. Tragiczny i brutalny charakter owej rewolucji jest zdaniem autora źródłem zasadniczego problemu współczesności, który polega na tym, że polska klasa średnia nie dopuszcza prawdy o własnej genezie społecznej - krwawej i zarazem naznaczonej biernością, bezsilnością wobec agresorów (zdaje się, że to ma na myśli autor, pisząc o „transpasywności" polskiego podmiotu). Niepewne siebie polskie mieszczaństwo ma mentalnie tkwić w „imaginarium" sprzed rewolucji, w świecie feudalnym (identyfikacja ze szlachtą) lub uciekać w tożsamość kosmopolityczną (symbolizowaną przez spożywanie sushi). Tymczasem to właśnie uświadomienie niewygodnej prawdy o własnej przeszłości ma być, zdaniem Ledera, kluczem do prawdziwej modernizacji i - tym samym - do uzdrowienia wielu bolączek trawiących polskie społeczeństwo.

Nie znam się na psychoanalizie, chociaż wiem, że wobec jej leczniczego działania jako metody psychoterapii wysuwano wiele zastrzeżeń. Nie jestem także biegła w posługiwaniu się pojęciami takimi jak fantazmat, konstrukcja fantazmatyczna, transpasywność i imaginarium. W związku z mglistością tych pojęć (nie zostały w pracy Ledera jasno zdefiniowane) żywię wobec ich zastosowania dużą nieufność, podobnie jak wobec teorii opartej na założeniach, które

wydają się niefalsyfikowalne. Pozostaje mi zatem skupienie się na faktograficznych i socjologicznych przesłankach teorii Ledera. Moja interpretacja analiz przedstawionych w książce będzie więc fragmentaryczna. Na swoje usprawiedliwienie dodam jednak, że podobnie robi w swojej pracy - bogatej w interpretacje, lecz skromnej pod względem wykorzystanych źródeł i opracowań - autor „Prześnionej rewolucji", który traktuje własny wywód jako *ćwiczenie z logiki historycznej*. Jak sam pisze, „problem nadmiaru" rozwiązuje w ten sposób, iż odnosi się jedynie do *dzieł, które mają reprezentować korpus prac napisanych w podobnym duchu*, a taki *sposób korzystania z piśmiennictwa jest świadomą koncesją do zwięzłości wywodu*. Można mieć wątpliwości, czy nie pomija w ten sposób opracowań niewygodnych z punktu widzenia stawianych tez albo czy nie jest to po prostu rodzaj usprawiedliwienia niedostatecznego zgłębienia poszczególnych zagadnień. Taki zarzut można by na przykład postawić analizom dotyczącym okresu międzywojennego, opierającym się na kilku wybranych relacjach z czasów II Rzeczpospolitej.

Jeśli chodzi o teoretyczne inspiracje autora, w szczególności będą mnie interesować nawiązania do interpretacji nowoczesności w wykonaniu teoretyków tzw. szkoły frankfurckiej - w tym przypadku Waltera Benjamina, Maxa Horkheimera i Theodora Adorno. Nawiązanie do myśli Benjamina pojawia się już na samym początku w postaci motta z „Pasaży" dotyczącego „przebudzenia", które musi *rozpoczynać każdą prezentację historyczną*. Zawiera ono myśl o potrzebie *przebudzenia się z XIX wieku*, czyli, jak rozumiem, w przekładzie na polskie realia w interpretacji Ledera, szlacheckich, feudalnych rojeń współczesnej polskiej klasy średniej. Refleksje Benjamina na temat historii uznaje Leder za swoje drugie, obok psychoanalizy lacanowskiej, *ważne źródło inspiracji*.

Największy problem z „Prześnioną rewolucją" tkwi w proponowanym przez Ledera spojrzeniu na *zachodni pochód ku racjonalnej modernizacji*. Sądzę, że z ujęciem tym mogliby polemizować także owi przywoływani po wielokroć klasycy teorii krytycznej. Używając raczej pojedynczych, enigmatycznych pojęć pojawiających się na kartach ich pism (takich jak „przebudzenie" czy „stan wyjątkowy" w przypadku Benjamina), Leder **ignoruje sens ich rozważań, którego istotą jest głęboka krytyka społeczeństwa burżuazyjnego, kapitalizmu. Tymczasem autor „Prześnionej rewolucji" posługuje się wyrwanymi z kontekstu pojęciami, aby wesprzeć nimi apoteozę tego porządku.**

Pasywna rewolucja?

Zacznę jednak od samej rewolucji, czyli jednego z centralnych pojęć, na których opiera się wywód przedstawiony w książce. Leder twierdzi, że została „prześniona", ponieważ dokonała się obcymi rękami.

© Viewminder, flickr.com/photos/light_seeker/7363562354

Przeprowadzona została przez Innych, bez tego, żeby najbardziej podmiotowe części narodu utożsamiły się z decyzjami, działaniem i odpowiedzialnością za to, co się stało. W efekcie rewolucja została doświadczona przez polskie społeczeństwo niczym koszmarny sen; sen, w którym spełniają się najokropniejsze marzenia i lęki. Niemcy mieli jakoby spełnić ukryte pragnienia Polaków, mordując Żydów, i tym samym torując drogę do rozwoju polskiego mieszczaństwa dzięki możliwości zajęcia ich pozycji w miastach i uwłaszczenia się na ich mieniu. *Wypowiedzenie i przemyślenie prawdy o naszej genealogii musiałoby zaś naprowadzić nas na myśl straszną i trudną - oto „pozbycie się" Żydów było dla wielu szansą awansu w obszar podmiotowości społecznej, pierwszym często momentem podmiotowego działania* - pisze. Przy czym podkreśla, że scenariusz ten (a także, tak jak m.in. w Jedwabnem, polski współudział w Zagładzie) był niejako wpisany we wcześniejsze wyobrażenia, w rolę Żydów w polskim „imaginarium": *Zacznijmy od tego, że słowo „Żyd" na dość podstawowym, archaicznym poziomie polskiej wyobraźni wiąże się ze stanem - jak zauważyła Joanna Tokarska-Bakir - „utrzymuje pogrom w stanie możliwości". Innymi słowy, z niemalże nieskrywanym pragnieniem: Żydzi do...!!! Przy czym to „dokąd" może mieć różny charakter, w zależności od orientacji politycznej podmiotu ów fantazmat realizującego*). Drugie pragnienie - pozbawionych ziemi, upokorzonych mas chłopskich, zrealizować miał radziecki okupant, który rozprawił się z ziemiaństwem, dokonując ostatecznej destrukcji tradycyjnego świata folwarku. Wyłonienie się z tej pożogi czegoś na kształt społeczeństwa miejskiego stanowiło sedno rewolucji społecznej. Jej sens powinniśmy, zdaniem Ledera, dostrzec, przebudzając się z rojeń, nie pozwalających przyswoić okrutnej, ale nieuniknionej prawdy (*jawą jest rzeczywistość dzisiejszej mieszczańskiej Polski*). **Choć trudno zaprzeczyć, że antysemityzm był przed wojną zjawiskiem o znaczącej skali i przybierał coraz ostrzejsze formy, sugestia, jakoby Zagłada była spełnieniem „pragnień" wszystkich czy większości Polaków, wydaje się co najmniej wątpliwa. Podobnie jak teza, że dopiero wymordowanie Żydów przyniosło większości mieszkańców naszego kraju „podmiotowość"**. Pomijając tę słabo uzasadnioną generalizację, warto zadać jeszcze jedno zasadnicze pytanie: czy rewolucja społeczna może dokonać się „od zewnątrz"? Czy działania okupanta, nastawionego na wyniszczenie dużej części ludności i podporządkowanie reszty jako niewolniczej siły roboczej, można określić tym mianem? Ostatecznie sam autor, na końcowych kartach książki, pozostawia czytelnika z niejaką niepewnością w tej kwestii.

Sądzę, że głębokim nieporozumieniem jest nazwanie kataklizmu, który przetoczył się przez ziemie

© joiseyshowaa, flickr.com/photos/joiseyshowaa/2374526016

polskie w czasie wojny (przede wszystkim), a także stalinizmu - „rewolucją". Owszem, rewolucyjne przemiany były dokonywane często z inspiracji niewielkiej, zwykle elitarnej grupy wewnątrz danego społeczeństwa, jednak nie sposób sobie wyobrazić rewolucji społecznej bez pojęcia podmiotowości ludu lub choćby klasy czy grupy, która staje się motorem zmiany. Stąd też rewolucją nie nazywamy raczej np. przejęcia władzy przez wojskową juntę, choćby jej konsekwencje społeczne były doniosłe; okupacja i związane z nią mordy czy represje mogą mieć rewolucyjne konsekwencje, lecz to nie wystarczy, by określać je mianem rewolucji.

Kolejna zasadnicza wątpliwość wiąże się z faktem, że przyjmując tezę o przespanej rewolucji, Leder **zakłada całkowitą bierność polskiego społeczeństwa, jego zasadniczą niezdolność do przemian i reform społecznych. Zewnętrzna, najbrutalniejsza z możliwych przemoc wydaje się w tym kontekście jedynym możliwym źródłem radykalnej przebudowy.** Autor mówi wprost: *spełnienie marzeń i lęków doświadczane jest pasywnie*; *wszystko dzieje się jakby samo, poza podmiotową władzą, która polega na poczuciu sprawstwa swoich czynów*. Bierność Polaków nie ogranicza

się w tej wizji do okresu okupacji. Burzliwy, pełen politycznych sporów i społecznych napięć okres międzywojenny traktuje autor „Prześnionej rewolucji" jako proste przedłużenie stosunków feudalnych czy wręcz średniowiecza. Trudno, rzecz jasna, spekulować, jaki kształt przybrałaby niepodległa Polska, gdyby dane jej było trwać dłużej. **Nie mam zamiaru wygłaszać tu litanii osiągnięć i wysiłków II RP ani bagatelizować obecnych w niej głębokich nierówności. Jednak zadziwiać musi przypisywanie bierności i braku chęci zmiany polskiemu społeczeństwu tego okresu, tak bogatemu w demokratyczne ruchy, programy i projekty polityczne (by wymienić chociażby różne odmiany ruchu ludowego czy socjalistycznego).** Bodajże najbardziej uderzająca jest sformułowana przez Ledera opinia na temat masowych strajków chłopskich w okresie międzywojennym, które kwituje zdaniem, iż *osunęły się one* w pogromy antysemickie, takie jak ten w Przytyku w 1936 r. Przy czym rzekomy związek między strajkami, uznawanymi za największą demokratyczną akcję protestacyjną w II Rzeczpospolitej[1], występującym przeciwko autorytarnym rządom sanacyjnym i na rzecz przywrócenia demokratycznych wyborów, a inspirowanymi przez endecję pogromami, pozostaje bez wyjaśnienia. Ta interpretacja wydaje się tym bardziej kuriozalna, że Stronnictwo Narodowe potępiło protest chłopski i rozsiewało pogłoski, iż został on zorganizowany za „żydowskie pieniądze"[2]. To raczej więc działacze narodowej prawicy starali się przekierować emancypacyjne i równościowe dążenia chłopów, zagrażające m.in. wielkiej własności ziemskiej, na tor antysemicki.

Wyobrażenie o bierności Polaków wychodzi także na jaw, gdy Leder pochyla się nad historią reformy rolnej, rzeczywiście pomijanej w dominujących opracowaniach czy popularnym dyskursie historycznym. **Dokonali jej, jak podkreśla, dopiero komuniści, a więc siła „zewnętrzna". Pomija jednak fakt, że miała być ona wstępem do – w zamierzeniu łagodniej przeprowadzonej niż w samym ZSRR – kolektywizacji rolnictwa, uderzającej w chłopstwo. Leder nie sięga także do historii walki o parcelację majątków obszarniczych w II RP, nie wspomina, że powojenna reforma była realizacją wieloletnich dążeń politycznych chłopstwa, dających o sobie znać już w momencie uzyskania niepodległości. Radykalne projekty parcelacji wielkich majątków nie tylko istniały, ale i zyskiwały w okresie dwudziestolecia duże poparcie.** To prawda, że program reformy rolnej oraz podatku od majątków ziemskich (rząd Władysława Grabskiego) był torpedowany przez endecję. Zawarty następnie przez rząd Witosa tzw. pakt lanckoroński, przypieczętowany ustawą z 1925 r., ustanowił kompromis, na mocy którego parcelacji podlegały majątki powyżej 180 hektarów (z pewnymi wyjątkami) Miała ona dotyczyć przynajmniej 200 tys. ha rocznie. Ustawa była więc niedoskonała i niedogodna dla najbiedniejszych, bezrolnych chłopów, zmuszonych do zaciągania trudnych do spłacenia pożyczek na zakup ziemi. Mimo to do czasów światowego kryzysu gospodarczego i zaostrzenia się popierającej właścicieli folwarków polityki sanacji, reforma przebiegała dość szybko, wieś rozwijała się i bogaciła, a w latach 30., kiedy kryzys katastrofalnie odbił się na stanie gospodarstw rolnych, wytrwale walczyła o swoje prawa. **Trzeba właśnie powziętego przez Ledera nieuzasadnionego domniemania bierności i niesamodzielności Polaków, żeby uzasadnić założenie mówiące, iż poprawa bytu mas bezrolnych chłopów i właścicieli karłowatych, nędznych gospodarstw przekraczała możliwości polskiego społeczeństwa tak dalece, że wymagała brutalnej ingerencji z zewnątrz. Chłopi zmagali się z siłami politycznymi klas posiadających, ale w okresie międzywojennym zdołali zbudować masowy, demokratyczny ruch polityczny, któremu kres położyła wojna, a proces ten przypieczętowały komunistyczne rządy, podporządkowując sobie jego resztki.**

Nowoczesność i barbarzyństwo

Kolejna, być może jeszcze bardziej zasadnicza, wątpliwość dotyczy tego, co można by nazwać sensem społecznej modernizacji. Gwałtowne przemiany społeczne w Polsce, owoc II wojny światowej i powojennego porządku polityczno-gospodarczego opartego na forsownym uprzemysłowieniu, są koniec końców wartościowane przez autora pozytywnie. Problematyczny jest dlań jedynie brak znajomości mechanizmów „rewolucji" i tym samym brak poczucia „odpowiedzialności" (cokolwiek miałaby ona w tym kontekście oznaczać) za przeszłość. **„Liberalny" świat klasy średniej jest w książce rozumiany właściwie bez żadnych zastrzeżeń jako pożądany kierunek rozwoju, swoisty „koniec historii". Więcej nawet: wydaje się, że jest kierunkiem nieuniknionym.** Leder twierdzi, iż międzywojenne społeczeństwo polskie *nie było nowoczesne – rewolucja, niezbędna do tego, żeby zmodernizować „uniwersum symboliczne" – ta jedna rewolucja, którą każde wchodzące w nowoczesność społeczeństwo musi przejść – miała się dopiero dokonać*. W tej czarno-białej wizji, przeciwstawiającej społeczeństwo przednowoczesne – nowoczesnemu, pożądane jest jedynie to, co wzmacnia „tożsamość miejską", jedyną, na której, zdaniem autora, da się zbudować *suwerenność polityczną włączającą wszystkich obywateli*.

Tymczasem głęboka krytyka świata opartego na dominacji mieszczaństwa i samej idei racjonalnego postępu była sednem rozważań przedstawicieli szkoły frankfurckiej, do których tenże autor się odwołuje. „Dialektyka oświecenia" Horkheimera i Adorno to przecież dzieło, które miało za zadanie pokazać, jak emancypacyjna idea postępu zamienia się w swoje przeciwieństwo, budując opresyjny system podtrzymywany przez ikonografię kultury popularnej, dającej iluzje wyboru. Leder natomiast pisze, że *w chaosie lat 1944-1956 dokonała się w Polsce historia opowiedziana w „Dialektyce oświecenia" Horkheimera i Adorna, przejście ze świata opisanej w „Iliadzie" arystokratycznej hierarchii* [...] *do świata* [...] *mieszczańskiej kalkulacji i przebiegłości opowiedzianej w „Odysei"*.

Tymczasem to świat „Odysei" jest właściwym przedmiotem krytyki Horkheimera i Adorna. Prace obu tych myślicieli poświęcone są przecież procesowi postępującej formalizacji i subiektywizacji rozumu, który w toku rozwoju cywilizacji zachodniej zostaje oderwany od poszukiwania uniwersalnych celów i sensów ludzkiego działania, sprowadzony do zapewnienia jego technicznej skuteczności. *Gdy rozum wyrzekł się autonomii, stał się instrumentem* – pisał Horkheimer[3]. Odejście od „zabobonu", od arbitralnej i irracjonalnej władzy religii (świat „Iliady"), torowało drogę innemu rodzajowi opresji: *Wygląda to tak, jak gdyby samo myślenie zostało sprowadzone do procesów przemysłowych, podporządkowane ścisłemu planowi, krótko mówiąc – jak gdyby stało się nieodłącznym komponentem produkcji*[4]. W konsekwencji wartości, które stanowią teoretyczną podstawę nowoczesnych społeczeństw, takie jak sprawiedliwość, równość, szczęście czy tolerancja, pozbawione zostały duchowego i intelektualnego uprawomocnienia. Zawężenie racjonalności do czysto formalnych operacji toruje zatem drogę „obskurantyzmowi", który zdolny będzie skutecznie zaprząc do swoich celów rozum instrumentalny. *Zasada demokratyczna pozbawiona swej racjonalnej podstawy staje się zależna od tak zwanych interesów narodu, które są tylko funkcją ślepych – albo aż nazbyt świadomych – sił ekonomicznych. W żaden sposób nie zabezpieczają one przed tyranią*[5].

Nie ma takiego dokumentu kultury, który nie byłby zarazem dokumentem barbarzyństwa – czytamy z kolei w eseju „O pojęciu historii" Benjamina, do którego odwołuje się Leder. Warto przypomnieć, że najważniejsze zdania tego eseju dotyczą słynnej metafory „anioła historii", pchanego przemocą naprzód przez porywisty wiatr postępu: *Zwrócił oblicze ku przeszłości. Gdzie nam ukazuje się łańcuch zdarzeń, on widzi jedną wieczną katastrofę, która nieustannie piętrzy ruiny na ruinach i ciska mu pod stopy. Chciałby zatrzymać się, zbudzić umarłych i złączyć to, co rozbite. Ale od raju wieje wicher, który napiera na skrzydła i jest tak silny, że anioł nie może ich złożyć. Ten wicher pędzi go niepowstrzymanie w przyszłość, do której jest zwrócony plecami, podczas gdy przed nim rośnie stos ruin. Tym wichrem jest to, co nazywamy postępem*[6].

Benjamin zwraca naszą uwagę na ułudę emancypacji, którą kryły w sobie cywilizacja przemysłowa i rozwój technologiczny. Pokazuje, że prowadzi on do ujarzmienia przyrody, ale nie wyzwala człowieka, podporządkowując go w zamian technokratycznej logice. Zwodniczy kult tak rozumianej pracy dostrzegał u przedstawicieli niemieckiej socjaldemokracji: Praca w jej obecnym ujęciu prowadzi ku wyzyskowi przyrody, który z naiwną satysfakcją jest przeciwstawiany wyzyskowi robotników[7]. Nie kwestionując wyzwalających aspektów rozwoju w kierunku masowego społeczeństwa mieszczańskiego i stanowczo odrzucając regres do tradycyjnych form społecznych, przedstawiciele szkoły frankfurckiej w centrum swojej krytyki, uprawianej na sposób dialektyczny, postawili pułapki burżuazyjnej modernizacji.

Leder, jakby niepomny na głęboko krytyczny charakter teorii, na które się powołuje, traktuje dwie wyrosłe z głębokiego kryzysu cywilizacji przemysłowej siły „rewolucyjne" – niemieckiego

i radzieckiego okupanta – jako czynniki naturalne, oczywiste i z góry dane, nad których naturą nie trzeba się zastanawiać. **Zdaje się zapominać o tym, że pomysł na Zagładę przyszedł z rozwiniętego, zamożnego społeczeństwa klasy średniej, społeczeństwa na wskroś mieszczańskiego, czyli teoretycznie bliskiego ideałom wyznawanym przez autora „Prześnionej rewolucji". Skąd znalazły się w nim zbrodnicze pragnienia?** Na podstawie wywodów Ledera wydawać by się mogło, że naziści (*par excellence* przecież „nowocześni") w Polsce znaleźli się głównie po to, by spełniać ukryte, średniowiecznej proweniencji marzenia Polaków. Teorii na temat genezy dwudziestowiecznych zachodnich systemów autorytarnych i totalitarnych jest wiele, Leder przytacza je jednak dość wybiórczo. Czyżby dlatego, że nie świadczą za dobrze o mieszczańskiej, miejskiej cywilizacji, podatnej na wstrząsy związane, między innymi, z dekoniunkturą na rynkach? Tezy Ledera **sprawiają wrażenie pisanych tak, jakby powojenna, dogłębna, nieraz może zbyt pesymistyczna krytyka cywilizacji kapitalistycznego Zachodu, nie miała w ogóle miejsca. A to właśnie w mieszczańskiej cywilizacji przedstawiciele szkoły frankfurckiej upatrywali źródło tyranii formalizmu i skuteczności jako jedynych mierników zasadności działania.** Jeszcze raz odwołajmy się do Horkheimera: *Mieszczańska idea tolerancji jest* [...] *ambiwalentna. Z jednej strony oznacza wolność od panowania dogmatycznego autorytetu; z drugiej – skłania do neutralnego stanowiska wobec wszystkich duchowych treści, skutkiem czego padają one łupem relatywizmu*[8].

© macwagen, flickr.com/photos/macwagen/1306459984

Na podstawie wywodów Ledera wydawać by się mogło, że naziści w Polsce znaleźli się głównie po to, by spełniać ukryte marzenia Polaków.

Bez alternatywy

Bezkrytyczna apoteoza opartej na handlu cywilizacji mieszczańskiej w połączeniu z przekonaniem o bierności polskiego społeczeństwa „transpasywnie" doświadczającego przemian sprawia, że w wizji Ledera nie ma miejsca na alternatywne drogi rozwoju, dla których szansą zdawała się być odrodzona Rzeczpospolita. Okrutna, zbrodnicza rewolucja, w takiej czy innej formie, jest nieuchronna. Leder **opisuje dyskryminację i podległość chłopstwa, ale nie wierzy (być może ze względu na fatalistyczne spojrzenie na trwałość stosunków feudalnych na wsi), że grupa ta może być nowoczesnym podmiotem politycznym; nie potrafi wyobrazić sobie prawdziwie demokratycznej wspólnoty politycznej w kraju opartym przede wszystkim na rolnictwie. W gruncie rzeczy powiela więc stereotypy na temat chłopów.** Jego perspektywa wydaje się zamykająca, ograniczająca „socjologiczną wyobraźnię". Może dałoby się np. pomyśleć porządek, w którym chłopi otrzymaliby należną sobie ziemię, a miasteczka i miasta pozostałyby w dużej części żydowskie? W której umiarkowany rozwój miast harmonizowałby z rozwojem i bogaceniem się wsi? To bardzo wbrew temu, czego chciał np. Roman Dmowski, ale paradoksalnie Leder pod wieloma względami nie jest bardzo odległy od sposobu myślenia tego apologety nowoczesnego mieszczaństwa – tyle że w wersji narodowej. „Nowoczesny Polak" w wizji Dmowskiego to wszak „oświecony", zamożny mieszczanin.

Trzeba dodać, że istniały scenariusze alternatywne wobec „miastocentrycznej" wizji modernizacji Polski – chociażby omawiana przeze mnie gdzie indziej koncepcja rozwoju wsi w oparciu o spółdzielczość, autorstwa Zygmunta Chmielewskiego[9]. Leder jednak alternatywne scenariusze odrzuca jako nieprowadzące do rozwoju rzekomo „poziomej" (a w istocie zastępującej nierówności stanowe – ekonomicznymi) struktury społecznej opartej na handlu, przeciwstawionej hierarchicznym układom feudalnym, ponoć nieodłącznym od cywilizacji wiejskiej. Z tego powodu autor niechętny jest również przedwojennemu programowi socjalistycznemu: *Co więcej, socjaliści – politycznie obecni tam, gdzie był przemysł, a kulturowo również na salonach – choć ogromnie antagonistyczni wobec konserwatywno-narodowej retoryki politycznej, paradoksalnie również nie wzmacniali tożsamości miejskiej, bowiem pozostawali niesłychanie krytyczni wobec żywiołu burżuazyjnego. Widać to w wywodach*

cytowanego tu już Tadeusza Hołówki, który pisał: „my, socjaliści, mówimy, iż w ogóle trzeba skończyć z pośrednikiem sklepikarzem, wszystko jedno, czy to Żyd, czy Polak”. Zdaniem Ledera socjalistyczna niechęć wobec burżuazji była bliska *rycerskiej pogardzie wobec kupiectwa*, nie stanowiła zatem pożądanej, modernizacyjnej alternatywy, wymierzonej w tradycjonalistyczne „imaginarium”. „Tożsamość miejska” staje się celem samym w sobie, który nie znajduje ostatecznie żadnego przekonującego uzasadnienia.

A przecież choćby wspominany przez Ledera ruch syjonistyczny (popularny w miejskim środowisku polskiej społeczności żydowskiej) opierał się na podobnej diagnozie rzeczywistości społecznej do tej, którą przedstawił cytowany przez Ledera Hołówko. Można powiedzieć, że syjoniści, zwłaszcza lewicowi, byli „antymiejscy”, ponieważ wprost odwoływali się do pragnienia, niemożliwego do zrealizowania w diasporze, gospodarowania na własnej ziemi. To zaś wiązało się z ideą - trzeba przyznać, że nieco utopijną - przekształcenia Żydów z powrotem w naród rolniczy (służyła temu tzw. *hachszara*, czyli przeszkolenie rolnicze w kibucach, poprzedzające wyjazd pionierów do Palestyny). Interesujące wydaje się spojrzenie na rolę chłopów i rolnictwa właśnie przez pryzmat wizji syjonistycznej, w której uprawianie ziemi w nowym państwie żydowskim, całkowicie zrywającym z dawnymi stosunkami społeczno-ekonomicznymi, miało wiązać się z upodmiotowieniem i autonomią - czymś zgoła odwrotnym niż to, co przypisują temu zajęciu bezkrytyczni zwolennicy zachodniej, miejskiej wizji modernizacji. Jeden z głównych ideologów syjonistycznych z przełomu XIX i XX wieku, Aaron David Gordon, szczególny nacisk kładł na potrzebę ponownego zjednoczenia narodu żydowskiego z naturą, od której był dotąd odcięty, *będąc uwięzionym w murach miast od dwóch tysięcy lat*[10]. To zjednoczenie z przyrodą i z ziemią miało być dokonane pracą własnych rąk (mówiono wręcz o „religii pracy” - dat ha-Awoda), która to idea stała się podstawą do zakładania kibuców. Idea syjonistyczna jest znakomitym dowodem na to, że droga do emancypacji może prowadzić nie tylko w stronę „tożsamości miejskiej”. Więcej: to właśnie w sposobie funkcjonowania kapitalistycznego przedsiębiorstwa przemysłowego syjoniści upatrywali bolączki, sprzeczności i antagonizmy, na które odpowiedzią miały stać się wizje radykalnej zmiany społecznej. Wielowiekowy zakaz posiadania ziemi przez Żydów był postrzegany przez socjalistycznych syjonistów jako źródło *de facto* ekonomicznej zależności, a nie wyzwolenia. Jeden z czołowych myślicieli tego nurtu, Ber Borochow, który jeszcze na początku XX wieku trafnie przewidział rozwój antysemityzmu w uprzemysławiającej się Europie, uznawał, że klasa rolnicza jest podstawą bytu każdego społeczeństwa[11]. To w procesach społeczno-ekonomicznych, polegających na gwałtownym rozwoju burżuazji w krajach diaspory, a nie w feudalnych, reliktowych wyobrażeniach, „fantazmatach”, upatrywał on przyczyny gwałtownego wzrostu nastrojów antyżydowskich (a tego drugiego wyjaśnienia zdaje się trzymać Leder w części książki zatytułowanej „Żydzi”).

Przebudzenie, ale z czego?

Jednostronna wizja modernizacji sprawia, że liczne, porozrzucane na kartach „Prześnionej rewolucji” trafne obserwacje i diagnozy współczesnego polskiego społeczeństwa spadają jakby w próżnię, nie znajdując przekonującego wyjaśnienia. Leder z dużą dozą empatii opisuje chociażby resentyment, który rodzi się z poczucia krzywdy, podsycany przez „liberalne elity” zdolne jedynie do „pouczania” społeczeństwa. Słusznie zauważa też, że zawiedzione nadzieje mas pracujących po transformacji skłaniają je ku nacjonalizmowi, a lewica porzuciła „etos pracowniczy”. **Gdyby jednak Leder był konsekwentny w swojej krytyce społecznych aspektów transformacji, musiałby uznać, że samo stworzenie społeczeństwa „klasy średniej”, bez solidarności i troski o tych, którzy nie „załapali się” na awans społeczny, nie wystarczy. Gdyby autor rzeczywiście odrobił lekcję z krytyki cywilizacji w wydaniu szkoły frankfurckiej, wiedziałby, że to sama natura umiłowanej przezeń formacji społeczno-ekonomicznej prowadzi do opisywanych przez niego objawów - poczucia krzywdy, które łatwo przeradza się w nacjonalistyczny resentyment.** Oddajmy raz jeszcze głos Horkheimerowi: *Duchowy imperializm abstrakcyjnej zasady interesu własnego - rdzeń oficjalnej ideologii liberalizmu - wskazywał na pogłębiający się rozdźwięk między tą ideologią i stosunkami społecznymi w życiu uprzemysłowionych narodów. Po ugruntowaniu tego rozdźwięku w świadomości społecznej nie ocalała żadna skuteczna, racjonalna zasada społecznej spójni.* [...]. *Tłumaczy to tendencję liberalizmu do przeradzania się w faszyzm oraz skłonność duchowych i politycznych reprezentantów liberalizmu do zawierania pokoju ze swoimi antagonistami*[12].

Wątpliwa staje się ostatecznie rola przebudzenia, zalecanego w tej swoistej terapii, a - jak się zdaje - niezbędnego do „dokończenia” rewolucji. **Być może rzeczywiście trzeba się przebudzić, ale z innego snu - snu o naśladowczej modernizacji, o konieczności kształtowania społeczeństwa na wzór modelu, który poniósł porażkę.**

„Prześniona rewolucja” otwiera ważną dyskusję o znaczeniu burzliwych przemian społecznych

lat 1939-1989 w Polsce, których sens, jak słusznie stwierdza Leder, pozostaje niedostatecznie rozpoznany. Fragmenty książki dotyczące mało obecnych w dyskursie publicznym kart historii, jak powojenna reforma rolna czy terror industrializacji, zawierają wiele interesujących spostrzeżeń. Jednak dokonana przez autora interpretacja wydarzeń z lat 1939-1945 jako „biernej rewolucji" budzi poważne wątpliwości. Podobnie jak wąska wizja modernizacji, której przeprowadzenie, jak w sloganie znanym z zupełnie innych kręgów, nie ma ponoć alternatywy. ⚒

Andrzej Leder, *Prześniona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2014.

Przypisy:

1. J. Gmitruk, *Wielki strajk chłopski w 1937 roku*, w: *Bądźcie solidarni. Wielki strajk chłopski 1937 r.*, red. J. Gmitruk, D. Pasiak-Wąsik, Warszawa 2007, s. 14.
2. Por. B. Dereń, *Geneza i przebieg strajku chłopskiego w 1937 roku*, w: *Bądźcie solidarni...*, op. cit.
3. M. Horkheimer, *Krytyka instrumentalnego rozumu*, Warszawa 2007, s. 51.
4. Tamże.
5. Tamże, s. 57.
6. W. Benjamin, *O pojęciu historii*, w: tegoż, *Anioł historii i inne eseje*, Poznań 1996, s. 418.
7. Tamże, s. 420.
8. Tamże, s. 49.
9. A. Bilewicz, *Państwo niedomiasto, czyli o prawie do wsi*, „Nowe Peryferie", lipiec 2013.
10. H. Edelheit, A. J. Edelheit, *History of Zionism. A Handbook and Dictionary*, Oxford 2000, s. 66.
11. Por. B. Borochov, *Class Struggle and the Jewish Nation. Selected Essays on Marxist Zionism*, New Brunswick 1984.
12. M. Horkheimer, op. cit., s. 50.

REKLAMA

Czy lewica to PZPR, UB, łagry, Stalin, „dzieła Marksa i Lenina"? Czy socjalizm to ZSRR, Bierut, Gomułka i Moczar? • Czy „polska droga do socjalizmu" to cukier na kartki, cenzura i strzelanie do robotników?

Lewicowo.pl

POZNAJ INNĄ LEWICĘ!

DZIALAMY JUŻ **5 LAT**, OPUBLIKOWALISMY PRAWIE **1000 TEKSTOW!**

Pierwszy i jedyny portal internetowy poświęcony tradycjom i dorobkowi polskiej lewicy demokratycznej, patriotycznej i niekomunistycznej.

WWW.LEWICOWO.PL

• Abramowski • Daszyński • Limanowski • PPS • spółdzielczość • związki zawodowe • Moraczewski • Mickiewicz • Brzozowski • Thugutt • Sempołowska • Żeromski • Krahelska • Hołówko • Ossowski • Zaremba • Ciołkoszowie • Próchnik • Pragier • Zygielbojm • Barlicki • Perl • Niedziałkowski • Krzywicki… i wiele innych materiałów. Kilka razy w tygodniu nowe teksty, w tym unikatowe, niewznawiane od kilkudziesięciu lat.

Alternatywa na pewno istnieje

Krzysztof Mroczko

Hucznie obchodzone ostatnio ćwierćwiecze odzyskania wolności stało się także okazją do rozliczeń z okresem transformacji ustrojowej. Od 1989 roku panuje w naszym kraju bezalternatywna wizja wolnorynkowej gospodarki, w któwrej największą wartość ma dogmatycznie traktowana idea, a jednostki zredukowano do roli „kapitału ludzkiego". W myśli ekonomicznej, zwłaszcza tej obecnej w medialnym dyskursie, nadal istnieje monolit mówiący o słuszności raz obranej drogi. Lektura pism zmarłego przed ponad dwoma laty Tadeusza Kowalika jest w stanie przełamać obowiązujący schemat i posiada potencjał niemalże rewolucyjny. Każdy z tekstów mówi o tym, że można inaczej, lepiej, mądrzej. Po prostu sprawiedliwiej.

Książka „O lepszy ład społeczno-ekonomiczny" została wydana w 2013 r. przez Polskie Towarzystwo Ekonomiczne. Stanowi ona zbiór tekstów prof. Kowalika i jest wspaniałym podsumowaniem dorobku tego wybitnego polskiego ekonomisty i historyka gospodarki. Profesor to postać bardzo ciekawa, ze względu na poglądy pozostaje jednak w cieniu medialnych tuzów w rodzaju Leszka Balcerowicza. Trudno zresztą, żeby było inaczej, skoro najgłośniejszą książką Kowalika jest „www.PolskaTransformacja.pl", **oskarżająca autorów polskiej drogi do kapitalizmu o spowodowanie katastrofalnej sytuacji ekonomicznej kraju i skazanie wielu milionów Polaków na niedostatek i nędzę. Kowalik był mało popularny, bo głosił potrzebę zbudowania w Polsce społecznej gospodarki rynkowej na wzór skandynawski. Był także zwolennikiem popytowej teorii Michała Kaleckiego, którego ustalenia stały się podstawą teorii Johna Maynarda Keynesa. Takie poglądy skazywały Kowalika na wieloletnią opozycję.**

Redaktorzy tomu – Paweł Kozłowski i Gabriela Ziewiec – wykonali olbrzymią pracę. Na 650 stronach znajdziemy 35 artykułów, zgrupowanych w 5 działach, poświęconych m.in. problematyce globalizacji, polskiej transformacji, społecznemu wymiarowi ekonomii oraz realnemu socjalizmowi. Ostatnia część poświęcona jest natomiast biografii profesora. Znajdziemy tam omówienia poglądów nauczycieli Kowalika oraz rozmowę z nim samym. Dzięki tym pismom, wybranym spośród bogatego dorobku autora, możemy przyjrzeć się procesowi polskiej transformacji z nieobecnego niemal nigdzie indziej punktu widzenia. Wyraziste poglądy znajdują się w zdecydowanym sporze z piewcami wolnorynkowej religii, która opanowała umysły tak wielu osób.

Pierwszy dział nieprzypadkowo poświęcono sprawom globalizacji. Bez zrozumienia procesów z nią związanych nie sposób przecież ani rozpoznać naszej rzeczywistości i kondycji, ani tym bardziej zaprojektować realistycznej drogi zmian. Żyjemy w zglobalizowanym świecie niezależnie od tego, czy nam się to podoba, czy nie. Jest to świat ukształtowany poza naszą wolą i właściwie nie mamy na temat jego urządzenia wiele do powiedzenia.

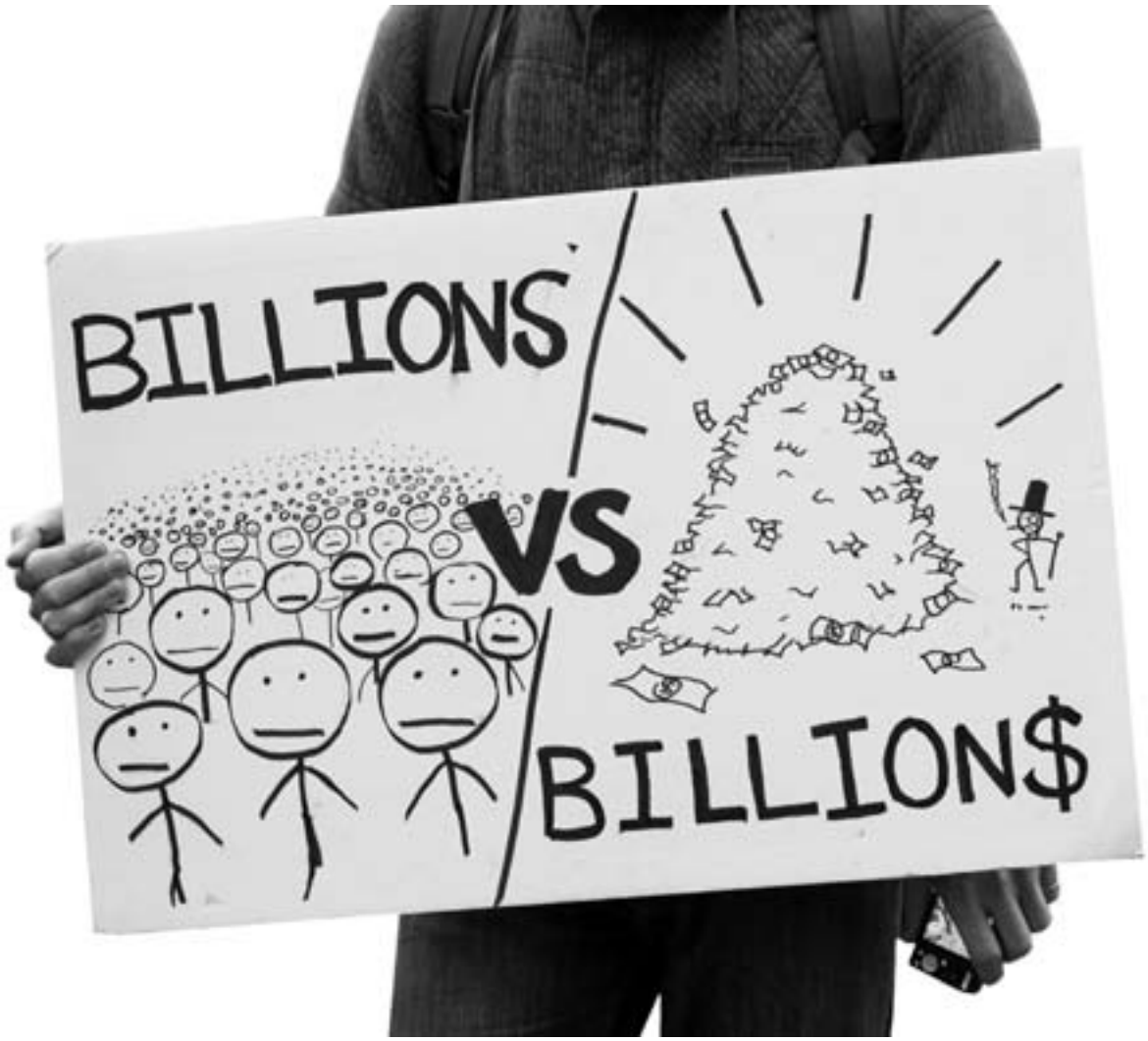

© Jason Hargrove, flickr.com/photos/salty_soul/6247921381

Co gorsza, ów świat pozostaje od kilku lat w permanentnym kryzysie, z którym nikt nie potrafił sobie skutecznie poradzić.

Prof. Kowalik bez ogródek rozprawia się z większością idei będących podstawą zastosowanych już programów naprawczych, wskazując na ewidentne klęski ponoszone w wyniku przyjęcia nietrafnych metod. Przygląda się uważnie różnorakim próbom wprowadzenia nowych rozwiązań. W artykule „Amerykański system ekonomiczny w ewolucji" zajmuje się koncepcjami ekonomicznymi wykuwanymi i realizowanymi na przestrzeni ostatniego stulecia w Stanach Zjednoczonych i wskazuje, jak doszło do ostatecznego tryumfu neoliberalnej drogi wolnego rynku, cięć i zaciskania pasa. W „Sporach wokół Trzeciej Drogi" Kowalik rozprawia się z koncepcją ekonomiczną europejskiej socjaldemokracji przełomu tysiącleci, która również miała być panaceum na całe zło tego świata. Niejednokrotnie wskazuje na bezradność ekonomicznych ekspertów. Przyczynę ich porażek widzi zaś w uporczywym stosowaniu wciąż tych samych nieskutecznych rozwiązań, tak jakby żaden z autorów recept uzdrowienia gospodarki nie był zdolny do krytycznej refleksji.

W najbardziej chyba gorzkim artykule tej części książki, zatytułowanym „Systemowe źródła obecnego kryzysu światowego", Kowalik podejmuje próbę zakreślenia szerszego, społecznego ujmowania ekonomii. Jeśli widzimy dziś bezsilność polityków wobec międzynarodowych korporacji, to należałoby pamiętać, że sami członkowie klasy politycznej wielu państw, na czele ze Stanami Zjednoczonymi, są za ten stan rzeczy co najmniej współodpowiedzialni. Ulegając firmom w zamian za różne przysługi, większość z nich stała się zbyt słaba, by pozostawać dla korporacji nawet partnerami do rozmowy. Reszta zaś wręcz została częścią globalnej oligarchii, obok finansistów, rządowych ekonomistów i przedstawicieli wpływowych instytucji, takich jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

Można by powiedzieć, że problem nie jest aż tak poważny – wszak w naszej części świata rządzących można zmienić głosami wyborców. Sęk w tym, że demokracja przestaje istnieć w tej formie, jaką

uznajemy za najlepszą dla rozwoju społecznego, bo proces pauperyzacji społecznej odbiera nam poczucie własnej wartości, **pozostawiając pozbawionych realnej siły głosu. Prawdziwa władza spoczywa zaś w ręku nielicznych. Wciąż zabiegani, nie mamy czasu i środków na to, by śledzić kluczowe polityczne rozgrywki, przez co tracimy rozeznanie w tym, co dzieje się na politycznej scenie. Ci, którzy mimo wszystko chcieliby się czegoś dowiedzieć, skazani są na tendencyjne i skorumpowane media, które przedstawiają zaledwie wąskie wycinki rzeczywistości.** Winę za ten stan rzeczy ponoszą również ekonomiści, głoszący od lat, iż jedynym czynnikiem rozwoju jest wzrost wydajności. **W rezultacie tych przemian demokracja zanika, gdyż znikają (zaangażowani) obywatele. Większość zostaje zepchnięta w dół drabiny społecznej i skazana na ciągłą walkę o przetrwanie:** *Skutkiem procesów polaryzacji społecznej jest wzrastająca liczba wykluczonych, czyli tych, którzy w żadnej postaci nie biorą udziału w życiu społecznym, po których biznes nie sięga nawet w fazach wysokiej koniunktury. Dokonuje się także proces dezaktywizacji obywatelskiej i społecznikowskiej, co jest związane z pauperyzacją i wydłużaniem czasu pracy.* [...] *Są więc zaharowani, nie mają czasu i siły ani na samo- i dokształcenie, ani na obywatelską i społecznikowską partycypację, ani na rozwój osobowościowy.*

Dominacja biznesu nad społeczeństwem umacnia się każdego dnia. Wsparciem dla rządzącej oligarchii są bowiem media, które ze wszystkich sił propagują ten proces. Nie sposób nie przyznać racji Kowalikowi, kiedy pisze, że *do pasywizacji dużej części społeczeństwa przyczynia się oligarchizacja mediów, które tworzą negatywny obraz niemal wszelakich działań zbiorowych, a szczególnie organizacji pracowniczej samoobrony jako populistyczno-roszczeniowych. Przedstawia się je jako kłody leżące na drodze do efektywnego gospodarowania. Media upowszechniają pogląd głoszący, że biedni ludzie sami są sobie winni, bo nie biorą swoich indywidualnych spraw we własne ręce, że ingerencja państwa może tylko popsuć rynkowe mechanizmy gospodarowania. Uprawnienia pracownicze przedstawia się jako wymuszone przywileje.* Neoliberalna nowomowa doczekała się już licznych opisów, wciąż jednak wielu zdaje się łapać na wyświechtane slogany.

CC BY watchingfrogsboil, flickr.com/photos/58687716@N05/5384573441

Wiele miejsca w zbiorze poświęcono omówieniu różnych aspektów polskiej transformacji. Najciekawszym z tekstów w dziale jej poświęconym wydaje się „Polska transformacja a nurty liberalne". Autor przedstawia w nim mało znane fakty i idee, które przemawiają na korzyść myśli liberalnej. Dowiadujemy się oto m.in., że **polskie przemiany mogły pójść zupełnie innym torem nie tylko w sytuacji przyjęcia przez kolejne rządy wzorców z krajów socjaldemokratycznych, ale i wówczas, gdyby nie czerpały one z jednego tylko nurtu liberalnego myślenia o gospodarce. Nasze elity były jednak głuche na głosy rozsądku, nawet te pochodzące z idealizowanych Stanów Zjednoczonych. Ich zaślepienie spowodowało katastrofalne skutki dla naszego kraju, nie tylko w wymiarze ekonomicznym.** Oddajmy głos Kowalikowi: *Doprowadzono do kompromitacji samego pojęcia liberalizmu. Zredukowano liberalizm do egoistycznej rywalizacji jako głównej siły motorycznej rozwoju społeczno-gospodarczego, co jest ogromnym uproszczeniem. Dlatego też dość powszechne słowo „liberał" brzmi jak obelga. Dzieje się tak z wielką szkodą nie tylko dla rozwoju myśli społecznej, lecz także dla kształtowania polityki społeczno-ekonomicznej. Utrudnia dialog pomiędzy zwolennikami demokratycznego liberalizmu i socjaldemokratami, co zamyka drogę do wspólnego działania na rzecz uspołecznienia kapitalizmu. To właśnie skłania mnie do obrony liberalizmu, choć nie w nim tkwią moje największe sympatie.*

Przytoczone słowa ukazują jedną z głównych cech myśli Kowalika. Jest nią autentyczna gotowość do dyskusji, dialogu i poszukiwania konsensusu, oparta na wierze, że współpraca stanowi podstawowy warunek rozwoju ludzkości. Walka w obronie dobrego imienia części amerykańskiej myśli liberalnej – m.in. takich postaci jak John Rawls, Robert Dahl, Charles Lindblom czy Joseph Stiglitz – ma na celu nie tylko ukazanie polskim czytelnikom teorii i idei mało u nas znanych, a wywodzących się z tego ruchu, ale przede wszystkim złagodzenie stanowiska przeciwników liberalnego sposobu myślenia. Według Kowalika zbyt łatwo zaszufladkowaliśmy liberalizm, co wpłynęło na ograniczenie wymiany myśli i poglądów. Bez rzetelnej debaty nie sposób tymczasem myśleć o realnych zmianach systemowych.

Jednym z podstawowych problemów, któremu poświęcono trzecią część książki, jest według Kowalika **myślenie o ekonomii jako nauce ścisłej, opartej tylko**

Demokracja zanika, gdyż znikają (zaangażowani) obywatele. Większość zostaje zepchnięta w dół drabiny społecznej i skazana na ciągłą walkę o przetrwanie.

© shehan peruma, flickr.com/photos/shehan365/6266929383

na liczbach i niewzruszonych prawach. Ekonomia była tymczasem, jest i być musi nauką społeczną. A skoro ludzki dobrostan zależy nie tylko od stanu portfela, należałoby rozpatrywać globalną gospodarkę w szerszym i bardziej złożonym wymiarze. Wzajemne przenikanie się idei, teorii i badań nad społeczeństwem w ramach świata nauki tylko na pozór wydaje się oczywistością. Gdy przyjrzymy się tej kwestii bliżej, okazuje się, że taki sposób myślenia bynajmniej nie jest rzeczą powszechną. Niemal każdego dnia czytamy lub słyszymy powtarzane niczym mantra wywody o „optymalizacji kosztów", „konieczności cięć", „kapitale ludzkim" itp. W języku, a zapewne i w umysłach sporej części naszych ekspertów ds. ekonomii istota ludzka zredukowana zostaje do zapisu księgowego. Wielu z nich nie uwzględnia także innych niż ekonomiczne kosztów prowadzenia określonej polityki społeczno-gospodarczej. Z takim sposobem myślenia spotykamy się w odniesieniu do służby zdrowia, edukacji, transportu zbiorowego i całego szeregu innych obszarów działania państwa. W artykule „Czy i kiedy współpraca socjologów z ekonomistami jest możliwa?" Kowalik zwraca uwagę na konieczność rewizji tego stanu rzeczy. Postuluje zarazem odejście od ekonomii opartej na tym lub innym „paradygmacie" na rzecz pragmatyzmu. W jego ujęciu oznacza to konieczność jednoczesnego poszerzenia pola zainteresowań ekonomistów o dokonania innych dyscyplin i ograniczenie wpływu ideologii na myślenie o gospodarce. Nie jest to zadanie łatwe, ale dziś stało się palącą koniecznością. W zideologizowanej debacie ekonomicznej roi się bowiem od uproszczeń.

Spójrzmy choćby na pojęcia „kapitalizm" czy „gospodarka rynkowa". Zupełnie inaczej są one rozumiane i wcielane w życie w USA i w Unii Europejskiej, nie mówiąc już o krajach Dalekiego Wschodu. Sama Unia Europejska też nie stanowi przecież pod tym względem monolitu, a zróżnicowanie podejścia państw członkowskich do polityki społeczno-gospodarczej jest problemem nieustannie dyskutowanym i budzącym wiele emocji. Kowalik nawołuje do bacznego przyjrzenia się różnorodności rozwiązań stosowanych w realnym świecie. Tylko jeśli przyjmiemy

do wiadomości tę wielość i odrzucimy możliwość całościowego przeszczepienia rozwiązań z jednego kraju do innego, ekonomia stać się może domeną wolności, a nie zniewolenia społeczeństw.

Bliższa naszemu krajowi, nie tylko ze względów geograficznych, jest polityka prowadzona przez kraje Unii Europejskiej. Niemniej jednak nadal nie możemy zdecydować, w którą stronę powinna podążać Polska. Istnieje co najmniej kilka modeli, które mogłyby stanowić jeśli nie wzór, to przynajmniej punkt wyjścia do stworzenia planu wprowadzania korzystnych dla nas reform. Niestety nadal nie zdecydowaliśmy nie tylko o rozpoczęciu tego procesu, ale nie wiemy nawet, w którą stronę się zwrócić. Polska pozostaje poza strefą euro, nadal nie jesteśmy też w stanie opowiedzieć się po jednej ze stron sporu o jej ostateczny kształt w sporze między całkowitą integracją a kooperacjonizmem, głoszącym potrzebę istnienia „Europy ojczyzn". Konieczność przeprowadzenia lub zaniechania procesów wzmacniających integrację poszczególnych krajów członkowskich nie dotyczy, rzecz jasna, jedynie politycznego modelu ustrojowego UE. Równie istotne są przecież koncepcje ekonomiczne, między innymi te dotyczące nie tylko gospodarki, ale także polityki społecznej, swobody przepływu kapitału czy kwestii związanych z europejskim Bankiem Centralnym. Mnogość problemów implikuje wielość programów naprawczych. Kowalik nie ma wątpliwości: *Wszystko to sprawia, iż nowe, postkomunistyczne kraje członkowskie stoją przed zasadniczym wyborem, jaki typ kapitalizmu chcą kształtować u siebie i w jakim kierunku współdziałać ze starymi i nowymi członkami UE. Wymaga to poważnej dyskusji.*

Samo rozpoznanie dotychczasowych sukcesów i porażek jest kluczowe dla ustalenia odpowiedniego planu działań na przyszłość. Autor wskazuje, iż dobrym punktem wyjścia do tego rodzaju analizy jest przyjęcie poglądu Josepha Stiglitza o istnieniu gospodarek mieszanych i odrzucenie przesądu, według którego państwo jest z definicji gorszym regulatorem niż rynek. Dla naszych czołowych ekspertów brzmi to zapewne rewolucyjnie, jednak doświadczenie nieskuteczności ich recept wobec obecnego kryzysu powinno wreszcie zmusić do działania tych, którzy wciąż jeszcze wierzą, że zmiana jest możliwa. Przyjęcie powyższych założeń nie daje oczywiście gotowych rozwiązań, bowiem, jak zauważa Kowalik, *gdy uznamy, że w świecie współczesnym mamy do czynienia z gospodarkami mieszanymi, otwiera się nowe pole debat i badań. Powstaje na przykład pytanie, co decyduje o takiej czy innej mieszance.* Powraca zatem kwestia realnego, politycznego wyboru, która mogłaby uczynić ekonomię nauką badającą stan faktyczny, a nie domeną spekulacji o idealnych systemach i niepodważalnych prawach, wobec których człowiek nie ma nic do powiedzenia.

W książce znajdziemy także artykuły dotyczące socjalizmu, a ściślej biorąc – „realnego socjalizmu". Jest wśród nich pochodzący z 1957 r. tekst zatytułowany „O socjalizmie bez mistyki. Uwagi jak najbardziej osobiste". Stanowi on nie tylko zapis gorącej sytuacji polskiego Października i czasów odwilży, ale i żarliwe wyznanie wiary naukowca wówczas trzydziestoletniego w możliwość zbudowania pozytywnej wizji ustroju socjalistycznego. Najkrócej można by ją określić jako socjalizm otwarty, pozbawiony dogmatyzmu we wszelkich aspektach: politycznych, gospodarczych, społecznych. Kowalik stawia retoryczne pytania: *Kapitalizm może być biedny i bogaty; z nadbudową demokratyczną i totalną, oparty na wolnej konkurencji i monopolistyczny, itd. Czemuż więc my, marksiści, wyobrażamy sobie socjalizm jako coś absolutnie jednorodnego, coś umieszczonego na jednym szczycie, choć można na ten szczyt wejść różnymi drogami? Czemuż z socjalizmem miałoby się stać inaczej niż ze wszystkimi formacjami poprzednimi?* Pyta, by zaraz udzielić odpowiedzi: *A może i z socjalizmem będzie tak, że będą istnieć obok siebie „różne socjalizmy". Socjalizm ubogi i bogaty. Bardziej sprawiedliwy i mniej sprawiedliwy. Demokratyczny i oparty na systemie „kultu jednostki". Centralistyczny i decentralistyczny. Biurokratyczno-centralistyczny i sfederalizowany. Oparty na typie planowania na wzór GOELRO i na planach-nakazach. Budowany metodą akcji i kampanii oraz rozwijający się powoli, bez tzw. gwałcenia praw ekonomicznych. Oparty na radach robotniczych i oparty na radach gospodarki narodowej.* Te słowa, choć silnie związane z duchem czasów, w jakich zostały napisane, wydają się dziś szczególnie warte przypomnienia, bo świadomość tej różnorodności dróg – leitmotivu publicystyki ekonomicznej Kowalika – zanikła u nas niemal zupełnie. **W Polsce o kapitalizmie mówi się tak, jakby obowiązywał w jednej tylko, amerykańskiej odmianie, a socjalizm kojarzony jest z leninowsko-stalinowskim państwem zniewalającym obywateli.**

Zakończenie tomu poświęcone jest przybliżeniu postaci profesora i jego biografii, a jego kulminację stanowi wywiad poruszający tematy od życia osobistego naszego bohatera po historię przez wielkie „h". „Trzech na jednego. Musztarda przed obiadem" to rozmowa Tadeusza Kowalika z Edwardem Chudzińskim, Pawłem Kozłowskim i Filipem Ratkowskim. To szczególna rozmowa, bardzo osobista momentami, poświęcona przede wszystkim życiu profesora. Czytelnik może poznać nie tylko koleje losu wybitnego ekonomisty, ale także prześledzić trudną drogę wyborów intelektualistów w powojennej Polsce. Wiele miejsca w wywiadzie zajmują także

wspomnienia o nauczycielach i mistrzach Kowalika. W tej części książki znalazły się również osobne szkice poświęcone niektórym z nich: Oskarowi Langemu, Michałowi Kaleckiemu, Włodzimierzowi Brusowi i Czesławowi Bobrowskiemu. Choć osobiste, stanowią one ważny przyczynek do przywracania pamięci o ważnej tradycji w łonie polskiej myśli ekonomicznej. Szczególnie wartościowy pod tym względem jest artykuł poświęcony zupełnie zapomnianemu Czesławowi Bobrowskiemu, pierwszemu kierownikowi utworzonego po wojnie Centralnego Urzędu Planowania i autorowi Planu Trzyletniego – jedynego zakończonego realnym sukcesem planu gospodarczego okresu PRL. Usunięty ze stanowiska na skutek rozgrywek partyjnych i postępującej ekspansji politycznej komunistów (sam był członkiem PPS), Bobrowski spierał się z nową władzą o strategię powojennej odbudowy kraju. Nie widział celowości w kopiowaniu stalinowskich pięciolatek, skupionych na jak najszybszym rozwoju przemysłu ciężkiego, bez oglądania się na skutki społeczne. Wskazywał, że ustrój socjalistyczny powinien kłaść większy nacisk na rozwój takich gałęzi przemysłu, które dają szanse poprawy warunków życia ludności: *On, twórca trzyletniego planu „sytości", jak mawiał, nie mógł pogodzić się z traktowaniem pracy i stopy życiowej zwykłych ludzi jako elementu wielkiej gry politycznej. Był bowiem dziewiętnastowiecznym czy wcześnie dwudziestowiecznym „socjałem", w najlepszym tego słowa znaczeniu*. Co interesujące, słowa te odnoszą się nie tylko do oceny okresu PRL, ale również do stosunku Bobrowskiego do początków polskiej transformacji, którą przeprowadzał Balcerowicz. Nie ulega wątpliwości, że jego osoba była ważna dla Tadeusza Kowalika właśnie z powodu przedkładania jednostki ponad ekonomiczne teorie.

Jednym z ważnych, a niewspomnianych do tej pory wątków przewijających się przez pisma Tadeusza Kowalika, jest namysł nad mechaniką zmiany społecznej, co pokazuje, nawiasem mówiąc, że swój postulat włączenia perspektywy socjologicznej do ekonomii potraktował on poważnie. W jednym z artykułów pojawia się – powtórzona za Davidem Ostem – teza o gniewie społecznym jako źródle zmian. Kowalik rozwija tę koncepcję, nie ograniczając się do jej wymiaru klasowego. Pisze raczej o różnych rodzajach gniewu, wskazując na ich konstruktywną rolę w napędzaniu jednostek do działania. Miejscami niemal namawia do obudzenia w sobie tego uczucia. Przestrzega jednak zarazem, że o ile gniew użyty w czasach względnego spokoju spowoduje pojawienie się w debacie społecznej problemów dotychczas pomijanych, o tyle w sytuacji katastrofy gospodarczej będzie on już tylko niszczycielską siłą, niezdolną do zatrzymania chaosu.

Drugą, w stosunku do tej „gniewnej", stroną pokazanego w omawianej książce dorobku Kowalika jest jednak próba łagodzenia konfliktu między liberalną a socjaldemokratyczną wizją ekonomii. Gniew społeczny jest istotny jako pierwszy krok, służący samemu zaistnieniu określonych głosów pomijanych przez obowiązujący dyskurs. Aby jednak gniew nie stał się siłą destrukcyjną i bezmyślną, należy ograniczać jego rolę wraz z rozwojem dyskusji. A wszystko po to, by możliwe było osiągnięcie rozumnego konsensusu, otwierającego drogę zmian. Sam gniew nie wystarczy, podobnie jak i idea wyrażona jedynie na papierze. Jako historyk gospodarki Kowalik wie doskonale, że nawet najwspanialsze idee mogą przynieść skutki całkowicie niezgodne z założeniami. Ekonomista podkreśla, że postulowane przez niego pragmatyczne podejście do gospodarki nie oznacza konformizmu czy tym bardziej nihilizmu. Podstawą wizji Kowalika jest po prostu pozbycie się nieuzasadnionej pewności siebie, jaka często cechuje teoretyków. Jak pisze prof. Elżbieta Mączyńska we wstępie do recenzowanego tomu: *Lektura dzieł Tadeusza Kowalika to przestroga przed doktrynalnym podejściem do reform ustrojowych i brakiem głębszej refleksji na temat złożonych procesów przemian gospodarczych i społecznych*. Jeśli w punkcie wyjścia przyjmiemy, że jesteśmy omylni, podobne wnioski mogą wysnuć również nasi przeciwnicy, a wówczas może narodzić się szansa na prawdziwie konstruktywną debatę i zaprojektowanie planu działań opartego o wzajemny konsensus. ⚒

Tadeusz Kowalik, *O lepszy ład społeczno-ekonomiczny*, Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Warszawa 2013, red. nauk. Paweł Kozłowski, Gabriela Ziewiec.

Etos w czasach zarazy rynkowej

Joanna Jurkiewicz, Przemysław Wewiór

Wykłady Michaela Sandela, profesora filozofii polityki z Harvardu, cieszą się rzadko spotykaną popularnością. Sale uniwersyteckie albo stadiony sportowe - bo czasem tylko one mogą pomieścić wszystkich słuchaczy - wypełniają młodzi ludzie. Kursy prowadzone przez filozofa transmituje BBC, a niektóre nagrania wykładów w serwisie YouTube doczekały się ponad 5 milionów wyświetleń. Ten rozgłos przyniosła Sandelowi jego metoda nauczania, dzięki której zyskał przydomek współczesnego Sokratesa. Prowadzący odmalowuje w swoich prelekcjach problematyczne z etycznego punktu widzenia sytuacje, a następnie zadaje pytanie: jakie rozwiązanie byłoby sprawiedliwe? Sala głosuje, a chętni mogą podjąć się obrony swojej opinii na forum. Nie ma taryfy ulgowej i raz przedstawionego zdania trzeba bronić do końca - zarówno przed innymi dyskutantami, jak i przed wykładowcą.

W czerwcu 2014 r. Sandel przyjechał z wykładem do Warszawy, **aby postawić młodym Polakom pytanie o rolę rynku w naszym życiu. Spotkanie wpisało się w atmosferę rocznicową i stało się podsumowaniem transformacji mentalnej, która dokonała się w polskim społeczeństwie w ostatnich 25 latach. Podczas wykładu zapytał, czy sprawiedliwe i moralne jest, by po nawałnicy śnieżnej, gdy domy i drogi są całkowicie zasypane, sklep podniósł cenę łopaty do odśnieżania o 100 dolarów. Zdecydowana większość sali udzieliła odpowiedzi twierdzącej (poprzez podniesienie rąk), a tylko pojedyncze osoby nie zgodziły się, że windowanie cen w takiej sytuacji jest słuszne. Profesor odpowiedział, że podobny rozkład głosów otrzymał tylko w... Szanghaju.**

Michael Sandel jest autorem książek „Sprawiedliwość. Jak postępować słusznie" i „Czego nie można kupić za pieniądze. Moralne granice rynku", które niedawno ukazały się w Polsce. Podnosi w nich zagadnienia właściwie nieobecne w naszych mediach, nawet przy okazji ostatniego kryzysu gospodarczego. Utyskiwania na słabości wolnego rynku, które trzeba przezwyciężyć, aby kryzys się nie powtórzył czy piętnowanie chciwości niektórych grup społecznych (niezbyt skuteczne, skoro maklerzy giełdowi urządzali sobie zamknięte pokazy „Wilka z Wall Street", raczej nie po to, by kontemplować swoje grzechy) - nie dotykały sedna sprawy. Sandel twierdzi, że

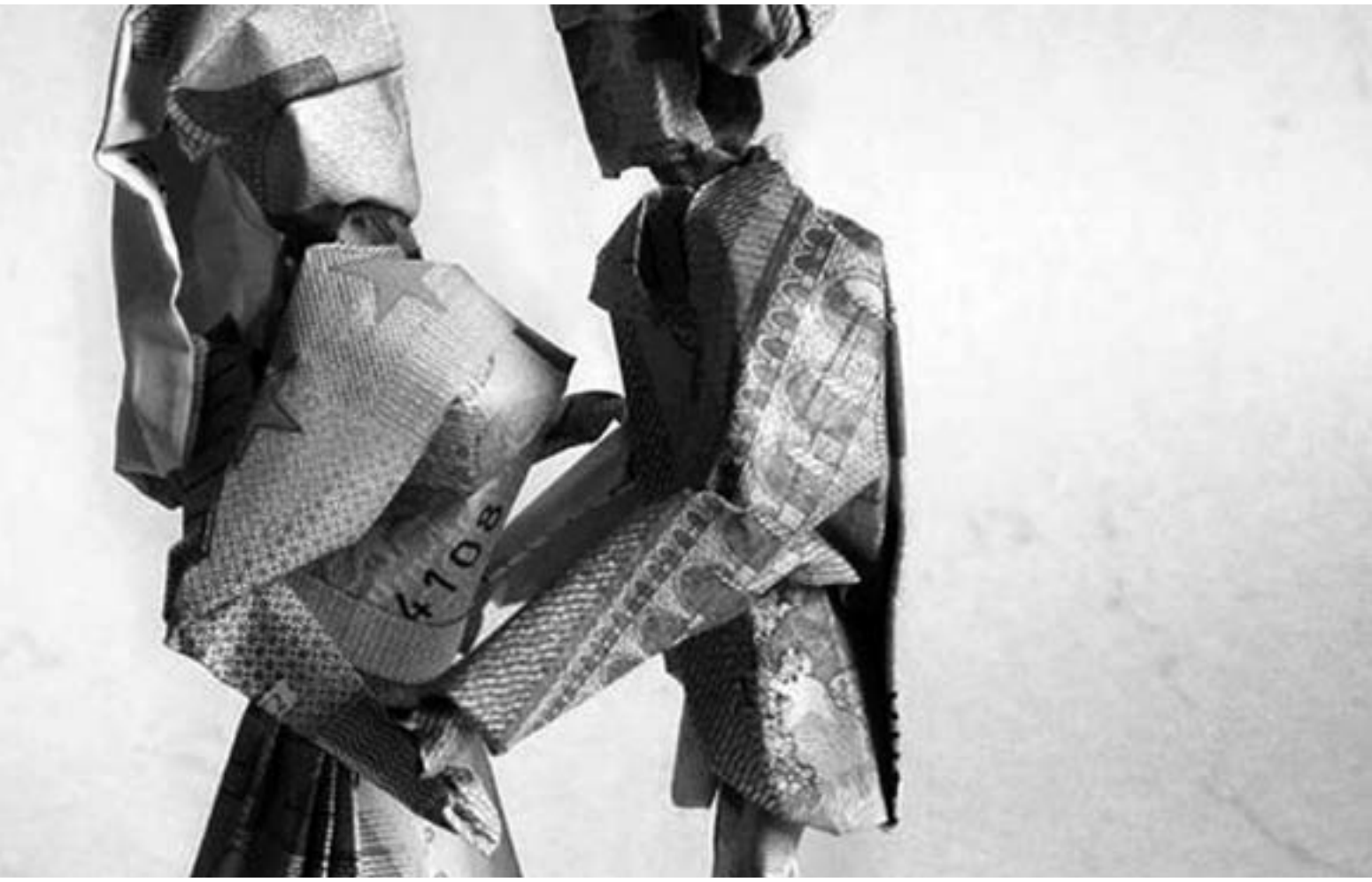

Daniel Chang, flickr.com/photos/28744631@N06/10325410715

i kryzys, i chciwość maklerów to zaledwie odpryski znacznie poważniejszego problemu, o którym się nie dyskutuje, ponieważ **w dyskursie publicznym tematyka związana z moralnością traktowana jest jako niebezpieczna. Rozważa się, czy coś jest opłacalne czy nie, czy przyniesie finansową korzyść lub stratę, ale ze świecą szukać debat o tym, czy jakieś rozwiązanie stępi nasz zmysł moralny albo obniży moralny standard, którym kierujemy się jako wspólnota. Ujmowanie zagadnienia jako problemu moralnego wydaje się przestarzałe, ponieważ powszechnie rozumuje się wyłącznie w kategoriach ekonomicznych zysków i strat albo bodźców finansowych zachęcających lub zniechęcających do działania. I właśnie to jest zdaniem Sandela nasz największy kłopot.**

Pochód rynkowego triumfalizmu, jak nazywa go Sandel, trwa od lat 80. XX wieku. Zachodnie społeczeństwa bezrefleksyjnie pozwoliły wówczas, by mechanizmy rynkowe wchodziły na obszary niezwiązane z gospodarką. Z czasem reguły ekonomiczne stały się dla nas przezroczyste, przestaliśmy poddawać je ocenie. Nieustannie oceniamy za to przez ich pryzmat rzeczywistość społeczną. W rezultacie, o ile wcześniej byliśmy społeczeństwem funkcjonującym w gospodarce rynkowej, o tyle teraz tworzymy już po prostu społeczeństwo rynkowe – i w tym pożałowania godnym stanie chcemy się pogrążyć bez reszty.

Polskiego czytelnika szokować może obraz amerykańskich realiów, które wyłaniają się z obu książek. Sandel pisze i wykłada powściągliwie, ale omawiane przez niego przykłady są tak jednoznaczne, że nadddatek komentarza zapewniającego o szkodliwości wolnorynkowej logiki byłby zbyteczny. Przedstawione przez niego studia przypadków składają się na obszerny bestiariusz. W amerykańskich zakładach bukmacherskich, przykładowo, można zakładać się o to, kiedy umrze dany celebryta – trafna prognoza zostanie nagrodzona stosowną wypłatą. Pentagon, widząc popularność (i skuteczność) przewidywań hazardzistów, zaproponował, by obywatele obstawiali i inne wydarzenia, np. prawdopodobieństwo ataku terrorystycznego albo zamachu stanu. Ostatecznie wycofał się z tych propozycji, jednak bynajmniej nie z powodu zarzutów o niemoralność. Z kolei Gary Becker, guru ekonomii rodem ze szkoły chicagowskiej,

który zaszczepił w nas przekonanie, że wszystko da się wycenić i sprzedać, zaproponował swego czasu, by status uchodźcy politycznego w USA można było sobie kupić. Za 50 tysięcy dolarów.

Dlaczego jednak zjawisko powszechnego rozpanoszenia rynku powinniśmy uważać za coś złego? Autor daje nam dwie odpowiedzi. Pierwszą można nazwać argumentem ze sprawiedliwości. Ekonomiści twierdzą, że rynek jest najefektywniejszym narzędziem dystrybucji dóbr, ponieważ sprawia, iż trafiają do tych, którzy je najbardziej cenią. Jednak ten mechanizm nie działa w każdych warunkach. Czy suma pieniędzy, jaką jesteśmy w stanie wydać na dane dobro, rzeczywiście świadczy o tym, jak bardzo go potrzebujemy? Nie wszyscy mają równe możliwości korzystania z dobrodziejstw rynku – bogaci są w oczywisty sposób uprzywilejowani. O ile to uprzywilejowanie nie ma znaczenia moralnego, gdy chodzi np. o zakup telewizora plazmowego, o tyle w pewnych warunkach może poważnie ograniczać możliwości życiowe. Podczas huraganu na Florydzie w 2004 r. torba z lodem warta uprzednio 2 dolary, sprzedawana była po 10 dolarów, a generator prądu, który wcześniej kosztował 250 dolarów, wyceniono na 2 tys. dolarów. Za usunięcie z dachu domu dwóch pni wykonawcy wystawiali rachunek na 23 tys. dolarów. Krótko mówiąc, huragan stał się okazją do zarobienia na nieszczęściu współobywateli.

Urynkowienie życia społecznego powoduje coraz większą polaryzację społeczną i zmniejsza naszą wrażliwość na innych, szczególnie mniej zamożnych. Światy bogatych i biednych oddalają się od siebie, a członkowie nierównych społeczeństw nie czują się odpowiedzialni za siebie nawzajem. Autor przytacza opinię emerytowanego oficera, który przekonywał, że **gdyby Amerykanie tworzyli sprawiedliwe społeczeństwo, to nie wysyłaliby wojsk na Bliski Wschód: po zniesieniu powszechnej służby wojskowej rekrutami zostają bowiem osoby z niższych klas społecznych, co pozwala decydentom szafować życiem żołnierzy bez obawy, że wśród ofiar będą ich własne dzieci.**

Drugi argument, którym posługuje się Sandel, mówi o tym, że rynkowe wartości degenerują dobra, z którymi się stykają. Ekonomiści zakładają, że mechanizmy rynkowe nie mają wpływu na oferowane produkty. Wystawienie telewizora plazmowego na sprzedaż faktycznie nie zmienia jego wartości. **Istnieje jednak ogromna liczba dóbr, które są niweczone, gdy tylko zacznie się je komercjalizować. W niektórych krajach zgodnie z prawem można wynająć kobietę, która za wynagrodzeniem urodzi dziecko innej parze. Umowa, którą się wówczas spisuje, wymaga, by ciężarna dbała o siebie, a po porodzie oddała dziecko bez szemrania. W wypadku surogatek normy dotyczące macierzyństwa ulegają odwróceniu, płaci się im bowiem za to, by powstrzymały się od prób nawiązania więzi emocjonalnej z dzieckiem. Surogatki traktowane są więc nie jak czujące osoby, ale niczym przedmioty o określonej użyteczności, a ich ciąża staje się domeną komercyjnej produkcji dzieci. Tymczasem macierzyństwo jest, jeśli możemy tak powiedzieć, dobrem wyższego rzędu, które w ogóle nie powinno być wyceniane.** Gdy zdolność do rodzenia dzieci zaczyna podlegać wymianie rynkowej, ulega degradacji, ponieważ staje się jednym z wielu towarów dostępnych na rynku.

Dzieje się tak, gdyż rynek jest nie tylko mechanizmem dystrybucji dóbr – uczy nas także określonego nastawienia do rzeczy, które możemy na nim kupić. Zgadzając się, żeby coś było dostępne na rynku, godzimy się jednocześnie, by funkcjonowało jak każdy inny towar. Sandel opisuje np. biznes handlowania ubezpieczeniami na życie, nierzadko bez wiedzy osoby, której życie (czy raczej śmierć) jest przedmiotem takich targów. **Do najbardziej kontrowersyjnych polis należą te, które posiadają korporacje – ubezpieczają one życie swoich pracowników, w przeszłości tylko kadry najwyższego szczebla, dzisiaj już nawet pracowników fizycznych, by po ich śmierci otrzymać pieniądze z polisy, liczone w setkach tysięcy dolarów. Tego rodzaju ubezpieczenia na masową skalę wykorzystuje np. Wal-Mart, od lat oskarżany o wyzysk pracowników. Stosowanie tak zwanych ubezpieczeń woźnego – jak nazywa się je w żargonie ubezpieczycieli – nie tylko sprawia, że firmy mogą zaniedbywać obowiązek zagwarantowania pracownikom bezpiecznych warunków pracy, ale przede wszystkim zmienia funkcję ubezpieczenia. Pierwotnie miało ono zapewniać ochronę przed skutkami czyjejś nieoczekiwanej śmierci, np. głównego żywiciela rodziny. Obecnie jest korporacyjną strategią biznesową służącą pomnażaniu zysku.**

Krytyka twierdzenia, że rozwiązania rynkowe nie wpływają na moralność, a same dobra są odporne na ich działanie, jest najbardziej oryginalnym i wartościowym dokonaniem filozofa. Pozwala ona Sandelowi uderzyć w samo sedno stanowiska – zdobywającego rzesze zwolenników – mówiącego, że rynek może zaoferować nam efektywne rozwiązania moralnych i politycznych problemów, z którymi zderzają się współczesne społeczeństwa. Ekonomiści (np. autorzy popularnej „Freakonomii") chełpią się często, że potrafią rozwiązać każdy problem społeczny – wystarczy dać im wolną rękę w ustanawianiu bodźców zachęcających lub zniechęcających do danego zachowania. To przekonanie staje się udziałem środowiska naukowego, aktywistów i decydentów, którzy widzą np. w polityce zachęt lub internalizacji kosztów zewnętrznych doskonałe

© RJ, flickr.com/photos/vandalog/10545249276

narzędzia rozwiązywania problemów ekologicznych (handel emisjami zanieczyszczeń) czy zdrowotnych (podatki od niezdrowego stylu życia). Sandel argumentuje, że w wielu przypadkach to wykształcenie etosu, a nie zastosowanie rynkowych bodźców jest właściwym remedium. Można by odrzucić jego tezę jako szlachetny, ale naiwny idealizm, gdyby nie to, że autor przytacza dane empiryczne, które wykazują, że metody ekonomistów często przynoszą skutki przeciwne do obiecywanych.

Sztandarowym przykładem przytaczanym przez Sandela są izraelskie przedszkola, które postanowiły karać finansowo rodziców spóźniających się po swoje dzieci. Norma etyczna nakazująca odbierać dziecko punktualnie została zastąpiona normą rynkową. Pomysłodawcy sądzili, że rodzice będą odbierać dzieci wcześniej, by uniknąć kary. Jednak rodzice potraktowali karę jako dodatkowy koszt opieki przedszkolnej – opłatę za przedszkolne nadgodziny. Liczba rodziców, którzy zbyt późno zgłaszali się po pociechy, nie zmalała, lecz wzrosła dwukrotnie. O ile wcześniej spóźniający się rodzice czuli się winni, o tyle teraz mogli uspokoić gryzące sumienie, uiszczając opłatę. Psychiczny dyskomfort związany ze złamaniem normy dyktowanej przez etos dobrego rodzica, którego nie można było niczym załagodzić, okazał się lepszym regulatorem niż mechanizm rynkowy.

Sandel nie zachęca bynajmniej do całkowitego odrzucenia rynkowych rozwiązań i zdaje się przyznawać, że w wielu przypadkach są one właściwe. Za przykład może tu posłużyć sprzedawanie licencji upoważniających do polowania na nosorożce: zakazy nie przynosiły efektów i gatunek był bardzo poważnie zagrożony wymarciem, tymczasem dzięki licencjonowaniu udało się odbudować jego populację. Tym, na czym Sandelowi naprawdę zależy, jest uświadomienie nam, że wbrew zapewnieniom ekonomistów efekty wprowadzenia rynkowego eksperymentu są trudne do przewidzenia. A potrafią być niebagatelne. Kiedy w izraelskich przedszkolach po kilku miesiącach zrezygnowano z pomysłu karania opiekunów, spóźnienia utrzymały się na nowym, wyższym poziomie. Nie jest łatwo przywrócić normę nierynkową, jeśli raz zostanie ona stłumiona, ponieważ norma ekonomiczna ma tendencję do wypierania nieekonomicznej. Powinniśmy więc zachować szczególną ostrożność, bawiąc się mechanizmami rynkowymi, i przede wszystkim dbać o kondycję zbiorowego etosu.

© A.Cavey, flickr.com/photos/adavey/4961883192

Przykłady, na które powołuje się Sandel, współgrają z wynikami badań przeprowadzonych w latach 80. i 90. ubiegłego wieku dotyczących podziału dóbr. **Eksperymenty, prowadzone w formie różnego rodzaju gier pieniężnych, wykazały, że zachowanie uczestników daleko odbiegło od oczekiwań ekonomistów i modelu *homo œconomicus*: 75 proc. badanych kierowało się wartością współpracy i poczuciem sprawiedliwości, nawet jeżeli miało im to przynieść straty; pozostałe 25 proc. stanowili bezwzględni egoiści. Proporcje te były znacząco zachwiane wśród studentów ekonomii. Stosowali się oni do wymogów ekonomicznej racjonalności wykładanej przez swoich profesorów i grali samolubnie. Dla badaczy stało się oczywiste, że wydziały ekonomii wychowują obywateli niechętnie współpracujących oraz skłonnych do oszustw**[1]. Dzisiaj wszyscy staliśmy się domorosłymi ekonomistami, garściami czerpiącymi z wulgarnej doktryny neoliberalnej. Niestety, można się spodziewać, że efektem naszej „edukacji" gospodarczej będzie złe społeczeństwo, pozbawione etosu i poczucia sprawiedliwości. Tymczasem bez kręgosłupa moralnego – argumentuje Sandel – wielu palących problemów nie da się rozwiązać.

Jeśli nie w mechanizmach rynkowych, to gdzie możemy szukać rozwiązań? Aby odpowiedzieć na to pytanie, Sandel wypróbowuje w „Sprawiedliwości" najważniejsze doktryny etyczne, które rozwinęły się w ciągu ostatnich dwóch stuleci. Z polemiką autora spotykają się nie tylko utylitaryzm i libertarianizm, wykorzystywane obecnie do ideologicznego uzasadniania rynkowego triumfalizmu, ale również tradycja liberalnej lewicy, której źródeł Sandel upatruje w filozofii Kanta, a za jej najważniejszego przedstawiciela uznaje Johna Rawlsa. Sandel nie odmawia intelektualistom liberalnej lewicy ogromnych zasług, zwłaszcza na polu walki z niesprawiedliwością społeczną. Jednocześnie krytykuje ich jednak za zmarginalizowanie pytania „co znaczy dobre życie?" i idących za nim rozważań na temat etosu i cnoty, których nie powinniśmy porzucać. Z faktu, iż żyjemy w pluralistycznych społeczeństwach, liberalna lewica zbyt szybko wysuwa wniosek, że musimy zachować neutralność w sprawach światopoglądowych i powstrzymać się od wartościowania. Jeżeli jednak nie zdobędziemy się na świadomy wysiłek publicznej dyskusji nad dobrym życiem – argumentuje Sandel w obu książkach – to zrobi to za nas rynek, który przyjmuje wszystkie preferencje z dobrodziejstwem

inwentarza, nie ustanawiając ich hierarchii. Dlaczego jednak mielibyśmy traktować wszystkie preferencje równo? Dzisiaj chęć strzelania do zwierząt zagrożonych wyginięciem stawiamy na równi z potrzebą nauczenia dzieci czytania i pisania. Czy są to rzeczywiście równoprawne dążenia?

Oddajmy głos samemu autorowi „Czego nie można kupić za pieniądze": *Tego rodzaju rozważania nieuchronnie sprowadzają się do różnych, konkurujących ze sobą koncepcji dobrego życia. Czasem unikamy wchodzenia na ten grząski grunt. Z obawy przed wywołaniem konfliktu wahamy się, czy warto odwoływać się do własnych przekonań moralnych lub duchowych w debacie publicznej* [...] *Epoka triumfalizmu rynkowego zbiegła się w czasie ze zjawiskiem znacznego wypłukiwania z dyskursu publicznego treści duchowych i moralnych. Jeżeli chcemy, żeby wpływ rynków na nasze życie nie przekraczał rozsądnych granic, jedynym wyjściem jest otwarta, publiczna dyskusja na temat znaczenia dóbr i praktyk społecznych, które wysoko sobie cenimy.*

Czy jednak Sandel, pisząc o potrzebie dyskusji i praktykowania etosu, nie zawiesza nam poprzeczki zbyt wysoko? **Najsilniejsze bodajże przekonanie ekonomistów dotyczy ludzkiej dobrej woli. Wierzą oni, że rezerwuar ludzkiej dobroci, którą można widzieć jako skłonność do dzielenia się, życzliwość czy myślenie o dobru innych, jest bardzo ograniczony. Korzystanie z jego zasobów jest równoznaczne z marnotrawstwem. Jak długo więc naprawdę nie ma potrzeby polegania na naszych dobrych cechach, trzeba znaleźć inne mechanizmy, które skłonią do pożądanego postępowania. Postępując zgodnie z założeniami ekonomistów, powinniśmy skłaniać kochające się pary, by niewiele od siebie wymagały i oszczędzały swoją miłość na czarną godzinę. Jakże szczęśliwe będą wówczas w przededniu rozwodu, do którego doprowadziło „ekonomiczne" gospodarowanie miłością!** Metafora rezerwuaru, którą stosują ekonomiści, jest jednak zupełnie chybiona. Cnota nie jest zasobem, który z czasem się wyczerpuje, przypomina raczej - Sandel odwołuje się tu do poglądu Arystotelesa - muskulaturę, którą trzeba nieustannie ćwiczyć, by się rozwijała.

Publikacje i wykłady Sandela burzą wygodne złudzenie, że możemy znaleźć łatwe, niewymagające wysiłku i namysłu moralnego rozwiązania problemów społecznych, politycznych i ekonomicznych. Tym samym autor przypomina nam o konieczności refleksji etycznej. Zmarginalizowanie tego kierunku myślenia jest z pewnością kolejnym znakiem szczególnym naszych czasów. Podczas rewolucji lat 60. to filozofowie byli autorytetami, na których powoływali się główni uczestnicy wydarzeń. W ruchu Oburzonych ich miejsce zajęli socjologowie i ekonomiści.

Postulat refleksji etycznej kwestionuje nasze prawo do wygodnego czekania, aż gotowe rozwiązania problemów społecznych przyjdą ze świata akademickiego, i przywraca odpowiedzialność i podmiotowość każdemu z nas. Mimo to - są nieodzowne. Nawet jeżeli dyskusje moralne nie doprowadzą nas do jednoznacznych rozstrzygnięć, to przynajmniej będziemy znowu odróżniać krecie kopce od górskich szczytów. ⚒

Michael Sandel, *Sprawiedliwość. Jak postępować słusznie?*, przełożyła Olga Siara, Kurhaus, Warszawa 2013, s. 367; Michael Sandel, *Czego nie można kupić za pieniądze. Moralne granice rynku*, przełożyli Anna Chromik, Tomasz Sikora, Kurhaus, Warszawa 2013.

Przypis:

1. Zob.: E. Fehr, S. Gächter, *Altruistic punishments in humans*, „Nature" 2002, nr 415, s. 137-140; S. Bowles, H. Gintis, *Homo reciprocans*, „Nature" 2002, nr 415, s. 125-128; G. Marvel, R. Ames, *Economists free ride, does anyone else?*, „Journal of Public Economics" 1981, nr 15, s. 295-310; R.H. Frank, T. Gilovich, D.T. Regan, *Does studying economics inhibit cooperation?*, „Journal of Economics Perspectives" 1993, nr 7, s. 159-171; R.H. Frank, T.D. Gilovich, D.T. Regan, *Do economists make bad citizens?*, „Journal of Economics Perspective" 1996, t. 10, nr 1, s. 187-192; J. Henrich et al., *Foundations of human sociality. Economic experiments and ethnographic evidence from small-scale societies*, New York 2004; A.E. Roth et al., *Bargaining and market behavior in Jerusalem, Ljubljana, Pittsburg, and Tokyo. An experimental study*, „American Economic Review" 1991, nr 81, s. 1068-1095.

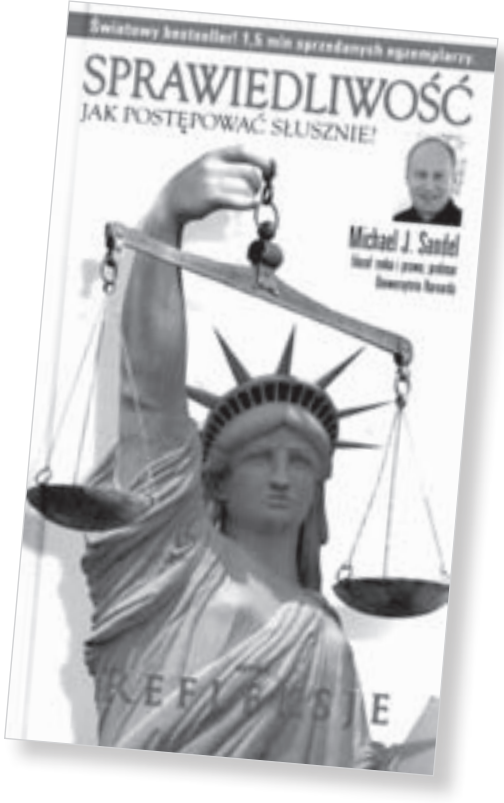

Aleksandra Bilewicz (ur. 1984) - socjolożka i filozofka, publicystka, członkini kolektywu redakcyjnego „Nowych Peryferii".

Marcin Giełzak (ur. 1987) - współzałożyciel think tanku WE the CROWD, współorganizator pierwszych w Polsce wydarzeń poświęconych ekonomii współdzielonej - Niekonferencji Innowacji Społeczno-Biznesowych „Zmienia Się!" oraz „OuiShare Europe Tour - Warszawa", publicysta, badacz dziejów lewicy antykomunistycznej. Absolwent historii oraz zarządzania na Uniwersytecie Łódzkim.

Jarosław Górski (ur. 1970) - polonista, nauczyciel i dziennikarz. Napisał kilkaset artykułów publicystycznych i popularyzujących różne dziedziny sztuki, wydał książkę eseistyczną „Męska rzecz" (o literackich obrazach męskości) oraz powieść obyczajową „Wersje". Mieszka w Warszawie. Stały współpracownik „Nowego Obywatela".

Llewellyn Hinkes-Jones - dziennikarz i publicysta. Zajmuje się tematyką prawa własności, prywatnego więziennictwa, rynkiem kokainy oraz problemami pracowniczymi w sektorze technologicznym. Mieszka w Waszyngtonie.

Joanna Jurkiewicz (ur. 1986) - absolwentka socjologii w ramach Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Interesuje się prawami pracowniczymi. Zadeklarowana feministka. Próbuje wyznawać zasadę Churchilla: *no sports*, ale czasem robi ustępstwa na rzecz biegania.

Angelina Kussy (ur. 1991) - dziennikarka kulturalna. Recenzuje literaturę faktu dla Magazynu Literackiego Książki i portalu mgzn.pl. Interesuje się Ameryką Łacińską i antropologią słowa. Absolwentka Instytutu Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Podczas prawie rocznego pobytu w Barcelonie prowadziła badania dotyczące dyskursu niepodległości Katalonii.

Jonathan Laurence (ur. 1977) - profesor nadzwyczajny nauk politycznych w Boston College i starszy wykładowca w Center on the United States and Europe Brookings Institutions. Autor książki „The Emancipation of Europe's Muslims" (2012).

Rafał Łętocha (ur. 1973) - politolog i religioznawca. Doktor habilitowany nauk humanistycznych w zakresie nauk o polityce, kierownik Zakładu Historii Stosunków Państwo-Kościół w Instytucie Religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor i kierownik Zakładu Media, Komunikowanie i Polityka Międzynarodowa w Instytucie Politologii Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. rotmistrza Witolda Pileckiego w Oświęcimiu. Jego zainteresowania koncentrują się wokół historii idei oraz relacji między religią a sferą polityczną. Autor książek „Katolicyzm a idea narodowa. Miejsce religii w myśli obozu narodowego lat okupacji" (2002) i „*Oportet vos nasci denuo*. Myśl społeczno-polityczna Jerzego Brauna" (2006) „O dobro wspólne. Szkice z katolicyzmu społecznego" (2010). Redaktor prac: „Dobro, piękno, rozum, wiara w kontekście nauczania Jana Pawła II" (wspólnie z J. Diecem, 2009), „Religia, polityka, naród. Studia nad współczesną myślą polityczną" (2010), „Oblicza wolności" (2010) „Godność człowieka" (2012). Publikował w wielu czasopismach. Od urodzenia mieszka w Myślenicach i bardzo jest z tego zadowolony. Stały współpracownik „Nowego Obywatela".

Ilona Majewska (ur. 1983) - antropolożka kultury, zawodowo zajmuje się edukacją do równości w Stowarzyszeniu „Tkalnia". Kierowała projektem animacyjnym dla dzieci w Ośrodku dla Uchodźców w Grotnikach, prowadzi zajęcia z obszaru antydyskryminacji. Mieszka w Łodzi, która nieustająco ją zachwyca.

Bartosz Filip Malinowski (ur. 1987) - współzałożyciel think tanku WE the CROWD, absolwent stosunków międzynarodowych oraz dziennikarstwa na UŁ, student zarządzania - także na UŁ. Racjonalista, humanista, ateista i idealista, szukający właściwych środków do właściwych celów.

Marcin Malinowski - pseudonim autora, który z przyczyn zawodowych wolał pozostać anonimowy.

Krzysztof Mroczko (ur. 1980) - krytyk literacki z zawodu, publicysta z wyboru, wrocławianin z pochodzenia. Zafascynowany historią i literaturą PRL, szczególnie powieścią milicyjną. Miłośnik szeroko rozumianej powieści kryminalnej i niepopularnych teorii ekonomicznych, o których pisuje w dziale społecznym kwartalnika „Rita Baum".

Jarosław Tomasiewicz (ur. 1962) - doktor habilitowany nauk politycznych, pracownik naukowy Instytutu Historii Uniwersytetu Śląskiego, publicysta, autor książek „Terroryzm na tle przemocy politycznej (zarys encyklopedyczny)" (2000), „Między faszyzmem a anarchizmem. Nowe idee dla nowej ery" (2000), „Ugrupowania neoendeckie w III Rzeczypospolitej" (2003), „Zło w imię dobra. Zjawisko przemocy w polityce" (2009) i „Rewolucja narodowa. Nacjonalistyczne koncepcje rewolucji społecznej w Drugiej Rzeczypospolitej" (2012), a także wielu tekstów publicystycznych i naukowych. Stały współpracownik „Nowego Obywatela".

Przemysław Wewiór (ur. 1986) - absolwent filozofii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika i doktorant na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego. Autor wielu tłumaczeń i publikacji naukowych, dotyczących głównie historii idei w okresie nowożytnym. Pasjonat miasta Łodzi i dobrych seriali. Kontakt: pwewior@gmail.com.

Piotr Wójcik (ur. 1984) - redaktor portalu Jagielloński24.pl, członek Klubu Jagiellońskiego i zespołu redakcyjnego „Pressji". Katolik i komunitarysta. Fascynat państwa i interwencjonizmu. Fan literatury fantastycznej i współczesnej kinematografii. Stały współpracownik „Nowego Obywatela".

CZYTELNIKU, ZAPRENUMERUJ NOWEGO OBYWATELA

TYLKO **50 zł** ROCZNIE

1. Zapłacisz aż 10 zł taniej za kolejne cztery numery - prenumerata roczna to koszt 50 zł, zaś cena 4 numerów pisma wynosi 60 zł.
2. Wesprzesz finansowo nasze inicjatywy (pośrednicy pobierają nawet do 50% ceny pisma!).
3. Będziesz mieć pełny dostęp do internetowego archiwum kwartalnika.
4. Masz szansę otrzymania ciekawych upominków.
5. Prenumerata to wygoda - „Nowy Obywatel” w Twojej skrzynce pocztowej.

A MOŻE WERSJĘ ELEKTRONICZNĄ?

TYLKO **25 zł** ROCZNIE

6. W formatach **EPUB** i **MOBI**.
7. Bez zabezpieczeń **DRM**.
8. Najtaniej.

Więcej o prenumeracie można przeczytać tutaj: **nowyobywatel.pl/prenumerata**

Opłać prenumeratę w banku lub na poczcie i czekaj, aż „Nowy Obywatel” sam do Ciebie przywędruje :). Możesz też skorzystać z naszego sklepu wysyłkowego, dostępnego na stronie **nowyobywatel.pl/sklep**

Wpłat należy dokonywać na rachunek:
Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom” Bank Spółdzielczy Rzemiosła ul. Moniuszki 6, 90-111 Łódź
Numer konta: 78 8784 0003 2001 0000 1544 0001

Prenumeratę można rozpocząć od dowolnego numeru.

UPOMINKI

W tym kwartale do prenumeratorów trafi zbiór felietonów Joanny Dudy-Gwiazdy „Krótki kurs nowomowy”. Książkę otrzymują:

Łukasz Baleja, Łódź

Filip Cyuńczyk, Białystok

Antoni Grześczyk, Warszawa

Krzysztof Kondrat, Kleszczele

Michał Gruca, Warszawa

Łukasz Widła-Domaradzki, Warszawa

NOWY OBYWATEL

Przyświecają nam następujące wartości:

Samorządność, czyli faktyczny udział obywateli w procesach decyzyjnych we wszelkich możliwych sferach życia publicznego.

(Re)animacja społeczeństwa. Sprzeciwiając się zarówno omnipotentnemu państwu, jak i liberalnemu egoizmowi, dążymy do odtworzenia tkanki inicjatyw społecznych, kulturalnych, religijnych itp., dzięki którym zamiast biernych konsumentów zyskamy aktywnych obywateli.

„Demokracja przemysłowa". Dążymy do zwiększenia wpływu obywateli na gospodarkę, poprzez np. akcjonariat pracowniczy, ruch związkowy, rady pracowników. ⅓ życia spędzamy w pracy - to zbyt wiele, aby nie mieć na nią wpływu.

Sprawiedliwe prawo i praktyka jego egzekwowania, aby służyło społeczeństwu, nie zaś interesom najsilniejszych grup.

Media obywatelskie, czyli takie, które w wyborze tematów i sposobów ich prezentowania kierują się interesem społecznym zamiast oczekiwaniami swoich sponsorów.

Wolna kultura. Chcemy takiej ochrony własności intelektualnej, która nie będzie ograniczała dostępu do kultury i dorobku ludzkości.

Rozwój autentyczny, nie pozorny. Kultowi wskaźników ekonomicznych i wzrostu konsumpcji, przeciwstawiamy dążenie do podniesienia jakości życia, na którą składa się m.in. sprawna publiczna służba zdrowia, powszechna edukacja na dobrym poziomie, wartościowa żywność i czyste powietrze.

Ochrona dzikiej przyrody, która obecnie jest niszczona i lekceważona w imię indywidualnych zysków i prymitywnie pojmowanego postępu. Jeśli mamy do wyboru nową autostradę i nowy park narodowy - wybieramy park.

Solidarne społeczeństwo. Egoizmowi i uznaniowej filantropii przeciwstawiamy społeczeństwo gotowe do wyrzeczeń w imię systemowej pomocy słabszym i wykluczonym oraz stwarzania im realnych możliwości poprawy własnego losu.

Sprawiedliwe państwo, czyli takie, w którym zróżnicowanie majątkowe obywateli jest możliwie najmniejsze (m.in. dzięki prospołecznej polityce podatkowej) i wynika z różnicy talentów i pracowitości, skromne dochody nie stanowią bariery w dostępie do edukacji, pomocy prawnej czy opieki zdrowotnej.

Gospodarka trójsektorowa. Mechanizmom rynkowym i własności prywatnej powinna towarzyszyć kontrola państwa nad strategicznymi sektorami gospodarki, sprawna własność publiczna (ogólnokrajowa i komunalna) oraz prężny sektor spółdzielczy. Nie zawsze prywatne jest najlepsze z punktu widzenia kondycji społeczeństwa.

Gospodarka dla człowieka - nie odwrotnie. Zamiast pochwał „globalnego wolnego handlu", postulujemy dbałość o regionalne i lokalne systemy ekonomiczne oraz domagamy się, by państwo chroniło interesy swoich obywateli, nie zaś ponadnarodowych korporacji i „zagranicznych inwestorów".

Przeszłość i różnorodność dla przyszłości. Odrzucamy jałowy konserwatyzm i sentymenty za „starymi dobrymi czasami", ale wierzymy w mądrość gromadzoną przez pokolenia. Każdy kraj ma swoją specyfikę - mówimy „tak" dla wymiany kulturowej, lecz „nie" dla ślepego naśladownictwa.

© Tamurello, http://www.flickr.com/photos/travellingwithoutmoving/5608286/

BIBLIOTEKA OBYWATELA

Joanna Duda-Gwiazda

Krótki kurs nowomowy

„Krótki kurs nowomowy" jest kompletem felietonów legendarnej działaczki pierwszej „Solidarności", Joanny Dudy-Gwiazdy, napisanych dla „Nowego Obywatela" w latach 2001–2013. Zawartą w tomie publicystykę tak podsumował autor wstępu, prof. Zdzisław Krasnodębski: *Lewicowość autorki łączy się z przywiązaniem do narodowej suwerenności i sceptycyzmem wobec brukselskiej biurokracji. Duda-Gwiazda odrzuca natomiast „lewicowość", która oznaczałaby obronę komunistycznej przeszłości czy pochwałę dawnych donosicieli. Jest rzeczą charakterystyczną dla III RP, że na scenie politycznej nie znalazło się miejsce dla ludzi o podobnych poglądach.*

Cena 35 zł

Zamówienia: tel. 42 630 22 18 · sklep@nowyobywatel.pl

www.pozaukladem.pl